



KOCHANKOWIE
BURZY

Czas wojny, czas miłości



ELŻBIETA GIZELA ERBÁN

VIDEOGRAF

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ELŻBIETA GIZELA ERBÄN

KOCHANKOWIE
BURZY

TOM 5

czas wojny, czas miłości

V I D E O G R A F

Redakcja

Anna Seweryn

Projekt okładki

Anna Slotorsz

Fotografia na okładce i grafiki na stronach rozdziałowych

© *KathySG/shutterstock.com|HRYBRAND web and graphics/shutterstock.com*

Marcin Kuśmierski/polona.pl|Leonard Ochtman/si.edu

Redakcja techniczna, skład i łamanie

Damian Walasek

Przygotowanie wersji elektronicznej

Maksym Leki

Korekta

Urszula Bańcerk

Marketing

Kinga Ucherek

promocja.videograf@gmail.com

Wydanie I w tej edycji, Siemianowice Śląskie 2023

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA

41-100 Siemianowice Śląskie, ul. Olimpijska 12

tel. + 48 600 472 609, + 48 664 330 229

office@videograf.pl

www.videograf.pl

Dystrybucja: LIBER SA

05-080 Kludyn, ul. Zorzy 4

Panattoni Park City Logistics Warsaw I

tel. +48 22-663-98-13, fax +48 22-663-98-12

dystrybucja@liber.pl

dystrybucja.liber.pl

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2022

tekst © Elżbieta Gizela Erban

ISBN 978-83-8293-063-4

*O roku świętych błędów! O roku szaleństwa!
Próżno cię wyklinały rachuby trzeźwości,
Ostało ziarno gniewu w oczach potomności,
Aż kłosem wybujalo na polach zwycięstwa.
Twe echa, wielki roku, to sumień kołatka,
Co nie dała do reszty gnuśnić w niewoli.*

Benedykt Hertz, 1863

Rozdział 1

W tę noc styczniową wilgotne mgły otulały ziemię Królestwa Polskiego szarym całunem i wszędzie mżył deszcz. W nieprzeniknionych ciemnościach przemykały grupki mężczyzn, podążając na miejsca zbiórek. Były to przeważnie cmentarze czy podmiejskie laski, gdzie nie obawiano się obecności agentów policji i patroli kozackich. Najliczniej stawiała się młodzież: studenci, licealiści, młodzi czeladnicy, drobna szlachta i mieszczaństwo. Sporadycznie dołączali do nich chłopcy, lecz nieliczni i nieufnie nastawieni do powstania. Rząd Narodowy liczył na spontaniczny zryw całego społeczeństwa. Tymczasem ogół narodu pozostał bierny i wyczekujący. Część Polaków, przekonana, że Aleksander II jest prawowitym władcą, uważała wybuch walki zbrojnej za karygodny bunt. Za ledwie połowa spiskowców stawiała się na wyznaczone miejsca zgrupowania, zaś zaplanowane akcje zakończyły się niepowodzeniem. Pomimo szaleńczych ataków żaden ważny obiekt strategiczny nie wpadł w ręce powstańców, a straty w rannych, zabitych i wziętych do niewoli już pierwszej nocy były znaczne. Wyłoniony z KCN-u Tymczasowy Rząd Narodowy zaraz pierwszego dnia stracił kontakt z walczącymi oddziałami. Rozkazy trafiały do dowódców spóźnione lub nie przychodziły wcale. Niektórzy naczelnicy partii powstańczych otrzymywali polecenia odwołania akcji, a nawet informację, że powstanie nie wybuchło. Była to planowa robota Białych, polegająca na celowym torpedowaniu w zarodku walki zbrojnej. Zdarzało się, że gromady drżących z zimna mężczyzn na próżno oczekiwały, aż zjawi się dowódca i powiedzie ich do boju. Kiedy nikt się nie pojawiał, niedoszli powstańcy, zawiedzeni i wściekli, wracali do domów, przeklinając konspiracyjne władze.

Uzbrojenie oddziałów było bardzo słabe. Niektórzy mieli stare flinty albo przedpotopowe pistolety. Bywało, że za całą broń musiał wystarczyć kij. Lecz ludzie szli do powstania z czystej miłości ojczyzny, pełni gorącej wiary w zwycięstwo i entuzjazmu dla sprawy. Walkę o wyzwolenie uważano za punkt honoru. Członkowie rządu, obawiając się blokady

stolicy, oczekiwali w Kutnie, aż pułkownik Padlewski zajmie Płock, aby tam się ujawnić.

W Warszawie pozostał jedynie Stefan Bobrowski, pełniący obowiązki naczelnika miasta i przewodniczącego Komisji Wykonawczej. Ten młodziutki, dwudziestotrzyletni mężczyzna, chory na jaskrę i niemal ślepy, stał się rzeczywistym przywódcą powstania, dźwigając z niezłomną wolą straszliwy ciężar odpowiedzialności za losy kraju. Pod tym ogromnym brzemieniem ugiąłby się nawet doświadczony generał.

Dla Rosjan wybuch powstania okazał się kompletnym zaskoczeniem. Nie posądzali Polaków o taką determinację, złudzeni biernym zachowaniem władz podziemnych podczas branki. Dopiero następnego dnia księżę namiestnik ogłosił stan wojenny na terenie całego kraju. Dowódcą armii rosyjskiej został generał Edvard Ramsay, Szwed w służbie cara. Na jego rozkaz generałowie ściągnęli z miast i miasteczek placówki wojskowe, tworząc z nich potężne kolumny, złożone z piechoty, kawalerii i artylerii, wspomagane przez sotnie kozackie. Kolumny poruszały się we wszystkich kierunkach, zwalczając partie powstańcze. W tym czasie armia rosyjska liczyła około stu tysięcy żołnierzy. Dowódcy otrzymali rozkaz zmiążdżenia powstania, zanim ogarnie ono cały kraj. Z imperium nieustannie nadchodziły posiłki i broń. Sił powstańczych nikt nie liczył. Można jedynie przypuszczać, że w najlepszym okresie było nie więcej niż trzydzieści tysięcy żołnierzy.

Już początek walki był dla Polaków niepomysłny. Atak na Płock okazał się nieudany, a pułkownik Padlewski nie przybył do swego oddziału. Źle uzbrojona partia, nieudolnie dowodzona, rozbiegła się w panice, rozgromiona przez nieprzyjaciela. W Kieleckiem naczelnik Kurowski bez żadnego powodu rozpuścił swoją partię, odwołując akcję. Na terenie Gór Świętokrzyskich z zaplanowanych ataków na osiem miejscowości tylko pułkownik Langiewicz uderzył na Szydłowiec, bracia Dawidowicze na Bodzentyn, a Narcyz Figietty na Jedlnię. Jedynie ten ostatni atak był udany. Powstańcy, zdobywszy na nieprzyjacielu broń i amunicję, wycofali się z miasteczka sprawnie i prawie bez strat własnych.

Sukcesem zakończył się również atak młodzieży warszawskiej na kompanię pułku muromskiego w lasach Kampinosu. Polacy, dowodzeni przez Aleksandra Rogalińskiego, porąbali Rosjan kosami, zabijając pułkownika Kozlanina. W Podlaskiem i Łomżyńskiem do walki wyruszyły

wszystkie zgrupowania. Duże partie toczyły tam zacięte boje i utrzymały się, odcinając Warszawę od Petersburga, przechwytyjąc rosyjskich kurierów i rozkręcając szyny kolejowe.

Ta pierwsza noc powstania, z 22 na 23 stycznia, była dla Niny straszna. Leżąc w wielkim łożu, nadśluchiwała pilnie, łudząc się ciągle, że usłyszy głos męża. Była bardzo zmęczona, a rozpacz i łzy przy pożegnaniu z Alekssem pozbawiły ją reszty sił. Udręczona bezsennością, usiadła i wsłuchiwała się w ciszę nocną. Krople deszczu uderzały monotonicznie w szyby i w parapet okna, szemrały w rynnach. Nerwy miała tak napięte, że zdawało się jej, iż lada moment popękają. Oczekiwała z nadzieją, że coś się wydarzy – za chwilę usłyszy szybkie, mocne kroki i do sypialni wejdzie Aleks. Wstała i zaczęła krążyć po pokoju, aż do zupełnego wyczerpania. Tęsknota za mężem była tak paląca, że Nina narzuciła na siebie peniuar i weszła do jego pokoju.

Ogarnął ją chłód ciągnący z kątów, bo od dawna nikt tutaj nie przebywał. Nad kominkiem z chęcińskiego marmuru wisiał duży portret męża w przepysznym mundurze rotmistrza czerwonych huzarów gwardii cesarskiej. Stała przed nim i uniosła głowę, wpatrując się wyteżonym spojrzeniem w chmurne oczy Aleksa. Wstrząsały nią nerwowe dreszcze. Miłość i tęsknota za nim rosły, wzmagając cierpienie.

„A kto raz posłyszysz w sobie głos ojczyzny, tego i śmierć nie powstrzyma” – przypomniawszy sobie słowa poety. Nie pamiętała, kto to napisał, nieważne – dosyć, że dziś te słowa stały się prawdziwe i straszliwie aktualne. „Aleczku, oszczędłeś i pozostawiłeś mnie samą! – wołała do niego w duszy, nie spuszczać oczu z jego twarzy. – Przecież wiesz, że jesteś mi tak potrzebny do życia, jak woda i powietrze. Och, najdroższy, boję się, że wkrótce umrę i nie zobaczę cię więcej”.

Jęknęła, czując w brzuchu tępy ból. Miała wrażenie, jakby jej jelita wypełniono lodem i wydawało się jej, że już nigdy się nie rozgrzeje. Oczy męża patrzyły na nią z powagą i smutkiem. Długo nie mogła oderwać wzroku od portretu, wreszcie ciężko westchnęła i wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. Wróciła do sypialni i surowo zganiła się za mazgajstwo. „Boże, tysiące kobiet jest dziś w tej samej sytuacji, więc przestań się nad sobą rozczulać, ty idiotko!” – upomniała się, ale to

stwierdzenie nie przyniosło pociechy. Pomyślała, że nie wolno jej zapominać, iż jest dziedziczką, odpowiedzialną za ludzi, którzy jej służyli, i za cały majątek.

Sen nie przychodził, więc wzięła lampę naftową i chodziła po domu, zaglądając do pustych pokoi i sal. W bibliotece zapaliła świecznik, przypatrując się mahoniowym szafom, pełnym tomów w skórzanej i złoczonej oprawie. Ściany, obite bogatą tkaniną, łączyły się u góry ze wspaniałymi freskami sufitu, a ten przeglądał się w błyszczącej posadzce. Nad kominkiem, tak ogromnym, że mogły w nim płonąć całe pnie, wryty był herb Klonowieckich – Szaszor. Podniosła lampę i przypatrywała się złocistej gwieździe na szyi orła. „Jakże piękny jest mój dom – pomyślała. – Będę go strzegła i nie dopuszczę, aby spłonął lub został zniszczony”.

Wróciwszy do sypialni, usiadła na dywanie przed kominkiem i rzuciła w płomień grube polana bukowe. Wpatrując się w purpurowe błyski ognia, myślami była przy mężu. Deszcz ustał, tylko wiatr powracał, zrywając się w silnych podmuchach. Przyszło jej na myśl, że oto siedzi wygodnie w cieple, podczas gdy mąż tuła się po leśnych bezdrożach, w chłodzie, głodny i bezdomny, i ogarnęła ją bezdenne rozpacz. Może już go ścigano jak dzikie zwierzę? Przystępując do powstania, wyrzekł się domu i rodziny. Nie przysługiwały mu żadne prawa, nie chroniła żadna konwencja. Był banitą, buntownikiem tropionym przez wojsko, policję i szpicłów żandarmerii. Uświadomiwszy to sobie raz jeszcze, Nina zacisnęła powieki i miała ochotę walić głową w ścianę. Gdyby wpadł w ręce nieprzyjaciela, czekała go egzekucja lub, w najlepszym razie, dożywotnie zesłanie na katorgę. Uniosła rękę i wsunęła palce we włosy, wpijając paznokcie w skórę głowy.

– Jezu, Jezu... – szeptała, ogarnięta paniką.

Na policzku poczuła czyjś ciepły oddech. Coś zapiszczało żałośnie i polizało ją po twarzy. Otworzyła oczy i ujrzała siedzącego przy niej Grotą. Musiał chyłkiem wśliznąć się do sypialni. Przypomniała sobie, że od kilku dni pies bezskutecznie szukał swojego pana. Skomlił, biegał po pokojach i po parku, uparcie węsząc. Teraz także nie spał, tylko usiadł przy niej, podnosząc na nią oczy pełne ludzkiego niemal cierpienia. Nie pojmowała, skąd Grot wiedział, że jego pan odszedł na długo, może na zawsze? Dawniej, gdy Aleks wyjeżdżał z Makowa, nawet na kilka dni, seter nie okazywał niepokoju. Ale teraz był bardzo rozdrażniony, wył i nie chciał jeść. Przytuliła psa, gładząc czule jego jedwabistą sierść. Nie potrafiła mu

wytłumaczyć, dokąd odszedł jego pan. Aleks nie chciał wziąć go z sobą, obawiając się, że pies może zginąć w czasie bitwy. Pocałowała Grot w czubek głowy, wiedząc, że pies tęsknił za panem, tak jak ona. Przytuleni do siebie, siedzieli, nad słuchując.

Naraz Grot wstał i wysunawszy się z jej ramion, podszedł do drzwi na taras i zaczął gorliwie węszyć. Spoglądała na niego z niepokojem, próbując odgadnąć, co pies chce jej dać do zrozumienia. Grot odwrócił głowę, spojrział na nią i szczeknął, a potem zaskomlił. Nina podskoczyła przerażona, słysząc pukanie do drzwi sypialni.

– Proszę jaśnie pani hrabiny... – Dobiegł ją cichy głos Walentego.

Poderwała się i prędko otworzyła.

– Co się stało?

Kamerdyner był ubrany; widocznie wcale się nie kładł.

– Ośmieliłem się zapukać, bo idąc przez park, dostrzegłem światło w oknie pokoju jaśnie pani hrabiny. Obawiam się, że dzieje się coś niedobrego. Może jaśnie pani sama raczy zdecydować, co mamy robić. Proszę za mną.

– Już idę!

Narzuciła na siebie futro i okręciwszy głowę szalem, ruszyła za starszym. Po drewnianych schodach weszli na strych. Był czysty i uprzątnięty. Wszędzie stały skrzynie z piaskiem, na wypadek pożaru. Nina ze wzruszeniem pomyślała o przezorności męża. Po drabince wspięli się na mały balkonik ukryty pomiędzy występami dachu. Pałac stał na wzgórzu i z tego miejsca roztaczał się wspaniały widok na całą okolicę. Wkrótce miał nadejść świt, lecz niebo było ciemne i znowu kropił deszcz. Ogarnął ich przenikliwy chłód. Nina szczelniej otuliła się futrem i rozejrzała dokoła, starając się przebić wzrokiem nieprzeniknione ciemności. Nie zauważyła jednak nic podejrzanego.

– Coś się Walentemu przywidziało – rzekła uspokojona.

W odpowiedzi podniósł ramię i wskazał palcem w kierunku południowo-zachodnim. Wyteżyła wzrok i zauważyła ze zdumieniem, że chmury od spodu poróżwiały lekko, jakby słońce wstawało. To dziwaczne zjawisko poprzednio umknęło jej uwagi.

– Ciekawe... – mruknęła. – Przecież świt dopiero za kilka godzin, i to na wschodzie. To chyba jakaś zorza.

– Bodzentyn się pali – wyjaśnił kamerdyner złowróbnym tonem. – Łunę widać, choć to od nas daleko.

– Boże! – Raptownie odwróciła się do niego. – Chyba bracia Dawidowicze atakują miasto!

Gdzieś daleko z głębin nocy niósł się głos dzwonu. To w sarnickim kościele uderzono na trwogę. Najwyraźniej tam także ktoś dostrzegł łunę. W pałacowej psiarni i we wsi wyły psy, czując w powietrzu dym. Nina się wzdrygnęła i zacisnęła zęby, nie odrywając oczu od rozlewającej się na niebie różowej poświaty.

– Co jaśnie pani hrabina rozkaże? – odezwał się Walenty. – Czy mam budzić ludzi?

– Na razie nie widzę potrzeby. Tylko niech Paweł postara się choć raz nie drzemać i zajrzy tu od czasu do czasu. Rano może się dowiemy, co się tam stało.

– Dopilnuję, żeby Paweł nie spał! – zapewnił kamerdyner surowym tonem.

Powróciła do sypialni, przejęta i przygnębiona. Położyła się i kiedy nareszcie sen zamknął jej powieki, ponownie nawiedził ją koszmar. Śniła, że wpadła do grobu Pauli, a zwały ziemi zasypywały ją powoli. Poczwała, że się dusi.

– Nie! – krzyknęła, szarpnęła się i usiadła na łóżku, ciężko dysząc.

W pokoju było ciemno, bo ogień w kominku zgasł. Drżącymi dłońmi zapaliła lampkę i spojrzała na zegar. Była godzina dziesiąta rano. Rozgniewana, szarpnęła taśmę dzwonka.

– Dlaczego mnie nikt nie obudził? – ofuknęła wchodzącą Jagę.

– Przecież całą noc nie spałaś. Myślisz, że nie słyszałam twoich kroków?

– Niania podeszła do okna i odsunęła ciężkie kotary. Do pokoju weszło szare ponure światło pochmurnego poranka.

Jaga przysiadła na łóżku i pocałowała wychowankę w czoło.

– Błada jesteś, kotku. Czy wiesz, że w nocy palił się Bodzentyn?

– Wiem. Ci szaleńcy rozpętali burzę, nie przejmując się losem bezbronnych, niewinnych ludzi, których ona zmiecie. Od Alka nie było wiadomości?

– Jeszcze na to za wcześnie. Pan poszedł ze swoją partią w lasy. Poleż, dziecko. Ulisia przyniesie ci śniadanie do łóżka.

– Zapominasz, nianiu, że teraz muszę sama o wszystkim decydować. – Ociągając się, Nina postawiła bosc stopy na dywanie. Bolały ją kości i było jej niedobrze, ale przemogła słabość i wstała.

Weszła zapłakana Ulisia i pociągając nosem, przygotowała wodę do mycia, ręczniki i czystą bieliznę. Zwykle zagadywała Ninę wesoło, opowiadając o pałacowych nowinkach, ale tego dnia była smutna, milcząca i wycierała fartuszkim czerwone zapuchnięte oczy. Pracowała bezmyślnie, niezgrabnie, aż Jaga musiała ją skarcić, gdy z hukiem upuściła na posadzkę wiązkę drewna.

– Uważaj, przestraszyłaś panią! – upomniała ją ostro.

– Już dobrze... – Nina ujęła się za swoją ulubienicą. – Jej brat i Antoś poszli z panem, więc trudno się dziwić, że nie ma biedaczka do niczego głowy, prawda?

Pokojówka przypadła do niej i ucałowawszy jej rękę, z płaczem wybiegła z sypialni, zasłaniając twarz fartuszkim. Jaga westchnęła i pokiwała głową.

Przy śniadaniu Nina nie miała apetytu. Piekła ją zgaga i denerwował entuzjazm Miry, której usta się nie zamykały. Wszyscy zastanawiali się, czy udał się atak Dawidowiczów na Bodzentyn. Po posiłku Nina postanowiła przejrzeć notatki męża i poszła do gabinetu. Zacierając zziębnięte ręce, usiadła przy biurku i otworzyła notes Aleksa. Tego dnia miał być w Borku. Borek i Zameczek były dwoma największymi folwarkami, znajdującymi się najbliżej Makowa. Ale Nina czuła się taka rozbita, że odłożyła wyjazd do jutra. Zajrzała do skarbca i stwierdziła, że mąż pobrał znaczną kwotę z pieniędzy, które niedawno przywiózł z banku. Niezadowolona z jego lekkomyślności, zaglądnęła jeszcze do ksiąg, przytupując, bo w pokoju było zimno. Zmarznięta, zeszła na parter i w sieni napotkała Walentego dogląającego froterowania posadzki w malinowym salonie. Zauważyła, że stary kamerdyner, idąc, z trudem posuwał nogami i mocno się garbił. Ogarnęła ją serdeczna litość i pomyślała, że nie tylko ona cierpiała.

– Proszę, niech Walenty odpocznie – rzekła łagodnie. – Pan mówił, żeby Walenty się nie przemęczał i dbał o siebie.

Oczy staruszka zabłysły radością.

– Tak pan mówił? O, Bóg zapłać! A zdrowy chociaż? Zawsze był delikatny, ale nigdy na siebie nie uważał. Kto tam pana goli i dba o niego? – dopytywał się z troską.

– Nikt. Sam musi o siebie zadbać – westchnęła.

– O mój Jezu, poszedłbym za moim panem, alem już stary i byłbym mu tylko ciężarem.

Spuściła głowę, prędko mrugając.

– I ja bym za nim poszła, ale również byłabym dla niego tylko ciężarem – szepnęła, przygryzając usta.

Walenty zmartwił się jej cierpieniem.

– Niechże jaśnie paniuleczka nie płacze, bo jeszcze, nie daj Boże, zaszkodzi sobie. Jak jaśnie pan hrabia powróci do domu, to może już i dzieciątko będzie na świecie. A nawet i wolna Polska?

– Ależ z nas gapy! – zawołała Nina, rzuciwszy okiem na ściany. – Zapomnieliśmy schować gobeliny w lochach!

Kamerdyner nie zdążył odpowiedzieć, bo do sieni wszedł pan Bochniak. Miał ponurą minę i skłoniwszy się, milczał, jakby to, co chciał powiedzieć, nie mogło mu przejść przez usta. Nina spojrzała na niego z nagłym lękiem.

– Błagam, niechże pan to wykrztusi! – ponagliła go pełna niepokoju.

– Przed bramą stoją ludzie, poranieni i głodni. Uciekli z Bodzentyna przed Moskalami.

– Niech Świtała otworzy bramę. Zobaczymy, co można dla nich zrobić – poleciła doskonale opanowanym tonem.

Wyszli na ganek i po chwili zobaczyli uciekinierów. Pomęczeni ludzie szli wolno, niosąc tobołki z naprędcie pochwyconą odzieżą. Niektórzy dźwigali na rękach małe dzieci, inni ciągnęli za sobą wózki z jakimiś gratami będącymi całym ich majątkiem. W oczach nieszczęsnych uciekinierów malowała się groza. Trwożnie oglądali się za siebie, jakby oczekiwali pogoni, i przyśpieszali kroku. Nawet Żydzi dreptali przy swoich wózkach, pogrążeni w posępnej zadumie. Środkiem jechało kilka wozów z rannymi i resztkami dobytku. Pod wozami szły psy, wystraszone, z podwiniętymi ogonami.

– Drugie tyle ludzi pozostało na wsi – odezwał się rządcą.

– To Dawidowicze nie zdobyli Bodzentyna?! – wykrzyknęła z trwogą Mira.

– Potem, Miruniu, potem – niecierpliwie przerwała Nina. – Musimy zaraz pomóc tym biedakom. Dla kobiet znajdzie się miejsce w oficynie, a mężczyzn umieścimy w czworakach i w domku myśliwskim. Trudno, musisz na jakiś czas przerwać lekcje. Panie Bochniak, czy są ciężko ranni?

– Jest kilku mocno poparzonych i pociętych szablami. Ciężej rannych nie ma, bo Moskale dobijali ich na miejscu. Ot, tragedia. A takie to było miłe zaciszne miasteczko. Handel się rozwijał i rolnictwo... Nieszczęście... – utyskiwał żałośnie rządca.

– Cóż, ci biedacy wypili już to piwko, które panowie tak gorliwie warzyliście! – Nina nie mogła odmówić sobie złośliwego docinka. – Teraz kolej na nas.

Cała służba wyległa na ganek, głośno uzalając się nad losem nieszczęśliwych bodzentyńskich mieszczan. Głośno przeklinano Moskali i odgrazano się im zawzięcie. Nina słuchała tego ze zmarszczonymi brwiami. „To nie Rosjanie rozpętali piekło. Sami zgotowaliśmy sobie ten los. Wielki Boże! W każdej chwili mogą tu przybyć kozacy i spalić Maków, tak samo, jak puścili z dymem Bodzentyn. Nie, to zbyt straszne, nie mogę o tym nawet myśleć” – zadrżała, wyobraziwszy sobie jężory ognia nad dachem pałacu i płomienie w wysokich oknach.

– Panie Bochniak, koniecznie należy posadzić kogoś na wieżycze kaplicy. Niech uważa, czy nie nadchodzi wojsko i ostrzeże nas w porę.

– Bardzo słusznie. Zaraz tam kogoś pošlę. – Rządca wyraził jej wzrokiem uznanie.

Od zbiegów dowiedziano się o tragicznych losach nieszczęsnego miasteczka. Kiedy dzwony dały znak do szturm, ukryci powstańcy zaatakowali jednocześnie koszary, magazyny wojskowe i kwatery oficerów. Ksiądz Omiński osobiście aresztował niebotycznie zdumionego komendanta. Lecz rosyjscy żołnierze nie dali za wygraną i śmiałym kontratakiem wyparli Polaków z Bodzentyna i ze zdobytych pozycji. Na rozkaz dowódcy powstańcy wycofali się z miasta, zaścielając ziemię poległymi. Rozwścieczeni i upokorzeni Rosjanie z furią uderzyli na bezbronnych mieszkańców. Do domów wrzucano płonące pochodnie i po chwili część śródmieścia stanęła w ogniu. Przerażonych ludzi wypędzano z domów i mordowano. Na zabytkowym ryneczku, gdzie tak niedawno witano z entuzjazmem wkraczających powstańców, rozpoczęła się rzeź. Wieszano mężczyzn, katowano dzieci, gwałcono kobiety. Ciche miasteczko zamieniło się w ogniste piekło. W krwawych łunach pożarów żołdaci dokończyli rzezi i nieniekajeni przez nikogo sprawnie wycofali się w kierunku Kielc.

W pałacu krzątano się, opatrując rannych i pocieszając rozpaczających, którzy utracili najbliższych oraz dobytek całego życia. Nina nieskończoną ilość razy musiała wysłuchiwać szczegółowych opowiadań o okrucieństwach, których dopuszczali się Moskale na niewinnej ludności. Leżąc wieczorem w łóżku, ciągle miała przed oczami obraz płonącego miasta i wydawało się jej, że słyszy krzyki mordowanych.

„Boże, gdzie teraz jest Alek? – myślała z najwyższym niepokojem. – Czy jeszcze żyje? A może partia została rozbita, a on leży gdzieś w lesie z kulą w sercu?”. Szybko odrzuciła tę myśl, czując, że ma w mózgu płomień. Uchodźcy nie pozostali długo w Makowie. Odeszli nazajutrz o świcie, gnani jakąś wewnętrzną potrzebą szukania bezpiecznego kąta. Pozostało tylko kilka kobiet, bo utraciwszy rodziny i domy, nie miały się dokąd udać. Siedziały w oficynie apatyczne, ogłupiałe spadłym na nie nieszczęściem.

Nina nie mogła znaleźć sobie miejsca, umierając z niepokojem o życie męża. W ciągu najbliższych dni nie zaszło nic godnego uwagi. Raz tylko przywlokło się do pałacu nocą pięciu zmęczonych młodych mężczyzn poszukujących tworzących się oddziałów powstańczych. Rządca przenocował ich w oficynie, prosząc Ninę i pannę Mirę, aby nie wychodziły przy takich okazjach, bo lichy nie śpi. Następnego dnia przyszli powstańcy, wyspani i najedzeni, powędrowali dalej.

W pałacu pozostały prawie same kobiety, nie licząc Walentego, kuchmistrza, kilku kuchcików i paru innych mężczyzn nienadających się do noszenia broni. Można było przewidywać, że wkrótce przybędą do Makowa jakieś oddziały powstańcze, a za nimi kolumny rosyjskie. Zaczną się żądania paszy dla koni, chleba, słoniny i wódki dla żołnierzy, mięsa i wędlin dla oficerów. W przypadku rabunku wsi obowiązkiem dziedzica było wspomóc potrzebujących chłopów. Z tym również należało się liczyć w niedalekiej przyszłości.

Z rozkazu Niny z pobliskich folwarków zaczęto zwozić do Makowa żywność. Wozy z ziemniakami, jarzynami, zbożem i mięsem oraz drobiem, eskortowane przez parobków ze wsi, ciągnęły do pałacu. Kto żyw chwycił za łopatę i kopał głębokie doły, do których spuszczano beczki z żywnością i baryłki z wódką. Stado arabsów ukryto na leśnych pastwiskach w głębi puszczy. Na szczęście zima tego roku była lekka i mrozy nie dokuczały.

Czasy z każdym dniem stawały się coraz bardziej niespokojne. Manifest Rządu Tymczasowego zaognił już i tak napięte stosunki pomiędzy dworami a wsiami. Po wybuchu powstania chłopci stanowczo odmawiali dziedzicom posłuszeństwa. Rabowano dwory pod pretekstem, iż dziedzic wspomagał powstańców. Zdarzało się, że gromady zdemoralizowanych chłopów napadały na karety pocztowe i doszczętnie je okradały. Bogu ducha winnych podróżnych chłopci oddawali w ręce policji, domagając się nagrody za ich ujęcie. Winne temu były władze carskie, wyznaczając za żywego lub umarłego powstańca nagrodę pieniężną w wysokości pięciu rubli srebrem. Na szczęście Nina nie musiała się obawiać gospodarzy makowskich. Byli to ludzie pracowici, spokojni i porządni, serdecznie wdzięczni dziedzicom za troskliwą opiekę. Pomimo licznych wojen wieś była bezpieczna i bogata. Jednakże wystarczył jeden najazd wojska, aby ta sielankowa sytuacja radykalnie się zmieniła...

Pewnego dnia Nina wracała z codziennego obchodu gospodarstwa, bardziej niż zwykle zmęczona i przygnębiona, bo Aleks nie dawał znaku życia, a jego partia jakby zapadła się pod ziemię. Po drodze do domu wstąpiła do kaplicy i odmówiła pacierz, prosząc zmarłą hrabinę Teklę o pomoc. Wierzyła święcie, że ciotunia wysłucha jej prośby. Od rana czuła się źle, a ciągły niepokój, troska i tęsknota za mężem odbierały jej chęć do życia.

Wróciła do domu smutna. W sieni usiadła na taborecie i stękając, zdjęła kalosze, bo w parku i na dziedzińcu czworaków błoto sięgało po kostki. Z głębi domu dobiegały wesołe głosy i naraz do sieni wpadła rozpromieniona Mira, a za nią dreptała uśmiechnięta Jaga. „Z czego one się tak cieszą? Czy jest teraz w ogóle jakiś powód do radości?” – pomyślała Nina z niechęcią.

– Najmilsza, są nowiny! – wykrzyknęła panna Lutówna, podbiegając do niej. – Przyjechał pan Orlewicz i pani Siekielska. Och, Nineczko, wyobraź sobie, że oddział pana naczelnika rozbił moskiewską kolumnę! Wszyscy Moskale polegli, a z naszych chłopców tylko kilku. Zwycięstwo! – Przerwała entuzjastyczną przemowę i bacznie przyjrzała się siedzącej bez ruchu w milczeniu Ninie. – Kochanie, źle się czujesz?

Z policzków młodej hrabiny odpłynęła cała krew, a twarz z każdą chwilą stawała się bledsza, przybierając siny odcień. „Jezu, stało się” – myślała z przerażeniem. Oto wydarzyło się to, czego najbardziej się obawiała. Mąż zaatakował i rozbił rosyjski oddział. Według prawa wojennego zasłużył na

karę śmierci. Teraz tajni agenci zaczną się rozpytywać i prędzej czy później do władz carskich trafi informacja, że naczelnikiem partii jest hrabia Klonowiecki z Makowa. Wtedy można się spodziewać najazdu wojska i konfiskaty majątku. Wyrzucą ją z domu, jak niegdyś matkę z Jaśminowa. A łudziła się cichą nadzieją, że do bezpośredniego starcia nie dojdzie i Aleks, zniechęcony do władz powstańczych, powróci do domu.

– Przepraszam, kochanie. Nie pomyślałam, że możesz zasłabnąć z radości – rzekła Mira ze skruchą.

„Ty głupia! – pomyślała Nina, przymykając powieki. – Gdybyś mi powiedziała, że powstanie się skończyło, byłaby to cudowna nowina. Boże, oni wszyscy są wprost napompowani entuzjazmem jak balon gazem”. Westchnęła i otworzyła oczy. Walenty już biegł truchcikiem, niosąc szklankę wody, Jaga podsuwała jej pod nos sole trzeźwiące. Kumosia, usłyszawszy, że pani zasłabła, śpieszyła z bobrowymi kroplami, a za nią pani ochmistryni z wachlarzem. Nina odetchnęła głęboko, pragnąc pobudzić krążenie.

– Już mi lepiej – oznajmiła chłodno, odsuwając nianię.

– Cóż to, nie cieszysz się, dziecinko, że są nowiny o panu? – zdziwiła się Jaga. – Pomóc ci przejść? Goście są w buduarze.

– Dobrze. Chcę wiedzieć, z czym przyjechał Orlewicz i posiedzieć z Zosią.

– Czy jaśnie pani hrabina pozwoli, żebym i ja mógł posłuchać nowin o naszym panu? – spytał nieśmiało Walenty.

– Oczywiście. – Nina się podniosła, czując, że powracają jej siły.

Szła coraz prędzej, a potem już biegła, unosząc wysoko spódnice i zaledwie dotykając stopami posadzki. Jak wichher wpadła do buduaru, w rozwianej sukni i z ogniem w oczach. Orlewicz wstał i skłonił się z uśmiechem. Na kanapce siedziała Zosia, bardzo blada, trzymając złożone dłonie na kolanach. Nina podeszła do niej, ucałowała jej gładki policzek i usiadła obok, obejmując przyjaciółkę ramieniem.

– Cieszę się, że pana widzę w zdrowiu. – Skinęła Orlewiczowi głową. – Dobrze, że przyjechałaś, Trusieńko. Wybierałam się jutro do ciebie. Panie Orlewicz, prosimy o dokładną relację o najnowszych wydarzeniach. Jeszcze nikt nie miał tak uważnych i wdzięcznych słuchaczy. Czy partia poniosła duże straty? A czy mój mąż i nasi przyjaciele wyszli z bitwy cało?

Orlewicz był brudny i zabłocony, a jego niegolona twarz – pociemniała, wysmagana wichrami. Ale oczy miał błyszczące i uśmiech na ustach.

– Najmocniej przepraszam panią hrabinę za mój wygląd, ale ja tak prosto z drogi – tłumaczył się zakłopotany.

– To nie ma żadnego znaczenia. Jest pan dla nas najmilszym, oczekiwanym gościem – powiedziała Nina niecierpliwie. – Proszę opowiadać.

– Pan naczelnik jest zdrowy. Wczoraj odniósł zwycięstwo nad dwiema rotami wojska rosyjskiego. Wszyscy świętujemy pierwszy znaczący sukces naszej partii. Pan naczelnik prosił, żebym doręczył paniom listy, a dla pani hrabiny dał mi tę gałązkę. – Pogrzebał w kieszeni i wręczył damom listy, a z portfela wyjął małą gałązkę świerkową i podał ją Ninie. Listy były zwykłymi kartkami wydartymi z notesu i zalepionymi chlebem. Młode kobiety porwały je chciwie i czekały tylko okazji, aby przeczytać listy na osobności. – Pan naczelnik wspominał, że to gałązka z jego leśnego posłania – dorzucił Orlewicz. – Przesyła ją z ucałowaniem, zamiast kwiatów.

Nina ujęła gałązkę końcami palców i pomimo kłujących igieł przycisnęła ją do ust. Nagle przypomniały się jej słowa smutnej żołnierskiej piosenki:

Czy pamiętasz, Kasiu, jakim obiad miał?

Pieczeń z konia pod siodłem pieczona

Takim obiad miał.

Czy pamiętasz, Kasiu, jakim łoże miał?

Świerczyna zielona na śniegi rzucona

Takiem łoże miał.

„Nie, nie będę płakać, bo Orlewicz wygada się przed Alkiem, a on zaraz weźmie to sobie do serca” – stwierdziła i przełknęła łzy, obiema rękami przyciskając do piersi ten skromny dar, cenniejszy od złota, bo na nim spoczywała głowa męża.

– Jest pan z pewnością głodny i spragniony. Zaraz podadzą posiłek, a teraz błagam, niechże pan mówi! – ponagliła.

Orlewicz zaczął dosyć monotonicznie relacjonować szczegóły bitwy, lecz potem sam dał się porwać i opowiadał z nieukrywaną emocją. Partia, zebrawszy oczekujących na nią ludzi, zapadła w lasy koło Zagnańska. W

tym miejscu droga prowadzi z Suchedniowa do Kielc i jest to bardzo ważny punkt strategiczny. Rozesławszy konne patrole, powstańcy oczekiwali na okazję. Jakoż na drugi dzień otrzymali wiadomość, że w pobliskiej wsi zakwaterowały się dwie rotы wojska, złożone z piechoty i kozaków. Czujki powstańcze nie spuszczały z nich oka, śledząc każdy ruch nieprzyjaciela. Nareszcie Rosjanom sprzykrzył się pobyt na wsi, a może, obrabowawszy gospodarzy z żywności, uznali, że czas się stamtąd wynieść. Dość, że kolumna ruszyła w stronę Bodzentyna. Naczelnik nie uderzył, nie chcąc narażać ludności wsi. Zgotował Moskałom zasadzkę na leśnej drodze. Błyskawiczny atak powstańców był dla Rosjan absolutnym zaskoczeniem. Od razu wywiązała się zacięta bitwa. Okazało się przy tym, że powstańcy, nie będąc zawodowymi żołnierzami, dobrze uzbrojeni natychmiast wzięli górę nad nieprzyjacielem, walcząc z niebywałą odwagą i lekceważeniem śmierci. Strzelców wspierała kosynierka, straszliwa w bezpośrednim natarciu. Na kozaków szarżował oddział kawalerii powstańczej. Rosjanie bili się bardzo dzielnie, jednak widząc śmierć swego dowódcy, nie wytrzymali nerwowo i poszli w rozsypkę. Tylko nielicznym udało się ująć z życiem.

W ręce powstańców wpadło sporo zdobycznej broni i amunicji, konie kozackie oraz dwa wozy pełne worków kradzionej żywności, którą naczelnik rozkazał oddać ograbionym chłopom. Świeżo upieczeni żołnierze wychwalali pod niebiosa militarne zdolności swego dowódcy. Atak, zaplanowany precyzyjnie, był przeprowadzony tak brawurowo, że musiał się zakończyć zwycięstwem.

– Szarżę kawalerii prowadził pan naczelnik – opowiadał Orlewicz. – Sam pędził na przedzie z gołą szablą w dłoni, a ludzie szli za nim jak burza. Zmiotli kozuniów, zanim ci zdążyli się połapać w sytuacji. Czego jazda nie docięła, to kosynierka dorznęła. Chryste Panie, jakież to nasze chłopstwo drapieżne! Pozostawili za sobą prawdziwe jatki. Wilki będą miały ucztę. O, najmocniej panie przepraszam! – Orlewicz się zreflektował, uświadomiwszy sobie, że jego słuchaczkami są damy. – Za to teraz ludzie zlatują się do partii ze wszystkich stron, bo już głośno, że jest wojsko polskie i dobry dowódca. Mamy czterystu żołnierzy, a ciągle przybywają nowi.

Nina słuchała go z rozchyłonymi ustami i z zapartym tchem, tuląc płaczącą Zosię. Mocą wyobraźni widziała bitwę i galopującego na czele

kawalerii męża. Jakże pięknie musiał wyglądać na karym ogierze, w amarantowej konfederatce na jasnych włosach. Szara powstańcza burka rozwiewała się w pędzie na kształt skrzydeł jastrzębich. Pierwszy wystawiał się na kule wroga...

Paweł wniósł poczęstunek i młody leśniczy, przeprosiwszy panie, zabrał się do jedzenia, przełykając całe kęsy i dławiąc się, bo obie młode kobiety cały czas zasypywały go pytaniami. Zosia niepokoiła się o ojca. Pan Syrwin, będąc człowiekiem w starszym wieku, musiał znosić w powstaniu spartańskie warunki życia, uciążliwe nawet dla młodego mężczyzny.

– O pana Syrwinia proszę się nie martwić – rzekł Orlewicz, prędko przełykając kęs polędwicy. – Jest pełen energii i świetnie włada białą bronią. To właśnie ojciec pani zabił dowódcę Moskali. Znać starą dobrą szkołę żołnierską.

– Wiem o tym – rzekła Zosia z dumą. – W czasie powstania w tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym roku papcio otrzymał krzyż *Virtuti Militari* za okazane męstwo. A jak się czuje mój mąż?

– Znakomicie. Jest zastępcą pana naczelnika. Atak był tak nagły, że z naszych niewielu poległo. Ranny został pan Biecki i doktor Borutyński musiał go operować.

– Biedna Dora! – Zosię zmartwiła ta wiadomość. – Poważnie ranny?

– Dostał postrzał w rękę, ale kość jest cała. Leży w chacie gajowego, którego córka ma o pana Kazia staranie. – Orlewicz usiłował ukryć uśmiech, obie panie się zarumieniły i spuściły oczy. – O, nasz kochany doktor to dobry duch oddziału – ciągnął Orlewicz. – Ma złote serce i ręce. Po walce pozostało przy życiu kilku Rosjan i nasi chłopcy postanowili skrócić ich kosami o głowy. Pan Janek tak energicznie stanął w obronie jeńców, że o mało nie postrzelił jednego kosyniera. Chłopcy go uwielbiają, bo w bitwie stawał nawet lepiej od innych. Pan Siekielski i pan Barycz zasłużyli na pochwałę dowódcy, za szczególną odwagę. Za to panowie Wąsocki i Jabłocki wracają do domów, bo obaj się pochorowali. Cóż, na wojnie dobre chęci nie wystarczą.

– Mój Boże... – westchnęła Nina z zazdrością. – To panie Wąsockie i Dorota z matką mogą już być spokojne o swoich bliskich. Dla tych panów powstanie definitywnie skończone.

– Widział pan może pana pułkownika Langiewicza? – odezwała się Mira, słuchająca z zajęciem rozmowy.

– Pana generała Langiewicza – poprawił Orlewicz. – Pan Langiewicz otrzymał awans na generała za zasługi bojowe.

– Doprawdy? – serdecznie zdziwiła się Nina. – A cóż on takiego zdołał?

– No... zdobył Szydłowiec. Jego partia, złożona z robotników i górników, biła się wspaniale. Gdy udało się im wyprzeć nieprzyjaciela z miasteczka, uszczęśliwieni mieszkańcy zgotowali im ucztę. Podczas gdy Polacy oblewali zwycięstwo, dowódca rosyjski zebrał rozproszone wojsko i niespodziewanie uderzył na miasto. Langiewicz musiał się wycofać, tracąc wielu żołnierzy. Moskale część miasteczka spalili, a mieszkańców okrutnie ukarali.

– Ach, skąd my to znamy? – Nina skrzywiła się ironicznie. – Powtarzają się błędy popełnione w Bodzentynie. I za to pan Langiewicz dostał nominację? W takim razie mój mąż powinien być podniesiony do rangi marszałka! Dlaczego powstańcy wchodzą do miast, narażając niewinną ludność na represje? Powinno się zwalczać nieprzyjaciela w terenie. Nie znam się na wojnie, jednak nie słyszałam, żeby awansowano oficerów za przegrane bitwy. Ale to już nie nasza sprawa, prawda, Trusieńko?

– Naturalnie – przytaknęła Zosia. – Czy pan się orientuje, jakie pan naczelnik ma plany?

– Niestety nie. Zapewne pan naczelnik wspomina o tym w liście.

Nina wstydziła się czytać list od męża przy wszystkich, bo wiedziała, że będzie płakać. Ale kiedy do buduaru wszedł pan Bochniak i kilka innych osób mających w partii krewnych, a zmęczony Orlewicz musiał raz jeszcze opowiedzieć o bitwie, Nina wymknęła się do sypialni. Usiadła na łóżku i rozpieczętowała list.

„Najdroższa moja żono, mój słodki skarbie i ukochanie...” – drobne literki rozpląnęły się jej w oczach. Upadła twarzą na poduszki i zaniosła się łkaniem. Szlochała z tęsknoty i z radości, że on żyje i myśli o niej. Musiała dać upust pożerającej ją od momentu rozstania rozpacz. Dopiero kiedy cały ból spłynął łzami, powróciła do przerwanej lektury. Aleks zapewniał ją, że czuje się znakomicie, i zaklinał, żeby się o niego nie martwiła, bo może sobie zaszkodzić.

Jak dotąd nie otrzymałem nowych rozkazów i sam muszę zatroszczyć się o moich żołnierzy. Promyczku, dzisiejszej nocy przyślę wóz z eskortą po część ukrytej broni i amunicję. Chłopcy w czasie bitwy zmarnowali mnóstwo

nabojów. Ale nie wyobrażasz sobie, jaka w naszym narodzie wola walki i wiara w zwycięstwo. Ofiarność niewyobrażalna. Przychodzą do nas ubodzy chłopcy, przynosząc żywność czy paszę dla koni, i nie chcą przyjąć zapłaty. Moi chłopcy idą do bitwy jak do tańca. Jestem z nich ogromnie dumny, jednak obawiam się, aby rząd nie zmarnował tego wielkiego zapału i poświęcenia, bo jak dotąd niewiele się o nas troszczy.

Kiedy wkraczamy do miasteczek, na widok Twego orła na chorągwi ludzie głośno płaczą ze szczęścia. Witają nas biciem w dzwony, a księża wychodzą naprzeciw w procesjach. Naprawdę przeżywamy wielkie dni. W każdej miejscowości godła carskie zrzucane są z budynków, a na to miejsce zawieszane są orły.

Ukochana moja, nasz doktorek koniecznie potrzebuje szarpi, płótna na opatrunki i arniki. Może matka chrzestna lub panna Lasewiczówna zdołają zdobyć gdzieś laudanum i morfinę, bo mamy poważnie rannych. Brakuje nam już żywności. Każ ją wydać z zapasów. Niech pan Bochniak przygotuje dwa mocne wozy do transportu. Moi żołnierze potrzebują odzieży i butów oraz ciepłej bielizny, bo wielu przychodzi do nas w łachmanach. Przydałyby się także konfederatki. Serce mnie boli, gdy patrzę na nędzę moich chłopców, tak dzielnie przez nich znoszoną. Dobry humor ich nie opuszcza.

Ciągle dręczą mnie wyrzuty sumienia i obwiniam się, że jestem złym mężem, bo bezlitośnie pozostawiłem Cię samą w tym najtrudniejszym okresie. Nie ma godziny, abym myślnie nie był przy Tobie, miłości moja. Uwierz mi, Nino, kocham Cię jak nigdy nikogo, ale musiałem pójść. To sprawa mego honoru. Ogromnie tęsknię za Tobą i niepokoję się o Twoje bezpieczeństwo. Może uda mi się wyrwać na kilka godzin i przyjechać do domu, by ucałować Twój nosek (zadarty!).

Kochanie, zorientuj się, czy jest możliwość założenia gdzieś w pobliżu lazaretu, bo rannych będzie ciągle przybywać. O mnie się nie troszcz, bo ja pamiętam, że muszę żyć dla Ciebie i naszego dziecka.

List kończył się namiętymi wyznaniem miłosnymi i prośbą, aby na siebie uważała, a także pozdrowieniami dla domowników. Nina odczytała go dwa razy, ucałowała przybrudzoną kartkę i schowała do szkatułki przy łóżku. Usiadła przy stoliczku i pośpiesznie skreśliła do męża kilka słów, mając nadzieję, że Orlewicz postara się doręczyć Aleksowi wiadomość od

niej. Przemyślała twarz wodą różaną, poprawiła przed lustrem włosy i powróciła do buduaru.

Orlewicz, najedzony i wypoczęty, zaraz zaczął się żegnać, obiecując doręczyć jej wiadomość naczelnikowi, a Jasiowi oddać butelkę syropu z cebuli. Nina powiadomiła pana Bochniaka o przybyciu powstańców po broń i postanowiła przyjąć ich razem z rządcą. Pan Bochniak nie był tą decyzją zachwycony.

– Pan naczelnik zmyje mi głowę, gdy się dowie, że pani hrabina naraziła się na przeziębienie – mruzczał, szarpiąc wąsy.

– Proszę mi tego nie bronić – szepnęła, składając dłonie i błagalnie patrząc mu w oczy. – Tylko tyle mogę zrobić dla mego męża...

Wzruszony, ucałował jej rękę, patrząc na nią ze szczerym współczuciem. W szerokiej czarnej krynolinie wyglądała krucho i eterycznie. Sam miał córkę w jej wieku, przebywającą na pensji w Warszawie. „Biedne dziecko” – pomyślał z ojcowską troską, przeczuwając, że nadchodzą czasy tak ciężkie i niebezpieczne, iż stawianym wyzwaniom nie sprostałby być może nawet silny mężczyzna, a cóż dopiero młodziutka dziewczyna w błogosławionym stanie. Ale gdy popatrzył w jej oczy, dostrzegł w głębi źrenic żelazny upór i twardą wolę przetrwania.

Nina zatrzymała Zosię na obiedzie i podwieczorku. Rozmawiając o bitwie, wspomniała o konieczności założenia lazaretu

– To może u nas, w Ciężynach? – zaproponowała Zosia, zawsze chętna do pomocy. – Mieszkam tam od chwili, kiedy papcio poszedł do powstania, bo ktoś musi doglądać gospodarstwa, a mojemu rządcy nie ufam.

– Moim zdaniem – odezwała się Mira – najprościej byłoby porozmawiać o tym ze Stachną Wąsocką. Ona codziennie przebywa w klasztorze i widuje się z przeoryszą, a matka przełożona ma bezpośredni kontakt z Warszawą. Może pan doktor Stefan Łuszczkiewicz z Kielc pomoże nam zorganizować szpitalik. On też jest powstańcem, podobnie jak pan doktor Antoni Andrzejewski⁰¹.

Nina pomyślała, że panna Lutówna jest świetnie poinformowana, lecz udała, iż nie zwróciła na to uwagi.

– Tak, to istotnie dobra myśl, Miruniu. Mąż pisze, że wkrótce będzie potrzebny dobry chirurg w lazarecie.

– No właśnie. – Panna Lutówna skinęła głową. – Pan doktor Łuszczkiewicz mógłby popytać w Warszawie i postarać się nam o jakiegoś

specjalistę.

– Pozostawiam to tobie. – Nina z namysłem ściągnęła brwi. – Dziewczęta, naszym chłopcom w lesie rozpaczliwie potrzebne są buty, ciepła bielizna i odzież. Postarajcie się także o konfederatki. Zosiu, wybierz się jutro do pani wojewodziny i pomów z nią o tym. Ranni muszą mieć arnikę, laudanum i morfinę. Niech pani wojewodzina i panna Lasewiczówna postarają się o leki dla Jasia. Ja nie mogę jechać, bo muszę być od rana na obu folwarkach.

W buduarze zapanowała cisza. Panna Lutówna podniosła się z kanapki i zafurkotawszy spódnicami, poszła spytać Kumosię, czy nie zostało coś z zapasów odzieży i leków. Przyjaciółki siedziały przytulone do siebie, wpatrując się w płomienie buzujące w kominku. Zosia bezmyślnie skubała obręb rękawa bluzeczki. Raz po raz przygryzała wargę, cichutko pociągając nosem. Nina czule pogłaskała ją po jasnych włosach.

– Trusieńko, co tobie, złotko?

Zosia pochwyciła jej rękę i ściskając ją z całej siły, spojrzała na nią wzrokiem pełnym przerażenia i bólu.

– Ninetko, powiedz mi, jak ty możesz tak spokojnie to wszystko znosić? – Uniosła dłoń i zacisnęła zęby na własnym kciuku. Jej delikatna twarzyczka wykrzywiła się pod wpływem cierpienia, a oczy były aż dzikie z przeżywanej męki. – Wstydzę się z kimkolwiek rozmawiać na ten temat, bo to przecież nie wypada. Ale my się znamy od dziecka i zawsze dobrze się rozumialiśmy... Nino, ja nie potrafię żyć samotnie. Od roku jestem mężatką, ale zaraz spodziewałam się dziecka i Tadzio to uszanował. Krótco z sobą żyliśmy, bo często źle się czułam. A teraz, kiedy znowu moglibyśmy się kochać jak mąż z żoną, wybuchło powstanie i Tadek mnie opuścił. Ja przecież rozumiem, że to dla dobra ojczyzny, lecz mimo to w nocy szukam go koło siebie, ale moje dłonie chwytają tylko powietrze. Nino, ja dłużej tego nie wytrzymam, oszaleję! Jestem młoda, pragnę żyć z moim mężem, a muszę zachowywać się jak wdowa. Och, mam ochotę umrzeć! Kochanie, czy ty mnie rozumiesz?

To wyznanie taktownej i subtelnej Zosi było dla Niny prawdziwym szokiem. Przyjaciółka jakby czytała w jej myślach. Przez chwilę Nina szukała odpowiednich słów. Jej milczenie Zosia zrozumiała opacznie, jako potępienie dla okazanej szczerości. Na jej blade policzki wypłynął krwawy rumieniec.

– *Pardon* – wyszeptała zażenowana. – Strasznie mi przykro. Nie chciałam cię urazić. Zachowałam się trywialnie i...

Dalsze jej słowa stłumił pocałunek Niny.

– Najmilsza, wypowiedziałaś głośno dokładnie to, co czuję. I nie waż się nawet myśleć o śmierci! Jesteś młoda, śliczna, masz synka i musisz dla niego żyć. Sądzisz, że mnie jest źlej? Wyobrażałam sobie, że jestem osamotniona w moim bólu. Przecież niedawno wyszłam za mąż i ubóstwiam mego męża. Jest dla mnie taki czuły, troskliwy, a ja mam temperament... – wyznała wstydliwie i odetchnąwszy, ciągnęła dalej: – Widzisz, ja się pocieszam, że powstanie wkrótce upadnie, i wprost modliłam się do Alka, błagając go, żeby nie brał udziału w walce. Miałam nadzieję, że wyjedziemy za granicę. Podejrzewam, iż lekarze nie powiedzieli mi całej prawdy i prawdopodobnie będę miała trudności z urodzeniem dziecka. Ale mężczyźni są głusi na prośby kobiet, ponieważ wojna jest dla nich wyzwaniem, męską przygodą i sprawą honoru. – Przez jej twarz przemknął cień żalu, a może gniewu. – Nic na to nie poradzimy, choćbyśmy waliły głową w mur i wrzeszczały jak opętane przez diabła. Ja z każdym dniem staję się coraz bardziej ociężała i nieporadna. Brzuch mi rośnie, a sił ubywa. Panicznie boję się najazdu Moskali, bo słyszałam, że oni niczego nie szanują i krzywdzą kobiety. Nawet we śnie nie mam spokoju, bo dręczą mnie koszmary o Pauli. Jednak musimy wytrzymać, bo cóż innego nam pozostało? Minęły dobre czasy i zamiast wypoczywać w Trouville-sur-Mer, szyjemy mundury i martwimy się o naszych mężów.

Zosia z rezygnacją pokiwała głową, a potem spojrzała na przyjaciółkę z nagłym lękiem.

– Ninetko, a jeżeli oni nie wrócą? Co się z nami stanie? – Oczy Zosi zaokrągliły się z przerażenia jak u wystraszonego dziecka.

Nina pobladła i szybko się przeżegnała.

– Trusiu, nie wolno tak myśleć, to przynosi pecha! Nie umiałabym egzystować z taką świadomością. Pragnę żyć dla mego Alka i dla dziecka. Pamiętam, ciotunia Tekla mówiła, że życie każdego człowieka to *via dolorosa*, droga bóleści. Dźwigamy ten swój krzyż i upadamy pod jego ciężarem. Ale podnosimy się i idziemy dalej, aż do kresu, którym jest Golgota, czyli śmierć. No, mniejsza z tym... Pomyśl tylko o Jasiu. Biedaczysko na progu nowego życia musiał opuścić narzeczoną i odejść do lasu. Martwię się o niego, bo bardzo kaszle i jest przeziębiony.

– Masz rację, Ninetko – westchnęła Zosia, nieco pocieszona jej słowami.
– Orlewicz mówił mi, że Janek jest teraz bardzo smutny. Pamiętasz, dawniej zawsze miał ochotę do żartów i ciągle z Tadkiem płatali nam figle.

– Pamiętam. Ale mam nadzieję, że pocieszy go niespodzianka, którą mu gotuję. – Nina zrobiła tajemniczą minę i położyła palec na ustach. – Nie zdradzaj mnie! Napisałam do cioci Salusi i zaprosiłam ją do Makowa razem z panną Maciejewską, narzeczoną Jasia.

– To wspaniale! – zawołała uradowana Zosia. – Wiesz, urządzimy im tutaj wesele. Taki powstańczy ślub! – Klasnęła i roześmiała się serdecznie.

– Dobry pomysł. Niech tylko oni powrócą w nasze strony.

Uspokojona Zosia rzuciła okiem na zegar i podniosła się z kanapki.

– Na śmierć zapomniałam ci powiedzieć, jakie nieszczęście spotkało panią wojewodzinę! Sama wiesz, jak ona kocha Starewicza. Wcale nie widziała u niego wad. Tymczasem on sprawił jej straszny zawód. Zamiast do powstania wyjechał do Kielc i tam, w rosyjskim garnizonie, gra w karty, pije i źle się prowadzi. To potworny cios dla biednej pani wojewodziny.

– A zatem Starewicz jasno się zadeklarował, że stoi po stronie silniejszego – stwierdziła chłodno Nina. – Pani wojewodzina powinna się cieszyć, że przynajmniej jej wnuk przeżyje i jest bezpieczny. O, moim zdaniem stanowczo za dużo u nas „matek Spartanek”. Głupich fanatyczek, gotowych dla wydumanych celów wysłać rodzone dziecko na szubienicę, byle tylko mieć męczennika w rodzinie. Czy pamiętasz, Trusieńko? Nie było jednego wieczorku lub tańczącej herbatki, żeby panny nie nuciły tej idiotycznej piosenki: „Wierna tobie, na twym grobie pocałuję krzyż”. A nieboszczyk z radości przewrócił się w trumnie!

Zosia wybuchła śmiechem i wycelowana przez wszystkie panie odjechała do Ciążyn.

Przez resztę dnia kobiety w pałacu i w czworakach ciężko pracowały, piekąc chleby, susząc bułki na suchary i przygotowując żywność dla powstańców. Zbierały odzież, zioła i leki z domowej apteczki. Uwijały się jak w ukropie, prawie nic do siebie nie mówiąc. Niemal każda miała w partii kogoś bliskiego i o nim myślała. Większość ciężkich prac z braku młodych mężczyzn spadła na barki kobiet, lecz na razie nikt nie narzekał, uniesiony zapalem pierwszych dni walki. Wieczorem kosze pełne żywności i odzieży zaniesiono do kaplicy grobowej, dokąd miały zajechać wozy.

Nina skracala sobie czas, pisząc listy do męża i Jasia. Skończywszy, wstała od sekretarzyka i odsłoniła firankę, wyglądając na zewnątrz. Noc była bardzo ciemna, wiał silny wiatr, huczając w kominkach i niosąc fale ulewy. Z westchnieniem rozejrzała się po wykwintnym buduaru, wyobrażając sobie męża przebywającego w puszczy pod gołym niebem, w zimnie i deszczu. A może leżał gdzieś w chłopskiej stodole i nie spał, myśląc o niej?

– Ukochany, tak ogromnie tęsknię za dotykiem twoich drogich rąk i za twym pocałunkiem – szepnęła, przyciskając czoło do zimnej szyby.

Wzdrygnęła się, bo wicher zawył w kominku, a w parku głośno szumiały drzewa. W taką noc samotność jest szczególnie przykra. Wichura jęczała w kominach, wpadając do sal w starej części pałacu, gdzie dawno już stanęły zegary i tylko czasem mysz zaszeleściła pod boazerią. Nina z niepokojem zerknęła na Grotę, wyciągniętego wygodnie na poduszce przed kominkiem. Pies miał zamknięte oczy, a pysk złożył na wyciągniętej przedniej łapie. Spał i lekko sapał przez nos. Starzy ludzie powiadali, że psy i konie natychmiast wyczują upiora. Jeżeli Grot spał spokojnie, to widocznie nie było się czego bać.

Zaczęła przechadzać się po pokoju, przypatrując się z niesmakiem swojej postaci odbitej w taflach luster. Na gzymsie kominka paliły się dwie lampy naftowe, mające śliczne szklane klosze mlecznej barwy. Ze ścian spoglądały na nią portrety dawnych pań Makowa. Jej kroki obudziły psa. Spojrzał na nią i zaskomlił. Przykucnęła przy nim i zaczęła go pieścić, przemawiając do niego jak do człowieka. Samotność ciążyła jej nieznośnie i ucieszyła się, gdy do pokoju przyszła niania, a po niej Mira, pani ochmistrzyni i Kumosia. Obsiadły kominek, zwijając długie pasy białego płótna pociętego na bandaż. Panna Lutówna jak zwykle pełna była zapachu.

– Zobaczycie, moje panie – odezwała się, przerywając na moment pracę.
– Gdy tylko powstanie ogarnie cały kraj, Francja natychmiast pośpieszy nam z pomocą!

Nina posłała jej gniewne spojrzenie. Naiwność i brak poczucia realizmu zawsze ją u przyjaciółki denerwowały.

– Tere-fere! Już to widzę – syknęła. – Nie poskapią nam obietnic, dopóki powstanie w Polsce będzie sprzyjało ich interesom. Potem pozostawią nas na pożarcie Moskałom. Czy przypominasz sobie wierszyk biskupa Krasickiego? „Wśród serdecznych przyjaciół psy zajęcia zjadły”!

– Nie masz racji, kochanie – upierała się Mira. – Dziś jest zupełnie inna sytuacja niż w roku trzydziestym pierwszym. Upadł mit o niezwyciężonej potędze Austrii, a Napoleon III udowodnił, że potrafi zwyciężać tak, jak jego nieśmiertelnej pamięci stryj. Włochy się jednoczą, a Rosja została pokonana w wojnie krymskiej. Car był zmuszony podpisać prośbę o pokój!

– W porządku. – Nina dla świętego spokoju machnęła ręką. – Pogadamy za rok. O ile dożyjemy – dodała półgłosem.

– Przestańcie się sprzeczać – upomniała je Jaga. – Będzie, co Bóg da.

– Będzie to, co ludzie sobie sami zgotują – mruknęła Nina i zwiesiła na piersi głowę.

Wszystkie jednocześnie podskoczyły, posłyszawszy pukanie. Na tarasie stał pan Bochniak. Wszedł do pokoju, otrząsając się z wody jak zmokły pies.

– Ale przykra noc! – prychnął. – Przepraszam, że przestraszyłem panie, ale wolałem iść przez park. Pani hrabina nie zmieniła zdania? W takim razie proszę się ciepło ubrać, bo jest mokro i zimno. Zastanawiam się, jak ci biedacy przejadą wozami po takim błocie.

Nina narzuciła na siebie ciepły płaszcz z kapturem i włożyła kalosze. Wyszli i natychmiast owionął ich powiew wichury i ogarnęła wilgotna ciemność. Nina poczuła, że po kostki zapada się w błoto. Rządca oświetlał drogę małą latarenką gasnącą w powiewach. Ostre podmuchy szarpały połami jej szerokiego płaszcza, rzucając w twarz fale deszczu. Przypomniała sobie nocną wędrówkę przez park, gdy miała zawieźć do spiskowców listy Aleksa ostrzegające przed stanem wojennym. Wtedy błądziła, nie mogąc trafić do bocznej furty. Teraz już znała na pamięć każdy zakątek parku i szła przed siebie szybkim, pewnym krokiem.

Budynek kaplicy zasłonił ich przed wichurą. Pan Bochniak wręczył jej latarkę, a sam, wymacawszy zamek, otworzył ciężkie drzwi kluczem wyjętym z kieszeni. Weszli w ciemną czeluść. Nina obserwowała starszego pana, o nic nie pytając. Otrzepała się z wody i przespacerowała z kąta w kąt. Od kamiennej posadzki ciągnął lodowaty chłód.

– Zimno! – Przytupnęła, aby rozgrzać stopy. – Długo będziemy na nich czekać?

– W najlepszym razie około godziny.

– Czy dowiem się, gdzie jest ukryta broń? – Nina nie mogła powstrzymać ciekawości.

– Naturalnie. – Rządca się zaśmiał. – Pani hrabina raczy stać nad skrytką!

– W krypcie grobowej? Niemożliwe!

– Możliwe. Ludzie obawiają się zmarłych i duchów, a tu podobno straszy. Nikomu z obcych nie przyjdzie do głowy szukać broni w tym ponurym miejscu. – Pan Bochniak zbliżył się do ołtarza i zapalił w lichtarzu świeczkę. Mały drżący płomyk prawie wcale nie rozjaśnił panujących ciemności zalegających kąty kaplicy.

– To oczywiste. – Uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, jak okropnie była wystraszona, ujrawszy światło w oknach kaplicy. – A kto wpadł na ten znakomity pomysł?

– A kto inny, jak nie nasz mądrała Walenty. Tylko on jak nikt zna kryjówki pałacu. Ale ja przeproszę na chwilę, muszę zejść do krypty. Może pani hrabina raczy usiąść w ławce i odpocząć?

– Pójdę z panem – oznajmiła stanowczo.

Rządca otworzył kluczem żelazną kratę zamykającą wejście do podziemia i wszedł pierwszy, niosąc zapaloną świeczkę i po drodze zapalając od niej kaganki przymocowane do ściany. Nina schodziła za nim wąskimi kamiennymi schodami. Ich cienie podążały za nimi, ruchliwe i upiorne. Zatrzymali się w półkolistym sklepieniu krypcy, której koniec ginął w mroku. Po obu stronach stały trumny, ustawione jedna na drugiej na dębowych półkach. Do każdej przybita była metalowa tabliczka z imieniem, nazwiskiem, datą narodzin i śmierci nieboszczyka. Tylko okuta brązami ciężka trumna zmarłej hrabiny Tekli stała jeszcze na środku krypty, na drewnianym katafalku. Nina się przeżegnała i położyła na niej dłoń, szepcząc pacierz za duszę ukochanej cioci. Zaraz jednak poszła nieco dalej, mając niemiłe wrażenie, że lada moment uchyli się wieko jakiejś trumny i wysunie się z niej ramię szkieletu.

Pan Bochniak zapewne również nie czuł się w tym miejscu bezpiecznie, bo chrząkał głośno, dodając tym sobie odwagi, i nieznacznie zerkał do tyłu i na boki. W końcu rzucił okiem na cebulasty zegarek i natychmiast odzyskał zimną krew, zapominając o strachu.

– Późno już. Musimy iść na sam koniec krypty – oznajmił i poszedł przodem.

Pomieszczenie rozszerzało się na kształt małej rotundy. Tam już nie było trumien. Posadzka była gładka, z kamiennych płyt. Nieznany kamieniarz wyrzeźbił na ścianie rozmaite emblematy śmierci. Pan Bochniak podszedł i

włożył palec w czarny oczodół kamiennej trupiej czaszki. Rozległ się cichy zgrzyt i niespodziewanie pod stopami Niny odsunęła się jedna z dużych płyt, ukazując głęboki otwór. Odskokczyła z okrzykiem przerażenia i zdumienia. Okazało się, że wcale nie знаła tajemnic swojego domu. Rządca pochylił się i zajrzał do lochu.

– Tu jest drabina, ale niech młodzi po niej schodzą. Mnie kości bolą na tę pluchę – rzekł półgłosem. – Karabiny są w skrzyniach, dziś weźmiemy tylko część. Reszta niech leży.

– Zupełnie jak w jakimś romansie grozy – szepnęła Nina. – Ile jeszcze tajemnic kryje Maków?

– Tego chyba nikt nie wie. Niegdyś te podziemia miały praktyczne zastosowanie. Nie było w tym nic romantycznego. W tym miejscu stała baszta obronna, a loch prowadził w puszczy. Tędy uciekali lub chronili się ludzie z okolicy w czasie najazdów Tatarów, a potem Krzyżaków. Przejścia używano aż do czasów wojen szwedzkich. Ten mechanizm odsuwający płytę ma przeszło sto lat i działa jak nowy.

– To tymi lochami nadal można przechodzić? – Nina zajrzała do otworu, zarumieniona z emocji.

– Nie. Teraz są już zamurowane. Ale dawniej wiele pokoleń znajdowało w tych murach ratunek.

– Czy te karabiny nie pordzewieją? Przecież wilgoć tutaj – zauważyła.

– Wykluczone. Są zawinięte w smołowane płótno i dobrze natłuszczone. Mamy tu dwieście sztuk broni palnej. Oj, żeby było jej w kraju więcej... – Pan Bochniak westchnął żałośnie. – Ale nasza partia jest najlepiej uzbrojona. Byle tylko chłopcy zdążyli przed świtem, bo droga daleka i niebezpieczna.

– To wracajmy do kaplicy, bo tu nie usłyszymy, gdy przyjadą – powiedziała Nina i unosząc suknię, weszła po kamiennych schodach.

Usiadła w ławce. Rządca siadł przy niej i niespokojnie zerkał na zegarek. Płomyk świecy zapalonej na ołtarzu chwiał się w podmuchach wiatru wpadającego przez nieszczelne okna. Siedzieli w całkowitym milczeniu, wsłuchując się w poszum drzew. Ninie wydawało się, że w zawodzeniu wichury słyszy dźwięki ponurej pieśni pogrzebowej. Aby stłumić narastający lęk, zaczęła półgłosem odmawiać litanie do Matki Boskiej. Pan Bochniak natychmiast się przyłączył i w ciemnej pustej kaplicy ich głosy

brzmiały dziwnie tajemniczo, potęgując nastrój niesamowitości. Naraz rządca umilkł i dał znak, żeby zamilkła. Oboje zaczęli pilnie nasłuchiwać.

– Chyba już są! – Rządca podniósł się z ławki i podszedł do drzwi. Otworzył je szeroko i kilkakrotnie uniósł latarnię.

W mroku rozległy się kroki i kilka ciemnych postaci wkroczyło do kaplicy.

– No, nareszcie! Spóźniliście się przeszło godzinę!

– A niech szlag trafi taką pieską pogodę – wymamrotał czyjś zachrypnięty głos i ktoś kichnął. Przybyły zerwał z siebie moką płachtę, w którą był owinięty. Inni mężczyźni też klęli, otrzepując się z wody.

– Panowie, tu jest dama! – ostrzegł pan Bochniak.

Powstańcy dopiero teraz spostrzegli siedzącą w ławce Ninę i zamilkli zawstydzeni i speszeni, pośpiesznie zrywając z głów konfederatki i kłaniając się. Wstała i wyszła im na spotkanie.

– Witam panów – odezwała się uprzejmie. – Jestem żoną pana naczelnika.

Wysoki mężczyzna, który pierwszy wszedł do kaplicy, podszedł i skłonił się nisko.

– Pani hrabina raczy nam wybaczyć nieoględne wyrażenia, myśleliśmy, że jesteśmy sami. Pani pozwoli, że się przedstawię: jestem Skrzycki, nauczyciel z Zagnańska, a obecnie dziesiętnik w oddziale. A to moi koledzy.

Mężczyźni kolejno podchodzili i kłaniając się, składali na jej dłoni pocałunek.

– Miło mi poznać panów nawet w tak niesprzyjających okolicznościach. Zaraz po załadunku wozów czeka na panów gorący posiłek w oficynie. Czy mój mąż nie przekazał panom dla mnie jakiejś wiadomości?

– Owszem. – Skrzycki wręczył jej kilka listów. – Mam list dla pani hrabiny i pań z sąsiednich majątków. A gdzie jest broń?

– Proszę za mną. – Pan Bochniak sprowadził powstańców do podziemia.

Nina, ustawivszy świeczkę na pulpicie ławki, zaczęła czytać list od męża. Lecz tym razem napisał tylko kilka słów, żegnając się z nią przed odejściem do Wąchocka pod komendę generała Langiewicza. Obiecywał, że wkrótce powróci z generałem w pobliże Makowa. Wielki ciężar troski legł na jej sercu. Zrozumiała, że wraz z odejściem partii Maków będzie zdany na łaskę losu. Wąchock był zbyt oddalony, aby w razie zagrożenia można wezwać oddział na ratunek. Teraz już musieli radzić sobie sami. Nina miała władczy

charakter, odziedziczywszy tę cechę po babce marszałkowej i ciotce Marii. Bardzo lubiła rządzić, lecz obecnie samodzielność przyszła zupełnie nie w porę. Musiała wziąć rządy w swoje ręce, czując się apatyczna i ociężała. Rozpacz po rozstaniu z mężem odebrała jej całą energię, którą się zawsze szczyciła. Wydawało się jej, że jest dzieckiem, samotnym i bardzo przerażonym ciężarem odpowiedzialności za ludzi i majątek. To była prawdziwa złośliwość losu, bo jeszcze niedawno marzyła, aby Maków uczynić ośrodkiem kultury i sztuki, słynnym na całą gubernię, a nawet na kraj. Zamierzała zapraszać do pałacu ludzi znanych z talentów i wykształcenia. Pragnęła gościć w swoim domu dalszą rodzinę męża, jego ciotkę księżną i całą arystokratyczną elitę. Tymczasem wybuch powstania uniemożliwił jej urzeczywistnienie tych marzeń, sprowadzając ją do roli kury domowej – czego nienawidziła.

Mężczyźni przydźwigali ciężkie skrzynie z bronią, głośno stękając i przeciskając się z trudem wąskimi schodami. Minęło sporo czasu, zanim załadowali wszystko na wóz. Pan Bochniak starannie zamknął kratę do krypty i wszyscy wyszli z kaplicy. Teraz czekał powstańców załadunek amunicji i beczulek z prochem. Nina nie wiedziała, gdzie są ukryte, ale pan Bochniak bez wahania zagłębił się w ciemności parku, a za nim ruszyły wozy. W deszczu wędrowali długimi alejami, dbając, żeby wozy jechały po żwirze i nie ugrzęzły gdzieś na błotnistym trawniku. Silne porywy wiatru przeginały i miotają bezlistnymi gałęziami, ciskając im w twarze krople deszczu. Taka pogoda, mimo że uciążliwa, dawała pewną gwarancję bezpieczeństwa.

Nina szła z coraz większym trudem, ocierając zalane deszczem oczy i co chwilę wyciągając nogi z błota. Właściwie mogła już wrócić do domu. Uważała jednak, iż obecność żony naczelnika doda powstańcom otuchy i podniesie w ich oczach jej autorytet. Była to teraz jedyna rzecz, którą mogła dla męża zrobić. Na małej polanie w głębi parku znajdowała się sztuczna grotta. Pan Bochniak wskazał miejsce, gdzie należało kopać. Pod kamienną ławeczką leżały przygotowane łopaty i szpadle, a na przybyszów oczekiwali drżący z zimna Maciek i dwóch młodych stajennych. Mężczyźni energicznie wzięli się do pracy, odrzucając mokry i miękki piasek. Po chwili łopaty zazgrzytały o obite blachą wieka skrzyń. Samo ich wydobywanie i wykopanie kilku baryłek z prochem nie zajęło już wiele czasu. Ulewa

powoli ustała, a silny wicher rozpędził chmury. Białe, anemiczne światło księżycyca posrebrzyło korony drzew.

Nina stała oparta o skałę i modliła się, żeby nie zwymiotować i nie skompromitować się przed żołnierzami męża. Było jej niedobrze i miała zawroty głowy. Odetchnęła kilka razy pełną piersią, wciągając w płuca zimne powietrze. Poczwała się odrobinę lepiej. Zaraz też skończono załadunek i wozy skierowały się ku oficynie. Jednak powstańcy zrezygnowali z gorącego posiłku, zadowalając się kanapkami z wędzonką i popijając je wódką. Nina pomyślała ze strachem, że mogą się upić, lecz Skrzycki rozlał do manierek tylko porcję alkoholu na rozgrzewkę, resztę chowając na potem. Załadowane żywnością i odzieżą wozy już czekały gotowe. Nina pożegnała powstańców, podając każdemu rękę i modląc się w duchu, aby w drodze nie spotkała ich zła przygoda. Kiedy wozy ruszyły, patrzyła za nimi tak długo, aż zniknęły pomiędzy drzewami.

– Rano będą na ścieżkach ślady kół – odezwała się do pana Bochniaka.

– Niech się jaśnie paniuleczka nie frasuje. Skoro świt zatrzymamy koleiny – obiecał Maciek.

– Da Bóg, nasi dojadą szczęśliwie, bo przy takiej plusze nawet kozunie wolą siedzieć przy piecu.

– Wracajmy – sapnął pan Bochniak. – Ufff, ale mieliśmy niespokojną noc! Żeby tylko pani hrabina nie zachorowała. Ośmielam się radzić kieliszek czystej wódki z pieprzem, a potem do łóżka. Sam sobie zaaplikuję taką kurację, bo czuję, że mnie w nosie kręci na katar.

Jaga nie kładła się i czekała na Ninę. Kiedy ta tylko weszła na taras, niania otwarła drzwi i wpuściła ją do pokoju. Gderając pod nosem, pomogła jej się pozbyć przemoczonego płaszcza i mokrej sukni.

– Zdejm zaraz te zabłocone kalosze i mokre pończochy! – poleciała, sadzając Ninę przed kominkiem, jak dużą lalkę, i rozplatając jej wilgotne warkocze. – Sina, zziębnięta i mokra! – zrzędziła. – Nic nie dbasz o swoje zdrowie, ale jeszcze będziesz tego żałowała. Zobaczysz!

– Nianiu, proszę, przynieś mi kieliszek wódki z pieprzem i kawałek chleba – odezwała się Nina ochrypłym głosem, grzejąc nad ogniem lodowate dłonie.

– Zaparzę ci malin. Wódka szkodzi dziecku.

– Do diabła z tym dzieckiem! – wrzasnęła rozwścieczona Nina. – Daj mi wódki i przestań marudzić!

Jaga spojrzała na nią ze zgrozą i bez słowa wymaszerowała z sypialni, bardzo obrażona. Powróciła po chwili, niosąc na tacy kieliszek wódki i kromkę chleba z solą. Z hukiem postawiła tacę przed Niną.

– Jak dla furmana! – mruknęła pogardliwie.

Nie zważając na jej dąsy, Nina wypła wódkę i zaraz po całym ciele rozeszło się gorąco, jak strumień ognia. Głowę miała ciężką, myśli mieszały się i kłębiły pod czaszką. Podtrzymywana przez Jagę, niepewnie powędrowała w stronę łóżka. Z głębokim westchnieniem ulgi utonęła w miękkich puchach. Pokój wirował, ale to było nawet przyjemne uczucie. Jaga pochyliła się i patrząc na nią ze współczuciem i miłością, ucałowała ją w czoło.

– Moja dzielna dziewczynka – szepnęła czule.

– Nianiu, ja się boję – sennie wymamrotała Nina i zapadła w otchłań snu.

[01](#) Stefan Łuszczkiewicz i Antoni Andrzejewski to autentyczne postaci kieleckich lekarzy.

Przez następne kilka dni okolice Makowa były tak spokojne, jakby powstania wcale nie było. Polacy kryli się po lasach, atakując słabsze posterunki nieprzyjacielskie i unikając walki z dużymi kolumnami. Pomimo wszystkich trudności powstanie nie gasło. Część szlachty, a nawet arystokracji zlekceważyła polecenie Dyrekcji Białych, zalecającej bojkot walki zbrojnej i wielu czynnie włączyło się do powstania. W samym tylko powiecie bolimowskim walczyło w powstaniu aż trzech hrabiów! Jednakże ogół szlachty, a nawet część społeczeństwa polskiego oczekiwały na dalszy rozwój wypadków, uzależniając od zaistniałej sytuacji postawę neutralną lub wzięcie czynnego udziału w walce.

Dyrekcja Białych wyglądała znaku z Hotelu Lambert w Paryżu, będącego siedzibą księcia Władysława Czartoryskiego, który po zmarłym ojcu, Adamie, przejął rządy dusz oraz politykę zagraniczną podziemnego państwa polskiego. Równie wyczekującą postawę przyjęły państwa zachodnie, wysyłając na terytorium walki swoich agentów i dziennikarzy, pilnie obserwujących zmagania obu walczących stron. Przez ostatnie dni stycznia powstanie zaledwie się tliło, podtrzymywane heroicznymi wysiłkami Stefana Bobrowskiego, energicznie i sprężysto kierującego pracami. Ze wszystkich stron kraju podążały do stolicy setki kurierów, przybywając niemal co godzinę z żądaniami broni, amunicji, pieniędzy, odzieży i lekarstw. Bobrowski padał ze zmęczenia. Dwoił się i troił, chcąc podołać narastającym zewsząd żądaniom. Na jego rozkaz młody mechanik Ludwik Lempke zorganizował pierwsze warsztaty rządowe produkujące na potrzeby wojska. Z Warszawy wyruszyli studenci Wydziału Lekarskiego Szkoły Głównej i młodzi lekarze, obejmując obowiązki w lazaretach polowych i tajnych szpitalach wojskowych. W lasach tworzone nowe partie i odbywano musztry z napływającą nieprzerwanie falą ochotników.

Generał Aleksander Uszakow, dowodzący wojskami w guberni radomskiej, zaskoczony wybuchem zbrojnym, bardzo opieszale montował swoją armię. Niestety, generał Langiewicz nie potrafił wykorzystać sprzyjających okoliczności i działać energiczniej. Za to we wszystkich cerkwiach imperium i zaboru rosyjskiego popi używali sobie przy nabożeństwach, siarczyście przeklinając zbuntowaną *Polszę*[02](#)!

Pewnej nocy mieszkańców Makowa obudziło bicie dzwonów w Sarnikach i daleka łuna widniejąca na niebie. Na wieżyczce kaplicy natychmiast zawtórowała sygnaturka. Nina poderwała się z łóżka, panna

Lutówna zbiegła z piętra i razem z resztą domowników obserwowały ze strachem odległy pożar. Rano okazało się, że palił się folwark należący do wuja Ksawerego. Nie tylko zabudowania uległy zniszczeniu, pobito nawet ekonoma, rabując sprzęty i bydło. Była to wyraźna oznaka braku jakiegokolwiek władzy, co sprzyjało bezprawiu. Nina, zaniepokojona o zdrowie wujostwa, zaraz po śniadaniu wybrała się do Sarnik, eskortowana przez kilku młodszych stajennych i Maćka. We dworze trafiła na sądny dzień. Wuj Ksawery leżał półprzytomny na łóżku, z okładami na czole i piersiach, osłabiony puszczaniem krwi przez wioskowego znachora. Ciotka Maria, blada, z zaczerwienionymi z bezsenności oczami, czuwała nad mężem, okładając go kataplazmami⁰³, poiła wywarem z siedmiorakich ziół. Posłyszawszy parskanie koni, wyszła na ganek, przysłaniając oczy dłonią, bo dzień był słoneczny i dosyć mroźny, a blask świeżo spadłego śniegu raził źrenice. Na widok wysiadającej z sań siostrzenicy pani Borutyńska zalała się łzami.

– Jak to dobrze, że przyjechałaś, kochanie! – zawołała, obejmując Ninę i całując ją. – Widzisz, jakie nieszczęście spotkało nas przy nowym roku? Nikczemni bandyci nocą podpalają nam folwarki! Nie ma żadnej władzy, która ukróciłaby te zbrodnicze czyny. A mój biedny Ksawunio omal ducha nie wyzionął ze strapienia. Mniejsza o folwark. Gdy się wojna skończy, łotry odbudują go własnymi rękami! Ale mój Ksawunio... Słyszysz sapkę sercową? Co ja przeżyłam tej nocy, to tylko jeden Pan Bóg wie.

Uskarżając się, wprowadziła Ninę do salonu, a usadowiwszy ją na kanapce, zajrzała do męża i kazała podać herbatę.

– Śpi, mój biedny anioł – westchnęła, ocierając chusteczką wilgotne oczy i siadając koło siostrzenicy. – Powiadam ci, moje dziecko, to było straszne. Ledwo Ksawunio wszedł do domu i zaraz trzeba było wezwać starego Mierzwę, żeby mu krew puścił. O mało go apopleksja nie zabiła! I znikąd pomocy, bo władze carskie uciekły przed powstańcami, a ci szaleńcy, przepędziwszy policję i wojsko, sami ukryli się w lasach. Nic dziwnego, że chłopstwo ostrzy na nas noże. Galicja im się roi i nowy Szela! Ty także masz kłopoty z chłopami?

– Nie, ciociu, przynajmniej na razie. Makowscy chłopci są bardzo przywiązani do rodziny Klonowieckich. Ale wójt już mnie powiadomił, że zgodnie z postanowieniami manifestu rządu wieś uważa dzierżawione grunty za własne i nie zamierza płacić za nie ani kopiejki.

– O, właśnie! – Ciotka zachłysnęła się herbatą. – Od tego wszystko się zaczęło. Oleś i podobni mu romantycy rozpieścili chamów i teraz wszyscy ponosimy tego konsekwencje. Ale ty, moje biedne dziecko, nie jesteś niczemu winna – dodała łagodniej. – Masz już jakieś wiadomości od Olesia?

Nina nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Nie była pewna, czy może ciotce zaufać.

– Nie, on wyjechał na dłuższy czas – odpowiedziała wymijająco, rumieniąc się pod przenikliwym spojrzeniem ciotki.

Pani Borutyńska popatrzyła na nią z wyrzutem i pokiwała głową.

– Widzę, że nie dowierzasz własnej rodzinie. Nieładnie. Przypominam ci, że Oleś jest moim ciotecznym bratem i mam prawo wiedzieć, co się z nim dzieje. Nie jestem dzieckiem i nie zdołasz ukryć przede mną faktu, iż Oleś jest naczelnikiem tych – mówiąc między nami – buntowników. On, oficer gwardii cesarskiej! Och, od dziecka był niepraktycznym idealistą i smutny los gotuje tobie i dziecku. Biedna Teosia z płaczem opowiadała o mszy polowej. *Mon Dieu*, że też tym starym piernikom, Wąsockiemu i Jabłockiemu, zachciało się wojaczki! Teraz obaj się pochorowali, a pani Wąsocka i Teosia rady sobie z nimi dać nie mogą, bo ciągle im źle i stękają. No więc czy miałaś jakąś wiadomość od męża?

W głębi ducha Nina przeklęła długi ozór pani Jabłockiej i jej inklinację do plotek, ale nie było sensu dalej robić z tego tajemnicy.

– Najmocniej ciocię przepraszam, lecz Alek zobowiązał mnie do zachowania najściślejszego sekretu, nie chcąc mieszać rodziny w swoją działalność powstańczą. Proszę, żeby ciocia upomniała panią Jabłocką, aby trzymała język za zębami. Jakby ta wiadomość, co nie daj Boże, dotarła do Moskali, zostanę natychmiast aresztowana.

Ciotka Maria ze zrozumieniem skinęła głową.

– To oczywiste. O, moje biedne dziecko! – chlipnęła żałośnie.

Nina poprawiła się na kanapce i powiedziała ściszym głosem:

– Nie widziałam Alka od chwili rozstania w Gliszczyskach. Ma zamiar iść do Langiewicza. Tak pisał. Bardzo martwię się Jasiem, bo podejrzewam, że jest poważnie chory i okropnie kaszle.

– Ach, ci przekłęci szaleńcy! – Ciotka znowu zaczęła płakać. – Tyle przez nich nieszczęścia... Bodzentyn spalony, mieszkańcy pomordowani. To samo dzieje się w innych miejscowościach. Ksawunio ogromnie przejął się

wiadomością, że Jaś poszedł do powstania. Planowaliśmy mu urządzać piękny gabinet lekarski w Warszawie. Byliśmy już spakowani, aż tu przychodzi depesza od Salusi, że matka chora i ślub odwołany! Boże Świąty! Jaka matka? Dopiero Teosia Jabłocka wytłumaczyła nam, o jaką matkę chodzi. W dzień ślubu do lasu! To już trzeba naprawdę wariata. Ale i ty, biedactwo, nie masz spokoju w błogosławionym stanie. A spokój w tym okresie najważniejszy, inaczej dziecko będzie nerwowe i złośnik. Żeby tylko Pan Bóg pozwolił Olesiowi wrócić do domu na czas porodu. To kiedy się spodziewasz?

– W maju. Może już będzie po wszystkim

– Daj Boże. Prawie nic po tobie nie widać. Krępujesz się gorsetem?

– Ależ skąd, niania by mi nie pozwoliła. To krynolina maskuje brzuch.

– Hm, piąty miesiąc! – mruknęła do siebie ciotka. – Ja w tym czasie przypominałam już baryłeczkę. Chyba dziecko będzie małe, bo to ciąża krzyżowa.

– Czy to coś złego? – zląkła się Nina, przypominając sobie, że słyszała już tę nazwę od pokojówki.

– Nie, kochanie. – Ciotka się roześmiała i uściskała ją. – Ale koniecznie przed porodem powinnaś jechać do Warszawy, oddając się pod opiekę lekarzy.

Nina zerknęła na nią nieufnie.

– Dlaczego wszyscy nalegają, żebym wyjechała? Znajome panie rodzą we własnych domach.

Ciotka zaczęła pokpiwać z jej obaw, wspominając, że urodziła Binię, spacerując po ogrodzie.

– Zaledwie wnieśli mnie do domu, a tu dziecina już była na świecie! Każda z nas boi się pierwszego porodu, ale o bólu szybko się zapomina. Przy piątym dziecku i ty zapomnisz, że kiedyś się bałaś. Powinnaś jechać do Warszawy, bo w tym czasie mogą się u nas toczyć walki. Lepiej zawczasu szukać bezpiecznego schronienia.

Nina przytaknęła raczej bez przekonania i zaczęła zbierać się do drogi, raz jeszcze prosząc ciotkę, aby wpłynęła na panią Jabłocką i poskromiła jej gadatliwość.

– Zaręczam ci, kochanie, że Teosia już pary z ust nie puści. Obiecuję ci! Ostatecznie chodzi tu również o bezpieczeństwo jej zięcia. Ach, ten Kazio! Dorota rozpuściła go jak dziadowski bat. Powiadają, że Kazio romansuje z

córką gajowego. Chyba to prawda, bo odmówił powrotu, kiedy Dora chciała go zabrać do domu. Co za nikczemność! Biedaczka aż spuchła z płaczu.

– Dobrze jej tak! Wiedziała, kogo bierze! – warknęła Nina z zawziętością.

Ucałowała ciotkę i życząc wujowi szybkiego powrotu do zdrowia, pojechała na plebanie.

Proboszcz ostatnio słabował, mając jakieś wewnętrzne bóle, ale ucieszył się, widząc Ninę. i pogratulował zwycięstwa Aleksa, czym wcale jej nie zachwycił, bo miała na ten temat własne, całkiem odmienne zdanie. Spojrzała na niego i zaniepokoiła się mizernym wyglądem księdza. Widać było, że jest cierpiący.

– Starość nie radość – stęknął, kiedy robiła mu wyrzuty, że nie dba o siebie. – Czuję jakieś bolaki, ale może mi Pan Jezus pozwoli doczekać wolnej Polski. Zresztą muszę przecież ochrzcić twoje dzieciątko. Chłopcu dasz na imię Aleksander Wiktor, a jeśli będzie dziewczynka, to nazwiesz ją Aleksandra Wiktoria. Jużeśmy to sobie uzgodnili z panią wojewodziną. Chrzcziny urządzimy na dwa powiaty!

– Dobrze. A czemu to ksiądz dobrodziej nie leży i nie wypoczywa?

– Bo w łóżku się umiera. A ja, grzeszny, chcę jeszcze trochę pożyć – odparł z pocieszoną miną. – O, zapomniałem! – zawołał, klepiąc się po łysinie. – Nino, uważaj na siebie i ostrzeż gospodarzy, bo od Radomia idzie w naszym kierunku generał Mark i rozpuszcza przed sobą kozaków. Sama nie wyjeżdżaj z domu, nawet na nabożeństwo.

– Rany boskie, kozacy?! – krzyknęła wystraszona. – No to już koniec ze spokojem. A o Langiewiczu ksiądz proboszcz nie słyszał?

– Jest w Wąchocku i zbiera siły. – Staruszek poprawił się w fotelu, stękając z bólu. – Było już zaprzysiężenie pierwszego batalionu pod dowództwem majora Klimaszewskiego. Mamy polskie wojsko, rozumiesz? Czy to nie cud?

– Aha, cud – mruknęła ironicznie Nina. – W Wąchocku batalion wojska, a w okolicy chłopci podpalają folwarki, bo czują się bezkarni.

„Wykapana ciotka” – pomyślał proboszcz i westchnął:

– Nie masz racji, moje dziecko. Ja wiem, że to pani Borutyńska tak cię nastawiła. Ale przypomnij sobie, ile razy sama się oburzałaś na okrucieństwo wujostwa. Dlaczego to panu hrabiemu chłopci nie palą folwarków? Bo zawsze byli przez niego traktowani z szacunkiem, jak

ludzie! No, mniejsza z tym. Słyszałaś o bitwie koło Bzina i pożarze Suchedniowa?

– O Jezu, Suchedniów spalony? – Nina miała ochotę głośno zakląć albo zapłakać.

– Niestety tak. – Proboszcz był także przygnębiony, bo w miasteczku miał wielu przyjaciół. – Obie miejscowości podpaliła ta sama zbrodnicza ręka Polaka w carskiej służbie, niejakiego Komorowskiego. A rosyjską kolumną dowodził również Polak, major Bentkowski.

– Bo naród nasz nie jest zdolny do wielkich poświęceń – stwierdziła Nina z goryczą.

– Kto wie, może przyjdzie jeszcze pora na wielkie ofiary – rzekł ksiądz w zamyśleniu. – Powiem ci przyjemniejszą nowinę. Pod Kurowem nasi zdobyli furgon pocztowy, a w nim wiele tysięcy rubli. Powstańcami dowodził młody warszawiak, pan Leon Frankowski.

– Pan Leon? – ucieszyła się Nina. – Mój Boże, ja go przecież znam! To taki miły chłopiec. Przynosił mi bukietki polnych kwiatów. Jaś wspominał, że jego bracia i on mają w rządzie wiele do powiedzenia.

– Mamy wspaniałą, ofiarną młodzież – rzekł z dumą proboszcz. – Czy wiesz, co powiedział pan Leon, kiedy studenci z Politechniki Puławskiej narzekali na brak broni? „Kijami zdobędziemy karabiny, a karabinami armaty”. Ma bestia polską fantazję, co? Jego słowa obiegały już całą Europę!

– Naprawdę? – Nina wysoko uniosła brwi. – To cudzoziemcy mają się z czego śmiać.

Na szczęście proboszcz nie zwrócił uwagi na tę zgryźliwą uwagę.

– Pan hrabia udał się do Langiewicza, prawda? Czy masz już od niego list?

– Nie, i bardzo niepokoję się o niego.

– Gdy tylko dowiem się czegoś o panu naczelniku, natychmiast dam ci znać. A teraz jedź już, moje dziecko, bo robi się ciemno i pewnie będzie zadymka. Lepiej nie ryzykować spotkania z kozakami.

Na pożegnanie ksiądz poczęstował ją kieliszkiem dereniowej nalewki. Wyszła z plebanii, rozmyślając z troską o usłyszanych nowinach. Nie były pocieszające. Powstanie rozkręcało się niemrawo, a o mężu nie miała wiadomości. Obawiała się, że Rosjanie, paląc Suchedniów, zniszczyli pocztę i telegraf, odcinając ludzi od wiadomości ze świata. Potem przypomniała sobie ostrzeżenie księdza i pośpiesznie wskoczyła do sań.

– Stachu, proszę popędzić konie. Ksiądz dobrodziej mówił mi, że w pobliżu są kozacy.

– Maryjo, Józefie Święty! – wrzasnął przerażony nowy koniuszy i tak mocno zdzielił konie, że z miejsca popędziły przez pola jak wichry.

Siedzący na koźle Maciek położył rękę na kolbie rewolweru podarowanego mu przez pana Bochniaka. Na drugich saniach eskortujący ją chłopcy wyciągnęli stare flinty. Nina dostrzegła te gesty junactwa i wzruszyła ramionami. Jakby tak dopadła ich sotnia kozacka, ta nędzna broń pomogłaby im jak umarłemu kadzidło. Kozacy w mig roznieśli ich na szablach i podziurawili pikami, zaś ją czekałby los stokroć gorszy od śmierci.

Jednak zajechali bezpiecznie przed pałac. Nina, zapomniawszy, że spodziewa się dziecka, pierwsza wyskoczyła z sań i wpadła do sieni z takim impetem, że gapowaty Paweł otworzył szeroko oczy i usta, zamieniając się w słup soli.

– Niech się Paweł na mnie nie gapi, tylko pomoże mi zdjąć futro! – upomniała go zniecierpliwiona. – Proszę zaraz poprosić do mnie pana Bochniaka.

Pozbyszy się futra, toczka i rękawic, pobiegła do izby czeladnej. Długi stół zarzucony był zwojami szarego płótna i kawałkami baranka, którym obszywano konfederatki. W wiklinowych koszach leżały stosy gotowych mundurów i czapek. Monotonnie turkotała maszyna do szycia. Pochylona nad nią panna Lutówna, podniosła głowę i wlepiła w Ninę rozszerzone ze zdumienia oczy.

– Proszę natychmiast przerwać pracę! – rozkazała Nina. – Podobno w naszej okolicy są kozacy!

Kumosia, przykrawająca sukno, zastygła z uniesionymi wielkimi nożycami. Inne kobiety porwały się z krzykiem, w panice zgarniając materiał i wpychając go do koszy.

– Przestańcie wrzeszczeć! – Nina nie zdawała sobie sprawy, że sama krzyczy. – Przecież jeszcze ich tu nie ma! Pochowajcie wszystko do koszy, a te ukryjemy w lochach. Niech każda z was sprawdzi dokładnie, czy w pokoju nie zostawiła kawałka szarpi lub czegoś równie kompromitującego. Kozacy mają bystre oczy. Na razie musimy przerwać pracę do czasu, aż się sytuacja wyklaruje.

– Skąd wiesz, że kozacy są w naszych stronach? – spytała panna Lutówna, ochłoniwszy z przerażenia.

– Od księdza proboszcza. Kumosia pozwoli, pomogę – rzekła Nina i razem zaczęły składać do koszy czapki i ścinki pozostałe z sukna.

– Pani hrabina raczyła mnie wezwać? – W progu czeladnej ukazała się pękata figura rządcy.

– Panie Bochniaku kochany, trzeba szybko posłać kogoś do wójta z ostrzeżeniem – rzekła Nina i przekazała mu wiadomość o pojawieniu się kozaków. – Musimy także ukryć te kosze – stęknęła, upychając kolanem niemieszczące się materiały. – Resztę wkładajcie do worków. Boję się pomyśleć, że w nocy możemy znowu zobaczyć łuny na niebie.

Wieczorem nie mogła zasnąć, bezskutecznie szukając w łóżu miejsca, gdzie mogłaby się skulić i odprężyć. Myślami była przy mężu, pocieszając się, że jest w Wąchocku u boku generała Langiewiczza i ma ciepły dach nad głową. Za każdym razem, gdy wyobrażała sobie, że Aleks śpi w lesie na gołej ziemi, niezmiennie wpadała w straszną rozpacz i godzinami płakała.

Nazajutrz od samego rana była bardzo zajęta, przyjmując raporty od ekonomów z folwarków i oficjalistów. Odbyła również naradę z głównym ogrodnikiem, przedstawiając mu swój projekt utworzenia na wiosnę zupełnie nowych dwóch ogrodów: z liliowców i hortensji. Pragnęła, by park wyglądał jeszcze piękniej. Potem przyjęła pana Bochniaka i razem zastanawiali się nad finansami majątku. Niestety, nie były zadowolające, bo już na początku roku niemal całkowicie ustały wpływy z dzierżaw, a wydatki nieustannie rosły. Z braku zamówień stanęła cegielnia, bo ludzie przestali budować, niepewni swoich losów.

– Zapomniałem wspomnieć pani hrabinie, że ludzie z lamusa prosili o rozmowę z panią dziedziczką. Wydaje mi się, że są jacyś nieswoi. Trochę mnie to niepokoi – rzekł rządcą.

– Tak? A czego chcą?

– Tego mi nie powiedzieli. Pragną rozmawiać z samą panią hrabiną.

– Cóż, niech przyjdą. – Zadzwoiła i kazała służącemu przywołać kogoś z lamusa. – Aha, póki jesteśmy sami, proszę mi raz jeszcze pokazać te tereny, które mąż oddał im do uporządkowania. – Pochyliła się nad mapą rozłożoną na biurku.

Pan Bochniak stanął przy niej.

– Tu, na Pliszkowej Górcie i na Mogilance, są suchsze łączki. W Końskim Wądole jest mnóstwo pni zwalonych wiatrem i trochę głazów. Tej ziemi jest przeszło dwie włóki⁰⁴.

Nina przyjrzała się mapie, skinęła głową i wyjęła z szafy butelkę wina, napełniając dwa kieliszki mocnym maślaczem.

– Za zdrowie pani hrabiny i przyszłego dziedzica lub dziedziczki Makowa. – Pan Bochniak wznosił toast i posmakował wina. – Znakomite, umarłego postawi na nogi.

– Proszę się częstować, bo nie chciałabym, żeby mi pan zasłabł. – Nina uśmiechnęła się przekornie. – Coś panu pokażę.

Podeszła do oszklonej szafy i wyjęła z niej teczkę. Otworzyła ją i podała panu Bochniakowi notarialnie spisany akt prawny, oddający wymienione przez rządcę tereny w wieczyste użytkowanie wyszczególnionym po nazwisku osobom. Pan Bochniak spojrział i zimny pot wystąpił mu na twarz. Wyciągnął z kieszeni kraciatą chustkę i przetarł nią wilgotne czoło.

– Rany boskie! – jęknął zduszonym głosem. – Tyle ziemi za darmo! Toż to ogromna strata dla Makowa... Po wojnie siła robocza może stanieje i wtedy sami zdołamy zagospodarować te nieużytki.

– Taka była wola mego męża – oświadczyła Nina władczym tonem. – Zapewne słyszał pan, co przytrafiło się memu wujowi w Sarnikach? U mnie tego nie będzie!

Rządca nalał sobie następny kieliszek wina i pochłonął go jednym haustem.

– Taki szmat ziemi, wart tysiące rubli – wymamrotał przygnębiony.

– A właśnie, że nic niewart! Ziemia powinna dawać plon. A ja jestem wygodna i nie lubię, jak mnie w nocy sumienie gryzie. Może na wiosnę ta ziemia da chleb jakiejś rodzinie nędzarzy? Warto spróbować, prawda?

Rządca umilkł i tylko ciężko wzdychał.

Wszedł lokaj i zameldował, że przyszli „ci z lamusa”. Na progu pojawiło się trzech chłopów w brudnych kozuchach i w czapkach na głowach, które zdjęli pośpiesznie, zobaczywszy dziedziczkę i rządcę. Niepewnie przestępowali z nogi na nogę, rzucając dokoła nieufne spojrzenia.

– Siadajcie. – Ruchem ręki Nina wskazała im złocone krzesła.

– Postoim – mruknął ponury wysoki chłop z szeroką blizną przecinającą mu pół twarzy. Miał kołtuniaste włosy opadające mu w tłustych strąkach na

czoło. Wszyscy zresztą byli brudni i cuchnęli starym łojem.

– Co macie mi do powiedzenia? – odezwała się Nina, czując, że robi się jej niedobrze.

„Ależ ci nasi chłopcy kochają brud – pomyślała, patrząc na nich z zaledwie skrywanym obrzydzeniem. – Przecież woda nie kosztuje, ale im nawet umyć się nie chce. Co za naród”.

– Jaśnie pan dziedzic pono wyjechał gdzieś, a my ta nie wiemy, co mamy dalej robić – odezwał się burkliwie kołtuniasty.

– Jak to co? – Zdziwiona potrząsnęła głową. – Macie przecież oczyścić te ziemie pod zasiew.

– Ino dla kogo? – Hardo zajrzał jej w oczy.

– Pracujecie dla siebie. Bagno zasypaliście?

– Znaczą się młakę05 na Mogilance? Tam, gdzie łośńskiego roku Burak się na ament utopił? A zasypujemy. Ale jak jaśnie pan pojechał, to my tak się myślimy, że lepiej będzie poczekać albo pogadać z jaśnie wielmożną panią, bo jakoż to będzie z nami?

– W ogóle nie rozumiem, o co wam chodzi – przerwała mu Nina, zbierając myśli. Tylko siłą woli powstrzymywała się, aby nie wstać i nie otworzyć okna, by wywietrzyć ciężki smród niemytych ciał.

Kudłaty zerknął na swoich towarzyszy.

– A bo my ta wiemy? Chodziły takie po wsi i gadały, że biedota dostanie od cara gronta. Po sprawiedliwości.

Nina wymieniła z panem Bochniakiem błyskawiczne spojrzenia. Widocznie rosyjscy agitatorzy dotarli już do Makowa.

– Kto to był? – spytał ostro rządca.

– A kto ich tam wie – mruknął kudłaty. – Przyszły, pogadały i poszły se.

Spuścił oczy, bo nie odważył się głośno powiedzieć, że obiecywano im ziemię w zamian za napad na pałac w momencie wybuchu powstania. „Zabijesz pana – mawiali agitatorzy – przysłużysz się carowi. W Rosji car dał swoim chłopom ziemię na darmo!”.

Nina zrozumiała to niedomówienie i zbladła. Tym więcej umocniła się w postanowieniu, że tych ludzi trzeba sobie koniecznie zjednać. Miała fenomenalną pamięć do twarzy i nazwisk i pamiętała tego chłopca. Był nieufny i podejrzliwy wobec wszystkiego, co pańskie.

– Nazywacie się Grzyb, prawda? Powiedzcie mi, tak z ręką na sercu, czy dostaliście kiedyś coś od cara. Byliście nędzarzami, przymieraliście głodem

i nikt wam nie dał nawet łyżki stawy. To dziedzic was przygarnął, dał dach nad głową i darmowe jedzenie. Oj, starzyście, a rozumu zupełnie nie macie. Jak te głupie dzieciaki słuchacie bajek o dobrym carze. Zapomnieliście, ilu z was poszło w żołdacy na wieczne zatracenie?

Chłop się pochylił i podjął ją pokornie pod nogi.

– Wiadomo – sapnął wzruszony. – Pan dobry, ale car naprawdę dał swoim ziemię, to może i nam coś da? Ruskie już nie chodzą na pańskie.

– Dopraszam się łaski, jaśnie pani dziedziczki – rzekł drugi chłop. Miał oczy wytrzeszczone jakąś chorobą. – My ta nie wiemy, co robić. Każdy tego biedaka bije w zadek. Wszyckiego się już strachamy. E, kto by ta za darmo gronta biedakom dawał?

Nina wzięła z biurka akt notarialny i pokazała go chłopom.

– Kto z was umie czytać?

– Niby ja, ino ślabizuję – mruknął kudłaty.

– To przeczytajcie głośno to pismo, a jak nie umiecie, to pan rządca wam przeczyta.

Pan Bochniak wziął akt prawny i zaczął odczytywać zawile prawne formułki, a chłopci stali, gapiąc się na niego ogłupiałym wzrokiem i nic z tego nie rozumieli.

– Jaśnie pan dziedzic tym aktem darował wam dwie włóki ziemi na wieczne czasy – wyjaśnił rządca, przerywając czytanie. – Dostaniecie to pismo, jak przygotujecie ziemię pod siewy. Tu są wasze nazwiska: Wróbel, Grzyb, Boniaszek, Sikorzak i inni. Potem sobie wszystko przeczytacie. Za cegłę i drewno na budowę domów odpracujecie, ale ziemię dostaliście darmo. Rozumiecie?

– Pan dziedzic chciał – wtrąciła Nina – żebyście już nigdy nie musieli zebrać czyjejś łaski. Wiosną pójdziecie na swoje. Wasze dzieci, Wrona, już się uczą w szkole i może wyrosną na mądrych, pożytecznych ludzi. Starego kaprała Gulaka znacie?

– Znaczy tego kulasa? Znamy, on mego chłopaka stolarki uczy – rzekł Grzyb.

– Szkoda, że was rozumu nie nauczył! – zawołała zirytowana. – Myślcie o tym, żeby jak najszybciej ziemię zagospodarować, a nie o gruszkach na wierzbie i carskich obietnicach. Jeżeli nie chcecie tej ziemi, to mi powiedzcie. Oddam ją gospodarzom, a oni ją wezmą z pocałowaniem ręki!

– A wiela tego grontu przypadnie na głowę, jaśnie wielmożna pani?

Chłopi momentalnie się ożywili. Oczy im zabłyśły, a długie wąsiska poruszyły się groźnie. Grzyb ponownie pochylił się Ninie do nóg.

– Dwie włóki, prawda, panie Bochniak? Podzielicie się sprawiedliwie.

– Może nawet więcej... – dorzucił rządca jęklwym głosem.

Po twarzach chłopów przemknął błysk chciwości. Oddaliby życie za kawałek swojej ziemi i własny dach nad głową. Dla zdobycia tej ziemi potrafiliby zdradzać i mordować. Już widzieli przed sobą falujące pola złotej pszenicy i zagony krągłych główek kapusty. Ale kołtuniasty był nieufny. Skupiony w sobie, podejrzliwie obserwował młodą dziedziczkę. Nie wyglądała na cyganicę, ale kto tam wie, co jaśnie państwo sobie myślą. Szeroka blizna na jego twarzy zaogniła się i wyglądał strasznie, gdy wpatrywał się w nią błyszczącymi oczami.

– To jakby tak równo podzielić, wypadłoby po cztery morgi na głowę, może i więcej – wychrypiał. – Jaśnie wielmożna pani dziedziczko, to jak my tę Mogilanę zasypujemy, to już nikt nam tej ziemi nie odbierze?

– Ziemia jest wasza – odpowiedziała, patrząc im prosto w oczy. – Pracujecie dla siebie.

– O Jezusie Nazareński! – westchnął trzeci chłop, który do tej pory nie zabierał głosu. – Pomnę, że mój kum u jakiegoś dziedzica kamienie z pola i pnie w lesie wyciągał. A jak pole czyste było, to mu pan tę ziemię odebrał. Tera tak nie będzie, jaśnie dziedziczko?

– Ludzie, tu macie zapisane czarno na białym, że ziemia jest wasza po wieczne czasy! – zawołała Nina, przejęta i zarazem zniecierpliwiona. – Nie wierzycie mi, jedźcie poradzić się proboszcza lub rejenta w mieście. Każdy wam powie, że już nikt wam tej ziemi nie odbierze. Zabierajcie się do pracy, bo wiosna nadchodzi.

Grzyb się uśmiechnął, ale po namyśle ponownie spochmurniał.

– A z czego chałupy postawimy, a ziarno do siewu i ziemniaki skąd wziąć albo jaką gadzinę? Przecie my biedaki. Człowiek żył z dnia na dzień z cudzej łaski.

– Wy uprzątnijcie pola. Drewno i cegły na podmurówkę dostaniecie, a ziarno, sadzeniaki i jakieś bydło może też się znajdą. Teraz idźcie już z Bogiem.

Chłopi, bijąc pokłony do ziemi, tyłem wycofali się z gabinetu. Nina podbiegła do okna, otwierając je na całą szerokość. Wychylona, oddychała

głęboko, wciągając w płuca świeże chłodne powietrze. Pan Bochniak porwał się z krzesła i podtrzymał ją, bo ledwie stała na osłabłych nogach.

– Czy jeszcze żałuje pan tych nieużytków? – Spojrzała na niego z błyskiem tryumfu w oczach. – Przecież ci mili ludzie mogli nas pewnej pięknej nocy spokojnie zarznąć, jak prosiaka przed zapustami.

– Bóg strzegł! – wykrztusił rządcą, blady i zdenerwowany.

Następnego dnia jak grom z jasnego nieba spadła wiadomość, wobec której wszystko inne straciło znaczenie. Wąchock został zdobyty⁰⁶ i spalony przez wojska generała Marka, a powstańcy rozgromieni. Langiewicz wycofał się w popłochu w stronę Gór Świętokrzyskich, tracąc połowę swej małej armii, większość broni, a przede wszystkim magazyny i warsztaty wąchockie. Kiedy powstańcy opuścili miasteczko, generał Mark wydał rozkaz podpalenia i dał swym żołdatom swobodę. Cenne zabytki płonęły jak pochodnia, a niewinna ludność płaciła najwyższą cenę za okazywany patriotyzm i gościnność.

Po dworach zapanowała rozpacz. Kobiety modliły się, zebrząc u Boga miłosierdzia dla swoich najbliższych. Gasła nadzieja i mogło się zdawać, że to już koniec powstania. Nina uparła się osobiście jechać do Wąchocka, aby szukać męża. W ostatniej chwili pan Bochniak i Maciek siłą wyciągnęli ją z sań i spazmującą zanieśli do domu, a tam niania i panna Lutówna prośbą i groźbą wybiły jej ten wariacki pomysł z głowy.

Teraz już w każdej chwili spodziewano się najazdu Moskali. Chłopak stróżujący na wieżyczce kaplicy wytrzeszczał oczy w obawie, że lada moment ujrzy wysuwającą się z lasów kolumnę wojska. Ale jak okiem sięgnąć rozciągała się tylko szara płaszczyzna pól, lekko pobielona topniejącym śniegiem, z siną wstęgą borów porastających stoki gór. Wszędzie panowała cisza, jedynie wrony wrzeszczały na wierzchołkach drzew. Wieczorami pałac stał niemy i ciemny, ale wewnątrz czuwali ludzie. Kobiety odmawiały niekończące się litanie i różaniec, zaś mężczyźni, uzbrojeni w kuchenne noże, tasaki i widły, nocowali w sieni, aby uniknąć zaskoczenia. Najbardziej obawiano się kozaków, gdyż znani byli z bałwochwalczego przywiązania do cara i nieludzkiego okrucieństwa oraz nienawiści do „Lachów”.

Po wybuchu rozpaczony Nina poczuła się tak źle, że nawet nie protestowała, kiedy niania, grożąc jej wszystkimi plagami egipskimi, zapakowała ją do łóżka zaraz po obiedzie. Leżąc na wysoko podniesionych poduszkach, rozmyślała o mężu. Wierzyła, że żyje, bo w przeciwnym razie dręczyłby ją straszny niepokój zapowiadający jego śmierć. Jednak mógł być ranny i leżeć gdzieś w chłopskiej chacie, próżno wyglądając pomocy. A może po rozgromieniu partii błąkał się po lasach, szukając bezpiecznego schronienia? Oczami duszy widziała oddziałek błądzący po bezdrożach puszczy w poszukiwaniu strawy i dachu nad głową, brutalnie przepędzany z osad przez zawziętych chłopów. Truchlała na myśl, że mąż mógł się dostać do niewoli i siedział teraz w lochu, oczekując na jedyny wyrok, który wydać może rosyjski sąd wojenny – wyrok śmierci! Zdawało się jej, że widzi Aleksa stojącego na szafocie pod szubienicą, i siadała na łóżku z dziko bijącym sercem. Tłumiła łkanie, zatykając sobie chusteczką usta. Przez uchylone drzwi do buduaru słyszała cichy szmer odmawianych przez nianię cząstek różańca. Ten odgłos, znajomy od najwcześniejszego dzieciństwa, nieco ją uspokajał.

W nocy pogoda nagle się zmieniła. Zerwał się północny wiatr, przynosząc ochłodzenie i zadymkę. Leżąc, Nina nasłuchiwała zawrota wichury w kominku i za oknem. Nawet nie spostrzegła, kiedy zapadła w sen.

Obudziło ją gwałtowne szarpnięcie za ramię. Nad nią pochylała się niania z twarzą wykrzywioną strachem.

– Nina, ubieraj się! Przybiegł Wicuś i powiada, że jakieś wojsko idzie w tę stronę. Są już blisko!

Nina jednym susem wyskoczyła z łóżka i stanęła na nogach.

– Nianiu, zasznurowuj mnie – wyszeptała drżącym głosem, wyobrażając sobie naiwnie, że gorset przeszkodzi gwałcicielowi.

Kiedy Jaga zapinała jej stanik, sięgnęła do szufladki nocnego stolika i wyjęła pistolet. Sprawdziła, czy nabity i schowała do kieszeni.

– Na litość boską, Nina, zostaw ten pistolet! – krzyknęła Jaga. – Jak znajdą przy tobie broń, zabiją cię!

– Wolę zginąć niż zostać zgwałcona przez jakiegoś bydlaka! Prędszej! – ponagliła, bo ktoś zaczął się gwałtownie dobijać do drzwi wejściowych.

Rozległy się gwizdki stróża nocnego i zajadłe szczekanie psów.

– Otwórzcie, bo rozwalą bramę – rozkazała Nina, ściskając kurczowo rękojeść pistoletu.

Wraz z kłębami śnieżyicy i mroźnego powietrza wtargnęła do sieni gromadka mężczyzn. „Zabijali” ramiona, przytupując i otrzepując się ze śniegu, który białym nalotem pokrywał ich zarost i odzież. Nina odetchnęła, zobaczywszy na ich głowach konfederatki. Lecz zaraz przyszło jej na myśl, że za powstańcami idą w ślad Rosjanie. Na widok dam przybysze obnażyli głowy i z ciekawością rozglądali się po wspaniałej sieni. Spomiędzy nich postąpił do przodu niski mężczyzna o wpadniętych oczach, przenikliwym spojrzeniu i długich wąsach. Ubrany był w szarą kurtkę lamowaną puszystym futrem, zapinaną na jedwabne pętlce. W milczeniu przypatrywał się wyrwanym ze snu domownikom, uzbrojonym w noże kuchenne. Po wargach przemknął mu cień uśmiechu. Zwrócił oczy na Ninę, mającą przy sobie Jagę i pannę Lutównę, a za plecami Maćka, gotowego rzucić się w obronie pani na każdego napastnika. Mężczyzna postąpił krok naprzód i złożył paniom dosyć wyniosły ukłon.

– Z kim mam zaszczyt? – spytał szorstkim, nawykłym do rozkazywania głosem. Był mocno przeziębiony i chrypiał.

Nina odskłoniła się równie dumnie.

– Pan wybaczy, ale to mój dom i tylko ja mam prawo pytać – rzekła z lodowatą uprzejmością, bo obawiała się, że ta nocna wizyta nie wróży nic dobrego. Zapewne następnymi nieproszonymi gośćmi będą Rosjanie.

– Mam nadzieję, że znajdujemy się pod dachem dobrych Polaków? – upewnił się powstaniec, nie odpowiadając na jej uwagę.

– Oczekuję, że zechcecie się nam panowie przedstawić – nalegała, nie zmieniając wyniosłej postawy.

– Panie raczą darować, jestem Langiewicz⁰⁷! – odparł mężczyzna, składając powściągaliwy ukłon.

– Panie generale, zaszczyt to dla nas. – Damy dygnęły, a Nina wyciągnęła do niego rękę, którą ucałował, nie spuszczać z niej badawczego wzroku. – Witajcie panowie w moim domu. Jestem Janina Klonowiecka i cały Maków jest na wasze rozkazy.

– Panie pozwolą, że przedstawię moich oficerów. – Langiewicz wyraźnie silił się na uprzejmość.

Powstańcy kolejno podchodzili, ujęci urodą i wdziękiem młodej damy. Składali na dłoniach pań pocałunki, wymieniając nazwiska lub tylko pseudonimy. Z twarzy Langiewicza nie zniknął cień niechęci.

W malinowym salonie zapłonął w kominku ogień, a goście, wygodnie usadowieni na kanapkach i fotelach, oczekiwali na posiłek.

– Pan generał podróżuje w tak szczupłym gronie? – spytała Nina, widząc przy nim tylko kilkunastu oficerów.

– Pozostawiłem swój oddział na wsi. Nie chcieliśmy przychodzić do pałacu całą gromadą. Chłopi tutaj zamożni, gospodarstwa obszerne. Moi żołnierze pożywią się i ogrzeją pod dachem, bo są głodni i przemarznięci. Nie spodziewałem się trafić na tych terenach do tak bogatej wsi.

„Jak dłużej tu postoiacie, przestanie być bogata” – pomyślała, a głośno powiedziała:

– Zaraz każę przygotować dla panów gościnne pokoje.

Posłała im uroczy uśmiech, mimo że wcale nie była zadowolona z przybycia powstańców. „Ciekawa jestem, jak długo zamierzają tu siedzieć? Głowę dam, że w następnych dniach zwałą mi się na kark Moskale. A niech to kaczka kopnie!”. Naraz wyobraziła sobie, że gdzieś, w jakimś domu, inna kobieta także pragnie pozbyć się głodnego, zziębniętego Aleksa, i cała nagromadzona w niej złość uleciała.

W salonie zrobiło się ciepło, bo służący wrzucali do kominka całe pnie bukowego drewna. Paweł roznosił na tacy naprędce przygotowane zakąski i wino. Powstańcy byli niewątpliwie ludźmi kulturalnymi i nie okazywali dręczącego ich głodu.

– Może od pana generała dowiem się czegoś o partii mego męża, naczelnika „Czarnego”? – szepnęła Nina, modląc się w duchu, by nie usłyszeć złej nowiny.

– Nie wiedziałem, że trafiliśmy do domu pana naczelnika. Niewiele mogę powiedzieć. – Langiewicz z pochmurną miną pociągnął długiego wąsa. – Jego oddział wycofał się w kierunku Brodów i przeszedł rzekę Kamienną.

– To mąż nie brał udziału w bitwie?! – zawołała zdumiona, bo to było zupełnie do Aleksa niepodobne.

– Owszem, brał udział, ale zaraz potem nasze drogi się rozeszły – odrzekł Langiewicz i dodał cierpko: – W pewnych sprawach różniliśmy się zdaniem.

Oczy Niny zapłonęły radośnie. „Bogu dzięki, Alek uniknął pogromu” – pomyślała. Z powściągliwych i cedzonych z niechęcią wyjaśnień generała wywnioskowała, że obaj mężczyźni nie darzyli się sympatią.

– Małżonek pani jest doświadczonym oficerem, lecz często bywa także uparty – dorzucił Langiewicz.

– Wydaje mi się, że trwanie przy własnym zdaniu dowodzi charakteru – zauważyła Nina, ściągając brwi.

– Lecz u podwładnego bywa wadą – uciał zimno Langiewicz.

Jedną z niemiłych cech jego charakteru była zawiść. Nina podejrzewała, że generał zazdrości Aleksowi sukcesów, i poczuła się obrażona jego nietaktowną uwagą. Zwykły oficer, wyniesiony do rangi generała na skutek niedoświadczenia rządu, śmiał krytykować absolwenta słynnej rosyjskiej Akademii Sztabu Generalnego, rotmistrza gwardii cesarskiej! Cóż znaczył Langiewicz, skromny żołnierz bez wielkich zasług i wybitnych talentów militarnych? Aleks miał już za sobą spektakularne zwycięstwo, czego, niestety, nie można było powiedzieć o generale. Stąd zawiść i jawnie okazywana niechęć.

Z coraz zimniejszej miny pani domu Langiewicz domyślił się, że jego uwagi były niegrzeczne i popełnił nietakt, krytykując męża młodej damy. Nie świadczyło to o jego dobrym wychowaniu.

– Proszę o wybaczenie, pani hrabino – próbował naprawić swój błąd. – Być może wyraziłem się nieściśle. Mam dla pani małżonka wiele szacunku, lecz przez tak krótki czas nie zdążyliśmy się lepiej poznać. Czy zechce nam pani udzielić gościny na jedną noc? O świcie ruszamy w dalszą drogę – mówiąc to, generał zdobył się na kiepską imitację uśmiechu.

– Mój dom jest do pańskiej dyspozycji – oświadczyła ze śmiertelną powagą i pozostawiwszy generała na pastwę radosnej Miry, odeszła, udając, że musi sprawdzić przygotowania do kolacji.

W wielkiej jadalni pani ochmistrzyni dyrygowała pokojówkami nakrywającymi do stołu, a kuchnia przypominała wnętrze krateru przed erupcją. Nina szybko się stamtąd wyniosła, bo pan Szymon miał minę gromowładnego, poruszając się z szybkością trąby powietrznej. W sieni zastąpił jej drogę niewielki żołnierz, którego widziała przy generale.

– Najmocniej przepraszam panią hrabinę, ale czy mógłbym skorzystać z kąpeli? – odezwał się półgłosem, składając niezgrabny ukłon i rumieniąc się po skraj czarnej czupryny.

Nina, zaskoczona tą nieoczekiwaną prośbą, spojrzała na niego badawczo. Chłopiec był drobno zbudowany, ale wyglądał bojowo w szarej kurtce obszytej czarnym sutaszem i szerokich szarawarach wpuszczonych w

wysokie buty. Za pasem miał pistolet, a przy boku plątała się wielka kawaleryjska szabla. Jego wydatne czerwone usta, błyszczące ciemne oczy pod łukami czarnych brwi i gęsta czupryna czyniły go podobnym do zdrowej dziewczyny. Ninie zrobiło się żal biedaka. Był taki młodziutki, może nieco starszy od niej, i zapewne pochodził z dobrego domu. Wskazywało na to zamięłowanie do czystości.

– Zaraz każę lokajowi zagrzać wodę dla pana – powiedziała uprzejmie. Skinąwszy mu głową, zamierzała powrócić do salonu, ale zatrzymał ją cichutki śmiech żołnierzyka.

– Pani hrabina pozwoli, że się przedstawię. – Dziarsko trzasnął obcasami. – Michał Smok, a prywatnie... Anna Henryka Pustowójtówna, pełniąca obowiązki adiutanta pana generała.

Nina zaniemówiła ze zdumienia.

– To pani?! – zawołała, odzyskawszy głos. – Ależ ja dawno już o pani słyszałam, ale zawsze wyobrażałam sobie, że to musi być jakaś herod-baba, kto wie, czy nie z wąsami.

Panna Pustowójtówna roześmiała się serdecznie.

– *Hèlas*⁰⁸, kobiecie, która decyduje się wieść życie żołnierza, potrzebna jest siła woli, a nie siła fizyczna – powiedziała z odrobiną goryczy. – Nie zawsze moje dobre intencje spotykają się ze zrozumieniem i aprobatą.

– To przykre. – Nina spojrzała na nią z sympatią. – Gdyby nie mój stan, ja również byłabym teraz przy boku męża. Każę przygotować dla pani kąpiel w mojej łazience. Pani od początku powstania przy panu generale?

– Nie. Poprzednio byłam u pana pułkownika Czachowskiego⁰⁹, ale wolałam odejść, bo to twardy człowiek. Zresztą może tylko mnie się tak wydaje, bo nie znam się na służbie wojskowej – szybko się poprawiła.

Nina nie spodziewała się usłyszeć z jej ust podobnej uwagi. O Czachowskim było już głośno w kraju. Ludzie pod niebiosą wychwalali jego waleczność i bezgraniczne umiłowanie ojczyzny. Pozostawiwszy dom i córki, przystąpił z dwoma synami do powstania i natychmiast zwrócił na siebie uwagę władz talentem militarnym. Stary wiarus przypominał Ninie wyglądem dawnych zagończyków stepowych, dzielnych lisowszczyków¹⁰, o których nasłuchiwała się pasjonujących historii. Jednak nie zamierzała głośno wyrażać swej opinii, zauważywszy, że panna Pustowójtówna była bezkrytycznie zapatrzona w Langiewicza. Zresztą w tej chwili Ninę interesowały wyłącznie losy męża.

– Czy może wie pani, gdzie znajduje się teraz partia naczelnika „Czarnego”? To mój mąż – dyplomatycznie zmieniła temat.

– Przykro mi, ale nie wiem. Widywałam pana naczelnika w Wąchocku. Bardzo dystyngowany i przystojny mężczyzna. Wydaje mi się, że pan pułkownik Czachowski potrafi pani udzielić bardziej wyczerpujących informacji, bo obaj panowie bardzo się zaprzyjaźnili.

Nina zaprowadziła młodą pannę do sypialni i poleciwszy ją opiece Ulisi, włożyła w garderobie strojnieszszą suknię i poprawiła fryzurę. Poprzednio stwierdziła, że Langiewicz był uprzedzony do Aleksa. Generał, pochodzący ze skromnej mieszczańskiej rodziny wielkopolskiej, nie lubił szlachty i arystokracji. Do ludzi obdarzonych talentem militarnym z reguły odnosił się z niechęcią i zawiścią. Ponadto nie cierpiał tych, którzy mieli odwagę wyrażać głośno własne przekonania. Langiewicz często popełniał błędy, ponieważ nie lubił słuchać niczyich rad, a źle pojęta ambicja nie pozwalała mu się przyznać do niekompetencji. Swoim zachowaniem od początku zyskał sobie wielu przeciwników. Tylko kobiety, nie wiadomo dlaczego, uważały, że jest czarujący.

Podciągnąwszy wyżej krynolinę, by zamaskować lekko zaokrąglony brzuch, Nina udała się do salonu. Powstańcy byli wygłodzeni i widocznie zmęczeni forsownym marszem, lecz zachowywali się powściągliwie i dopiero kilka kieliszków szampana oraz towarzystwo młodych i ładnych kobiet poprawiły im humory. Prawili damom komplementy, żartowali ze swego wyglądu i junacko odgrażali się Moskałom. Nina ze wzruszeniem patrzyła na ich mizerne, dziko zarośnięte twarze i zniszczoną odzież, wyobrażając sobie, że może w jakimś innym dworze Aleks szuka schronienia przed mroźną zimową nocą. Jednak znając zamiłowanie męża do higieny, nie wyobrażała sobie, że mógłby być aż tak brudny. Zapewne jednak i ci mężczyźni nie zawsze wyglądali jak banda Ali Baby. Ich dłonie zachowały piękny kształt, maniery mieli wykwintne i prowadząc lekką salonową rozmowę, często wtrącali wyrazy francuskie, łacińskie i angielskie.

Major Figietty, który z powodzeniem stoczył bitwę o Jedlnię, a następnie przyłączył się do Langiewicza, barwnie opowiadał o powstaniu węgierskim i swojej tułaczce po Turcji, Francji i Afryce. Mówił po turecku i zapowiadał paniom, że każe je porwać, sprzeda sułtanowi za grube pieniądze i zbije na tym majątek. Oficerowie śmiali się, słuchając barwnych i dowcipnych

historyjek, jedynie generał, siedzący na miejscu pana domu, był skwaszony. Nie lubił majora i nie potrafił mu zapomnieć, że tylko on jeden odniósł 23 stycznia całkowite zwycięstwo w Jedlni.

Po posiłku panowie przeszli do malinowego salonu na herbatę i ciasto. Mira zasiadła do fortepianu i zagrała przygrywkę znanej powstańczej pieśni, śpiewanej wówczas przez Polaków we wszystkich zaborach. Oficerowie podchwycili melodię i pieśń w dziarskim mazurkowym rytmie rozległa się w całym domu:

*W krwawym polu srebrne ptaszę,
poszli w boje chłopcy nasze.
Hu ha, krew gra,
duch gra, hu ha!
Niechaj Polska zna,
jakich synów ma!
Obok Orła znak Pogoni,
poszli nasi w bój bez broni.
Hu ha, krew gra,
duch gra, hu ha!
Matko Polsko, żyj,
Jezus Maria, bij!*

Przed spoczynkiem Nina postanowiła porozmawiać z pułkownikiem Czachowskim. Stał przy fortepianie, rozmawiając z panną Lutówną. Podeszła do niego, obawiając się tego, co może usłyszeć.

– Panie pułkowniku... – szepnęła, patrząc na niego błagalnie. – Może od pana dowiem się czegoś o moim mężu, naczelniku „Czarnym”?

– To pani hrabina jest małżonką pana Aleksandra? – zdziwił się Czachowski, gdyż powstańcy najczęściej walczyli pod pseudonimami, ażeby nie narażać rodzin, i zwykle nie znali swoich prawdziwych nazwisk. – Ależ pan naczelnik wybrał sobie śliczną paniuleczkę! Proszę wybaczyć staremu niezgrabną kurtuazję. Powiem pani szczerze: między panem naczelnikiem a generałem doszło do ostrej wymiany zdań. I na Boga, pan naczelnik miał rację! Upierał się, żeby zlokalizować obóz w pewnej odległości od miasta, nie narażając ludności cywilnej na zemstę Moskali. Langiewicz nie wyraził na to zgody i w końcu się pocięli. Generał zarzucił

panu naczelnikowi niesubordynację w dniu wybuchu powstania, oskarżając go, że nie stawiał się na miejsce zgrupowania.

Nina posiniała ze złości.

– Jak on śmiał?! – krzyknęła oburzona, zaciskając pięści. – Byłam obecna przy tym, gdy kurier z Warszawy doręczył mężowi nowe rozkazy rządu. Polecono mu patrolować lasy! Mąż był zrozpaczony, bo obiecał panu generałowi przyłączenie się do jego oddziału. Są na to dowody! To pan Langiewicz w ostatniej chwili zmienił plany i zamiast uderzyć na Suchedniów, zaatakował Szydłowiec! Oskarżenia pana generała są absurdalne i krzywdzą mego męża. Widać zapomniał, że mąż w pierwszej potyczce odniósł zwycięstwo!

Czachowski pochwycił ją za obie ręce i mocno uściskał.

– Uspokój się, córeńko – powiedział ojcowskim tonem. – On właśnie tego nie może zapomnieć. Ja wiem o wszystkim, bo rozmawiałem z kurierem. Cóż, trudno ukryć, że pan Langiewicz jest mściwy. Naczelnik nalegał, żeby wyjść z miasta w stronę, skąd nadchodził generał Mark, i przygotować w puszczy zasadzkę. Ale generał się nie zgodził i nie ostrzegł ludności, by ukryła się w lasach. Podobno nie chciał szerzyć paniki. Po bitwie, kiedy mieszkańcy uciekali w popłochu, pan naczelnik osłaniał ich ogniem karabinowym, powstrzymując nieprzyjaciela. Potem przebił się przez Moskali i poszedł w stronę Brodów. Generał nie powiedział pani o tym?

Potrząsnęła tylko głową, niezdolna wypowiedzieć słowa ze ściśniętego skurczem gardła. Tak, to był cały Aleks! Odważny, uparty i zdolny do poświęceń. Ale dlaczego dotąd nie dał znaku życia? Przecież Brody nie leżały za morzem, mógł przesłać choć słówko, że żyje. Pułkownik zauważył jej oczy pełne łez i widocznie się wzruszył.

– Nie płacz, córeńko. Naczelnik z pewnością nie zginął. To prawdziwy zuch i ma najlepiej uzbrojoną partię. Moskale natychmiast pochwaliliby się, rozbiwszy tak znaczny oddział.

Nina spojrzała na niego z wdzięcznością, uniosła się na palcach i ucałowała w policzek starego wiarusa, czując do niego wielką sympatię.

Tymczasem Langiewicz dokończył pić herbatę i dał rozkaz udania się na spoczynek. Rozchodzili się do pokoi, mówiąc „dobranoc”.

[02](#) W Kościele prawosławnym panował zwyczaj wyklinania po nabożeństwie wrogów cara i Moskwy, w tym *zbuntowanej Polszy* (Polski).

[03](#) Gorący, wilgotny okład z nasion oleistych, piasku, papki kartoflanej.

[04](#) włóka – jednostka powierzchni gruntu ornego równa 30 morgom, czyli około 17 hektarom.

[05](#) Powierzchniowy nieskupiony wypływ wód podziemnych, także wokół źródła, zwykle zatorfiony lub zabagniony wskutek utrudnionego odpływu wody. Często porośnięty roślinnością bagienną.

[06](#) Bitwa o Wąchock miała miejsce 3 stycznia 1863 roku.

[07](#) Marian Langiewicz (1827–1887) – generał, dyktator w I okresie powstania styczniowego, związany z Białymi. Po klęsce pod Grochowiskami przedostał się do Galicji. Aresztowany przez Austriaków, resztę życia spędził na wygnaniu.

[08](#) fr. niestety

[09](#) Dionizy Czachowski (1810–1863) – pułkownik, w powstaniu styczniowym naczelnik wojenny województwa sandomierskiego (mianowany dopiero 14 kwietnia 1863 roku, mimo to zachowałam tę jego rangę, gdyż tak tytułuje go Jadwiga Prendowska w *Moich wspomnieniach*).

[10](#) Polskie najemne oddziały lekkiej jazdy, zorganizowane na początku XVII wieku przez Aleksandra Lisowskiego, słynące z brawury i przygód.

Nina spała krótko i wstała z samego rana, zanim światło dnia rozjaśniło okna. Jeszcze przed śniadaniem poszła do oficyny mieszczącej biuro rządcy.

– Panie Bochniak, czy ci ludzie mają jakieś wozy? – spytała od progu.

– Owszem, dwa. Stoją na podwórzu.

– Musimy ich wspomóc. Niech pan łaskawie dopilnuje, żeby wydano im żywność z tych zapasów, które ukryliśmy w lochach. Dostaną paszę dla koni, gorzałkę dla żołnierzy i skrzynkę wina dla oficerów. Dzięki nim pierwszy raz od początku powstania spałam spokojnie.

Pan Bochniak skrzywił się ironicznie.

– Pani hrabino, jestem starym żołnierzem z poprzedniego powstania i niejedno widziałem, ale z takim wojskiem jeszcze się nie spotkałem! Moskale z pewnością rozesłali patrole, a pan generał nie raczył nawet posterunków wystawić. Całą noc nasz Tomek siedział na wieżycy i obserwował okolicę, bo obawiałem się, że nas Moskale zaskoczą.

– Nie było posterunków? – Nina popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Pan to widział? Może wystawili je na wsi? Przecież pan generał Langiewicz to doświadczony oficer.

– Do licha z takim doświadczeniem! Nie wystawili, bo sprawdziłem – prychnął rządcą z pogardą. – Chyba Opatrzność czuwa nad nimi, że ich dotąd Rosjanie nie zjedli.

– A ja sądziłam, że kazał pan Tomkowi zejść z wieżyczki.

– Oho! – Pan Bochniak uśmiechnął się i skubnął wąs. – Przy takim wojsku trzeba liczyć tylko na siebie. Już słyszałem od doświadczonych oficerów, że pan generał bywa lekkomyślny i często zaniedbuje swoje obowiązki, nie przestrzegając dyscypliny.

– Boże, odetchnę, jak oni sobie pójda – powiedziała cicho.

Jej pobożne życzenie rychło się spełniło, bo po obfitym śniadaniu wyspani i nareszcie umyści oficerowie zaczęli się żegnać, dziękując pani domu za gościnę. Podając rękę generałowi, Nina odezwała się z miłym uśmiechem:

– Zaopatrzyłam was w żywność i paszę, a dla panów jest na wozie skrzynka wina.

Langiewicz złożył sztywny ukłon, składając na jej dłoni lekki pocałunek.

– Jestem bardzo wdzięczny pani hrabinie. Mam nadzieję, że wkrótce otrzyma pani wiadomość od męża. Tak znakomity oficer da sobie radę w

każdych okolicznościach. – Powiedział to, nie ukrywając ironii.

Policzki Niny pokrył mocny rumieniec. Nie namyślając się, palnęła prosto z mostu:

– Nie potrafię ocenić talentów militarnych mego męża, ale jestem głęboko przekonana, iż przenigdy nie zapomnieliby wystawić wart. Dziś w nocy byliście panowie zdani jedynie na bystry wzrok chłopca siedzącego na wieżycze.

Langiewicz się zmieszał, poruszył wargami, jakby chciał coś powiedzieć, ale opamiętał się i złożony jej chłodny ukłon, wyszedł z domu, wskakując na podanego sobie konia. Panna Pustowójtówna pożegnała Ninę bardzo serdecznie, dziękując za paczkę pełną pięknej czystej bielizny.

Pułkownik Czachowski po ojcowsku ucałował Ninę w czoło.

– Dobrze mu powiedziałaś, córuchno! Bóg z tobą, dziecko – szepnął jej do ucha.

W spontanicznym odruchu mocno uścisnęła starego wojaka.

– Jeśli pan pułkownik kiedykolwiek będzie w pobliżu Makowa, proszę nas odwiedzić. Zawsze będzie pan najmiłszym gościem. Niech Bóg ma pana w opiece i strzeże od złego.

– Dziękuję. A ty, córuchno, nie pokazuj się Moskałom. Pamiętaj! Bóg z tobą, dziecko.

Stękając, wsiadł na starą szkapę i skinął jej dłonią. Postanowiła, że przy najbliższej okazji podaruje mu pięknego wierzchowca.

Mieszkańcy pałacu, zebrani na ganku, patrzyli w ślad za odjeżdżającymi powstańcami. Mira zegnała ich łzami, a reszta kobiet znakiem krzyża i modlitwą.

– No, nareszcie. – Nina głośno odetchnęła.

– Cieszysz się, że odjechali? – Mira patrzyła na nią zgorszona. – Dlaczego?

– Bo nie cierpię Langiewicza! Poza tym obecność wojska mogła zwrócić uwagę Rosjan, a przede wszystkim kozaków. – Spuściła oczy przed pełnym wyrzutu wzrokiem Jagi.

– Nino, zawsze to polskie wojsko. Pomyśl tylko, może i pan hrabia tuła się tak po cudzych domach, niechętnie witany i żegnany bez żalu – łagodnie upomniała ją niania.

Nina spuściła głowę i nie odezwała się więcej.

Przez kilka następnych dni Rosjanie zajęci byli generałem Langiewiczem i ciągnęli za nim w stronę Świętego Krzyża. Nowina o wygranej przez generała potyczce pod klasztorem wszystkim dodała otuchy, urastając do rangi wielkiej batalii. Klasztor na Świętym Krzyżu, obsadzony powstańcami, bronił się dzielnie przed atakami wojsk rosyjskich, dowodzonych przez pułkowników Czengierego¹¹ i Gołubowa. Czachowski bronił obozu pod Łysą Górą, zadając nieprzyjacielowi ciężkie straty. Dopiero podpalenie i silny ogień artyleryjski zmusiły powstańców do wycofania się z klasztoru i ze Słupi.

Pewnej nocy obudziło mieszkańców pałacu mocne pukanie do drzwi. Pierwszy porwał się Walenty, śpiący jak zając, z otwartymi oczami. Nie śpiesząc się z otwieraniem, poszedł obudzić panią. Zanim oprzytomniała z twardego snu, już zerwali się z łóżek lokaj Paweł i Jaga oraz pani ochmistrzyni. Razem poszli sprawdzić, kogo lichy przyniosło. Przez uchylone drzwi wcisnął się do sieni mężczyzna otulony w futrzaną szubę. Spod puszystej czapki z lisa widać mu było tylko oczy. Rozejrzał się i uspokojony widokiem rozespanych domowników, złożył niezgrabny ukłon.

– To Maków, majątek pana hrabiego Klonowieckiego? – spytał cichym głosem.

– Tak. – Nina zmierzyła przybysza podejrzliwym wzrokiem. W tych czasach nie wolno było ufać nikomu obcemu.

– Przepraszam. Obudziłem państwa o bardzo niestosownej porze – usprawiedliwiał się nieznajomy, strącając z siebie krople deszczu. – Muszę koniecznie pomówić z panem hrabią.

– Niepotrzebnie się pan trudził – burknęła Nina, rozespana i zła. – Mąż wyjechał za granicę dla poratowania zdrowia. Przykro mi.

Przybysz nie wyglądał na zawiedzionego tą wiadomością.

– W takim razie chcę rozmawiać z panią hrabiną Klonowiecką – oświadczył, niezrażony chłodnym przyjęciem. – To bardzo ważne.

Nina uprzejmym gestem zaprosiła go do buduaru. Walenty pośpiesznie zapalił lampy naftowe i świeczniki, kierując całe światło na nieproszonego gościa, aby Nina mogła mu się dokładnie przyjrzeć. Ale spod podniesionego kołnierza i wciśniętej mocno na czoło czapki niewiele było widać. Nina skinęła i kamerdyner pozostawił ich samych. Była świadoma,

że Walenty stał razem z Pawłem za drzwiami, gotowy do interwencji, i nasłuchiwał, czy nie dzieje się jej krzywda.

– Słucham pana. – Usiadła i wskazała nieznajomemu fotel.

– O panu Klonowieckim słyszałem od doktora Borutyńskiego – przemówił mężczyzna.

Wstęp był niebezpieczny i Ninę ogarnęło złe przeczucie. Nie ufała ludziom kryjącym swoje twarze.

– Przepraszam – odezwała się wyniośle. – Jak dotąd nie wiem, z kim rozmawiam.

– Raczy mi pani wybaczyć. – Gość zaczął manipulować przy dużym guziku futra. Z trudem odkręcił wierzch guzika i wydobył małą karteczkę, wręczając ją Ninie.

Ciągle spięta i nieufna, podeszła do lampy i obejrzała uważnie skrawek papieru. Dostrzegła pieczęć z Orłem, Pogonią i Archaniołem Michałem, a poniżej napis: „Polska z roku 1772, jedna, niepodzielna”¹². Był to rozkaz rządu polecający udzielenie wszelkiej pomocy i informacji okazicielowi dokumentu. W razie odmowy groziła surowa kara. Dokument był z pewnością autentyczny, bo zupełnie takie same pieczęcie widziała na rozkazach przywożonych przez Jasia.

Nieznajomy zdjął czapkę i złożył jej głęboki ukłon.

– Jestem członkiem Rządu Narodowego i nazywam się... – Nie dokończył, bo przerwała mu stanowczym gestem.

– Nie! Proszę mi się nie przedstawiać. Mogę zostać aresztowana i gdyby mnie pytano, czy znam takiego a takiego pana, chcę z czystym sumieniem odpowiedzieć, że go nie znam!

– Jak pani hrabina sobie życzy – zgodził się mężczyzna i starannie ukrył karteczkę we wnętrzu guzika.

– W czym mogę być panu pomocna? – spytała, chowając obie dłonie w szerokich rękawach peniuaru obszytego białym futrem.

Obcy nie powinien się domyślić, że trzęsie się ze strachu. Obecność członka Rządu Narodowego pod dachem jej domu niosła zapowiedź zemsty władz carskich, widmo więzienia i zesłania, a może nawet śmierci.

Mężczyzna zdecydował się zdjąć futro. Usiadł swobodnie i patrzył na nią badawczo.

– Potrzebuję pomocy pani hrabiny – rzekł, zniżając głos do szeptu.

Twarz miał młodą, szczupłą i raczej pospolite rysy przeciętnego inteligenta. Zachowywał się nieśmiało, widocznie nieoswojony jeszcze z piastowaną wysoką godnością. Nie nauczył się żądać i rozkazywać, tylko prosił.

– Ja wiem, że pan naczelnik „Czarny”, znajduje się w polu wraz ze swoją partią – ciągnął, używając pseudonimu Aleksa, znanego tylko wtajemniczonym. – Pan Janek wiele mi o nim opowiadał i polecił dom pana hrabiego jako miejsce, gdzie w razie potrzeby można znaleźć gościńcę i pomoc.

„A to mi się braciszek przysłużył” – pomyślała z gniewem, unosząc jednak kąciki ust w uroczym uśmiechu.

– Czy wiadomo pani hrabinie, gdzie obecnie znajduje się pan generał Langiewicz?

– Prawdopodobnie jeszcze w Nowej Słupi.

– Daleko stąd?

– Kilkanaście wiorst. To niewielkie miasteczko u stóp Gór Świętokrzyskich.

– Rozumiem – bąknął przybysz, ściągając z namysłem brwi. – Mimo wszystko muszę dotrzeć do pana generała. Miałem pecha, zgubiłem się. Nie znam terenu i nie posiadam żadnego środka lokomocji. Wynajęty chłop podwiózł mnie tylko do Makowa.

– Pan wie o spaleniu Wąchocka?

– Tak, wiem. Wszyscy o tym mówią i zapal zaczyna przygasać. Tym bardziej muszę widzieć się z generałem.

Nina popatrzyła na niego z politowaniem.

– Pan wcale nie orientuje się w sytuacji! – oznajmiła podniesionym tonem. – Od strony Radomia generał Mark rozsyła kolumny wojska, pacyfikując okolicę. Palą i niszczą przed sobą wszystko. Z Kielc wyruszył pułkownik Czengiery i razem z Gołubowem pustoszą tereny Gór Świętokrzyskich. Wszędzie buszują kozacy. Pan mówi: „Muszę się widzieć z Langiewiczem. A jak do niego dotrzeć pytam? Na miotle?”

Zarys ust mężczyzny nagle stwardniał.

– Nie wiem jak, ale mam nadzieję, że pani hrabina ułatwi mi to zadanie. Przedzieraliśmy się tutaj w większym gronie, lecz dla bezpieczeństwa rozdzieliliśmy się i teraz nie mam pojęcia, gdzie obecnie są moi koledzy i czy jeszcze żyją. Rząd Narodowy musi nawiązać kontakt z panem

generałem. – Jego głos nadal brzmiał uprzejmie, ale w ostatnich słowach dosłyszała nutkę rozkazu.

– Zrobię, co w mojej mocy, lecz nie mogę zagwarantować panu, że ta impreza się powiedzie. Proponuję, żeby pan przenocował i wypoczął. Jutro się zastanowimy, co robić. – Wstała i pociągnęła taśmę dzwonka.

Walenty zjawił się w mgnieniu oka.

– Proszę wskazać panu pokój i podać posiłek. Walenty, nikogo tu nie było tej nocy.

– Oczywiście! Wszyscy całą noc mocno spaliśmy – odparł kamerdyner, a potem z ciekawością obejrzał gościa.

– Życzę panu spokojnej nocy. – Nina skinęła głową i poszła do sypialni.

Jaga czekała na nią, ogromnie zaintrygowana nocnym przybyszem, lecz rzuciwszy okiem na zatroskaną twarz wychowanki, nawet nie spytała, kto przyjechał.

– Coś mi się wydaje, że masz nowe kłopoty, kotuniu – zauważyła tylko, odruchowo strzepując i porządkując pomietą pościel.

– Obawiam się, że tak, nianiu. Idź już spać, kochana. Połowę nocy mamy straconą.

Ułożywszy się w wyiębionym łożu, Nina rozważała, w jaki sposób pomóc wysłannikowi rządu. W normalnych warunkach można było dojechać do Słupi w kilka godzin, lecz trwało powstanie, każdego podróżnego obowiązywały dokumenty: przepustka lub paszport, wystawione przez carskie władze. Nie wątpiła, że delegat rządu miał doskonale podrobione papiery, lecz to wcale nie było gwarancją bezpiecznej podróży. Rosyjscy żołdaci, rozbastwieni bezkarnością, mordowali nawet niewinnych podróżnych jadących w karetach pocztowych i strzelali do niech dla rozrywki. Poddających się powstańców bezlitośnie wieszali, a rannych po bitwie dobijali. Swoim oficerom, próbującym powstrzymać ich od gwałtów, grozili buntem. Sam wielki książę Konstanty był wstrząśnięty brutalnym zachowaniem swoich żołnierzy i pisał do cara: „Rozbestwienie ich jest okropne i zaczyna sięgać takich rozmiarów, że mnie przeraża”.

W tej sytuacji Nina miała o czym myśleć, jak przewieźć człowieka, który jej zaufał, przez obszary patrolowane przez kozaków i dragonów. Nic nie przychodziło jej do głowy, choć tak wysilała umysł, aż dostała migreny. Bardzo żałowała, że nie może się od tego przykrego obowiązku wykręcić,

ale nie chciała zrazić do siebie członka rządu, ze względu na męża, a trochę ze strachu przed surową karą, jaką pewnie wymierzyłaby jej policja narodowa, czyli sztyletnicy. Nie, lepiej nie ryzykować. Pech chciał, że pan Bochniak wyjechał do Kielc w sobie tylko wiadomym celu i nie miała się kogo poradzić. Wołała nie wtajemniczać w sprawę panny Lutówny, nie wiedząc, czy przedstawiciel rządu wyraziłby na to zgodę. Dawniej z każdym problemem zwracała się do męża...

Westchnęła i stękając, wstała z łoża, i pomaszerowała do pokoju Aleksa, aby choć pozalić się przed jego portretem. „Najdroższy, poradź mi, co mam robić?” – wołała w duchu, wpatrując się w jego piękną twarz. Objęła się ramionami i stała, drżąc z zimna i nerwów. Odpowiedział jej poważnym spojrzeniem bursztynowych oczu. O, jakże pragnęła gorącymi pocałunkami rozjaśnić uśmiechem mroczne głębie jego źrenic, tchnąć życie w nieruchomą twarz. Był taki piękny, daleki i nieosiągalny. Potrzęsęła ze smutkiem głową i powróciła do łóżka. Aby oderwać myśli od trosk, wzięła powieść Jane Austin, lecz sentymentalne perypetie miłosne zimnokrwistych Anglosasów tylko ją śmieszyły i denerwowały. Zazdrościła im spokojnego i bezpiecznego życia w mglistym i mokrym od deszczu kraju, którego od czasu najazdu Normanów nie tknęła noga najeźdźcy. Wzruszała ramionami, czytając opisy balów i uroczystych obiadów w pałacach arystokracji, gdzie na wspaniałych srebrach stołowych podawano gościom cynaderki w sosie własnym i tradycyjne kanapki z ogórkiem.

Znudzona, ziewnęła, odłożyła książkę i zgasila świeczkę. Jeżeli wysłannik rządu pojedzie jedynie z furmanem, już przez to samo będzie podejrzany. Może mniej rzucałby się w oczy, gdyby towarzyszyła mu kobieta? No dobrze, ale kto? Panna Lutówna? O, Mira była bardzo odważna i całym sercem oddana sprawie, ale nie znała tutejszych ludzi i terenu. Niestety, wyglądało na to, że będzie musiała sama się potrudzić. Było to jedyne rozsądne rozwiązanie tej kwestii.

Nina sapnęła i przewróciła się na drugi bok. Do rana już nie zasnęła, obmyślając najkrótszą drogę do Słupi. Wstała o świcie i posłała Pawła do pokoju gościa, zapraszając go na śniadanie.

– Czy mogę liczyć na pomoc pani hrabiny? – spytał delegat rządu, kiedy usiedli do stołu w małej jadalni.

– Zdecydowanie tak.

– Mam nadzieję, że dostanę za przewodnika człowieka pewnego i znajdującego okolice?

– Naturalnie – odparła spokojnie, napełniając mu filiżankę wonną mokałą.

– Pojedzie mój stangret, zaprzysiężony powstaniec, i ja.

Mężczyzna spojrział na nią jak na osobę obraną z rozumu i podskoczył na krześle.

– Pani hrabino, wykluczone! Absolutnie nie wyrażam na to zgody! – oznajmił stanowczo. – Ostatecznie mogę ryzykować własne życie i z konieczności życie człowieka, który pojedzie ze mną, ale nigdy, przenigdy nie narażę na niebezpieczeństwo damy w... – Przerwał i spuścił oczy. – Pani hrabina raczy mi wybaczyć, ale nie pozwoliłbym narażać się swojej żonie, więc i pani na to nie pozwolę.

– A ma pan inne wyjście? – Popatrzyła na niego kpiąco.

– Nie zgadzam się!

Nina wysoko uniosła lewą brew.

– Nie wątpię, że w Warszawie liczą się z pańskim zdaniem, ale w Makowie ja rządę i odpowiadam teraz za pańskie bezpieczeństwo. Dwaj podróżujący mężczyźni natychmiast obudzą podejrzenia patrolu. Co innego, jeśli pojedzie z panem kobieta.

– Powtarzam, ja się nie zgadzam! Gdyby, co nie daj Boże, stała się pani krzywda, nigdy bym sobie tego nie wybaczył.

– Pomówimy o tym, kiedy dojedziemy do celu podróży. Na razie proszę się ze mną nie sprzeczać, tylko spokojnie wykonywać moje polecenia – oświadczyła władcym tonem. – Mam nadzieję, że władza pan językiem rosyjskim?

– Studiowałem w Rosji... Pani hrabino, jest pani niezwykłą kobietą. – Patrzył na nią z podziwem. – Jeżeli dożyję starości, opowiem moim wnukom, jak pewna prześliczna dama ratowała mnie w tarapatach.

– Życzę tego panu i sobie, ale na wypadek gdyby zatrzymał nas patrol, niech pan głośno wrzeszczy, przeklina i wygraża im pięścią. Takie zachowanie zawsze robi na nich wrażenie. Ja jestem pańską siostrą i wiezie mnie pan do lekarza w Słupi.

– A jest tam jakiś lekarz?

– Tego nie wiem. My mieszkamy w Świętomarzu. Musi pan zapamiętać nazwy miejscowości. Proszę podać mi swoje fikcyjne imię.

W jego poważnych oczach błysnęła iskierka humoru.

– Powiedzmy... Józef. Do usług pani hrabiny. – Skłonił się uprzejmie.

Próbował ją jeszcze przekonać, by pozostała w domu, ale nawet nie chciała go słuchać. Prychnęła, obróciła się na pięcie i opuściła jadalnię. Narzuciwszy na siebie futro, poszła do stajni. Mignon przywitała ją cichym rzeniem, wyciągając ku niej głowę. Poczęstowała ulubienicę jabłkiem oraz kostką cukru i zaczęła się przechadzać, uważnie obserwując konie stojące w boksach.

– Jaśnie paniuleczka chce gdzieś jechać? – Usłyszała nad sobą głos Maćka.

Stał na drabinie i widłami zrzucał ze stryszku siano dla koni. Był wprawdzie jej osobistym stangretem, ale często musiał sam obsługiwać i karmić zwierzęta, bo po wybuchu powstania pozostało tylko czterech stajennych.

– No... jeszcze nie wiem. – Urwała, zastanawiając się, czy ma prawo narażać życie chłopaka. – Mam taki zamiar, ale to niebezpieczna wycieczka – powiedziała, patrząc na niego z wahaniem.

Oczy Maćka zabłyśły. Zeskoczył z drabiny, odłożył widły i podszedł do niej.

– Jakże to? Przecie ja samej jaśnie paniulki nie puszczę! Gdzie moja pani, tam i ja! A gdzie pojedziemy?

– Musimy się dostać do Słupi i bezpiecznie zawieźć tam jednego pana.

– Do partii Langiewicza? – Maciek poczerwieniał z emocji.

– Aha! Posłuchaj, Maciuś, w drodze możemy się natknąć na kozacki patrol. Można także zawisnąć na przydrożnym drzewie, wiesz?

– E... do wszystkiego można się przyzwyczaić, jak powiadał jeden wisielec – filozoficznie skomentował jej uwagę. – Kto by się bał? A kiedy pojedziemy?

– Za godzinę. Pomyśl, jakie wziąć konie. Szkoda, że śnieg stopniał, bo sanie byłyby najlepsze.

Uradowany nadzieją na obiecującą przygodę, Maciek dokładnie obejrzał wszystkie konie i zdecydował się na cztery wałachy.

– To diabły nie koniska – rzekł z przekonaniem. – Pan koniuszy Kacper powiadał, że można nimi do samego piekła dojechać. Nie ma lepszych do bryczki. Weźmiemy tę zieloną, bo ma daszek. Wytrzyma jazdę nawet po skałach. Koła się nie połamią, bo niedawno moczyłem je w stawie. Dyszel także mocny. Proszę jaśnie paniulki...

– Tak?

– Ja bym sobie wziął do pomocy Tomka Kochana.

– Nikt nie może wiedzieć, gdzie jedziemy i kogo wieziemy – oświadczyła surowo.

Maciek posłał jej wymowne spojrzenie i pocałował ją w rękę.

– No, czego jeszcze chcesz, ty uparciuchu? – złagodniała Nina.

– Przecie to dobry chłopak i dla naszego pana dałby się ze skóry obedrzeć. On nawet wcale kozaków się nie boi, a głowę trzymać potrafi – gorąco przekonywał ją Maciek. – Stary Gulak uczył go strzelać, ino chłopak nie ma z czego. A sprytna jucha... Cygana oszuka! Konie go lubią i przyda się nam po drodze, bo będziemy powozić na zmianę.

– Dobrze, ale pamiętaj, że za niego zaręczyleś.

Uradowany chłopak obiecał, że za godzinę bryczka będzie gotowa do drogi. Wyciągnął ją z wozowni i z zapalonym zaczął wpychać pod siedzenie worki z obrokiem dla koni i zapasowe części uprzęży, tak na wszelki wypadek.

– Nie zajeżdżaj pod pałac, tylko stań przy bocznej furcie – poleciała Nina, odchodząc.

W domu ubrała się ciepło i starannie, lecz bez przesadnej elegancji, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Dokumentów nie brała. Polakom nie musiała się legitymować, a Rosjanom nie mogła ze względu na fałszywe papiery delegata. Zajrzała do pokoju niani i wyobrazivszy sobie piekielną awanturę, którą urządzi jej Jaga po powrocie, skuliła ze strachu ramiona. Na paluszkach weszła do pokoju kredensowego i rozglądnęła się ostrożnie, szukając wzrokiem masywnej postaci niani, ale w pomieszczeniu był tylko kamerdyner.

– Walenty, gdzie jest moja niania? – spytała szeptem.

– Niedawno widziałem, jak szła z panią ochmistrzynią do pulardarni – odparł równie cicho i spojrzał na nią z nagłym niepokojem. – Przecież jaśnie pani hrabina nie pojedzie... O Jezu, ja nie pozwolę! Położę się na progu i nie puszcze!

– Ciii! – Położyła palec na ustach. – To niedaleko, jutro będę w domu. Może po drodze dowiem się czegoś o panu – przekonywała go chytrze, dobrze wiedząc, że tym argumentem trafi mu do przekonania.

– Panno Najświętsza, w tym stanie? – jęknął, łapiąc gwałtownie oddech. – Nie daj, Jezu Chryste, nieszczęścia, bo ja bym nie mógł panu w oczy

spojrzeć. Tylko kamień przywiązać do szyi i do stawu!

– Wszystko będzie dobrze. – Zaśmiała się wzruszona i rozbawiona jego tragiczną miną. – Walenty dożyje późnej starości i nie będzie musiał skakać do zimnej wody. Jakby niania o mnie pytała, to pojechałam z Maćkiem do pani wojewodziny i przenocuję u niej, żeby nie wracać w nocy. Niech pan Szymon przygotowuje prowiant dla czterech osób na dwa dni.

– Jezusie Nazareński, królu żydowski! – stękał przerażony staruszek. – Przecież to nawet nie wypada, żeby dama sama jedna jechała z mężczyznami. A dokąd się jaśnie pani hrabina wybiera? – spytał konspiracyjnym tonem.

– Do Langiewicza – szepnęła mu do ucha. – Proszę nikomu tego nie powtarzać.

Biedak pobladł i oniemiał, lecz wiedział z doświadczenia, że młodej pani nie przekona, i posłusznie podreptał do kuchni, mamrocząc po drodze pacierz. Nina weszła do buduaru, gdzie siedział delegat rządu.

– Proszę się ubierać, panie Józefie, jedziemy! – zawołała wesoło.

Pośpiesznie narzucił na siebie futro i wcisnął na głowę lisią czapę. Wzdychając, podążył za nią do bryczki. Walenty postanowił odprowadzić panią do bocznej furty. Za nim dreptał Paweł, obładowany paczkami z jedzeniem. W bryczce leżały już ciepłe pledy, poduszki i kilim służący do okrycia siedzenia. Nina wsiadła do bryczki przy pomocy Maćka, wspominając z goryczą czasy, kiedy jeszcze niedawno wskakiwała na nią jednym susem. Usadowiła się wygodnie, okrywając siebie i swego towarzysza pledami. Maciek usiadł na kozle obok Tomka i cmoknął na konie. Koniuszki Stach, asystujący przy odjeździe pani, obrzucił bryczkę i konie krytycznym spojrzeniem i z zadowoleniem skinął głową.

– Z Bogiem – mruknął. – Będą z chłopców ludzie.

Konie ruszyły rażno, parskając i rzucając łbami. Walenty długo patrzył za nimi, odmawiając modlitwę do świętego Krzysztofa, patrona szczęśliwej podróży. W końcu zamknął bramę i wolno powrócił do pałacu, ocierając wierzchem dłoni wilgotne oczy.

Wypoczęte i spasione wałachy tak lekko ciągnęły bryczkę, że Maciek musiał lejcami hamować ich zapał. Ale na wiejskiej drodze koła zaczęły grzęznąć w rozmięklej glinie i zapadać się w wymyte deszczami dziury. Pogoda była paskudna. Po kilku dniach mroźnych przyszła odwilż, zamieniając śnieg w błoto, a drogi w bajora. Świat, roztopiony w mętnych

szarych strugach zimnego deszczu, sprawiał przygnębiające wrażenie. Krople bębniły rytmiczne staccato na podniesionej budzie bryczki.

Nina, zniechęcona małomównością towarzysza podróży, próbowała drzemać, przymykając powieki i kołysząc się w przód i w tył. Lecz sen przerwał jej strumyczek ciekący nie wiadomo skąd prosto na jej głowę. Przesunęła się w inne miejsce, ale woda złośliwie podążała za nią. Naciągnęła kaptur i zaczęła obserwować mijaną okolicę, patrząc z obrzydzeniem na rozmiękłe pola. Mijane wsie, małe i brudne, tuliły się do niewielkich sadów. Z pokrytych gontem lub słomą chat unosiły się smugi białawych dymów i ciągnęły nisko nad ziemią. Na bezlistnych drzewach siedziały wrony – skulone, mokre i zziębnięte. Maciek trzaskał z bata, poganiając konie. Przestraszone ptaki podrywały się ciężko i kracząc, odlatywały kawałek, opadając na najbliższe drzewo niczym zwiastuny nieszczęścia. Nad tą beznadziejnie smutną krainą sprawowały patronat ubogie kapliczki przybrane w przegniłe zeszłoroczne wieńce. Delegat rządu zdawał się drzemać, ale gdy bryczka podskoczyła, otworzył oczy i rozejrzał się czujnym wzrokiem.

– Ubogo to wszystko wygląda – zauważył, spoglądając na mijaną wieś.

– Kiedy przejdą tędy Moskale, będzie wyglądało znacznie gorzej – stwierdziła uszczypliwie. – Tym bardziej że gospodarze nie mogą już liczyć na pomoc ze strony dworu. Swoim manifestem oddaliście sobie i im niedźwiedzią przysługę.

– Nie zgadzam się z panią. Przez wieki szlachta bezlitośnie bogaciła się kosztem nędzy poddanych. Niechże teraz poniesie konsekwencje swoich czynów.

– Myli się pan, bo to wy poniesiecie skutki bezmyślnego entuzjazmu, ponieważ ogromna większość chłopów przenigdy nie poprze powstania. Są nieufni i bardziej wierzą w zaręczenia cara. Nie zyskując sobie sprzymierzeńca we wsi, zraziliście do siebie ziemiaństwo. Szlachta boi się gwałtownych przemian społecznych. To był poważny błąd.

Delegat spojrział na nią z ukosa i spostrzegł, że Nina mrużyła oczy, nagle pociemniałe i bardzo chłodne.

– Widzę, że nie należy pani do zwolenniczek walki zbrojnej? – zauważył, ściągając brwi.

– Podziwiam pańską intuicję – odparła ironicznie. – Nie, nie należę!

– A przecież mąż pani jest powstańcem. Poprzednio działał w konspiracji, organizując partię w tej okolicy i świetnie ją uzbrajając. Zrobił również wiele dobrego dla swoich poddanych, znosząc pańszczyznę i rozdając ziemię.

– Zrobiłby znacznie więcej, gdyby nie wybuch walki zbrojnej – oświadczyła, patrząc mu w oczy twardo i odważnie. – Będę z panem zupełnie szczerą... Gdyby to zależało ode mnie, oboje bylibyśmy już za granicą. Sądzi pan zapewne, że jestem złą Polką? Otóż nie. Ja mam tylko bardzo tragiczne i ponure doświadczenia z lat dziecięcych. Mój ojciec ponosił dla kraju wielkie ofiary. Był nieszczęsnym uczestnikiem powstania wielkopolskiego, zakończonego klęską. A kiedy umierał samotnie w pruskiej twierdzy, miał czas zastanowić się, czy warto było poświęcić żonę, małą córkę i cały majątek dla z góry przegranej sprawy. Powstanie dowodzone przez pana Mierosławskiego upadło, a tysiące mórg polskiej ziemi, mojej ukochanej ziemi, dostało się w łapy Prusaków! Taki był efekt nieprzemyślanej ruchawki! – zawołała z gniewnym uniesieniem, jak zawsze, gdy wspominała mękę ojca i utratę domu.

Żarliwość, która brzmiała w jej głosie, zrobiła na delegacie rządu pozytywne wrażenie.

– Ja panią rozumiem – rzekł znacznie łagodniej. – Lecz w naszym szczególnym położeniu, jako naród nieistniejący na mapach świata, podzielony na trzy części, musimy wszelkimi siłami starać się wybić na niepodległość. Tylko walka daje nam taką szansę.

– Oczywiście! – parsknęła. – „Kijami zdobędziemy karabiny, a karabinami armaty” – zacytowała drwiąco słynne powiedzenie Leona Frankowskiego.

– Nie należy szydzić z zapału naszej młodzieży – skarcił ją, boleśnie dotknięty. – Nie jesteśmy zresztą sami. Niedawno wielki Garibaldi powiedział: *Italia fata, Polonia fata sera*. To znaczy: „Włochy zrobione, następna będzie Polska”.

– Doprawdy? – syknęła. – Te apele Garibaldiego i Mazziniego zraziły do nas cesarza Napoleona III, który często bywał celem ataków anarchistycznych Włochów.

– O, widzę, że pani hrabina poważnie interesuje się polityką. Ale zapewniam panią, że słowa takich ludzi jak Garibaldi czy Mazzini są więcej warte niż armaty.

– To spróbujcie strzelać nimi do Moskali! – wrzasnęła wyprowadzona z równowagi. – Wielka szkoda, że nie słyszał pan, co mówią o was ludzie, których domy spłonęły i którym wymordowano bliskich. Nie wierzą we wzniosłe frazesy i przeklinają sprawców swego nieszczęścia!

Mężczyzna spuścił nisko głowę i umilkł. Nina ochłonęła ze złości i zrobiło się jej bardzo nieprzyjemnie. „Boże, ja zawsze muszę coś niepotrzebnie chlapać językiem. Przecież to przedstawiciel rządu i może poważnie zaszkodzić Alkowi” – robiła sobie wyrzuty po fakcie. Wyciągnęła rękę i lekko uściśnęła dłoń mężczyzny.

– Przepraszam – powiedziała pokornie. – Pewnie nie mam racji i moja opinia jest zbyt subiektywna. Kocham moją ojczyznę i pragnę jej wolności, lecz momentami ogarniają mnie wątpliwości w sens dalszej walki i lęk o życie bliskich mi osób.

– To ja najmocniej panią przepraszam. – Podniósł jej rękę do ust i ucałował. – Pozwoliłem sobie na demagogiczne argumenty, zapominając, że pani ma powody do zniechęcenia. Ja również wolałbym budować niż burzyć, ale tą walką staraliśmy się uchronić tysiące młodych mężczyzn przed branką. Powstanie to był ich wybór, nie nasz. Komitet do ostatniej chwili próbował przesunąć termin wybuchu zbrojnego. Zostaliśmy zmuszeni do podjęcia tej dramatycznej decyzji.

„Uratowaliście tysiące chłopców przed branką tylko po to, by posłać ich z gołymi rękami na armaty” – nie powiedziała tego głośno, lecz on widocznie domyślił się tego, bo pokiwał głową.

Potem długi czas jechali w milczeniu. Bryczka trzęsła, bo droga stawała się stroma i kamienista, wznosząc się i opadając. Koła przestały zapadać się w błoto, ale za to podskakiwały mocno na wystających z ziemi skałkach. Nina otuliła się szczelnie pledem, bo wiał porywisty północny wiatr, a dzień był zimny i wilgotny. Nina była już głodna i spragniona. Miała ochotę napić się gorącej herbaty z winem i zjeść coś solidnego.

Zostawiwszy za sobą równinę, jechali wzdłuż pasma górskiego porośłego ogromnymi jodłami. Szczyty Łysicy i Łysej Góry, Szczytnika i Góry Chełmowej tonęły we mgle. Omijając Tarczek i Świętomarz, przemykali bocznymi drogami, podążając ku Nowej Słupi. Po kilku godzinach uciążliwej jazdy Nina poczuła się tak zmęczona i zboląła, że kazała Maćkowi zatrzymać się na krótki postój. Na rozdrożu mieściła się opuszczona stara karczma, której właściciele widocznie w popłochu uciekli.

Dokoła nie było żywego ducha, jedynie z potężnych drzew kapała woda na gontowy dach budynku.

W dużej zrujnowanej izbie piec na szczęście był cały. Obaj chłopcy zaczęli zbierać kawałki drewna na podpałkę, ale były wilgotne i nie chciały się zająć. Bez namysłu zdarli podłogę i po chwili w piecu huczał ogień, a w kociołku wrzała woda na herbatę. W wiklinowym koszu zapakowanym przez Kumosię była duża szynka, bochny białego chleba, pieczeń cielęca, kiełbasa i pasztet z zająca. Prócz tego butelka francuskiego wina. W szczelnie zakrytym garnku był apetyczny bigos myśliwski, a przezorna klucznica nie zapomniała ani o sztuccach, ani o naczyniach.

Gorąca herbata z winem smakowała Ninie jak nigdy dotąd. Siedząc przy stole, zaimprovizowanym z dużego pnia, wygłodniali, pożerali wprost domowe przysmaki. Tylko Maciek, niespokojny o konie, często się zrywał i wychodził przed karczmę, podejrzliwie obserwując okolicę. Lecz dokoła panowała cisza, tylko deszcz bębnił po dachu. Konie, zanurzwszy głowy w workach, chrupały smacznie obrok.

W czasie posiłku Nina miała okazję przyjrzeć się bliżej Tomkowi Kochanowi. Piętnastoletni chłopiec był już właściwie młodzieńkiem mężczyzną. Zachowywał się bardzo powściągliwie i niepytany nigdy nie zabierał głosu, przysłuchując się tylko rozmowie. Panna Lutówna wychwalała jego żądzę wiedzy i ogromną łatwość, z jaką ją sobie przyswajał. Czasami Nina spotykała go w pałacowej bibliotece, gdzie wybierał książki do czytania. Na widok młodej hrabiny rumienił się, bąkał coś pod nosem i złożywszy niezgrabny ukłon, zniknął, unosząc wybraną lekturę. Nie wiadomo, dlaczego krępowała się przemówić do niego i okazać mu odrobinę serdeczności. Za to Aleks często z nim rozmawiał i był przekonany, że chłopaka koniecznie należy kształcić, bo jest wybitnie inteligentny, uzdolniony i zapowiada się na pięknego mężczyznę. Miał szczupłą, pociągłą twarz, duże błękitne oczy, kształtny prosty nos i ładnie zarysowane, trochę jeszcze dziecinne usta. Jasne włosy w gęstych lokach opadały mu na wysokie czoło, a smukła figura była sprężysta i silna. Na swoje lata był wysoki i dobrze zbudowany. Nina postanowiła, że po powrocie zajmie się chłopcem i zacznie go uczyć obcego języka, koniecznego w gimnazjum. Jego samotne dzieciństwo, a przede wszystkim uwielbienie, którym darzył Aleksa, budziły jej sympatię i współczucie.

Napojone i nakarmione konie odpoczęły i można było ruszyć w dalszą drogę. Za sobą pozostawili Łomno, majątek państwa Woyciechowskich, a przed sobą mieli masyw Góry Chełmowej, pokrytej gęstym borem. Po drugiej stronie znajdował się las o dziwnej nazwie... Serwis.

Omijali z daleka ludzkie osady, ponieważ w niektórych wsiach Rosjanie pozostawili stałe posterunki, strzegące rogatek. Donosiły one dowódcom kolumn wojskowych o ruchach powstańców. Tutaj znać już było ślady wojny. Napotykali spalone domy, a w całkowicie zniszczonej małej osadzie za Sosnówką, w sadzie, kołysały się wiotkie sylwetki wisielców. Przy budzie leżał zastrzelony pies, pewnie broniący do śmierci domu. Nina odwróciła oczy od ponurego widoku, z wysiłkiem przełykając ślinę. Westchnęła, pomyślawszy z żalem, że mogłaby teraz leżeć wygodnie na sofie w swoim prześlicznym buduarze, czytając jakąś pogodną i sentymentalną powieść. Przebyli drewniany mostek na bystrej górskiej rzeczce i zagłębili się w wąwozie, często spotykanym w okolicach Gór Świętokrzyskich. Wyminęli połamany chłopski wóz i zabitego konia. Maciek z niepokojem popędzał wałachy. Przemknęli przez zakręt i niespodziewanie ich oczom ukazało się kilku jeźdźców. Maciek ściągnął lejce i obejrzał się do tyłu.

– Przed nami jacyś konni! – krzyknął wystraszony.

Nina spojrzała na delegata rządu okrągłymi z przerażenia oczami. Mężczyzna nie okazywał lęku. Siedział spokojnie, choć musiał przecież zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa oraz z tego, co go czeka, gdy dostanie się w ręce nieprzyjaciela.

– Nie możemy zawrócić, już za późno – rzekł opanowanym głosem. Wstał i wyteżył wzrok, starając się przeliczyć konnych. Jeźdźcy, siedząc na dobrych wierzchowcach, szybko się zbliżali. – No cóż, pani hrabino, spróbujemy odegrać komedię, ale nigdy nie byłem utalentowanym aktorem. Tak mi przykro, że z mojej winy grozi pani poważne niebezpieczeństwo. – Nieznacznie wsunął rękę do kieszeni.

– Proszę jaśnie pani! – wyrwał się naraz Tomek, z napięciem obserwujący konnych. – To nie są kozacy ani dragoni.

– Jesteś tego pewien? – W sercu Niny zatliła się wątła iskierka nadziei.

– Chyba tak. – Tomek, obdarzony sokolim wzrokiem, zerwał się z kozła i zawołał z radością: – To Polacy! Mają na głowach konfederatki!

Nina z westchnieniem ulgi opadła na ławkę, dziękując Bogu za ocalenie. Powstańcy podjechali do nich galopem i otoczyli bryczkę. Był to oddziałek kawalerii, dowodzony przez postawnego blondyna. Chłopcy siedzący na koźle pozerali wzrokiem ich porządne karabinki przewieszane przez ramię i powstańcze mundury.

– Kim jesteście, obywatele? – spytał dowódca, podejrzliwym okiem obrzucając elegancki jasny strój Niny. Dobre Polki nadal w tym czasie nosiły żałobę.

Delegat rządu skinął na dowódcę i rzekł cichym głosem:

– Wolność...

– Równość, niepodległość – odrzekł tamten jak echo i przyjrzał się niepozornej postaci nieznanego. – Obywatelu, czy wy jesteście...?

Delegat skinął głową i odwróciwszy się, nieznacznie odkręcił guzik. Powstaniec przeczytał dokument i zsalutował.

– Niezmiernie mi miło powitać państwa. – Złożył Ninie niski ukłon. – Boże, gdzie ja miałem oczy, że nie poznałem pani hrabiny? Przecież tak pięknej kobiety nie spotyka się dwa razy w życiu.

– Pan mnie zna? – Zdumiona uniosła brwi.

– Ależ byłem gościem pani w Makowie! Nocowałem w tym ślicznym saloniku od ogrodu. – Kawalerzysta się zaśmiał. – Jestem porucznik Jan Chrzyciel Prendowski¹³, dowódca kawalerii pana generała Langiewicza, do usług pani hrabiny!

– Naturalnie, teraz sobie pana przypomniałam. – Z uśmiechem podała mu rękę. – A my już powoli gotowaliśmy się na śmierć lub niewolę, przekonani, że wpadliśmy na patrol kozacki.

– Wszystko jest możliwe, ponieważ kozacy są w tej okolicy – odrzekł Prendowski.

– Dzięki niezwykłej odwadze pani hrabiny Klonowieckiej i tych dwóch zuchów... – Delegat wskazał na stangretów. – ...bez przeszkód dotrę do celu.

Konie powstańców były zmęczone, więc kawalerzyści jęli je karmić i poić. W skalnym zagłębieniu rozpalono małe ognisko, na którym wkrótce w kociołku zabulgotał krupnik. Nina ofiarowała żołnierzom do zupy wędzony boczek i pęto kiełbasy bodzentyńskiej, słynącej z wybornego smaku. Delegat rządu, siedząc przy ognisku, wypytywał Prendowskiego o dotychczasowy przebieg działań wojennych Langiewicza. Porucznik, całym

sercem oddany swemu dowódcy, ważył każde słowo. Jednakże nawet z tych skąpych wyjaśnień można się było domyślić, że taktyka wojenna generała była nieskuteczna. Tylko kompletnemu zaskoczeniu Rosjan i ich wyjątkowej ślamazarności powstańcy zawdzięczali, że nie zostali przez nich rozgromieni już pierwszego dnia i nie utopiono ich we krwi. Po klęsce wąchockiej generał przezornie wycofał się w odwieczne bory świętokrzyskie, dokąd Moskale na razie się nie zapuszczali.

Pierwsze dni lutego przyniosły powstańcom same niepowodzenia. W Augustowskiem rozbito pod Czystą Budą oddział Jastrzębskiego. Pod Słubczą poszła w rozsypkę partia Leona Frankowskiego, podążającego z pomocą Langiewiczowi, a sam Frankowski, ciężko ranny, wpadł w ręce wroga. W lasach bolimowskich rozbito partię hrabiego Stroynowskiego. Mówiono nawet, że sam hrabia poległ. Generał Uszakow, naciskany przez wielkiego księcia Konstantego, był zdecydowany za wszelką cenę stłumić bunt na terenie guberni radomskiej i kieleckiej. Wojska rosyjskie, rozwścieczone bezskuteczną pogonią za Langiewiczem, nie dawały pardonu nikomu, mordując rannych na polu walki, nie szczędząc dworów ani magnackich pałaców, nawet tych należących do przeciwników powstania. Między innymi doszczętnie ograbiono piękny pałac hrabiego Poletyły, senatora i członka Rady Stanu. W czasie napadu dwie osoby zabito, a kilka poważnie poraniono. Namiestnik nie przyjmował żadnych skarg, ponieważ cesarz sobie tego nie życzył. W ogarniętym powstaniem kraju Góry Świętokrzyskie były zapewne jedynym miejscem, gdzie nieprzyjaciel czuł się niepewnie. Pomimo poniesionych strat mała armia polska nieustannie powiększała swoje szeregi. Stojący w Słupi Langiewicz gotował się do rozprawy ze zbliżającymi się kolumnami pułkownika Czengierego.

– Czy do obozu przybył już ktoś z Warszawy? – zagadnął Prendowskiego delegat rządu, biorąc z jego rąk kubek z gorącą herbatą.

– Owszem, jest ksiądz Mikoszewski.

– A obywatela Awejdy jeszcze nie było?

– Niestety nie. Ksiądz również pytał o niego generała i bardzo niepokoi się spóźnieniem obu panów.

– Panie poruczniku... – wtrąciła się do rozmowy Nina. – Czy w Słupi słyszano może o oddziale naczelnika „Czarnego”?

– O ile mi wiadomo, po bitwie wąchockiej pan naczelnik poszedł ku Brodom – odrzekł uprzejmie Prendowski.

– Boże... – szepnęła, blednąc. – Przecież Brody spalone! Nie wie pan o jakiejś bitwie w tamtych stronach?

– Przykro mi, lecz nie potrafię udzielić pani hrabinie bardziej szczegółowych informacji. – Porucznik posłał jej współczujące spojrzenie.

– Ale proszę się nie martwić. O takiej bitwie wiedzielibyśmy z pewnością, bo Moskale głośno by to wydarzenie skomentowali.

– Zapewne – przyznała, choć wyjaśnienia porucznika wcale jej nie uspokoiły.

Krupnik się ugotował i dokoła rozeszła się woń wędzonki i kiełbasy. Zgłodniali powstańcy obsiedli kociołek; jedli zupę, wzdychając z lubością. Nina nie mogła nic przełknąć pomimo serdecznych zaproszeń Prendowskiego. Za to obaj chłopcy przysiedli się do ogniska i pałaszowali zupę, pogryzając chlebem, bardzo dumni, że oto są pomiędzy powstańcami, jakby w samym ich obozie. Zaraz po posiłku Nina zaczęła się żegnać, rezygnując z wypoczynku.

– Nigdy nie zapomnę pani poświęcenia i odwagi – powiedział delegat rządu, całując obie jej ręce. – Moja żona, żegnając mnie, płakała. Być może to pani hrabinie zawdzięczam, że nie musi mnie opłakiwać do końca życia.

– Cieszę się, ze względu na bezpieczeństwo pana i nasze. A tak między nami: dlaczego rząd upatrzył sobie nasze skromne górki na cel zbiorowych wycieczek? Podobno Tatry są bardziej malownicze.

– Też tak słyszałem. Ale mieliśmy nadzieję, że generał Langiewicz utrzyma się w Wąchocku, a my będziemy się mogli w końcu ujawnić na terenie opanowanym przez powstańców.

– Rozumiem. – Nina zagryzła usta, powstrzymując wybuch śmiechu. – W takim razie życzę panu i całemu rządowi samych sukcesów. Niech was Bóg ma w opiece. – A po cichu dodała: – Nas również.

– Zdaję sobie sprawę, że sądzi nas pani surowo, lecz kiedyś Bóg i historia ocenią, czy słusznie zrobiliśmy, wzniecając powstanie. Nie jest pani ciekawa, dla kogo się pani narażała?

– Nie. Ale wiem, dla kogo to zrobiłam... Dla mego męża walczącego w powstaniu – odpowiedziała z powagą. – *Adieu*, panie Józefie. – Wsiadła do bryczki i wypoczęte konie ruszyły miarowym kłusem.

Nigdy potem nie próbowała się dowiedzieć, kogo wówczas przewoziła. Przypuszczała, że mógł to być Józef Kajetan Janowski¹⁴, sprawujący w rządzie funkcję ministra, sekretarza stanu, bo przedstawił się swoim prawdziwym imieniem.

Wracając do domu, Nina miała cichą nadzieję, iż czeka tam na nią wiadomość od męża. Śpieszyła się i kazała Maćkowi poganiać konie. Bryczka skakała po wyboistej drodze, a ona, podskakując na twardym siedzeniu, marzyła, by nareszcie znaleźć się w ciszy swej sypialni i zasnąć. Pozostawili za sobą Krajków i Łomno i jechali pustą drogą, omijając wsie. Deszcz nareszcie przestał padać i pomiędzy skłębionymi obłokami wyglądała nieśmiało blada tarcza słońca. Obaj chłopcy szeptem dzielili się wrażeniami ze spotkania z kawalerią polską, utyskując po cichu, że nie mogli się do nich przyłączyć. Ich narzekania zirytowały Ninę.

– Maciek, nie buntuj Tomka! Jest za młody, aby ginąć. Patrzcie, bohaterowie się znaleźli!

Skarceni chłopcy zamilkli obrażeni i aby zmanifestować chęć do walki, zaczęli śpiewać półgłosem starą pieśń:

*Niech wzdyc wspomną sobie fryce
Raławice, Kościelnice,
Końskie i Dubienkę!
Chodźwa, bijwa, tnijwa,
Sieczwa nosy na bigosy.
Śpieszwa na wojenkę¹⁵.*

Dalej jechali w milczeniu, rozglądając się bacznie po okolicy. Lasy pozostały za nimi i teraz bryczka podążała po dosyć płaskim terenie, ze wszystkich stron widoczna. Właśnie mijali kępkę wysmukłych brzóz rosnących przy drodze, kiedy Tomek obejrzał się za siebie i pobladł.

– Jezu, kozacy za nami! – zawołał struchlałym głosem.

Nina i Maciek spojrzeli w tym kierunku i dostrzegli na końcu drogi oddziałek kozaków. Siedzieli na drobnych zwinnych konikach, a ostrza wysokich pik lśniły w blasku zimowego słońca. „To już koniec” – przemknęła Ninie przez głowę rozpaczliwa myśl. Maciek nie uległ panice.

Podniósł się na koźle i stanąwszy w szerokim rozkroku, żeby nie stracić równowagi, zamachnął się potężnie batem.

– Trzymajta się! – ryknął wniebogłosy.

Smagane bez litości konie pomknęły galopem. Sadyżły na przełaj przez pola, nie trzymając się drogi. W szalonym pędzie uciekały w tył drzewa, skałki i jakieś chłopskie chaty. Budyńki zasłoniły ich na moment przed pościgiem, mimo to kozacy prędko się zbliżali. Nina, skulona na siedzeniu, kurczowo trzymała się poręczy, przekonana, że za moment rozlegną się strzały i usłyszą gwizd kul. Ale kozacy nie strzelali, bo szkoda im było amunicji na tak marną zdobycz, która lada moment miała wpaść im w ręce. Co jakiś czas Maciek odwracał głowę i mierzył wzrokiem odległość dzielącą ich od pościgu. Czasami kozacy znikali zakryci drzewami, ale w miarę upływu czasu bryczka zwalniała, a ścigający byli coraz bliżej. Twarz Maćka, wykrzywiona grymasem strachu, wyglądała przerażająco. W jego oczach płonęła dzika, zajadła nienawiść.

Nina, obijana w tym szalonym pędzie, jęczała z bólu. Bryczka trzęsła i pochylała się na boki, grożąc przewróceniem. Nina zdawała sobie sprawę, że długo nie wytrzyma takiej jazdy i zemdleje lub poroni. Bała się, że wypadnie i nic ją wtedy nie uratuje przed śmiercią. Chciała się pomodlić, ale słowa pacierza zamierały jej na wargach i tylko szeptała:

– Aleczku, ratuj...

Przed nimi był ostry zakręt. W tym miejscu kończyły się płaskie pola, a zaczynał gęsty las. W pobliżu widać było kilka nędznych chłopskich chałup, na wpół skrytych w gęstych sadach. Tomek odwrócił się na koźle. Nina ujrzała jego szeroko rozwarte oczy błyszczące podnieceniem i młodzieńczą twarz ściągniętą wyrazem stanowczej decyzji.

– Jak tylko miniemy ten zakręt, skaczcie! – wrzasnął desperacko, wrywając lejce z rąk Maćka. – Kozunie polecą za mną. Maciek, ratuj panią! Skaczcie, wróćę po was!

W mgnieniu oka Maciek zrozumiał jego plan. Błyskawicznie przeniósł się z kozła do wnętrza bryczki. Kiedy tylko minęli zakręt i las zasłonił ich na moment przed wzrokiem pogoni, Tomek powstrzymał rozbiegane konie. Maciek pochwycił Ninę na ręce i wyskoczył z bryczki, która ruszyła i prędko zniknęła w lesie. Pobiegli skuleni rowem, a potem skryły ich drzewa w sadzie. Maciek ciągnął ją za sobą, pędząc w stronę chałup, a strach jeszcze dodawał mu sił. Trafiwszy na otwartą przestrzeń, czołgali się po

błocie, tuląc do rozmięklej ziemi. Nina biegła coraz wolniej i podnosiła się z trudem, ciężko dysząc. Z przerażeniem zrozumiała, że siły ją opuszczają. Brzuch ciążył jej nieznośnie, traciła równowagę, potykała się i pienila z wściekłości na myśl, iż przez to niechciane dziecko prawdopodobnie straci życie. „Och, jakbym tak teraz miała pod sobą moją koniszę, mogłabym sobie kpić z kozaków” – myślała z żalem. Potknęła się i upadła. Leżąc twarzą do ziemi, wiedziała, że już się nie podniesie.

– Maciek, zostaw mnie i uciekaj! – wycharczała z trudem przez zaschnięte gardło. – Ja już nie mogę...

Bez słowa pochylił się nad nią i stękając, zarzucił ją sobie na plecy jak worek ziemniaków. Zgarbiony pod jej ciężarem dźwigał ją cierpliwie aż do pierwszego z brzegu domku. Ocierając pot z czoła, ostrożnie postawił ją na nogach, sapiąc i z wysiłkiem łapiąc oddech rozchylonymi ustami. Weszli nieśmiało do ciemnej izby, brudnej, z glinianą polepą uginającą się pod stopami. W kącie, na barłogu zbitym z desek, na garści słomy, leżało chude jak szkielet widocznie chore dziecko. Przy nim stała młoda jeszcze kobieta, strasznie zabiedzona, trzymając w ramionach sinawe niemowlę. Zatrzymali się na progu, obrzucając szybkim spojrzeniem wygasły komin i drewnianą konewkę, będącą oprócz barłogu jedynym sprzętem w tej izbie.

– Ścigają nas kozacy! – wykrztusiła Nina, kaszląc i otrząsając się z błota.

Nawet w ich rozpaczliwej sytuacji widok tej okropnej nędzy był wstrząsający. Zgasła ostatnia nadzieja na ratunek, bo cóż ich los mógł obchodzić tę wynędzniałą kobietę. Wieśniaczka popatrzyła na nich obojętnie, bez zdziwienia.

– Wejdźcie na stryszek. Tam dużo siana, nie znajdą was – powiedziała, wpatrując się w nich apatycznym wzrokiem.

Po wąskiej drabince wdrapali się na stryszek po dach zawalony sianem. Ukryli się w najdalszym kącie, zakopując głęboko w sianie. Skuleni, drżący ze strachu, oczekiwali z bijącymi sercami na dalszy rozwój wypadków. Kozacy nie byli głupcami. Jeden oddziałek pomknął za bryczką, a drugi zatrzymał się przy osiedlu, metodycznie przeszukując dom po domu. Przez cienki gontowy dach słychać było ich wrzaski, krzyki ludzi bitych nahajkami, gdakanie przerażonych kur, które mołojcy chwyтали i troczyli sobie do siodeł.

Głosy się zbliżały, ktoś otworzył z trzaskiem drzwi i do izby wpadło kilku kozaków.

– Widziała ty Lachów? A może ukryłaś gdzieś buntowników, co? – rozległ się rozkazujący męski głos i jednocześnie świsnął w powietrzu bat, spadając na barki kobiety.

Chłopka zaczęła płakać, a niemowlę na jej rękach rozkrzyczało się przeraźliwie. Ninie włosy stanęły na głowie. Obiema rękami zakryła usta i przytuliła się do boku Maćka, jakby u niego szukała pomocy. Chłopak, równie przerażony jak ona, przygniótł ją mocniej do desek podłogi, nakazując spokój.

– Panowie, nie bijta! – szlochała kobieta. – Przecie widzita, że tu ni ma nikogo.

– Co tam macie na strychu? – zagadnął inny po polsku.

– Ino siano dla krowy. Ale ktosik nam krowinę ukradł i tera ni mam mlika nawet dla dziecków – tłumaczyła, łkając.

– Sprawdzić strych! – rozkazał dowódca.

Skrzypnęły szczeble drabiny, rozległy się ciężkie kroki dwóch mołojców i naraz ostrza pik jęły kłuć siano miejsce przy miejscu. Nina zwinęła się w kłębek, przekonana, że lada moment stalowe ostrze przeszyje jej ciało na wylot. Słyszała, że kroki podążają w ich stronę, szeleściło siano poruszane pikami, a obaj kozacy głośno sapali. Ciężki but ze stalową ostrogą minął o centymetry jej twarz. Była już cała mokra od potu oblewającego jej ciało i wpółżywa ze strachu. Nie tyle może lękała się śmierci, co bólu i hańby. Kozacy znani byli z dzikości i wyrafinowanego okrucieństwa. Ze szczególnym sadyzmem pastwili się nad polskimi kobietami, gwałcąc i okaleczając je okropnie przed śmiercią. Nina miała przy sobie pistolet ojca i postanowiła, że żywa nie dostanie się w ich łapy. Maciek także posiadał broń. Chłopak, silny i sprawny fizycznie, miał większe szanse przeżycia. Mógł wyjść przez gontowy dach i spróbować ucieczki. Ale ona, ociężała i zmęczona, w razie wykrycia byłaby zgubiona bez ratunku.

Mołojcy bardzo dokładnie spełnili rozkaz dowódcy i przeszukali strych, dziesiątki razy przeszywając siano pikami. Tylko jakimś cudem nie natrafili na uciekinierów. Po jakimś czasie, który ukrywającym wydawał się wiekiem, drabina ponownie zatrzeszczała i ktoś zameldował po rosyjsku, że na strychu nie ma nikogo. Na pożegnanie chłopka dostała pięścią w twarz i nareszcie kozacy się wynieśli.

Jeszcze przez godzinę Nina i Maciek leżeli jak nieżywi w obawie, iż kozacy mogą powrócić. Upewniwszy się, że jednak odjechali naprawdę, nie

mogli wprost uwierzyć w swoje ocalenie. Wygrzebawszy się z siana, Nina się rozpłakała, będąc na skraju hysterii. Maciek rzucił się na kolana i głośno z uniesieniem odmawiał *Zdrowaś Maryjo*, bijąc się w piersi i trzęsąc ze zdenerwowania. W porywie wdzięczności Nina objęła go za szyję i ucałowała jak brata.

– Maciuś, winna ci jestem życie – wyszeptała mu do ucha łzawym głosem.

Dopiero po zmroku odważyli się zejść ze strychu. Kobieta miała rozbity i zakrwawiony nos, ale widząc ich zdrowych i całych, uśmiechnęła się uszczęśliwiona. Nina nie mogła zrozumieć, skąd w tej prostej ubogiej kobiecie znalazło się tyle odwagi i patriotyzmu, których na próżno można by szukać pośród wielu ludzi, którym ojczyzna dała bogactwo i przywileje. Chłopka nie chciała wziąć żadnej zapłaty, ale Nina przemocą wcisnęła jej do ręki dwieście rubli. Kobieta w osłupieniu wpatrywała się w pieniądze, nie umiejąc ich nawet policzyć. Usłyszawszy, że jest posiadaczką dwustu rubli w srebrze, rzuciła się na kolana i całowała Ninę po rękach i nogach, bełkocząc błogosławieństwa.

– Nie dziękujcie nam. To my powinniśmy wam dziękować na klęczkach za ocalenie życia – rzekła Nina, podnosząc ją i ściskając. – Przysięgam, że dopóki ja żyję, nigdy nie zaznacie biedy i głodu. A jakbyście potrzebowali pomocy, przyjdźcie do Makowa i spytajcie o dziedziczkę. Jak się nazywacie?

– Na chrzcie świętym dali mi Katarzyna, a po moim chłopie to Owczarkowa – wymamrotała kobieta oszołomiona ze szczęścia, nie odrywając oczu od pieniędzy. Mrugała szybko, jakby nie wierzyła temu, co się działo.

– Nigdy o was nie zapomnę – powiedziała Nina z powagą.

Prowadzeni przez wieśniaczkę, powędrowali polną ścieżyną do lasu. Upewniwszy się, że są bezpieczni, Owczarkowa pożegnała ich z wylewną serdecznością, polecając opiece boskiej, i odeszła. Zdawało się Ninie, że wieki minęły od chwili wyjazdu z domu. Momenty grozy, przeżyte w drodze i na strychu, wpłynęły na zmianę żywionych dotąd przez nią przekonań i opinii. Z głębokim wzruszeniem i wdzięcznością myślała o odwadze i poświęceniu obu chłopców, którym zawdzięczała życie. Była absolutnie pewna, że Maciek dałby się raczej porąbać na drobne kawałki, niż pozostawić ją na pastwę wroga. Zginałby, broniąc jej do ostatniego

tchu. Do tego dnia jej stosunek do chłopów był raczej niejednoznaczny, będąc odbiciem przesądów istniejących w sferach ziemiańskich. W domu wujostwa Borutyńskich mieszkańców wsi traktowano pogardliwie, odmawiając im zdolności do uczuć wyższych, szlachetnych odruchów i honoru. Tę świadomość Nina wyniosła z ich domu. Ani mąż, ani Jaś nie potrafili jej przekonać, iż takie rozumowanie jest błędne i krzywdzące. Służbę pałacową traktowała serdecznie, mając w pamięci ponure wspomnienia z dzieciństwa, ale do wieśniaków odnosiła się z pewną wyniosłością, wynikającą raczej z nieśmiałości niż niechęci. Dopiero tego dnia uzmysłowiła sobie, jak bardzo była niesprawiedliwa i korzyła się, pełna skruchy i pokory, przysięgając sobie nigdy więcej nie osądzać ludzi wedle ich pochodzenia. Złożyła w myślach uroczyste ślubowanie przed Bogiem, że zrobi absolutnie wszystko, by zasłużyć na szacunek, a może nawet miłość swoich poddanych.

Wędrowali do świtu, zmarznięci, brudni i głodni, lecz zachwyceni tym, że jeszcze żyją i los dał im szansę oglądania nowego dnia. Wzeszło słońce i poranek uczynił się pogodny, choć bardzo zimny. Nina wlokła się krok za krokiem, tak ogromnie zmęczona, że w końcu usiadła pod przydrożnym drzewem, oświadczając Maćkowi, iż raczej woli umrzeć, niż iść dalej. Maciek przysiadł koło niej, otulając ją połową swego kozucha. Dzwoniąc zębami, przytuleni do siebie, czekali na powrót Tomka albo na zmiłowanie boskie.

– A jeżeli Tomkowi nie udało się ujść pogoni? – Uniosła głowę, otrząsając się z ogarniającej ją senności.

– E, przecie bryczka była już letka. Uciekł im, psiawiarom, co daj dobry Panie Jezu, amen! – odparł chłopak, drżąc i kuląc się z zimna.

– W takim razie powinien już tutaj być – stwierdziła, wyobrażając sobie z narastającym niepokojem, że może Tomek miał mniej szczęścia od nich i teraz leżał gdzieś martwy lub siedział w kozie, oczekując surowej kary.

– Posiedzimy, zobaczymy – mruknął Maciek, z chłopską cierpliwością godząc się z losem.

Nina ujęła jego dłoń i mocno ją uścisnęła.

– Jeśli Bóg pozwoli, że powrócimy do Makowa, nie będziesz narzekał na moją niewdzięczność – szepnęła, dzwoniąc zębami.

– Co też jaśnie paniuleczka wygaduje? – obruszył się urażony. – To miałem uciec i zostawić moją panią na zatracenie? Przecie sam jaśnie pan

naczelnik oddał mi jaśnie paniuleczkę pod opiekę. Jakbym swoją panią zostawił, to musiałbym chyba oczu od psa pożyczyć. No, chwała Bogu, że kozunie nas nie znaleźli w tym sianie. A cały czas kręciło mnie w nosie na kichnięcie! Tera to bym się ino kropnął do wyrka i przespał cały dzień pod pierzyną. Matula mnie pewnie wygląda.

– A mnie niania – wybełkotała Nina, trzęsąc się z zimna.

– Czy jaśnie pani nie chora? – Maciek popatrzył na nią z troską. – Oj, niedobrze tak na tym chłodzie siedzieć.

– Jeszcze nie wiem. – Uśmiechnęła się krzywo. – Taka jestem zmęczona – westchnęła sennie.

Wsparłszy głowę o ramię Maćka, zdrzemnęła się, we śnie ponownie przeżywając dramatyczne przygody.

Tomek zastał ich siedzących na ziemi i śpiących. Oboje byli u kresu sił. Okazało się, że kozacy zapędzili chłopca tak daleko, aż konie padały ze zmęczenia i musiały długo wypoczywać przed powrotną drogą.

Już bez przygód dotarli do Makowa. Na odgłos zajeżdżającej bryczki wybiegła z domu Jaga, płacząc i krzycząc. Za nią pędzili domownicy oderwani od zwykłych zajęć.

– O Jezusie, Maryjo Święta! Wróciłaś! – Niania rzuciła się na Ninę, tarmosząc ją i całując na przemian. – Wstrętne dziewczynisko, gdzie ty się podziewałaś? Sumienia nie masz, żeby mnie tak zmartwić! A ja umierałam ze strachu o ciebie. Ty się Boga nie boisz. Wyjeżdżasz ot tak sobie, nie zostawiając mi żadnej wiadomości? W błogosławionym stanie jeździsz bryczką! Możesz poronić, a pan hrabia obwini mnie za to, że cię nie pilnowałam. Nie! Przestań się do mnie czulić, bo tego ci nie wybaczę. Całą noc przepłakałam! Nie ruszaj się! Nic cię nie boli? Nie całuj mnie, bo już cię nie kocham. Boże, jesteś taka blada, zmęczona, brudna, obdarta... Płaszczyk i suknia całe w strzępach. O Matko cudowna, dzięki Ci, że moje dziecko wróciło żywe!

Nina nie miała nawet siły, aby się odezwać. Bezwolnie pozwoliła się rozebrać z mokrych i podartych resztek odzieży, umyć się i nakarmić. Całe ciało miała pokryte sińcami, na rękach i nogach naskórek pościerany był do krwi. Kumosia przygotowała kąpiel ziołową i natarła ją jakąś maścią pachnącą rumiankiem i łagodzącą podrażnienia skóry. Po kąpieli została

ułożona w rozkosznie miękkim łożu w ciszy sypialni i natychmiast zapadła w sen.

Obaj chłopcy raczej pożarli niż zjedli miskę tłustej zupy, a potem, tak jak stali, rzucili się na posłania i chrapali do rana. Następnego dnia Stach wypytywał ich, gdzie byli i co robili, lecz oni wykręcali się byle czym i koniuszy niczego się od nich nie dowiedział.

Nina obudziła się nazajutrz taka zboląta i słaba, jak po ciężkiej chorobie. Mira opowiedziała, że kilka godzin po jej wyjeździe powrócił z Kielc pan Bochniak. Dowiedziawszy się, że hrabina wybrała się z wizytą do Lipieńca, bez namysłu zabrał kilku młodszych parobków i pojechał po nią. Bomba pękła, gdy okazało się, że pani wojewodzina widziała Ninę ostatni raz w przeddzień wybuchu powstania, na mszy polowej. Rządca powrócił do Makowa z ponurą miną, zastanawiając się z troską, co się stało i gdzie ma młodziutkiej pani szukać. Był przerażony, bo w pobliżu kręcili się kozacy. Domownicy przeżyli kilka strasznych godzin niepewności, przeświadczeni o tym, iż dziedziczce przytrafiła się zła przygoda. Nina ze skruszoną miną wysłuchiwała wyrzutów i skarg, ale milczała jak zaklęta, nie próbując się nawet tłumaczyć.



[11](#) Ksawery Czengier (1816–1880) – z pochodzenia Węgier, pułkownik armii carskiej, dowódca kieleckiego garnizonu wojskowego. Po rozbiciu oddziału Langiewicza uzyskał nominację na generała. Znany ze swej aktywności w tłumieniu powstania.

[12](#) W Polsce przedrozbiorowej kto był poddanym króla polskiego, był Polakiem (w znaczeniu przynależności państwowej), etnicznie będąc zarazem Rusinem czy Niemcem. Natomiast Archanioł Michał był w herbie m.in. Rusi Kijowskiej, należącej do Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

[13](#) Jan Chrzyciel Prendowski (1839–1905) – od chwili wybuchu powstania brał w nim udział, kolejno jako szeregowiec, porucznik, w końcu rotmistrz kawalerii w oddziałach Langiewicza, Czachowskiego i Hauke-Bosaka. Trzykrotnie ranny, przedostał się za granicę. W 1866 roku powrócił do kraju. Aresztowany i osadzony w Cytadeli, skazany został na 5 lat katorgi i późniejsze osiedlenie w Tomsku. Po latach powrócił i zmarł w 1905 roku w Dąbrowicy koło Janowa.

[14](#) Józef Kajetan Janowski (1832–1914) – architekt. W młodości zwolennik Mierosławskiego, potem zbliżony do prawicy Czerwonych. Od grudnia 1862 do maja 1863 roku był członkiem Komitetu Centralnego i Rządu Tymczasowego Narodowego, następnie sekretarzem wszystkich rządów powstańczych. W rządzie wrzesniowym pełnił obowiązki dyrektora Wydziału Spraw Wewnętrznych. W kwietniu 1864 roku opuścił kraj, przebywał we Francji. Potem osiadł we Lwowie i tam zmarł. W jego pogrzebie uczestniczył osobiście komendant Józef Piłsudski.

[15](#) Pieśń bojowa kosynierów spod Raławic z okresu insurekcji kościuszkowskiej.

Rozdział 2

W dwa dni po dramatycznej wyprawie Nina siedziała w buduarze i omawiała z panem Bochniakiem sprawy przyszłych siewów. Rozmowę przerwało im wejście Pawła. Lokaj zameldował, że z Borku przybył ekonom i prosi jaśnie panią o rozmowę.

– Co tam słyhać, panie Olszak? – odezwała się uprzejmie, gdy ekonom przystanął w postawie pełnej szacunku. – Brzydką mamy zimę, prawda? Nie pamiętam takiej pluchy w lutym.

– Klęska, jaśnie pani dziedziczko – sapnął, zacierając zziębnięte ręce. – Wiosną robactwo rzuci się na pola, a robić nie będzie komu.

– Niechże pan siada. Ludzie nie chcą zarobić? – zdziwiła się, wiedząc z doświadczenia, iż chłopci zawsze łakomi byli na każdy grosz.

– A nie chcą! – powiedział, przysiadając skromnie na brzeżku krzesła. – Wszystko bez tą wojnę. Z parobków ino dwóch mi się zostało, a i to jeden kulas! Baby jazgoczą, że do roboty nie przyjdą, bo tera je wolność. A ja sam, proszę łaski jaśnie pani dziedziczki, wszystkiemu nie podołam.

– Gdzie się podzieli parobcy? Zimą zawsze po wsiach brakuje pracy – zauważyła Nina.

Olszak westchnął.

– Gdzie? Na wojaczkę poszli, zamiast gnój wyrzucać! Mój chłopak także czmychnął do lasu, a żeby go...!

Nina odwzajemniła wymowne spojrzenie rządcy i z trudem utrzymała powagę. Oboje wiedzieli, że Olszak sam po cichu wyprawił jedyne go syna i parobków do partii hrabiego, ale głośno się do tego nie przyznawał. Był to bardzo porządny i dobry człowiek, zaradny gospodarz. Nina zamierzała w przyszłości wydzierżawić mu folwark Borek, gdzie mieszkał od wielu lat. Lubiała go i bardzo ceniła zaradność pani Olszakowej, której wina owocowe i nalewki słynne były na całą okolicę.

– Może będę mogła temu zaradzić – powiedziała z uśmiechem. – Mamy wielu bezrolnych, przyślę ich do pana, niech sobie ludzie zarobią na kupno

drobiu czy sprzętów. Proszę, żeby traktowano ich wyrozumiale, to biedni ludzie.

– Słyszał pan – wtrącił rządcą – co chłopci zrobili panu Borutyńskiemu z Sarnik?

– U nas tego nie będzie! – stanowczo oświadczył ekonom. – Nigdzie panowie tak dobrze nie traktują chłopstwa, jak w majątkach jaśnie pana hrabiego Klonowieckiego.

– Tak, to zasługa mego męża – przyznała Nina z dumą. – A w Borku wszystko w porządku?

– Oj nie! – Ekonom wzniósł oczy i zaczął kolejno wyliczać mnożące się lawinowo szkody. – Stodoła ma dach dziurawy i trza go naprawić, a co gorsza, padł dobry byk, nadziawszy się na bronę, którą niezdara parobek pozostawił na podwórzu. Moja stara gadała, że jakaś zaraza dziesiątkuje drób. Niceśmy ostatnio nie sprzedali – żalił się Olszak, wzdychając. – Bodzentyn spalony, Suchedniów także, jarmarków nie ma. W Tarczku burmistrz się boi, że jak urządzi jarmark, to wpadną kozunie i rozkradną, co im w łapy wpadnie. – Pokiwał głową i ciągnął płaczliwie: – A szelma parobek byka nie utrzymał i bydłę wpakowało się na bronę. Nogi se połamał i trza go było dorznąć. Szkoda gadziny.

– Co zrobiliście z mięsem? – zainteresowała się Nina, słuchając go bardzo uważnie.

– Nic! Nocą przyszli jacyś, weszli do spichlerza, parobkowi dali w łeb, mnie przystawili lufę pistoletu do głowy i kazali gębę trzymać zamkniętą. Zabrali mięso, cztery barany i parę gąsek. Potem se poszli i tyłem ich widział.

Olszak poruszył się niespokojnie w obawie, aby dziedziczka nie posądziła go o nieczyste interesy. Ale Nina dobrze znała uczciwość ekonomy i tylko zmartwiła się narastającym bezprawiem, spodziewając się w przyszłości nachodzenia domu przez obie walczące strony.

– A kozaków nie widzieliście w pobliżu? – spytał zatroskany pan Bochniak.

– Panu Bogu dzięki, jeszcze się koło nas nie pokazali.

– Nie dajcie się zwieść pozorom! – ostrzegła Nina. – Kozacy są w naszej okolicy. Radzę, wyprawcie kobiety i dzieci do puszczy, niech zabiorą z sobą bydło.

W głębi lasu ludzie mieli przygotowane prowizoryczne zagrody. Ekonom obiecał, że jeszcze tego dnia każe zapędzić bydło do leśnej kryjówki. Pan Bochniak pożegnał się i wyszedł, polecając Olszakowi przyjść do kancelarii. Zostawszy sama z ekonomem, Nina spojrzała mu w oczy i rzekła:

– Panie Olszak, to, co teraz powiem, ma pozostać tylko między nami.

– Jestem na rozkazy jaśnie pani dziedziczki. – Ekonom pochylił się ku niej, oczekując w skupieniu polecenia.

– Pomiędzy Łomnem a Świętomarzem jest taka mała osada. Czy wie pan, gdzie to jest?

– Wiem.

– Dobrze. Zaraz na skraju lasu mieszka niejaka Katarzyna Owczarek. Panie Olszak, proszę wybrać ze stada dwie ładne mleczone krowy, wołu i konia, dużą maciorę z prosiętami, trochę kur, kaczek, gęsi i kilka owiec, a także jakieś sprzęty i naczynia. Niech pan każe to wszystko zawieźć tej kobiecie. Jest bardzo uboga, ale traktujcie ją z największym szacunkiem, bo wiele jej zawdzięczam. Proszę to jeszcze dziś załatwić.

– Dopilnuję, żeby wszystko było dostarczone przed wieczorem – powiedział, nie ośmieliwszy się o nic pytać ani komentować wydanego polecenia. – Katarzyna Owczarek, zapamiętam.

– Bardzo dziękuję. – Uśmiechnęła się i skinęła głową na znak, że audiencja skończona.

Ekonom skłonił się jej do kolan i wyszedł.

Cisza ukochanego domu nie przyniosła Ninie ukojenia, lecz jeszcze wzmogła niepokój. Od Aleksa nie było żadnej wiadomości i zamartwiała się o jego bezpieczeństwo. Nikt nie wiedział, gdzie toczą się walki – o ile w ogóle jeszcze się toczyły. Bardzo prędko okazało się, że była to cisza przed burzą...

Nazajutrz o świcie przybiegł z Borka zabeczany chłopak, opowiadając, że w nocy wpadli na folwark kozacy. Na szczęście stado bydła było już w puszczy, pod opieką pastuchów. Widząc puste obory, rozwścieczeni kozacy postanowili powiesić ekonoma na belce w stodole. Uratowała go przytomność żony, która kazała wytoczyć baryłkę wódki. Kozacy bezkarnie buszowali po całym folwarku, ucinając szablami głowy kurom i gęsiom, a

następnie każąc je sobie upiec. Dostało się i Olszakowej, broniącej bohatercko rozkradanego kurnika i świń wyciąganych z chlewika. Napastnicy szukali w chatach srebrnych rubli, dziurawiąc i rozpruwając pikami pościel, aż pierze fruwało gęsto jak śnieg po całym gospodarstwie.

Chłopów broniących swego dobytku kozacy smagali nahajkami, a sam esauł¹⁶ raczył zbić Olszakową po twarzy i skopał ją, bo kobieta nie chciała mu powiedzieć, gdzie podziało się bydło. Mszcząc się, esauł wygarnął cały żar z pieca na podłogę i śmiejąc się, zabronił gasić ogień. Dopiero po odjeździe kozaków zaczęto ratować przed pożarem budynki gospodarcze. Sama przyroda pośpieszyła z pomocą nieszczęśliwym ludziom, bo ulewny deszcz zgasił resztę płonącego dworku. Najstraszniejszy okazał się los tych dziewcząt, które nie zdążyły odejść do leśnej kryjówki. Chroniąc się przed kozakami, wpadły do stodoły, lecz pijani mołojcy szybko je tam znaleźli. Zamknęli się z nimi i tylko przeraźliwe krzyki i płacz gwałconych brutalnie dziewcząt rozlegały się spoza zamkniętych szczelnie wrót.

Słuchająca w milczeniu tej ponurej relacji Nina bladła i zaciskała pięści w bezsilnej wściekłości. Pan Bochniak kłął pod nosem, a pani ochmistrzyni wzięła z sobą chłopca do czeladnej, aby nakarmić go i ubrać, bo przybiegł prawie nagi. To nowe nieszczęście tak przygnębiło Ninę, że musiała odwrócić głowę, by rządca nie zobaczył łez w jej oczach.

– Musimy pomóc pogorzelncom – odezwała się cicho. – Ale najbardziej żal mi tych nieszczęsnych dziewcząt.

– Zaraz pojedę do Borku – rzekł pan Bochniak, szarpiąc nerwowo wąs. – Dopóki nie odbuduje się dworku, trzeba Olszaków gdzieś ulokować. Może na folwarku w Zameczku?

Nina skinęła głową i aż zmieniła się na twarzy, bo wyobraźnia podsunęła jej obraz kozaków wpadających do pałacu. Miała wrażenie, że jakaś twarda ręka chwyta ją za włosy i wlecze ku sobie, powala na posadzkę i zdziera z niej suknię. „Nie, to już lepsza śmierć” – pomyślała. Zadrżała i postanowiła ani na moment nie rozstawać się z bronią.

– A jak my się obronimy w razie najazdu kozaków? – zwróciła się z tym pytaniem do rządcy.

– Wódką! Już kazałem zatoczyć kilka baryłek do oficyny i upiję ich do nieprzytomności. Ale panie i młodsze kobiety poszukacie schronienia w lochach. Tam nikt was nie znajdzie.

– Ja nie zejść! – stanowczo sprzeciwiła się Nina. – Nie pozwolę, żeby te bestie spaliły mój dom!

– Pani hrabina zejździe do podziemia! – oświadczył pan Bochniak tonem, jakim nigdy nie ośmielił się do niej mówić. – Pan hrabia przed odjazdem wydał mi takie polecenie.

Nina momentalnie spokorniała i już bez sprzeciwu zgodziła się na wszystko, wzruszona myślą, iż mąż czuwał nad nią nawet z daleka. Wspomnienie o nim obudziło na nowo drżmiącą w niej tęsknotę. Czasami wydawało się jej, że wieki minęły od chwili rozstania, a przecież od tego dnia upłynęło zaledwie kilka tygodni.

Pragnąc zasłużyć na szacunek chłopów, postanowiła osobiście pojechać do Borku, biorąc do pomocy pannę Lutównę. Rządca próbował jej ten pomysł wyperswadować, lecz Nina tym razem nie ustąpiła i z właściwym sobie uporem postawiła na swoim. Ruszyła w asyście Maćka oraz kilku parobków uzbrojonych w kosy i siekiery.

Folwark, jeszcze poprzedniego dnia piękny i zasobny, był w opłakanym stanie. Dworek ekonoma, doszczętnie spalony, wznosił ku niebu poczerńiałe kikuty zwęglonych belek. Powietrze ciężkie było od smrodu spalenizny, a ze zgliszcz unosiły się dymy. Gospodarze, obrabowani z dorobku całego życia, siedzieli apatycznie na progach domostw. Na dziedzińcu poniewierały się połamane sprzęty i resztki zabitego drobiu, wszędzie stały zakrzepłe kałuże krwi po zarżniętych świniach. Mężczyźni i kobiety nosili na sobie ślady pobicia. Widok tych zniszczeń podziałał na Ninę jak policzek i wyzwanie. Zaciskając zęby, chodziła z rządcą po folwarku, spisując szkody i zastanawiając się, jak im zaradzić. Uznała, iż poszkodowanym należy udzielić zasiłku pieniężnego i dać im po jednej krowie z dworskich obór. Dworek bez zwłoki miał zostać odbudowany, a ekonom – wynagrodzony za straty.

Jednak sponiewieranym okrutnie dziewczętom niewiele mogła pomóc. Pijani mołojcy znęcali się nad nimi z wyjątkowym bestialstwem, nie tylko gwałcąc, ale i kalecząc swoje ofiary. Niektóre z nich były nieprzytomne, inne, będąc w szoku, krzyczały i nie można ich było uspokoić. W najgorszym stanie były dwie dziesięcioletnie dziewczynki. Trzeźwiąc je solami i opatrując rany, Nina trzęsła się ze złości: „Jezu Chryste, jak ja mam chronić moją ziemię i tych nieszczęsnych ludzi? – zadawała sobie pytanie, na które nie znajdowała odpowiedzi. – Gdyby to zależało ode

mnie, zwróciłabym się do dowódców rosyjskich, prosząc ich o ochronę. Dodatkowo zarobiłabym jakiś grosz, sprzedając im większość plonów, bydło oraz konie. Ale wiem, że wtedy wszyscy odwróciliby się ode mnie, uważając mój postępek za zdradę. Alek chyba by się mnie wyparł! Boże, czy obrona własnej ziemi i mieszkających na niej ludzi jest zdradą? Oszczędziłabym tym biednym dziewczętom strasznych przeżyć, uchroniłabym ich domy i mienie. Czy dlatego mam się uważać za złą Polkę? A tych, którzy doprowadzają ojczyznę do zguby i ostatecznej zagłady, należy uważać za dobrych patriotów? Co za głupota!”.

W drodze powrotnej wstąpiła do Ciężyn i przestrzegła Zosię przed najazdem kozaków. Przyjaciółka, przerażona dramatycznymi wydarzeniami w Borku, obiecała, że jeszcze tego dnia przeniesie się do Brzezińca, pod opiekę teścia. Opowiedziała Ninie, że pani wojewodzina niedomagała od chwili, kiedy otrzymała wiadomość o haniebnym zachowaniu Starewicza. Nina przyznała ze skruchą, iż od dawna nie odwiedzała starej damy, i postanowiła pojechać do Lipieńca, gdy tylko znajdzie odrobinę wolnego czasu. Nie przepadała za wojewodziną, ale pragnęła utrzymać z nią dobre stosunki, ze względu na męża, bardzo przywiązanego do matki chrzestnej.

Tymczasem kolumny rosyjskie uganiały się po bezdrożach, poszukując obozu Langiewicza. Stożące im na drodze ludzkie osiedla szły z dymem, a ich mieszkańcy kryli się po lasach lub ginęli. Generał Langiewicz, będąc jeszcze w Słupi, wydał odezwę do szlachty, oskarżając ją o sabotowanie powstania i sprzymierzanie się z zaborcą. Ostrzegał, iż jedynie w jego obozie szlachta może ocalić głowy i mienie przed zbuntowanym chłopstwem. Ta odezwa dołała oliwy do ognia i ostatecznie zraziła do niego ziemiaństwo, należące w większości do frakcji Białych.

Pułkownik Czengiery, rzutki i energiczny, starał się, jak mógł odnaleźć generała i zgnieść powstańców w jednej decydującej bitwie. Poszukiwał Langiewicza w górzystym i zalesionym terenie, świetnie nadającym się do działań partyzanckich. Ale generał sprytnie wyślizgiwał się mu z rąk, ciągle zmieniając miejsce pobytu.

Następnego dnia po napadzie na Borek Nina siedziała z rządcą w gabinecie, obliczając straty w folwarku i dyskutując nad kosztami

przywrócenia go do normalnego stanu. Byli tak zapracowani, że oboje podskoczyli, kiedy do pokoju wpadł Paweł.

– Ktoś przyjechał, proszę jaśnie pani hrabiny! – wrzasnął od progu.

– Kozacy? – Nina poczuła, że robi się jej słabo.

– Nie, ino jakieś dwie panie. Przyjechały furką i chcą się widzieć z jaśnie panią hrabiną – wyjaśnił lokaj, otwierając gapiowato usta.

– Jakież panie?! To czego ty, gamoni, wpadasz tu jak bomba i straszysz panią hrabinę?! – ryknął na niego rozwścieczony rządcą, zauważywszy, że Nina zmieniła się na twarzy. – Wynocha, durniu, bo sam wyrzucę cię na zbity pysk!

Wystraszony Paweł uciekł, a zaintrygowana Nina narzuciła na ramiona ciepły szal i wyszła zobaczyć, kogo licho przyniosło. W tych czasach goście nie byli mile widziani, w każdym razie nie wszyscy. Wychyliwszy się z galerii na piętrze, spojrzała w dół do sieni i ujrzała dwie kobiety, szczelnie otulone w płaszcze z kapturami. Przypatrzywszy się im dokładnie, zdębiała, nie wierząc własnym oczom.

– Ciotunia! – pisnęła przeraźliwie i rozłożywszy ramiona, zbiegła po schodach, rzucając się pani Salomei w ramiona.

Całowały się, płacząc z radości. Obok pani Borutyńskiej stała wysoka szczupła panna. Spod ciemnego kaptura, podbitego jedwabiem, wymykały się długie jasne warkocze.

– A to, Nineczko, jest Emilka Maciejewska, narzeczona Janka – przedstawiła ją Salomea.

Panna dygnęła ceremonialnie, lecz Nina, nie zważając na konwenanse, pochwyciła ją w objęcia i serdecznie ucałowała. Panna Maciejewska przypatrzyła się jej i z niedowierzaniem potrząsnęła głową.

– Janusz wiele razy mi mówił, że pani hrabina jest bardzo piękna, ale nie wyobrażałam sobie, że aż tak – odezwała się przyjemnym, melodyjnym głosem.

Jej słowa bardzo pochlebily Ninie, bo nie miała wątpliwości, że są szczerze. Od pierwszego spojrzenia poczuła do panny Emilii wielką sympatię. Roześmiała się i ponownie ją ucałowała.

– Protestuję! – zawołała wesoło. – Nie ma tu żadnej pani hrabiny. Uważam Jasia za rodzzonego brata i nie wątpię, że w tobie znajdę siostrę. Najmilsze moje, zapraszam do ciepłego pokoju, bo w sieni zimno. Jezus Maria! – Klasnęła nagle. – Jechaliście same taki kawał drogi? Ciociu,

przecież pisałam, że poślę po was karetę. Tutaj wszędzie są kozacy. W nocy napadli na mój folwark, spalili dworek ekonoma, a ludzi okradli i pobili.

– Miałyśmy szczęście, Nineczko – opowiadała idąca za nią pani Salomea.
– Poczcwiy pocztylion dowiózł nas bezpiecznie do samego Bodzentyna. Spłakałyśmy się z Emilką nad losem biednych mieszczan. Są tak przerażeni, że dopiero obietnicą sowitej zapłaty udało się nam nakłonić jakiegoś Żyda, aby podwiózł nas do Makowa.

Obie przybyłe panie weszły do buduaru i przystanąły w drzwiach, oniemiałe na widok przepychu wnętrza.

– Ach, jakże tu cudownie – wyszeptła panna Emilia, rozglądając się z zachwytem.

Przystanąwszy przy płonącym kominku, ogrzewała zmarznięte dłonie, a jej oczy wędrowały z przedmiotu na przedmiot.

– Rzeczywiście, przepięknie – przytaknęła pani Salomea, zdejmując okrywające ją ciepłe szale. Usiadła na kanapce obitej purpurowym aksamitem i rozejrzała się. – Ale ja nie znam tych pokoi. Zapewne pan hrabia przygotował je dla ciebie przed ślubem?

– Owszem. Potem oprowadzę panie po domu. Ale najpierw opowiedzcie mi, kochane, jak wam minęła podróż.

– O, nawet znośnie. – Starsza dama posłała Ninie słodki uśmiech. – Tylko trzy razy zatrzymywano nas na rogatkach i legitymowano. Szczęśliwie poczta w Suchedniowie działa i mogłyśmy wynająć powóz. Dziecinko, zlituj się, czy wiesz, gdzie jest Janek?

Nina momentalnie przestała się uśmiechać i ściągnęła brwi.

– Nie wiem, ciociu. Jest w oddziale Alka i niedawno stoczyli bitwę z Moskalami, odnosząc świetne zwycięstwo. Potem poszli do Langiewicza.

– Czy to prawda – przerwała jej panna Maciejewska – że pan generał Langiewicz poniósł w Wąchocku porażkę? Mówiono nam o tym w karcie pocztowej.

– Tak, to prawda. Langiewicz został rozbity przez generała Marka. Ale partia mego męża przebiła się przez Moskali i poszła w stronę Brodów, osłaniając uciekającą ludność cywilną. Tyle się dowiedziałam od pana pułkownika Czachowskiego – wyjaśniła Nina, nie wspomniawszy, że Brody zostały spalone. – Z Jasia możecie panie być bardzo dumne. Walczył z szaloną odwagą, a chłopcy po prostu go uwielbiają za jego dobroć i poświęcenie, z jakim pielęgnuje rannych.

– To powiadasz, moje dziecko, że partia pana hrabiego znajduje się w pobliżu? – zapytała pani Salomea, nie orientując się w sytuacji. – Więc dlaczego nie dają o sobie znać?

Nina spuściła oczy, lękając się, by starsza pani nie odgadła prawdy.

– Dowódca kawalerii pana generała Langiewicza powiedział mi, że z pewnością nie przydarzyło im się nic złego, ponieważ rozbicie tak dużego oddziału nie obyłoby się bez hałasu. Rosjanie pochwaliliby się takim sukcesem. Zresztą partia Alka jest znakomicie uzbrojona w broń palną.

– Z pewnością by się pochwalili. – Pani Salomea nieznacznie otarła wilgotne powieki.

– Błagam, niech mamusia nie płacze. – Panna Emilia starała się ją czule pocieszać. – Janusz żyje i wkrótce go zobaczymy. Ani na moment w to nie wątpię.

Rozmawiając, Nina dyskretnie przypatrywała się panie Maciejewskiej. Uznała, że Jaś zrobił znakomity wybór. Panna była rzeczywiście bardzo ładna. Wysoka i zgrabna, miała błękitne melancholijne oczy, śliczną cerę, perłowe zęby i przepyszne długie popielatoblond włosy. Jej maniere były wytworne i znać w niej było dobrą szlachecką krew. Siedząc w dystyngowanej pozie, rozglądała się ciekawie po buduarze. Zaimponowała jej ta wielkopańska rezydencja, a spodziewała się zapewne znaleźć w bogatym ziemiańskim dworze.

– Jak liczna jest partia pana hrabiego? – spytała pani Salomea.

– Około czterystu ludzi dobrze uzbrojonych w karabiny, szable i kosy.

Starsza pani odetchnęła.

– W takim razie to niemożliwe, ażeby Moskale mogli tak bez rozgłosu...

– Pani Borutyńska urwała i przez dłuższą chwilę zmagiała się, tłumiąc wybuch rozpaczy. – ...zabrać ich do niewoli – dokończyła prędko i przełknęła łzy.

– Niechże mateczka nawet o tym nie myśli! – Panna Emilia pochwyciła obie jej dłonie i podniosła do ust. Widać było, że kocha swoją przyszłą teściową jak rodzoną matkę.

– Ależ skąd, to absolutnie wykluczone! – poparła ją zdecydowanie Nina.

– Boże, jak ja się cieszę, że panie zechciały przyjechać do Makowa. Już nie będę sama oczekiwała na wiadomości.

Do buduaru weszła Mira, powiadomiona o przyjeździe gości. Z szacunkiem powitała panią Salomeę, a Emilkę z okrzykiem radości.

Okazało się, że obie uczęszczały w Warszawie na tajne kursy sanitarne i dobrze się znały. Zaraz też usiadły na uboczu i rozmawiały ściszymi głosami.

– Ślicznie wyglądasz, dziecinko. – Pani Salomea spojrzała na Ninę ze słodkim macierzyńskim uśmiechem. – Wyobrażam sobie, jaka jesteś szczęśliwa, oczekując maleństwa. Jakbym miała własną córkę, nie cieszyłabym się bardziej. Pan hrabia musi cię za to uwielbiać, prawda? To kiedy się spodziewasz?

– Prawdopodobnie w maju. – Nina imitacją uśmiechu pokryła niezadowolenie. Nie lubiła, gdy przypominano jej o zbliżającym się porodzie. Bała się tej myśli. – Alek i Jaś nalegali, żebym przed rozwiązaniem wyjechała do Warszawy, ale teraz nie mogę pozostawić domu na łasce Opatrzności.

– Kochanie, powinnaś koniecznie zastosować się do zaleceń Janka. On cię bardzo kocha i pragnął zapewnić ci najlepszą opiekę – łagodnie zauważyła pani Borutyńska. – Zresztą mamy jeszcze trochę czasu. Możliwe, że do maja sytuacja się ustabilizuje.

Nina nie zdążyła odpowiedzieć, bo weszła pani ochmistrzyni z powitaniem, oznajmiając, że posiłek już podano w małej jadalni.

Obie przybyłe damy z apetytem zajadały wiejskie przysmaki. W miastach panowała szalona drożyzna i w skromnych domach mieszczańskich rzadko pozwalano sobie na drób, ryby czy lepsze mięso. Po śniadaniu powróciły do buduaru, a gdy pokojówka ustawiła na stoliczku klosz z owocami i kruche ciasteczka, Nina opowiedziała o napadzie na Borek i strasznym losie zgwałconych dziewcząt.

– Mój Boże, jakie to okrutne! – W oczach pani Salomei malowała się bezradna troska. – W czasie wojny mężczyzna może zostać zabity lub wzięty do niewoli, ale najgorsze niebezpieczeństwo czyha na kobiety. Męka i hańba!

Trzy młode damy spłonęły rumieńcem.

– Podobno wielki książę Konstanty nie jest człowiekiem okrutnym – odezwała się po chwili milczenia panna Emilia. – Próbuje nie dopuścić do masowych mordów.

– Tak myślisz? – Wzburzona Nina odłożyła ugryzione ciasteczko na talerzyk. – Nawet nie wyobrażacie sobie, co się działo w Bodzentynie, Suchedniowie, Wąchocku i innych miasteczkach. Tam wojsko nie

przestrzegało praw boskich ani ludzkich. Podejrzewam, że książę namiestnik nie ma już żadnego wpływu na rozwój wypadków w kraju. O wszystkim decyduje sam car i jego generałowie, a przede wszystkim żołdaci. Zdarzają się nawet samosądy na bardziej ludzkich oficerach wstawiających się za jeńcami polskimi. Słyszałam, że generał Chrulew kazał żołdatom traktować takich oficerów jak zdrajców i brać ich na bagnety!

Nawet nie przypuszczała, jak trafna była ta ocena sytuacji. Właśnie w tym samym czasie na dworze cesarskim doszła do głosu partia konserwatywna, wroga wszelkim reformom i nieprzyjazna Polsce. To ona wpływała na decyzje cara i kształtowała opinię publiczną, domagając się między innymi usunięcia z Warszawy wielkiego księcia Konstantego Mikołajewicza i zastąpienia go człowiekiem zdolnym w krótkim czasie stłumić krwawo bunt w Polsce.

Panna Emilia przerwała nagle rozmowę z Mirą i zwróciła się do Niny:

– Czy pani hrabina... *O pardon!* Nino, czy będę mogła jutro wziąć bryczkę? Chciałabym pojechać do Porajów.

Nina zrobiła wielkie oczy.

– A skąd ty wiesz o Porajach? Przecież nie znasz panny Lasewiczówny i tych stron.

– Znam doskonale wszystkich sąsiadów z opowiadania Janusza. Mam dla panny Lasewiczówny listy z Warszawy. – Speszona Emilka nerwowym gestem odgarnęła włosy z czoła.

Nina gwałtownie chwyciła oddech.

– Ach tak... – rzekła z wymuszonym spokojem. – Nie tłumacz się, rozumiem. Naturalnie, że dostaniesz powóz i eskortę, bo samej cię nie puszcze.

– Ja pojedę z Emilką – wyrwała się Mira.

– Oho, już się dogadały, panny konspiratorki – mruknęła Nina z przekąsem. – No, mniejsza z tym. Proszę o nowiny ze stolicy. Słyszałam, że rząd wyjechał z Warszawy. Kto więc pozostał „na gospodarstwie”?

– Naczelnik miasta, pan Grabowski. – Panna Maciejewska wzięła mały nożyk i zaczęła obierać jabłko.

– Grabowski? – zdziwiła się Nina. – Z hrabiów Grabowskich?

– Nie, to tylko pseudonim – wyjaśniła panna Emilia. – Tak naprawdę pan naczelnik nazywa się Stefan Bobrowski¹⁷.

– Bobrowski? – Nina wysoko uniosła brwi. – Rodzina Bobrowskich jest z Oratowa na Kresach, podobno to bardzo majątni ludzie, a pan Stefan „czerwony”? Znasz go?

– Naturalnie. Janusz znał go jeszcze z Kijowa. Ja poznałam pana Stefana, pracując jako łączniczka Komitetu.

Nina w ostatniej chwili powstrzymała się od głośnego gwizdnięcia. Wolała nie wyobrażać sobie, co pomyślałyby obie damy, słysząc gwizdzącą hrabinę! „No, no, dobrane towarzystwo” – osądziła z wisielczym humorem.

– Pan Stefan to cudowny człowiek – ciągnęła panna Maciejewska. – Pomimo młodego wieku, bo ma dopiero dwadzieścia dwa lata, jest ogólnie szanowany i kochany. Wygląda na osobę wiecznie roztargnioną i ma bardzo chore oczy. Wbrew tym pozorom to mężczyzna energiczny, stanowczy i bezgranicznie oddany sprawie. Błagam, nie powtarzajcie panie tego nikomu. Wygadałam się, a nie powinnam, bo składałam przysięgę.

– Ależ nie krępuj się, kochanie – oświadczyła Nina ze zjadliwym uśmiechem. – Jesteś w gnieździe spiskowców. Począwszy od mego męża, kończąc na stajennych, wszyscy siedzą tu po uszy w konspiracji. Nawet mój pocziwy rządca i kamerdyner. Większość służby jest zaprzysiężona, a Mirunia działa w jakichś „piątkach”.

– Doprawdy? – ucieszyła się panna Emilia, nie rozumiawszy ironii. – Oczywiście i ty, Nino, również należysz do naszych „piątek”, prawda?

– Ja nie należę i bardzo staram się trzymać z dala od polityki. W tym domu musi być ktoś mający obiektywny stosunek do wydarzeń. Ja, moje uroczę panie konspiratorki, nie mam z konspiracją nic wspólnego, ale przeczuwam, że w niedługim czasie będę zmuszona ponieść konsekwencje waszej entuzjastycznej działalności.

Panna Emilia i Mira wymieniły spłoszone spojrzenia i spuściły głowy. Nina, machnąwszy ręką, prędko zmieniła temat:

– Czy w Warszawie nadal panuje taki terror jak ubiegłej zimy?

– Niestety tak. – Panna Maciejewska odchrząknęła z ulgą. – Audytoriat połowy pracuje bez wytchnienia, skazując ludzi na katorgę i na karę śmierci. Nocami po domach przeprowadzane są rewizje, prawda, mamusiu? Na stokach Cytadeli odbyło się już kilka masowych egzekucji. Dla postrachu wieszają także na placu Aleksandra i w innych miejscach. U nas też niedawno była rewizja. Przewrócili mieszkanie do góry nogami, a papciowi kazali stawić się w cyrkule.

– Jakie to szczęście, że nie mieliście państwo w domu nic kompromitującego – szepnęła Mira.

– Wprost przeciwnie! Mieliśmy mnóstwo ulotek, instrukcje dla oddziałów, a nawet rewolwer, który miałam dostarczyć pewnej osobie.

– I policja nic nie znalazła?! – wykrzyknęły niemal jednocześnie Nina i panna Lutówna.

Emilka przełknęła kęs jabłka i zachichotała.

– Postarała się o to nasza kochana kucharcia. W ostatniej chwili zgarnęła wszystko i schowała do... pantalonów! Ale przez cały czas rewizji musiała stać na baczność, bo się obawiała, że ulotki i rewolwer wypadną jej przez szerokie nogawki!

Panie wybuchły śmiechem i długo chichotały, ocierając z oczu łzy.

[16](#) Stopień oficerski w pułkach kozackich carskiej Rosji.

[17](#) Stefan Bobrowski (1841–1863) – wybitny działacz lewicy Czerwonych, przewodniczący Komitetu Centralnego Narodowego, naczelnik miasta Warszawy. Zginął w pojedynku sprowokowanym przez Białych.

Przyjazd pań z Warszawy ożywił życie w pałacu i bardzo Ninę ucieszył. Kochała panią Salomeę za słodczy charakter, dobroć i wykwintne maniery, przypominające jej nieodżałowaną hrabinę Teklę. Panna Emilia również zrobiła na niej jak najlepsze wrażenie. Wyglądała na osobę odważną i stanowczą. O jej odwadze świadczył fakt, iż pełniła obowiązki łączniczki rządu, narażając się na aresztowanie. Zresztą Jaś nie oddałby serca kobiecie tchórzliwej i niewiele wartej.

Nagła cisza, która zapanowała w Górach Świętokrzyskich, nie wróżyła nic dobrego. Nie przynosiła nerwom ukojenia, a jedynie zwiększała niepokój. Nikt nie wiedział, czy powstanie jeszcze się tli i czy gdzieś się toczą walki. Prasa podziemna docierała na prowincję bardzo rzadko, przywożona najczęściej przez kurierów, a do Makowa trafiała przez ręce proboszcza albo Miry. Za to w oficjalnych gazetach władz carskich nie było nawet wzmianki o toczących się bojach, bo każde zdanie zostało dokładnie ocenzurowane. Pomiędzy ludźmi krążyły fantastyczne pogłoski, wzbudzając nieuzasadnione nadzieje lub siejąc panikę.

Pewnego dnia przybył do Porajów kurier, przywożąc gazetkę podziemną „Wiadomości z Pola Bitwy”, wydawaną przez dziennikarzy powstańców. Mira otrzymała ją od panny Kazimiery i wróciwszy do Makowa, przeczytała ją głośno od deski do deski. Wszyscy domownicy, zebrani w bibliotece, wysłuchali z uwagą najnowszych wiadomości o potyczkach i stoczonych bitwach. Okazało się, że oddział Kurowskiego zdobył w Sosnowcu w Komorze Celnej ogromne pieniądze. Dowiedziano się z gazetki, że pod Węgrowem rozegrała się bitwa wyjątkowo krwawa i zacięta. Powstańcy raz jeszcze dowiedli, że odwagą i pogardą śmierci nie tylko dorównują, lecz nawet przewyższają walecznych żołnierzy rosyjskich. Na rozkaz dowódcy Jabłonowskiego jego kosynierzy przypuścili szalony atak na strzelającą kartaczami baterię armat. Szturm o mało nie zakończył się zwycięstwem powstańców, gdyż kosynierzy podbiegli tak blisko, iż oficerowie rosyjscy zaczęli strzelać do nich z rewolwerów. Jednakże bohaterstwo kosynierów nie zdało się na nic, bo nieudolnie dowodzeni, musieli się cofnąć, zaściełając pole bitwy trupami. Ponad stu kosynierów zapłaciło życiem za błędy swojego dowódcy.

Podobny przebieg miała bitwa pod Siemiatyczami. Tam również użyto kosynierów do ataku na baterię dział, lecz wobec ogromnej przewagi nieprzyjaciela powstańcy zmuszeni byli wycofać się z miasteczka, oddając

je Rosjanom. Nawet wielki książę namiestnik był pod wrażeniem odwagi i zawziętości Polaków, o czym wspomniał w liście do cara. Węgrów, Siemiatycze, Tomaszów Lubelski zostały doszczętnie spalone, a ludność spacyfikowana. Zabitych liczyło się już w tysiącach, a ranni zapełniali lazarety polowe, tajne miejskie szpitale i dwory, których właściciele mieli odwagę przyjąć pod swój dach rannego powstańca. W Górach Świętokrzyskich kolumny rosyjskie ścigające Langiewicza nagle zgubiły trop i zaczęły krążyć, poszukując śladów wycofujących się polskich oddziałów.

Był to jeden z tych dni w lutym, kiedy słońce świeci jasno jak w marcu i zwiastuje nadejście przedwiośnia. Po śniadaniu Nina wybrała się do stajni, aby przywitać się z Mignon i zanieść jej trochę przysmaków. Klacz zarżała i położyła jej głowę na ramieniu, usiłując polizać swoją panią w policzek.

– Maciuś, jeździłeś dziś na Mignon? – spytała, podając ulubienicy marchewkę.

– A jakże – odrzekł, podnosząc głowę i przerywając szczotkowanie wałacha, bo niewiele stajennych pozostało do pracy. – Codziennie jeżdżę, bo nie trza, żeby się klaczka zastała. – Wrócił do przerwanej roboty, energicznie czyszcząc bok konia. W takt ruchów szczotki podśpiewywał sobie bojową piosenkę: „Oto jest wolności śpiew, śpiew, śpiew! My za nią przelejem krew, krew, krew!”.

– Na razie przelewasz z pustego w próżne, a koń ma brudne kopyta! – zganiła go ze złością.

Nienawidziła tych wszystkich pieśni patriotycznych, w których krew się lała jak woda deszczowa z rynny.

– To mam nie śpiewać? – zdziwił się Maciek, przerywając po raz drugi końską toaletę. – Przecie to pani nauczycielka uczy nas tych piosenek i mówi, żeby je często śpiewać.

„Ach, ta Mira i ta jej pasja wpajania wszystkim męczeńskich tematów!” – pomyślała Nina z wściekłością.

– Maciek, jest tyle ładnych wiejskich piosenek, śpiewaj choćby do wieczora – wycedziła, gładząc jedwabistą sierść klaczki.

Chłopak spojrzał na nią przekornie i powracając do swego zajęcia, jął wyśpiewywać głośno i z przesadnym zapałem:

Powiedziałaś, że nie pójdziesz za mnie,

*bom ja bidny, ubogi.
Mam cię gdziesik, ty łakudro, za to.
Latasz po wsi jak suka kudłato.
Nie wydasz się jeszcze tego roku,
ty pieruński tłumoku.*

Nina parsknęła śmiechem i nie mogła się powstrzymać, żeby nie potargać pieszczotliwie jego słomianej czupryny.

– Dobrze. Zemściłeś się na mnie i jesteśmy kwita. A teraz posłuchaj uważnie... Umarł stary Burzawa, a jego dom i dwie włóki ziemi wróciły do dziedzica, bo stary nie miał krewnych. Od dziś całe jego gospodarstwo należy do ciebie.

Maćkowi szczotka wypadła z ręki, otworzył usta i wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

– Jakże? Przecie to nie moje. Za co?

– Ty dałeś mi życie, ja daję ci ziemię.

– Nie chcę! Ja nie dlatego...! – krzyknął wzburzony.

– Wiem o tym, ale znam cię i tak myślę, że najlepszą nagrodą będzie własna ziemia. Dostaniesz jej jeszcze więcej, a gdy się pogoda ustali, pojedziemy do miasteczka i u rejenta przepiszę gospodarkę na ciebie.

Chłopak najpierw oniemiał i stał bez ruchu, tylko drżenie ust i szeroko rozwarte oczy świadczyły o tym, co się działo w jego duszy. Naraz runął na kolana i w uniesieniu zaczął całować nogi Niny i skraj sukni, płacząc i bełkocząc słowa podziękowań.

– Nie dziękuj, Maciuś. To ja dziękuję tobie, że żyję, a kiedyś podziękuję ci moje dziecko. No, wstań... Gdzie Tomek?

– A siedzi na wieżycze. Wypatruje Moskali – odpowiedział, ochłonawszy z szału radości.

– Powiedz mu, żeby przyszedł do mnie. Jest bardzo zdolny, pojedzie do Kielc i będzie się uczyć. – Ale Maciek pewnie jej nie słyszał, niemal nieprzytomny z podniecenia.

– Jezusie... – szeptał do siebie, a po opalonych policzkach spływały mu łzy. – Dwie włóki! Sześćdziesiąt mórg ziemi! Maryjo Przenajświętsza... I piękna chałupa! Gospodarstwo jak u dziedzica, sam widziałem.

– Maciek, bądź mężczyzną, przestań się mazać! – upomniała go Nina tonem starego kaprała. – To na początek. Dom możesz rozbudować, bo

drewno i cegły dostaniesz za darmo. Poproszę pana Bochniaka, żeby zaczął cię przyuczać do zarządzania folwarkiem. Kto wie, może w przyszłości zostaniesz rządcą Makowa?

– Kiedy mi wstyd brać – szepnął. – Przecie ja bez nagrody broniłbym mojej paniuleczki do śmierci.

– To weź ze wstydem! Nie robię ci żadnej łaski. No, przestań mnie całować, tylko idź i obejrzyj dom. A przyślij mi Tomka, słyszysz?! – zawołała za nim, bo chłopak, tak jak stał, w samej koszuli i bez czapki, pognął do wsi.

Szła do domu uśmiechnięta, ciesząc się szczęściem ulubieńca. Rozglądała się po drzewach, jeszcze bezlistnych, marząc, aby ta zima nareszcie się skończyła.

Wróciwszy do siebie, umyła ręce, pogłaskała Grota i przeszła do buduaru, gdzie siedziały panie, szyjąc odzież dla ubogich i czekając na obiad. Mira i Emilka nuciły nową piosenkę powstańczą. Nina usłyszała tylko ostatnie słowa zwrotki:

*Śpij, żołnierzu, w ciemnym grobie,
niech się Polska przyśni tobie*[18](#).

„Jezu, żeby jeszcze w grobie miał biedak koszmarne sny?” – pomyślała z ironią. Usiadła i wzięła się do haftowania kapki do chrztu, ale nie miała chęci do pracy i z ulgą powitała Walentego, zapraszającego na obiad. W małej jadalni biał się śnieżny obrus i lśniła w promieniach słońca posrebrzana zastawa stołowa. W porcelanowym wazonie, ustawionym na środku stołu, pysznił się duży bukiet purpurowych i żółtych tulipanów z zimowego ogrodu. Pani Salomea podzieliła się z paniami wrażeniami z wizyty w Sarnikach.

– Wyobraź sobie, Nineczko, że Ksawery już się lepiej czuje. Marynia dziękuje ci za ten balsam, który posłałaś wujowi. Okazał się bardzo pomocny. Tak serdecznie nas przyjęto, a Emilka bardzo spodobała się Maryni i Ksaweremu. Córeczko, pokaż ten pierścionek, który dostałaś od cioci Maryni.

Panna Maciejewska wyciągnęła rękę. Na jej serdecznym palcu iskrzył się tęczowo pierścień z dużym czystym jak łza brylantem. Nina pochwaliła klejnot, lecz jednocześnie serce jej przeszył ostry ból. Ona nigdy nie

otrzymała żadnego prezentu od ciotki ani tym bardziej od wuja. Jednak nie zazdrościła Emilce, bo pamiętała, że wujostwo uważali Jasia za syna i z pewnością kamień spadł im z serca, kiedy poznali pannę Maciejewską i przekonali się, jak wartościową kobietę Jaś zamierzał poślubić. Mimo że było jej bardzo przykro, zrobiła jednak dobrą minę i rzekła:

– Cieszę się, że balsam pomógł, ale to nie moja zasługa, tylko nieocenionej Kumosi.

W otwartych drzwiach ukazał się Paweł, dźwigając przed sobą wazę z zupą grzybową z francuskimi kluseczkami. O mało jej nie upuścił, usłyszawszy w sieni głośne krzyki i tupot nóg. Do jadalni wpadł Tomek, czerwony, zadyszany od szaleńczego biegu, chwytając gwałtownie powietrze rozchylonymi ustami. Oparł się plecami o drzwi i wychrypiął:

– Moskale!

Panie zerwały się z krzeseł, wydając okrzyki trwogi. Nina siedziała jak przykuta do miejsca. Tylko oczy jej ogromniały, policzki pobrały, serce skurczyło się z przerażenia. „Boże, ratuj! – myślała, czując, że lodowacieją jej dłonie i stopy. – Moskale w moim domu! Mogą nas pozabijać, a ja nie chcę jeszcze umierać. Muszę urodzić dziecko i zobaczyć choć raz Alka. Spalą mi dom, co mam robić? O Matko Miłosierdzia, ratuj!”. Rozejrzała się i nagle jak w kalejdoskopie przed jej oczami jęły się ukazywać sale i pokoje pałacu, jedne piękniejsze od drugich – od wielkiego salonu aż do komnat w starej części domu, cichych i pełnych wspomnień minionych wieków. To całe piękno mogło się zamienić w popiół od jednej ognistej pochodni! Nie! Od niej i tylko od niej zależało, czy dom ocaleje, czy też ulegnie zagładzie!

Poczuła, że serce jej zamiera, a twarz kamienieje, blada i nieruchoma jak oblicze umarłej. Spojrzała na pannę Emilię i spostrzegła, że oblicze dziewczyny również przypominało maskę. Mira nerwowo pociągała nosem, a pani Salomea wolno usiadła i skinęła na Pawła.

– Proszę nalewać zupę! – rozkazała spokojnie, biorąc do ręki łyżkę.

Nina poczuła podziw dla starszej damy i zdoławszy się opanować, spytała Tomka:

– Gdzie są Moskale i ilu ich tu idzie?

Chłopak odetchnął i podszedł do stołu.

– Wyszli z lasu od strony Śniadki, dlatego ich wcześniej nie zobaczyliśmy. Są już na skraju wsi. Widziałem piechotę, mają też armaty, a dokoła harczą kozacy. Cała armia idzie na nas. Co jaśnie pani rozkaże?

Nina zastanawiała się gorączkowo, jak ma się zachować. Do jadalni przybiegła cała służba. Kobiety szlochały, głośno wzywając pomocy boskiej, mężczyźni zaciskali puste dłonie. Widząc twarze ludzi, wykrzywione grymasem przerażenia, Nina odzyskała zdolność koncentracji i zwykłą w krytycznych razach energię.

– To tylko garstka nędznych żołdatów – odezwała się, pogardliwie krzywiąc usta. – Damy sobie radę! Wszystko zależy od nas samych. Wykonujcie ich polecenia i nie sprzeciwiajcie się im, bo są od nas silniejsi. Starajcie się podsłuchiwać, co mówią i zawiadamiajcie mnie o każdym ich kroku. Tomku, biegnij powiadomić pana rządcę i ludzi z czworaków, a potem wracaj do stajni i dopilnuj, żeby chłopcy strzegli koni zaprzęgowych. Dobrze, że całe stado jest już w puszczy. Słuchajcie, nikomu nie wolno wspominać pana! Jest za granicą i koniec.

Tomek zamrugał i końcem języka oblizał spieczoną wargę.

– O, żeby tak mieć dobre karabiny i armaty, to przegonilibyśmy burków z Makowa!

Nina posłała mu spojrzenie pełne podziwu. Jedynym marzeniem tego dzieciaka było posiadanie broni i walka. Już raz okazał przytomność umysłu i zimną krew. Teraz po raz drugi zaimponował jej odwagą, kiedy sama czuła się wprost sparaliżowana strachem.

– Gdybyśmy mieli... Ale nie mamy broni, więc musimy walczyć z nimi chytrą i pozorną uległością, rozumiesz? A teraz skocz do pana rządcy – odpowiedziała i wyciągnęła do niego rękę.

– Pewnie, że rozumiem – mruknął i ucałowawszy jej dłoń, wyszedł z zuchwałą miną, nucąc pod nosem: „Ej, ostre kosy nasze, wystarczą na krótkie moskiewskie pałasze”...

– Dzielny chłopiec – pochwaliła pani Salomea, odprowadzając go macierzyńskim spojrzeniem.

– Obawiam się, żeby nie okazał się nazbyt dzielny – westchnęła Nina i zwróciła się do stojącego za jej fotelem kamerdynera: – Walenty, niech ludzie wracają do normalnych zajęć i proszę na wszystko mieć oko.

Na jego polecenie służba rozeszła się powoli, półgłosem dzieląc się trwożnymi uwagami.

– Jeżeli idzie tu cała armia, jak powiada Tomek, to i sztab być musi. – Nina odchrząknęła, dodając tym sobie odwagi. – Lepsze to od najazdu samych kozaków. Błagam was, najmilsze, nie pozwólcie sobie na żadne

gesty wrogości. Okazywanie nienawiści w naszym położeniu równałoby się głupocie, nie odwadze. Jesteśmy przecież rodziną arystokraty niemającego nic wspólnego z tą „polską ruchawką”. Ciotuniu, twoje spojrzenie jest aż nadto wymowne. Może wolisz pójść do swego pokoju? A wy, dziewczęta, zostaniecie ze mną?

– Oczywiście, że zostaniemy, prawda, Miruniu? – Panna Maciejewska zaczęła jeść chłodną już zupę.

– Naturalnie, że ja ciebie, Nineczko, nie opuszczę – zapewniła panna Lutówna, splatając pod stołem drżące palce.

– Ja także nigdzie się nie wybieram – oświadczyła z mocą pani Salomea.
– Poza tym to nie uchodzi, żeby trzy młode damy przebywały bez obecności osoby starszej z tymi żołdakami. O, ja potrafię udawać równie dobrze jak wy!

Stwarzając pozory, że jedzą, wsłuchiwały się z napięciem w narastający zgiełk. Na kamiennych taflach podjazdu rozlegało się stąpanie wielu koni. Dźwięczały podkowy, dudniły toczące się działa. Ostre męskie głosy wydawały wrzaskliwe rozkazy w obcej nienawistnej mowie. Nina czuła na przemian raz zimno, raz gorąco. Płoneła jej twarz, miała sucho w ustach, a czoło zroszone zimnym potem. Ściskając w palcach łyżkę, mimo woli kulila się na krześle. „Boję się tych żołnierzy – myślała, zaciskając zęby i uparcie wpatrując się w talerz, żeby nikt nie dostrzegł wyrazu jej oczu. – Chciałabym schronić się przed nimi w mysią dziurę, ale nigdy nie porzucę mego domu. To jest moje gniazdo, darowane mi przez męża, i będę go bronić do śmierci. Chryste, wystarczy jedna pochodnia i pałac przestanie istnieć! A wtedy ja także umrę, a kiedy umrę, dziecko umrze wraz ze mną i Alek nigdy nie doczeka się potomstwa. Tatusiu, ciotuniu Teciu, módlcie się za mnie”.

Do jadalni wbiegła Jaga i stanęła przy krześle Niny, kładąc rękę na jej ramieniu. Drzwi na taras otworzyły się raptownie i do pokoju wpadł Maciek. Bez jednego słowa podszedł i ustawił się za plecami pani, a obok niego stanął Walenty, by podtrzymać ją na wypadek zasłabnięcia. Nina była im bezgranicznie wdzięczna za to spontaniczne jednomyślne wsparcie w godzinie próby.

– Nie wolno nam okazać, że się ich boimy – powiedziała szeptem.

– Bądź spokojna. – Pani Salomea posłała jej spojrzenie, w którym malowały się całkowita obojętność i chłód.

Na marmurowej posadzce sieni rozdzwoniły się ostrogi wchodzących do pałacu wojskowych. W szeroko otwartych drzwiach jadalni stanął rosły kozak i wytrzeszczywszy oczy, wrzasnął łamanym polskim językiem:

– *Jego błagarodje pułkownik Czengiery i gaspada aficery!*

Mocna ręka usunęła go z drogi i do pokoju wszedł mężczyzna w średnim wieku, zmęczony i pokryty błotem. Za nim postępowali oficerowie, ubrani w ciężkie zimowe płaszcze, uzbrojeni w rewolwery i szable. Nie zdejmując kepi z głów, rozglądali się z ciekawością po jadalni. Nina wystudowanym ruchem wyprostowała się na krześle i przypatrywała się intruzom wyniosłym wzrokiem. Jej trupio biała twarz nie zdradzała żadnego wzruszenia.

– Czy mam przyjemność z dziedziczką tego majątku? – odezwał się pułkownik po francusku, obrzucając damy badawczym spojrzeniem. Uroczy widok trzech wykwintnych kobiet, siedzących przy pięknie nakrytym stole, widocznie coś mu przypominał, bo starał się zachowywać uprzejmie.

„Ja wcale nie mam przyjemności!” – ze złością pomyślała Nina i lekko skinęła głową.

– Tak. To jest Maków, własność mego męża, hrabiego Aleksandra Iwanowicza Klonowieckiego.

– Jestem Ksawery Osipowicz Czengiery, a to moi panowie oficerowie. – Pułkownik postąpił krok naprzód. – Zmuszeni jesteśmy prosić panią hrabinę o kilkudniową gościnę. – Rzucił okiem na otaczającą ją asystę i coś jakby cień uśmiechu przemknął mu po wargach. – Pani hrabina może spokojnie odprawić swoją świtę. Jesteśmy oficerami, ludźmi honoru, i nie krzywdzimy dam.

– Mamy nadzieję, że pod opieką pana pułkownika nie spotka nas żadna przykrość – odezwała się pani Salomea chłodno i dobitnie. – Obawiałyśmy się napadu kozaków, którzy niedawno spalili nam folwark i skrzywdzili niewinnych ludzi.

Nina posłała jej wdzięczne spojrzenie i pomyślała, że przybyli Rosjanie nie wyglądali na okrutnych zbrodniarzy, byli tylko bardzo zmęczeni i brudni.

– Mogą panie czuć się zupełnie bezpiecznie. – Pułkownik złożył starszej damie ukłon. – Nie wszędzie witają nas tak uprzejmie, mimo iż nasza armia

niesie temu krajowi pokój. Czy moglibyśmy się gdzieś umyć i przebrać, bo przyszedliśmy tutaj prosto z marszu?

– Ależ oczywiście. – Nina obdarzyła go łaskawszym spojrzeniem. – Walenty, trzeba przygotować dla panów pokoje. Proszę nakryć w wielkiej jadalni i na razie podajcie panom zakąski i gorącą herbatę, żeby kuchmistrz miał czas przygotować posiłek. Za dwie godziny zapraszam do stołu.

Mówiąc to, miała tak miły wyraz twarzy, jakby najazd obcego wojska sprawił jej osobistą przyjemność. O pułkowniku Czengierym słyszała, że nie był Rosjaninem, lecz Węgrem i wychował się w Polsce, a jego ojciec był rządcą w szlacheckim dworze. Początkowo władze podejrzewały go nawet, iż po cichu sprzyjał Polakom, jednak nie była to prawda. Czengiery, lojalny, zdolny oficer, posłusznie wykonywał rozkazy zwierzchników. Wybuch powstania otwierał przed nim drogę do świetnej kariery wojskowej. Jednak nie był okrutny, jeśli nie zmuszały go do tego okoliczności. W miarę możliwości nie nadużywał swej władzy i nie zawsze korzystał z prawa silniejszego.

Nina posunęła swoją gościnność pani domu tak dalece, że osobiście wskazała pułkownikowi pokój. Uczyniła to ze złośliwym uśmiechem, postanawiając ulokować nieproszonego gościa w apartamencie kasztelana. „Ciekawa jestem, jak będzie mu się spało w towarzystwie Pauli? – myślała. – Jej sprawię przyjemność, bo zawsze lubiła sypiać z oficerami. Może przyczepi się do pułkownika i nareszcie przestanie mi się upiornie śnić?”

– Sądzę, że będzie tu panu pułkownikowi wygodnie. – Weszła do saloniku, omijając wzrokiem obraz. – Służący zaraz napali w kominku i przyniesie panu gorącą wodę do mycia.

Oczy oficera przyłgnęły do portretu hrabiny.

– Czy można wiedzieć, kogo ten obraz przedstawia? – zapytał, podchodząc bliżej. – Cóż to za piękność!

– To pierwsza żona mego męża. Nie żyje – poinformowała go Nina kwaśno. Nie lubiła, jak przy niej chwalono urodę Pauli. – Była frejliną na cesarskim dworze.

– A więc to Rosjanka?

– Córka rosyjskiego generała – wyjaśniła Nina. Z pewnością nie rozmawiałaby tak chętnie o Pauli, lecz pragnęła upewnić pułkownika, że znajduje się w domu obywateli lojalnych wobec władz carskich.

– Nie mam przyjemności znać pana hrabiego, lecz jestem przekonany, iż jest szczęśliwym mężczyzną, będąc małżonkiem dwóch najpiękniejszych kobiet – szarmancko zauważył pułkownik.

Posłała mu czarujący uśmiech, a kiedy zjawił się lokaj z gorącą wodą i chłopak z wiązką drewna na podpałkę, ponownie zaprosiła oficera na obiad i wyszła.

W kuchni zastała pana Szymona ponurego i wspartego na kopyści. Wysłuchał jej poleceń ze zmarszczonymi brwiami, potrząsając ze zgorzeniem głową.

– Ja, proszę jaśnie pani hrabiny, prędzej cykuty bym im podał niż zupę Royal! – sapnął z wściekłością.

– Do czasu musimy znosić ich obecność. Jeżeli okażemy im wrogość, jeszcze dziś możemy stać się bezdomnymi biedakami albo nieboszczykami.

– Przecie ja to rozumiem... – Kucharz nie wydawał się przekonany. – Ale na ich widok wątroba mi się przewraca.

– Proszę uspokoić swoją wątrobę i smacznie gotować, to będą uprzejmiejsi – poleciła z naciskiem.

Idąc korytarzem, przysłuchiwała się z bezsilną wściekłością rozlegającym się zewsząd wrzaskom. Służba biegała z miejsca na miejsce, poganiana przez ordynansów oficerów ordynarnymi wyzwiskami. Nosili wodę do mycia, czyścili buty i mundury.

Obiad był znakomity, a oficerowie nachwalić się nie mogli kulinarnych zdolności kuchmistrza i doboru podawanych win. Przy boku pułkownika siedział młodziutki lejtnant kawalerii. Odznaczał się delikatną, niemal dziewczęcą urodą i miał niewinne spojrzenie pensjonarki. Pomimo jego młodego wieku Czengiery okazywał mu szacunek, sadzając przy sobie i rozmawiając z nim po przyjacielsku. Podczas obiadu lejtnant nie spuszczał wzroku z Niny i wpatrywał się w nią tak natarczywie, że inni oficerowie zaczęli trącać się pod stołem i uśmiechać pod wąsem. Nie zważając na miny kolegów, młody oficer zwrócił się wprost do niej i z pogodnym uśmiechem rzekł:

– Ta polędwica z sosem holenderskim i pieczone jarzabki były wprost boskim posiłkiem. Nigdy nie jadłem nic lepszego, nawet w najwytworniejszych restauracjach Petersburga i Paryża. Wielkie dzięki, *madame comtesse*.

– To jedzenie domowe, a nie restauracyjne – powiedziała Nina skromnie.

– Oho! – Czengiery się roześmiał. – Widzę, że nasz młody przyjaciel został oczarowany przez panią hrabinę i jej kucharza!

– Nie przeczę – odparł młody oficer. – Pani hrabina posiada skarb w osobie tego kucharza. Muszę od niego dostać przepis na tę polędwicę i sos holenderski. Gdy wrócę do domu, każę mojemu kuchcie nauczyć się tak gotować. W przeciwnym razie utopię go w najgłębszym kociołku!

– Ostrzegam pana... – odezwała się Nina bez cienia uśmiechu. – Pan Szymon jest człowiekiem nerwowym i nie lubi zdradzać tajemnic kulinarnych. Dlatego radzę go nie zaczepiać, bo niespodziewanie to pan może się znaleźć w jego kociołku.

– *Oh, madame!* – Lejtnant zrobił komicznie przerażoną minę. – *Nous Nous allons essayer de régler ça d'une manière ou d'une autre*¹⁹ – szepnęła przymilnym tonem.

Po obiedzie oficerowie rozeszli się do swoich zajęć i spotkali ponownie z paniami dopiero po kolacji, w malinowym salonie, przy kawie, likierze kawowym i serach.

– Kiedy będziemy mieli przyjemność poznać pana hrabiego? – zagadnął Czengiery, sadowiac się w wygodnym fotelu.

– Mąż jest poważnie chory i przebywa w Karlsbadzie, a może nawet w Meranie – oznajmiła Nina spokojnie. – Będzie niepokieszony, nie mając okazji poznać panów. Panie pułkowniku, proszę skosztować trochę tych owoców. Są wyborne. – Podsunęła mu paterę z brzoskwiniami o delikatnym puszkę, wyhodowanymi w oranżerii.

– Jak to? – Popatrzył na nią z niedowierzaniem. – Pan hrabia wyjechał za granicę, pozostawiając panią samą w tak niespokojnych czasach?

– Mąż wyjechał z początkiem stycznia. Wtedy nikomu nawet się nie śniło o przyszłym nieszczęściu. Miałam od niego kilka listów, lecz teraz korespondencja się urwała i jestem bardzo niespokojna. Ostatnio pisał, że ma zamiar jechać do Meranu. Pan pułkownik był może w Karlsbadzie? Ja nigdy nie wyjeżdżałam za granicę. Latem mieliśmy jechać do Wenecji, ale choroba męża, a potem ta okropna sytuacja w kraju pokrzyżowały nam plany. Postanowiłam sama jechać do męża, lecz boję się, że mogę mieć trudności z otrzymaniem paszportu i wizy. Mam jednak nadzieję, że pomoże mi pan margrabia Wielopolski.

– O, pani zna margrabiego? – ponownie zdziwił się Czengiery.

– Ależ tak! Bywaliśmy z mężem w Pałacu Brühla na reunionach. Pan margrabia ceniał mego męża – powiedziała zgodnie z prawdą.

– Jaka szkoda, że Polacy nie rozumieli jego szlachetnych intencji – zauważył z sarkazmem krępy niski major o szerokiej mongolskiej twarzy. Miał zimne, skupione spojrzenie skośnych oczu i zachowywał się z zaledwie maskowaną wrogością.

– Podzielam pańskie zdanie. – Mówiąc to, Nina była zupełnie szczerą.

Pani Salomea zręcznie włączyła się do rozmowy, opowiadając o swoim pobycie w Wenecji, byle tylko odwrócić uwagę pułkownika od osoby hrabiego. Młody lejtnant przysiadł się do Niny i pochylony w jej stronę, odezwał się półgłosem:

– A ja mam szczęście znać panią hrabinę.

– Doprawdy? – Uniosła brwi, nie pamiętając, żeby kiedykolwiek go spotkała.

– O, pani hrabina nie raczyła zwrócić na mnie uwagi. – Pokazał w uśmiechu śliczne zęby. – To było w Warszawie, w operze. Ja i moi koledzy byliśmy na *Rigoletcie*. Pani hrabina zapewne pamięta, że major Wielenin kłaniał się pani. Siedziałem obok niego.

Nina zbladła i odchyliła się na poręcz fotela, jakby otrzymała silny cios w żołądek. Serce zaczęło jej walić jak oszalałe, a krew uderzyła do głowy.

– Tak, pamiętam – wyszeptała zaledwie dosłyszalnym głosem.

– Biedak miał paskudnego pecha – mówił młody oficer ze współczującą miną. – Nie zdążył złożyć pani uszanowania w operze, za to w Alejach Jerozolimskich minęliście się państwo o włos. Serge postanowił złożyć pani wizytę, ale znowu prześladował go pech, bo okazało się, że wyszła już pani za mąż i wyjechała z panem hrabią na wieś. Pamiętam, że Serge był wówczas kompletnie załamany. Ach, gdyby mógł przewidzieć, że będę kwaterował właśnie w Makowie, chyba oszalałby z zazdrości!

Nina siedziała jak na torturach pod obstrzałem spojrzeń zaintrygowanych oficerów i równie zainteresowanych pań. Czuła, że oblewa się rumieńcem i nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Pamiętała, jak lękała się spotkania z Wieleninem i pragnęła uciec od niego, nie będąc pewna siebie.

– A gdzie obecnie przebywa pan major? – spytała i natychmiast skarciła się surowo.

Młody lejtnant podsunął się bliżej i zwrócił się ku niej z wytwornym gestem. Poczowała zapach drogiej wody kolońskiej. Jego akcent francuski był

nieskazitelnym i domyśliła się, że z pewnością zaliczał się do wyższych sfer.

– Serge na razie pozostał w Warszawie, bo służy w gwardii Jego Cesarskiej Mości wielkiego księcia Konstantego. Ale zapewne wkrótce też ruszy w pole, choć przebąkiwano, że ma zostać przeniesiony do Rosji. Szczęśliwy! – Lejtnant westchnął. – Jednak nie zdziwiłbym się wcale, gdyby trafił w te strony.

Na samą myśl o spotkaniu z Wieleninem ogarnęła ją panika. Gdyby Aleks dowiedział się o tym... Wolą nie wyobrażać sobie, co wówczas by się działo.

– To raczej mało prawdopodobne – rzekła chłodno.

– A ja na jego miejscu poruszyłbym niebo i ziemię, żeby znaleźć się w tych stronach. Kiedy miałem szczęście poznać panią hrabinę bliżej, nie tylko rozumiem nostalgię przyjaciela, lecz nawet sam ją podzielałbym.

To już było powiedziane zbyt śmiało i Nina skarciła go lodowatym spojrzeniem. Skłonił głowę ze czcią i zamilkł. Za to pułkownik Czengiery z domyślnym uśmiechem zauważył:

– Miło mi słyszeć, że pani hrabina ma w szeregach naszej armii tak gorącego sympatyka. – Rzucił okiem na lejtnanta i dodał: – *Pardon*, sympatyków, bo nasz młody książę Rudzkój wydaje się wprost porażony urodą pani hrabiny.

Nina opanowała zdenerwowanie i przybrała bardzo oficjalną minę.

– Pan major Sergiusz Fiodorowicz Wielenin bywał tu czasem. Bardzo lubił i szanował mego męża – zaznaczyła z naciskiem. – A jak widzę, książę Rudzkój lubi żartować.

Lejtnant był człowiekiem dobrze wychowanym i natychmiast zrozumiał, że popełnił fatalną gafę, narażając panią domu na nieprzyjemne domysły kolegów.

– Pani hrabina daruje. Wyraziłem się niezręcznie, za co serdecznie przepraszam. Oczywiście, major Wielenin zawsze powtarzał, iż pan hrabia Klonowiecki jest jednym z niewielu prawdziwych *grand seigneur à tous points de vue*²⁰! Zresztą pan hrabia był niegdyś naszym kolegą, gdyż wszyscy trzej w różnych okresach służyliśmy w czerwonych huzarach gwardii.

– To miło – wycedziła Nina przez zęby. – Wspomnę o tym w liście mężowi, będzie mu przyjemnie.

Zapadła niezręczna cisza, bo wszyscy zrozumieli, że Rudzkiej rzekł tylko to, co wypadało w takiej sytuacji powiedzieć, aby zatuszować niezręczność. Tym razem pośpieszyła jej w sukurs panna Maciejewska, zrećźnie nawiązując do wielkiego nieszczęścia, które niedawno spotkało Wiktorię, królową Wielkiej Brytanii. Jej małżonek, książę Albert z niemieckiego rodu sasko-koburskiego, ubóstwiany i adorowany przez nieprzytomnie zakochaną w nim monarchinię, zmarł nagle na tyfus, pozostawiając żonę, dzieci i całą Wielką Brytanię w ciężkiej żałobie. Mira również zabrała głos, wspominając o zachwycającej grze Alojzego Żółkowskiego, uznawanego za największego współczesnego komika scen polskich. Ale oficerowie służyli w garnizonie kieleckim i warszawskie nowinki raczej ich nie interesowały.

Przez ten czas Nina siedziała sztywno, jakby kij połąkła i jednym uchem słuchała opowiadania starszego kapitana o jego podróżach po Mandżurii. Kiedy wreszcie zamilkł, napomknęła pułkownikowi o poniesionych stratach w czasie napadu kozaków na Borek.

– Bardzo żałuję, ale to czasy walki, pani hrabino – zauważył Czengiery obojętnie. – Nie my ją wznieciliśmy. Po stłumieniu buntu nasz rząd z pewnością zwróci pani należność za wszelkie poniesione straty.

„Prędzej zobaczę własne ucho bez lustra niż rubla z carskiej łaski lub władz powstańczych” – pomyślała ze złością.

– Zadaniem naszym – ciągnął Czengiery urzędowym tonem – jest oczyszczenie terenu z wałęsających się po lasach bandyckich oddziałów. Nie walczymy z ludnością cywilną, a skrzywdzeni mogą domagać się ochrony. Bandy buntowników po wsiach i miastach domagają się żywności i pieniędzy od tamtejszej ludności. My jesteśmy tu po to, by tępić objawy buntu i niełojalności. Czy pani hrabina słyszała może o przywódcy tych bandytów, niejakim Langiewiczu?

Nina roześmiała się tak dźwięcznie, jakby pułkownik powiedział świetny dowcip.

– Langiewicz? Przed tygodniem siedział na tym samym fotelu, co pan pułkownik!

Czengiery na moment stracił oddech, a zdumieni oficerowie zwrócili na nią groźne spojrzenia. Pani Salomea i obie panny śmiertelnie zbladły, wyobraziwszy sobie, że Nina nagle oszalała. Ale ona dobrze wiedziała, co mówi. Nie mogła dopuścić, żeby Rosjanie przypadkiem dowiedzieli się, że

w Makowie kwaterowali powstańcy. To by się mogło dla niej skończyć bardzo źle.

– I pani przyjęła tych łotrów pod swój dach?! – wybuchnął Czengiery z oburzeniem.

– Pana pułkownika to dziwi? – Potrząsnęła głową, jakby jego naiwność budziła jej zdumienie. – W domu jest kilka kobiet i paru starszych lokajów. Jesteśmy tu zdani na łaskę Opatrzności, bo na przestrzeni wielu wiorst nie ma żadnej władzy. A ja bardzo kocham mój dom i nie życzyłam sobie, żeby ludzie Langiewicza puścili go z dymem. Niech mi pan wybaczy szczerą, panie pułkowniku, ale my zarówno obawiamy się buntowników, jak i kozaków palących wsie i krzywdzących niewinną ludność. Być może kiedyś ktoś zwróci mi pieniądze za poniesione straty, ale okrutnie skrzywdzonym dziewczętom, prawie dzieciom, nikt nie wynagrodzi wyrządzonej okropnej krzywdy.

– Rozumiem panią. – Czengiery złagodniał. – A nie orientuje się pani, dokąd Langiewicz odszedł?

– O, tego mi nie powiedział. Zachowywał się zresztą bardzo nieuprzejmie i jest naprawdę źle wychowany! – poskarżyła się z miną tak pełną niesmaku, że słuchające ją panie nieznacznie przygryzły usta, powstrzymując wybuch śmiechu. – Podobno został pobity przez pana pułkownika?

– Owszem! – Pochlebstwo Niny sprawiło mu przyjemność. – Dostał od nas cięgi i musiał uciekać. Ale my go znajdziemy i nie uniknie surowej kary, on i cała reszta tych łajdaków!

Ta przechwałka była potwierdzeniem, że Rosjanie ponieśli porażkę i stracili orientację, gdzie się podziewa uparty Wielkopolanin i nie bardzo wiedzą, gdzie go mają szukać. Od generała dzielił Rosjan szmat drogi, bowiem Langiewicz pomaszerował w stronę Staszowa.

Oficerowie mile spędzali czas. Panna Maciejewska pięknie deklamowała po rosyjsku *Demona* Lermontowa, a Mira poezje Puszkina. Książę Rudzkij usiadł do fortepianu, grając i śpiewając melodyjne stare rosyjskie romanse. Miał dobry głos i efektownie wyglądał w blasku świec, wpatrzony w Ninę oczami, w których płonął ogień namiętności.

Kiedy zegary wybiły północ, Nina wstała, dając tym znak do rozejścia się na spoczynek.

– Oczarowała pani hrabina naszego młodego kniazia, a podobno był nie do zdobycia – żartował Czengiery, dziękując jej za miły wieczór. – Najwyraźniej jest w pani zakochany.

– Och, w jego wieku taka miłość to jak katar. Nie jest groźna i mija bez następstw – odpowiedziała tym samym tonem i rozeszli się roześmiani.

Promiennie uśmiechnięta weszła do sypialni i zamknęła drzwi na klucz. W jednej chwili uśmiech zniknął z jej twarzy, a w oczach ukazała się troska i tęsknota. Wolno podeszła do okna i wsparła czoło o szybę. Była już późna noc, lecz na dziedzińcu i w parku płonęły obozowe ogniska. Czerwony odbłask pełgał po białym śniegu. Tego roku pogoda kaprysiła. Rano była odwilż, potem raptownie się ochłodziło i wieczorem spadł śnieg. Pałac otaczał ognisty krąg, a po alejach zamiast stróżów przechadzały się patrole wojskowe.

– Jezu... – wyszeptała, patrząc w noc rozświetloną ogniskami. – Moskale w Makowie... Robię do nich słodkie miny i uśmiecham się, nie wiedząc, czy mój Alek nie leży gdzieś z moskiewską kulą w sercu. Nie! Nie wolno mi tak myśleć, bo oszaleję. On żyje i to przeświadczenie daje mi siłę do przetrwania. Muszę być twarda, bo przede mną ciężkie zadanie. O, mój ukochany, daj mi znak życia.

– Nina, co z tobą? Sama do siebie mówisz? – Usłyszała za sobą głos Jagi. Niania weszła cicho i od dłuższej chwili obserwowała ją z podejrzliwą miną.

– Co? Nie, zdawało ci się tylko. Patrz, znowu pada śnieg. Boże, nie zaznam spokoju, dopóki oni się stąd nie wyniosą!

Ale Jaga była w złym humorze i spojrzała na nią krzywym okiem.

– Jeżeli dalej będziesz ich karmiła frykasami i flirtowała z nimi, to długo tu jeszcze posiedzą!

– Nianiu, ty głupia! – Oburzona jej niesprawiedliwymi słowami, Nina wybuchła jak petarda. – Ty bezmyślna kobieto! Myślisz, że to, co robię, sprawia mi przyjemność, że jestem bez serca? Trzęsę się cała ze strachu i z gniewu, bo nie wiem, czy mój mąż jeszcze żyje. Ale robię, co mogę, żeby bronić was i nie dopuścić do zniszczenia tego domu. Nie pozwolę, aby nas stąd wypędzono, jak wielu innych ludzi z ich domów. Wolę Czengierego niż najazd bandy kozaków. Gdybym im pokazała taką minę, jak twoja, spaliliby pałac, a nas wysłali do wszystkich diabłów! Nie rozumiesz tego?!

– Chwyciła z toaletki srebrną szczotką do włosów i z pasją cisnęła ją na posadzkę, a potem zasłoniła twarz dłońmi.

– Nie podnoś na mnie głosu! – zawołała urażona Jaga. – Możesz mnie bezkarnie obrażać i wyładowywać na mnie swoją złość, bo wiesz, że nikt się za mną nie ujmie. – Zraniona i rozgniewana niania odwróciła się i skierowała w stronę drzwi.

Lecz Nina ochłonęła i zabiegła jej drogę.

– Nie, ja nie pozwolę ci tak odejść! – powiedziała ze łzami w oczach. – Zachowałam się niegodziwie, ale ty, moja mateczko, przebacz mi, bo jestem taka nieszczęśliwa. Są momenty, że pragnę śmierci. Przecież ty wiesz, jak bardzo cię Kocham i szanuję. Świadomie nigdy nie sprawiłabym ci przykrości, ale jestem u kresu sił i żyję tylko nerwami. Nie dosyć, że ta ciąża sprawia mi kłopot, to jeszcze muszę przeżywać piekło najazdu Moskali i lęk o życie męża. Przepraszam, wybacz mi, Kochana. Nie gniewaj się na mnie, przebacz mi, błagam!

– Już się nie gniewam. – Jaga przytuliła ją do piersi i przycisnęła usta do jej rozpalonego czoła. – Biedne moje kociątko, ja wiem, że masz trudne życie. Połóż się. A może jutro poleżysz? Powinnaś się oszczędzać.

Wychodząc, wpuściła do sypialni Grota. Pies bardzo nerwowo zareagował na najazd wojska i chodził za swoją panią krok w krok, warcząc na każdego, kto się do niej zbliżał. Podejrzliwie węsząc, obleciał pokój i położył się przy łóżku, nie spuszczać z pani wiernych oczu.

Nina chętnie odpoczęłaby przez jeden dzień, bo ostatnio nie czuła się dobrze, ale musiała wstać niemal o świcie, bo ze wsi przybiegły do pałacu gospodynie z wielkim płaczem i narzekaniem. Wpółprzytomna, wyrwana z głębokiego snu Nina przyjęła kobiety w sypialni, narzuciwszy tylko na siebie peniuar. Błada, z zaciśniętymi zębami wysłuchiwała ich skarg i lamentów.

– Laboga, jaśnie wielmożna pani dziedziczko! – szlochała Sikorzyna, mająca gospodarstwo położone najbliżej pałacu. – Te przekłete ścierwa zniszczą nas z kretelem! Jak żołdacy pójdą stąd, to nawet tej kury na grzędzie nie zostawią ani garsteczki owsa czy wiązki siana. Pozdychamy z głodu! Bo czym pola zasiejemy wiosną? Kozaki czystym zbożem karmią konie, wszystkie kuraki mi wyrznęły, nawet doły z ziemniakami rozkopały,

niecnoty! Tyle umartwienia, że człowiekowi przyjdzie się powiesić. Ino w jaśnie pani nasza nadzieja.

– A u mnie ostatnią krowinę zarznąły, herody! – skarżyła się z płaczem stara Grzybowa. – Czym wnuki nakarmię, kiej mlika ni mam? Muchami? A z czego zrobię ser i masło na targ? Z wody? Gadzinę wywlekły z obórki i na moich oczach zarznąły, a choć im łapy całowałam i prosiłam, nic nie pomogło! Zabiły naszą żywicielkę, niechrysty!

– A moją Marychnę żołdacy wywlekły z komory i zamkły się z nią. Z dziesięciu przeszło bez dziewuchę. Tera dziecko mi leży i o bożym świecie nie wie. Jezu Chryste, królu żydowski! – rozkrzyczała się młoda kobieta ze śladami ospy na twarzy. – Zmarniły mi diabelce dziewuchę! – Ryknęła zawodzącym płaczem. – Chłopów zamkły w stodole, a same po wsi za dziewuchami ganiają. Jeszcze będę ich bękarty chowała.

Nina wysłuchiwała tych skarg z rozpaczą i gniewem. Sama miała ochotę płakać, krzyczeć i wydrapać oczy pierwszemu żołdatowi, który nawinie się jej pod rękę. Jednak pomóc tym kobietom niewiele mogła.

Młoda i ładna gospodyni żaliła się głośno, ocierając oczy zapaską.

– Mój Bartuś poszeł z Polakami do lasu. A tera mnie nie ma komu bronić. Już dwa razy uciekłam żołdatowi spod ręki. Jak mnie dopadną, to dziecko we mnie zabiją! Co mam robić, jaśnie wielmożna pani?

Jej skargi przeraziły Ninę.

– Kosowa, nie chwalcie się głośno Bartusiem, bo jak Moskale dowiedzą się o tym, to całą wieś i pałac puszczą z dymem! – skarciła ją surowo. – Boicie się być sama, to zabierzcie, co tam macie cenniejszego, i przyjdźcie do pałacu. Tu każda para rąk się przyda. Moje kochane gospodynie, ja jestem w tej samej sytuacji co wy. Tak samo muszę patrzeć, jak mi rozkradają majątek i niszczą dom. O siewy się nie martwcie, wspomogę was, czym będę mogła, o ile mi wszystkiego nie rozkradną. Gilawska, nie lamentujcie, jak tylko wojsko odejdzie z Makowa, dostaniecie parę kur, koguta i kilka kaczek. Wy, Grzybowa, idźcie do pani ochmistrzyni i powiedzcie, że kazałam wam dać mleczną krowę. Jakubkowa, zajdźcie do pani Kumockiej i poproście ją o zioła na krwawienie i zapalenie. Panna Lutówna zaraz do was przyjdzie i obejrzy Marychnę. Ale proszę was, nie sprzeciwiajcie się Moskałom, bo są silniejsi od nas! Dziewczęta wyprawcie do puszczy. Przestrzegałam pana wójta! – zawołała z gniewem. – Zaraz

pójdę do dowódcy rosyjskiego i poproszę go, żeby poskromił swoich żołdatów, ale nie wiem, czy zechce mnie wysłuchać.

Jednakże jej słowa bynajmniej kobiet nie uspokoiły.

– A żeby dobry Pan Jezus pomór na nich zesłał i na tych psich synów, co takie nieszczęście na ludzi sprowadziły! – wyrzekały. – Onegdaj przyszły te z lasu i gadają: „Daj!”. Zabrały chleb, omastę i poszły se! Tera znowu Moskał wrzeszczy: „Dawaj!”. Dziewuchy gwałcą, chałupy chcą palić i ostatnią krowinę z obórki wyciągają. Maryjo Święta, pókiż tego będzie, kto się nad nami zlituje?

Pożegnawszy kobiety, Nina ubrała się i poszła do Czengierego na skargę. Wysłuchał jej w milczeniu i bezradnie wzruszył ramionami.

– Nasz żołnierz jest głodny, potrzebuje żywności. Tyle czasu byli w tym kraju upokarzani przez was, więc trudno się dziwić, że teraz biorą odwet. Doprawdy, jest mi przykro, ale rady nie widzę. Konie także muszą coś jeść, więc żołnierze karmią je tym, co znajdują. Rozkażę, by brali tylko tyle, ile potrzeba. Ale czy to coś pomoże, nie wiem. Pójdą kraść gdzie indziej.

– A dlaczego tylko na mnie spadł cały ciężar utrzymania wojska? – spytała poirytowana. – Kiedy panowie stąd odejdziecie, moje wsie zaczną przymierać głodem, bo ja nie zdołam ich wspomóc.

– Mówiłem pani hrabinie wczoraj, że to nie my rozpętaliśmy tę awanturę – oświadczył pułkownik oschle.

– Ja również nie, choć ponoszę jej konsekwencje. – Nina z trudem powstrzymywała wybuch gniewu. – Odwołuję się do honoru pana pułkownika i proszę, żeby choć kobiety nie były krzywdzone przez waszych żołnierzy. Przecież to są niewinne młode dziewczęta, prawie dzieci.

– Wydam w tej sprawie surowe rozporządzenia. Tyle mogę pani obiecać. Pani hrabina wybaczy... – Wstał i złożył jej ukłon.

Bez słowa wyszła z pokoju. Idąc bezmyślnie przed siebie, zawędrowała do zimowego ogrodu. Panowały tam cisza i błogi spokój. Pióropusze palm wznosiły się aż pod szklany dach, szemrała fontanna i szczebiotały papużki. O szeroką krynolinę Niny ocierały się szmaragdowe paprocie, a olbrzymie kaktusy pełzały po posadzce. Z ich mięsistych łodyg wyrastały wielkie kielichy szkarłatnych, białych i żółtych kwiatów. Usiadła na miękkiej kanapce i wtuliła się w poduszki. Przymknąwszy powieki, starała się uspokoić po rozmowie z Czengierem.

– Ależ to prawdziwy raj! – Usłyszała nagle czyjś entuzjastyczny okrzyk.

Otworzyła oczy i z wyrazem najwyższego niezadowolenia ujrzała wchodzącego do ogrodu kniazia Rudzkoja. „Chryste! – jęknęła z głębi serca. – Czy w tym domu nie można już mieć odrobiny prywatności?”. Ale nie ośmieliła się tego powiedzieć głośno. Książ stanął za jej plecami, wpatrując się płomiennym wzrokiem w koronę jej włosów.

– Obawiam się, że przeszkodziłem pani hrabinie w marzeniach – szepnął pieszczotliwym tonem.

Poczuła na szyi jego gorący oddech i zapach wody kolońskiej. Pośpiesznie odsunęła się na drugi koniec kanapki.

– Ja i marzenia! – prychnęła drwiąco. – Nie mam czasu na fantazjowanie i w tej chwili zastanawiałam się właśnie, skąd wziąć ziarno na siewy. To ziarno, które pożerają wasze konie!

– Pani hrabino, litości! – jęknął młody oficer z udawanym przerażeniem. – Jak to możliwe? Pod tym cudownym marmurowym czołem bogini takie prozaiczne myśli? A Serge Wielenin zapewniał mnie, że jest pani uosobieniem poezji i romantyczności.

– W takim razie pan major wcale mnie nie znał – powiedziała, rumieniąc się mocno. – Ja przede wszystkim jestem dziedziczką i moim obowiązkiem jest zapewnienie domownikom i mieszkańcom wsi godziwych warunków bytu. Nie wiem, jak długo zamierzacie panowie gościć w moim majątku, lecz martwię się, bo po waszym odejściu Maków będzie w ruinie.

– *Pardon.* – Rudzkoj zdecydował się usiąść przy niej. – Niech mi pani raczy pozwolić spojrzeć na siebie – szepnął, ogarniając ją całą rozgorzałym wzrokiem. – *Hospody*, co za oczy! Można w nich łatwo utonąć bez ratunku, co się już, niestety, przytrafiło memu przyjacielowi. Ale pocieszę panią. Ku mej rozpaczki pozostaniemy tutaj zaledwie kilka dni. A ja pragnąłbym zostać tu na zawsze, aby widywać panią codziennie, choćby z daleka. Chciałbym być nawet zwykłym parobkiem u pani!

– Dla tak świetnego oficera wieś nie jest odpowiednim miejscem pobytu – bąknęła i pomimo niemiłego ucisku w żołądku nakazała sobie spokój. – Czy to nie przesada z tymi komplementami?

– Zaręczam, że jestem tylko szczery. Odpowiedzieć komplementem na tę skromność znaczyłoby obrazić panią hrabinę. Ach, jak ja zazdroszczę Wieleninowi! Miał szczęście bywać w tym domu, tańczyć z panią, jeździć konno na spacer... To mało?

„Okazuje się, że pan Wielenin miał bardzo długi język! Mam nadzieję, że nie zwierzył mi się z tego, że całowaliśmy się w parku” – pomyślała ze złością.

– Widocznie pan major lubi się spowiadać do kolegów – zauważyła zjadliwie. – Ale niedyskrecja u mężczyzny bywa brzydką wadą. Jestem mężatką i nie wypada mi słuchać o afektach pana majora, którego znałam, będąc jeszcze panną. Ja się nawet panom nie dziwię, bo życie obozowe oderwało panów od ich środowiska i szukają panowie wrażeń. Ale to nie czas na słodkie słówka. Dokoła giną ludzie, a panowie nie przyszliście do Makowa jako oczekiwani i mili goście.

– Pani hrabino... – wyszeptał kniaź z niekłamanym przerażeniem. – Ja przecież nie śmiałbym obrazić pani. Major nie powiedział niczego, czego człowiek honoru mógłby się wstydzić. To tylko moje domysły. Błagam o przebaczenie! – Zerwał z kaktusa prześliczny purpurowy kwiat i nie zważając na pokłute kolcami palce, wręczył go Ninie. – Pani hrabina gniewa się na mnie? – spytał nieśmiało, zaglądając jej w oczy.

Ociągając się, wzięła kwiat i wstała. Rudzkój z pokorną miną odprowadził ją do drzwi.

– Postaram się zapomnieć o tym, co pan powiedział. Ale jeszcze jedna taka rozmowa i przestanę pana zauważać. – Przyśpieszyła kroku i nie oglądając się, wyszła z ogrodu.

W buduarze podeszła do lustra i popatrzyła na swoje odbicie. Próbowwała w myślach oburzać się na kniazia, ale nie potrafiła. Miała zaledwie siedemnaście lat i marzyła, aby stać się dla mężczyzny przedmiotem westchnień, czułych spojrzeń i miłosnych wzruszeń. Okropna pospolitość codzienności, ciągłego lęku i troski zaciążyła na latach jej pierwszej młodości, przygasiła pasję życia. Rudzkój przypomniał jej Wielenina i wróciła pamięcią do słonecznych dni, wspominając wielkie rauty, wykwintne towarzystwo, piękne toalety i wesołych przyjaciół. Teraz było na świecie tak szaro i ponuro, tak bardzo beznadziejnie!

Usiadła przy sekretarzyku i położywszy przed sobą egzotyczny kwiat, wpatrywała się weń nieruchomym wzrokiem. Naraz wzięła go i zacisnęła w dłoni tak silnie, że drobniutkie kolce przebiły jej delikatną skórę i parę kropli krwi spadło na czarną suknię.

Wojsko jeszcze przez trzy dni kwaterowało w Makowie. Przez cały ten czas Nina nie mogła spokojniej odetchnąć, bo nieustannie przychodzili do niej ludzie z płaczem i skargami, błagając o ratunek. Codziennie pan Bochniak, blady z pasji, chodził po gospodarstwie, a potem powiadamiał ją o dragonach i kozakach wynoszących ze spichlerzy całe worki pszenicy. Kiedy rządca postawił na straży spichlerzy parobków, żołnierze pobili ich dotkliwie, a pszenicę zabrali. Przez cały dzień w każdym miejscu można było się natknąć na myszkujących żołdatów. Nina drżała z obawy, że mogą zaproszyć ogień. Schodzili nawet do lochów i opukiwali ściany, szukając tajnych schowków. Kuchmistrz miał podbite oko, pamiątkę po żołdackiej pięści, Paweł stracił jeden ząb, a Maciek został mocno kopnięty przez rozwścieczonego oficera.

Drugiej nocy mieszkańcy pałacu porwali się na nogi, obudzeni strasznym wrzaskiem pani ochmistrzyni. Wyrwana z głębokiego snu kobieta zobaczyła nad sobą brodatą gębę jakiegoś draba, usiłującego wyrwać jej spod głowy poduszkę. Spłoszony jej krzykiem łotrzyk uciekł przez okno, wybijając szybę i wysadzając ramę. Ale nie zapomniał zabrać z sobą poduszki i puchowej pierzynki. Biedna pani ochmistrzyni dostała ze strachu palpitanie serca. Zgromadzone przy jej łóżku damy do rana ofiarnie pielęgnowały zboląłą niewiastę.

Gdyby w pałacu nie kwaterował sztab, nikt nie byłby pewien życia i mienia. Sypiano na zmianę i zawsze ktoś czuwał, pomimo wart wystawionych w samym pałacu i przed domem. Nina, kładąc się do łóżka, wsuwała pod poduszkę pistolet. Wychodząc z domu, zawsze miała przy sobie Maćka i Bartusia, ogromnego parobka o żelaznych rękach, oraz kilka ostrych psów. Z podobną eskortą chodziły na wieś Mira i Emilka, by opatrywać zgwałcone dziewczęta. Wprawdzie po jej rozmowie z Czengierem gwałty się nie powtórzyły, lecz nigdy nie było wiadomo, co się jeszcze może wydarzyć.

Czasami dobra gospodyni przezwyciężała w Ninie strach i szła do obory lub stajni, aby na własne oczy stwierdzić mnożące się lawinowo szkody. Wychodząc, prowadziła z sobą na smyczy Grotą i cztery potężne brytany, groźne, bo rozwścieczone hałasem i obecnością obcych. Gotowe śmiaćka rozerwać na strzępy. Grot także zrobił się agresywny i próbował gryźć chcących go pogłaskać oficerów. Warczał na nich i szczyrzył kły. Nina

musiała go zamykać w swoich pokojach, bojąc się, że ktoś może go zastrzelić.

Chodząc po folwarcznym dziedzińcu w asyście najeżonych złowrogo brytanów, widziała podążające za nią oczy żołdatów śledzących każdy jej krok z wyrazem zwierzęcej wprost żądy. Te okropne oczy prześladowały ją także we śnie i budziła się z krzykiem, bo zdawało się jej, że do sypialni wdzierają się straszne postacie i w milczeniu podchodzą do łoża. Niania i pan Bochniak zaklinali ją na wszystkie świętości, żeby nie wychylała nosa z domu. Powoływali się nawet na zakazy hrabiego, ale ona uparcie chciała sama widzieć mnożące się w majątku szkody.

Codziennie o świcie wyruszały z Makowa silne oddziały dragonów, wspomagane przez kozaków. Rabowały znajdujące się na ich drodze dwory i wsie. Kozacy poszukiwali śladów oddziału Langiewicza i cała okolica jęczała pod ciężkim butem najeźdźcy. Zaraz na drugi dzień poszły z dymem Ciężyny – majątek Syrwinów. Ktoś złośliwy, a może tylko nieostrożny, wygadał się, że stary pan Syrwin bierze udział w powstaniu. To wystarczyło! Sotnia kozaków splądrowała dwór, a potem wrzucono do środka kilka zapalonych pochodni. Ogień przerzucił się na zabudowania gospodarcze, a od nich spłonęła cała wieś. Przez większą część nocy na niebie świeciła wielka luna, alarmując mieszkańców Makowa.

Nina ze ściśniętym sercem obserwowała pożar z dachu pałacu i zamartwiała się o Zosię i swego małego chrześniaka. Po północy, kiedy wszyscy już spali, sama ubrała się ciepło i ryzykując, że ktoś ją zaczepi, chyłkiem pobiegła do stajni obudzić Maćka. Na szczęście stajenni nie spali, zaniepokojeni bliskim pożarem. Maciek o mało nie przewrócił się z przerażenia, zobaczywszy ją wchodzącą do stajni.

– Jezusie, co jaśnie paniulka tu robi? Przecie to śmierć! – wrzasnął.

– Cicho, Maciuś. – Odciągnęła go na stronę i szepnęła: – Muszę wiedzieć, czy pani Siekielska żyje. Pojedziesz ze mną? – Spojrzała mu prosto w oczy.

– A niby czym pojedziemy? Koni nie wyprowadzę, bo te dranie pilnują – westchnął i podrapał się po czuprynie.

– Pójdziemy piechotą do wójta i od niego pożyczymy konia i sanie.

– A jak nas kozunie złapią? O Jezu, jaśnie pan by mi tego nie darował!

– Nie złapią. Ale jak nie chcesz jechać, pojedę sama.

Posłał jej bardzo wymowne spojrzenie, bez słowa wcisnął na głowę czapę, włożył kozuch i poszli chyłkiem przez park ku bocznej furcie,

omijając po drodze strażę. Chyba sama Opatrzność czuwała nad nimi, bo niezauważeni doszli do domu wójta. Stary gospodarz, mający syna w partii dziedzica, zrobił wielkie oczy, zobaczywszy na progu domu samą jaśnie panią dziedziczkę. Jednak kiedy dowiedział się, o co chodzi, bez zbędnych pytań zaprzął do saneczek mocnego konia. Nina i Maciek wsiedli i pojechali, niezaczepiani przez nikogo. Całą drogę Nina modliła się żarliwie, żeby Zosi i dziecku nie stała się krzywda. Wyobraźnia podsuwała jej straszliwe obrazy, które co prędzej od siebie odpychała.

Wieś Ciężyny była kompletnie spalona. Z dymiących zgliszczy unosiły się jeszcze błękitnawe ogniki. Na miejscu dworu sterczały czarne popalone kikuty belek, a na pogorzeliśku wyło kilka poparzonych psów. Przenikliwy duszący swąd spalenizny wiercił w nozdrzach, powodując uporczywy kaszel. Nina siedziała w saniach jak porażona, niema z rozpacz i żalu. Próbowwała odsunąć od siebie straszną myśl, że Zosia i malutki Stefan zginęli z rąk kozaków. Wyszła z sań i błądziła po zgliszczych, poszukując śladu życia, lecz daremnie.

– Boże Wszechmogący – jęknęła, dławiąc się łzami. – Jak ja spojrzę w oczy Tadeuszowi? Co mu powiem? A biedny pan Syrwin chyba oszaleje, dowiedziawszy się, że córka i ukochany wnuczek ponieśli śmierć. Matko Miłosierdzia, pomóż!

Płacząc i załamując ręce, odmawiała szeptem *Ojcze nasz*, nie mając siły, by oderwać się od tego pogorzeliśka.

Maciek, rozczulony jej niemą rozpaczą, powędrował na poszukiwanie ludzi i w jakiejś jamie znalazł staruszkę w tak podeszłym wieku, że już niczego się nie obawiała. Od niej dowiedział się, że pani dziedziczka z małym paniczem w ostatniej chwili zdążyła uciec przez okno, a potem dosiadła konia i pojechała w niewiadomym kierunku. Nina gorzko zapłakała nad losem przyjaciółki i zagładą starego pięknego dworu, gdzie zawsze była serdecznie witana. Pragnęła się dowiedzieć, dokąd Zosia uciekła, ale stara kobieta nic więcej nie wiedziała. Należało więc uzbroić się w cierpliwość.

Tej nocy mieli doprawdy niezwykle szczęście, a może sama Opatrzność nad nimi czuwała, bo powrócili do Makowa bez złej przygody, przekradając się pomiędzy patrolami i płonącymi w parku ogniskami.

Następną ofiarą denuncjacji stał się ksiądz proboszcz. Doniesiono Czengieremu, że staruszek jest gorliwym patriotą i w stanie wojennym

odprawia nabożeństwa w intencji zwycięstwa powstańców. Ksiądz został aresztowany, a Nina dowiedziała się o tym od wuja Ksawerego. Powiadomił ją, lecz sam nie odważył się stanąć w jego obronie w obawie, aby Sarniki nie podzieliły losu Ciężyn.

Wstrząśnięta Nina pobiegła do pułkownika z płaczem, błagając go o uwolnienie proboszcza z aresztu, skąd miał zostać przewieziony do Radomia. Tłumaczyła, że ksiądz jest stary, bardzo chory i nie zagraża nikomu, a więzienia nie przeżyje. Zwróciła się też do kniazia Rudzkoja, prosząc go o interwencję. Wmawiała Rosjanom, że aresztowanie księdza może być poczytane za prześladowanie religii katolickiej, a tego wielki książę sobie z pewnością nie życzy. Bardziej od tych argumentów trafił pułkownikowi do przekonania bogaty prezent. Proboszcz został uwolniony „ze względu na wiek i choroby”.

Jakby nie było dosyć codziennych trosk, Nina musiała znosić natrętne zaloty kniazia. Młody oficer dosłownie prześladował ją swoim uwielbieniem. Kiedy tylko czas mu na to pozwalał, chodził za nią jak cień, co miało tę dobrą stronę, że nie musiała obawiać się napaści. Jednak w jego obecności nie mogła swobodnie porozumiewać się ze swoimi ludźmi. Rudzkój doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że młoda kobieta znosiła jego towarzystwo z zaledwie powściąganą irytacją. Wiedział, że jest natrętny. Mimo to robił dobrą minę i starał się zabawiać ją ploteczkami i żartami, uszczęśliwiony, gdy na jej ustach dostrzegł bodaj cień uśmiechu. Początkowo wspominał Wielenina, potem przestał o nim mówić, starając się zainteresować ją własną osobą. Koledzy szydzili z jego miłosnej udręki, pokpiwając sobie, że choć armia rosyjska odnosi zwycięstwa nad buntownikami, książę poniósł klęskę, kapitulując przed jedną Polką!

Wieczorami w wielkim salonie odbywały się koncerty. Na tę krótką chwilę Nina mogła zdjąć z twarzy maskę rozbawionej arystokratki. Grając preludia Chopina, przymykała powieki i wmawiała sobie, że gdy otworzy oczy, ujrzy przed sobą jasną twarz męża siedzącego w fotelu. Przebiegała palcami klawiaturę, uciekając przed ponurą rzeczywistością w intymny świat doznań muzycznych. Kiedy kończyła grać, nagradzana gromkimi brawami, do instrumentu siadał Rudzkój i akompaniując sobie, miękkim głosem nucił piękne pieśni rosyjskie lub romanse cygańskie. Nina się uśmiechała i zagadnięta, rozmawiała uprzejmie, lecz kiedy tylko znalazła

się w ciszy swego pokoju, wybuchała rozpaczliwym płaczem, głośno wzywając męża, jakby mógł ją usłyszeć i utulić.

[18](#) Pieśń *Jak to na wojence ładnie*, do słów hrabiego Władysława Tarnowskiego, uczestnika powstania.

[19](#) fr. Spróbujemy to jakoś załatwić.

[20](#) fr. wielki pan w każdym calu, pod każdym względem

W nocy wiał porywisty wiatr i padał gęsty śnieg. Kominek wygasł i w sypialni zrobiło się chłodno. Nina obudziła się wcześniej i usiadła na łóżku, drżąc i szczelnie okrywając się kołdrą. Przez szparę w kotarach docierała do pokoju smuga światła. Nie miała ochoty wstać ani jeść, bo piekła ją zgaga i od rana miała zły humor. Brakowało jej ruchu, więc zdecydowała się pospacerować przed południem po parku i po drodze zajść do stajni, by sprawdzić, czy koniom nie dzieje się krzywda. Wprawdzie stajenni pilnowali koni roboczych i cugowych, lecz w razie przemocy byli zupełnie bezbronni.

Wstała, marudząc, i przy pomocy Ulisi umyła się, ubrała, wypila gorące kakao i narzuciwszy na siebie sobolowe futro, w futrzanym toczku na głowie wyszła z domu. Po nocnym przymrozku nie pozostał nawet ślad. Teraz była odwilż, śnieg szybko topniał, a na niebie świeciło niemal wiosenne słońce. Tej zimy nie zamrzły rzeki i strumienie, płynąc bystrym nurtem i szmerząc po kamiennych progach. Ludzie błogosławili taką pogodę, bo przynajmniej mrozy nie dokuczały powstańcom ukrytym w lasach. Staw również wolny był od lodu, a po jego powierzchni już pływało kilka kaczek i dwa łabędzie, które zimowały w swoim domku przy molo. Wychodząc, Nina zaopatrzyła się w koszyczek pełen okruchów chleba. Zobaczywszy ją, ptaki wyszły z wody i usadowiły się u jej stóp. Wyciągały długie giętke szyje, wyskubując z jej dłoni kawałki pieczywa, ale gdy chciała je pogłaskać, syczały, groźnie kłapiąc dziobami. Nakarmiwszy łabędzie, poszła wolnym krokiem ku stajniom, rozkoszując się samotnością i ciszą. W domu był teraz wieczny hałas, a po mozaikowych posadzkach dudniły ciężkie kroki. Pod wysokimi sufitami salonów rozlegały się gromkie żołdackie śmiechy i wrzaskliwe komendy. Ostatnio Nina znajdowała się w tak przykrym stanie ducha, że te brutalne męskie głosy sprawiały jej niemal fizyczny ból. Nawet nocami do jej sypialni dobiegały nawoływania się wart, a pijani żołdaci śmiali się głośno i śpiewali nieprzyzwoite piosenki. Wczesnym rankiem budził ją tętent kozackich koni, kiedy sotnia wyruszała patrolować okolice. Kładła się spać ze strachem, że w nocy może wydarzyć się coś okropnego, a zdziczała hołota wywali drzwi na taras, wpadnie do pokoju i wywlecze ją za włosy z łoża. Lękała się o dom, umierała z niepokoju o życie męża i to nieustanne napięcie nie wychodziło jej na zdrowie.

Z głębokiego zamyślenia wyrwał ją odgłos szybkich kroków. Obejrzała się i zobaczyła kniazia idącego jej śladem. Śpieszył się, podtrzymując dłonią szablę. Już z daleka dostrzegła jego roześmianą twarz i zęby bielejące w rozchylonych ustach. „Boże! – westchnęła z rezygnacją. – Mógłby sobie ten spacer darować“.

– *Enfin*²¹, dogoniłem panią hrabinę! – zawołał zadyszany, zatrzymując się przy niej. – Rano kazałem ordynansowi pilnować, kiedy pani hrabina raczy wyjść ze swego pokoju, ale to podłe bydło zagapiło się i dopiero pokojówka pani hrabiny powiedziała mi, że pani hrabina wyszła. Zaraz odgadłem, gdzie mogę panią znaleźć.

– Jest pan jasnowidzem? – zakpiła.

– Nie, ale przecież to oczywiste. Tak poetyczna anielska istota, jak pani hrabina z pewnością tęskni do chwili samotności i zadumy. A gdzież łatwiej o ciszę niż w tym ślicznym miejscu? Wspaniały park – pochwalił, rozglądając się dokoła. – Zupełnie jak w Anglii. Moi ogrodnicy urządzili mi park w stylu francuskim i ciągle mam wrażenie, że patrzę na ostrzyżonego pudła! Naturalny park jest o wiele piękniejszy. Tutaj ładnie jest nawet w zimie, prawda? Tym bardziej że obecność pani hrabiny uświęca to miejsce. *Voilà, c'est le mot!*²² – Pstryknął palcami zadowolony i przymilnie zajrzał jej w oczy.

Próbowała zachować powagę, ale musiała się roześmiać. Była jeszcze taka młoda i czasami lubiła równie młode, bez troskie towarzystwo. Książ potrafił być uroczy. „Oho, nie byłby taki słodki, gdyby wiedział, że Alek walczy w powstaniu i zdążył już przetrzepać skórę jego rodakom” – pomyślała z ironią.

– Istotnie, w domu jest obecnie tak głośno, że trudno mi zebrać myśli, a o ćwiczeniach fortepianowych nawet marzyć nie mogę. Przyszłam tutaj, aby mieć chwilę spokoju.

– A ja go pani zakłóciłem! – zawołał uradowany, że Nina nie odpędza go od siebie.

– Nie narzekam. – Z uśmiechem od niechcienia bawiła się futrzaną mufką. – Moja anielska istota zamierza teraz swoją obecnością uświęcić stajnię – powtórzyła jego afektowane słowa z żartobliwą ironią. – W pana towarzystwie mogę spacerować bezpiecznie.

– Doskonale rozumiem, co pani czuje. – Spłonął prawie dziewczęcym rumieńcem, a jego długie rzęsy przysłoniły na moment błyszczące źrenice.

– Wojna jest wydarzeniem nadzwyczaj wulgarnym, a dla człowieka kulturalnego wyjątkowo przykrym, wprost nie do zniesienia. Czasami żałuję, że wstąpiłem do wojska, ale rodzice życzyli sobie tego. Zachowanie kolegów jest prostackie, a prymitywne warunki życia obozowego rażą moje poczucie estetyki. Nie zawsze kwaterujemy w pałacu. Poza tym ten nasz przeciwnik! Nie, wołę o tym nie wspominać!

– Ależ proszę, niech pan mówi – zachęciła go uprzejmie.

– Za moment. Ośmieliłem się wziąć z sobą album z widokami Petersburga. O, proszę spojrzeć, to mój dom! – Otworzył pięknie oprawiony w pozłocaną skórę album i pokazał jej monumentalny gmach. – Czy podoba się pani? – Spojrzał na nią badawczo.

– Jest wielce okazały – zauważyła powściągliwie.

– Prawda? – ucieszył się, nie zwróciwszy uwagi na jej szczególny ton. – Jestem do niego bardzo przywiązany. Pani hrabina również kocha swój dom, widzę to.

Wzięła z jego rąk album i przyjrzała się dużej fotografii. Ten pałac naprawdę robił wrażenie. Musiał go budować dobry włoski lub francuski architekt. Skinęła głową i zwróciła mu album.

– Zamierzał pan mówić o waszym przeciwniku – przypomniała.

– Ach tak, słusznie. Nie wiem, czy wypada rozmawiać o takich sprawach z delikatną damą, lecz pani życzyła sobie tego. Pani hrabino, jestem oficerem i miałem nadzieję, że będę walczył z prawdziwym żołnierzem. Tymczasem my ciągle napotykamy jakichś łachmaniarzy, uczniów, prawie dzieci. Te nędzne stworzenia zachowują się fanatycznie, jak dzikusy gardzące życiem. Niedawno kazałem jednego z nich powiesić. Przed śmiercią pogryzł mego żołnierza jak wściekły pies. No, zwierzę! Naturalnie, wszelkie gwałty i grabieże napełniają mnie odrazą, jesteśmy przecież narodem kulturalnym, ale jako oficer jestem obowiązany wykonywać rozkazy. Jednak gdyby nie ten bunt, to nie miałbym szczęścia poznać bliżej pani hrabiny. – Nawet nie zauważył, że Nina śmiertelnie zbladła, jej serce zaczęło lodowacieć, a oczy rozbłysły złym ogniem.

– Nie uwierzy pani, ale na widok tego pałacu doznałem przeczucia, iż spotka mnie tu coś wspaniałego. Nie potrafię tego wyrazić własnymi słowami, więc posłużę się strofami poety.

– Uhm – mruknęła na znak, że słucha, i skręciła z alei na dziedziniec z zabudowaniami gospodarczymi. – Błagam pana, tylko proszę mi nie

recytować: „Niebo jest tam, gdzie mieszka Julia”.

– Julia? Nie, cóż znowu, Szekspir jest zbyt sentymentalny.

Rudzkoj wpadł w zapał i nie zważając na wrzaski krzątających się po dziedzińcu żołnierzy, zadeklamował fragment Puszkinańskiego poematu, parafrazując nieco jego treść. Znała ten piękny poemat, bo niegdyś, w lepszych czasach, głośno czytał go Aleks.

*Kim jesteś? Czy aniołem stróżem,
Czy kusicielką mą przewrotną?
Wyjaw, niech się nie błąkam dłużej.
Może to w sercu mym samotnym
Roilem mrzonki niestworzone,
A co innego mi sądzone...
Lecz wszystko jedno, niech się dzieje,
W Twe ręce los mój cały składam*[23](#).

– Wzruszające – bąknęła. – Szkoda, że tak słabo znam język rosyjski.

– Pani hrabina się uśmiecha! – Rudzkoj popatrzył na nią z wyrzutem. – To nieładnie kpić sobie ze mnie. Miałem nadzieję, że ten wiersz odda znacznie wyraziściej to, co czuję. Wyzna, czego nie ośmieliłbym się głośno powiedzieć. Przecież pani hrabina zdaje sobie sprawę, że jednym słowem może ukoić moją mękę... – Spojrzał na nią zdumiony, bo Nina szorstkim ruchem przerwała jego miłosne wyznanie.

Stała jak wryta, patrząc szeroko otwartymi oczami ku stajni, z której właśnie kozacy wyprowadzali araby z zaprzęgu do karety. Wśród śmiechów i pohukiwań mołojcy dosiedli je i zaczęli ujeżdżać po dziedzińcu. Przerażone konie szalały, wierzgając i usiłując stanąć dęba, by zrzucić jeźdźców, ale potężne ciosy biczem i ukłucia stalowych ostróg zmuszały je do posłuszeństwa. Skamieniała z oburzenia Nina zobaczyła nagle swoją Mignon, miotającą się bezsilnie pod roslym kozakiem okładającym ją bezlitośnie nahajką. Biedna klaczka spływała potem, z otwartego pyska spadały na ziemię płaty piany. Drobiła w miejscu przednimi nóżkami, chcąc wspiąć się i stanąć dęba, aby pozbyć się dręczyciela, lecz za każdym razem silny cios między uszy udaremniał ten zamiar. Jedwabista jej sierść poszarzała od potu, w wielkich oczach malował się ból. Próbowwała wygiąć grzbiet jak kot i wyrzucić kozaka z siodła, lecz jego ostrogi darły delikatną

skórę, aż klacz jęczała z bólu, a całe jej ciało przebiegały dreszcze. Zobaczywszy swoją panią zarżała, rozpaczliwie wzywając pomocy.

Kozacy, mieszkańcy stepów, doskonale znali się na koniach, zżyci z nimi od najmłodszych lat. W normalnych warunkach piękność arabów wzbudziłyby ich zachwyty, ale trzymanii przez pułkownika żelazną ręką, nie mogąc sobie pohulać po kozacku, mścili się w ten sposób na zwierzętach tylko dlatego, że należały do znienawidzonych Lachów.

Nina obserwowała tę scenę trupio blada, zacisnąwszy dłonie w pięści.

– Widzę, że pani hrabina wcale mnie nie słucha! – nadąsał się Rudzkój.

– Czy pan jest ślepy? – Zwróciła ku niemu twarz z nienaturalnie rozszerzonymi oczami. – Nie widzi pan, co się tu wyprawia? – wykrztusiła głosem zduszonym z bezsilnego gniewu. – Pan mnie czaruje wierszami Puszkina, a ci nędznicy mordują moje konie! Czy to piekielne widowisko nie robi na panu żadnego wrażenia? Może pan patrzeć na to spokojnie? Te konie to czystej krwi araby warte tysiące rubli! A moja klacz jest tak cenna, że stanowiłaby ozdobę cesarskiej stajni! I takiego konia, delikatnego i bezcennego, ujeżdża tępy cham, wałąc ją nahajem po oczach. Znęca się nad moją Mignon, a ja muszę na to patrzeć!

Widok dręczonej klaczki odebrał jej resztę spokoju. Wybuchła jak petarda, krzycząc, szlochając i tupiąc. Gdyby miała przy sobie broń, bez względu na konsekwencje zastrzeliłaby kozaka. Każdy cios wymierzony Mignon czuła we własnym ciele, jakby to na jej barki i głowę spadały razy nahajki. Jakby to jej skórę darły stalowe ostrogi. Cudne araby, duma Makowa, jęczały teraz pod brutalnymi ciosami batów. Nie potrafiła patrzeć na to spokojnie i była wprost nieprzytomna z morderczej pasji.

– Niechże pan coś zrobi, do diabła! – wrzasnęła i z gniewem cisnęła na ziemię mufkę, zasłaniając twarz dłońmi.

Kniaź pochylił się, podniósł mufkę, otrzepał ją i podał Ninie. Z powagą spojrział w jej wielkie oczy, płonące nienawiścią i lśniące od łez. Wsparł rękę na rękojeści szabli i ruszył śpiesznie ku harcującym beztrudko kozakom. Na jego spotkanie wyszedł uśmiechnięty podoficer, bawiąc się nahajką.

– Może Wasze *Prewoschoditelstwo*²⁴ chce...? – odezwał się, lecz nie dokończył, bo Rudzkój wyrwał mu bat z ręki i wymierzył potężny cios przez twarz.

Kozak cofnął się, lecz kniaź następował na niego, a razy sypały się na jego głowę, ramiona i piersi. Piękne młodzieńcze rysy oficera zmieniły się w mgnieniu oka nie do poznania. Poczerwieniał, oczy uciekły mu ku skroniom, a w kącikach wykrzywionych wściekłością ust pokazała się piana. Wyszczrzywszy zęby, bez miłosierdzia okładał żołnierza batem. Kozak zalał się krwią, jego twarz, pocięta razami nahajki, wyglądała upiornie. Mimo bólu nie próbował zasłaniać się czy odwracać, znosząc bicie z pokorą i stoickim spokojem ludzi Wschodu. W jego wzroku malowała się niemal psia uległość.

– *Imbécile*²⁵! – charczał Rudzkój przez zaciśnięte zęby. – *Ty swołocz, sobako*²⁶, ja cię nauczę szanować konie. *Skotina! Smirno!*²⁷ – potem z delikatnych różowych ust kniazia posypały się soczyste żołnierskie przekleństwa.

Nina się wycofała, bez najmniejszego współczucia obserwując bitego kozaka. Resztę żołnierzy jakby wiatr zdmuchnął z koni. Zeskoczywszy błyskawicznie na ziemię, gorliwie wycierali zgrzane araby z potu i piany, odprowadzili je do stajni i oddali w ręce stajennych. Na koniec egzekucji Rudzkój wyciął kozaka pięścią w zęby i starannie wytarł zakrwawioną rękawiczkę o jego płaszcz. Podniecenie opadło, a jego rysy przybrały ponownie wyraz słodczy i niewinności. Chłodnym tonem ostrzegł podoficera, że każda skarga mieszkańców pałacu sprowadzi na sotnię surową karę. Uśmiechnięty i zadowolony z siebie powiedział do Niny:

– Proszę o wybaczenie. Ośmieliłem się unieść gniewem w obecności pani hrabiny. – Ujął jej dłoń i złożył na niej lekki pocałunek. – Niestety, nie mogłem się zachować inaczej, bo ci ludzie cenią jedynie siłę. Zaręczam, że odtąd te wspaniałe konie będą zupełnie bezpieczne.

Wpatrując się w jego prawie dziewczęcą twarz, Nina nie mogła wprost uwierzyć, że ten sam człowiek przed chwilą z sadystyczną wprost rozkoszą smagał żołnierza, a jego twarz była maską wykrzywioną dziką furją. Ze zdumieniem usłyszała pełne podziwu szeptu kozaków, znoszących ten pokaz brutalnej siły z fatalistyczną filozofią ludzi Wschodu, przyzwyczajonych do przemocy. Nagle poczuła, że boi się kniazia nawet bardziej niż ordynarnego skośnookiego majora, niekryjącego wrogości do wszystkiego, co polskie.

– Bardzo dziękuję za skuteczną interwencję. – Skłoniła głowę i cofnęła dłoń z jego uścisku. – Pan wybaczy, ale muszę zajrzeć do stajni i uspokoić

moją Mignon. Jest z pewnością pokaleczona i przerażona.

– Czy wolno mi będzie towarzyszyć pani hrabinie? – spytał, patrząc na nią błagalnie.

– Nie. Konie są przestraszone i obawiają się obcych. Spotkamy się przy kolacji.

– Bardzo żałuję. – Na jego twarzy odmalował się wyraz przykrego zawodu. – W takim razie *au revoir, madame* – rzekł, kryjąc westchnienie żalu.

Odwróciła się i pobiegła do stajni. Zaraz przy wrotach natknęła się na Maćka. Chłopak miał rozbity nos, a na podbródku zastygła mu smuga krwi. Inni stajenni również byli pobici, a koniuszy Stach miał rozciętą brew. Stając w obronie koni, wszyscy oberwali od kozaków. Ale na ich ściągniętych bólem i gniewem twarzach widoczny był wyraz mściwej satysfakcji.

– Czy nikt z was nie jest ciężiej ranny? – spytała, patrząc ze współczuciem na ich sińce i podbite oczy.

– Pan Jezus ustrzegł od najgorszego – westchnął Stach. – Psubraty przykładali nam pistolety do głowy i siłą konie wyprowadzili. Oj, dobrze, że jaśnie pani nadeszła, bo by nas chyba pomordowali, herody!

– Jestem wam bardzo wdzięczna, że broniliście tak dzielnie koni, ale proszę na przyszłość, nie wolno wam się narażać. Wasze życie jest dla mnie więcej warte od najcenniejszego konia. Zabraniam wam szarpać się z żołnierzami, są od nas silniejsi. Co innego, gdyby ich było mniej... – dodała ciszej z drapieżnym uśmieszkiem.

– A niedoczekanie, żebym ja tym psim synom ustępował! – zawzięcie warknął Maciek. – Ale dzięki jaśnie paniulce, naszemu słoneczku, dostali po mordzie i wyszło na nasze! – Pochwyił szczotkę i wzburzony zaczął tak energicznie czyścić siwego ogiera, aż koń parsknął i podskoczył, zdumiony takim zapałem.

Mignon nie ochłonęła jeszcze z przerażenia. Drżała i chrapała, kładąc po sobie uszy. Lecz gdy Nina podeszła do niej i odezwała się czule, klaczka dotknęła jej policzka miękkimi chrapami, jakby dziękując za ratunek. Nina sama umyła ją, opatrzyła ranki od ostróg, delikatnie wyszczotkowała, cały czas przemawiając do niej pieśczośliwie. Po jakimś czasie klacz uspokoiła się zupełnie. Nina nasypała jej obroku, dała wody, a potem usiadła na

krawędzi żłobu i gładziła Mignon po pysku i szyi. Klacz rewanzowała się, pocierając głowę o ramię pani, wyrażając w ten sposób swą miłość.

Na tym jednak nie skończyły się przygody dnia... Po powrocie do pałacu Nina zastała w korytarzu zabeczaną Ulisę. Pokojówka miała potargane włosy, czerwone policzki i wyraźnie boczyła się na ordynansa Czengierego, który coś jej po cichu klarował.

– Co tu się dzieje?! – zawołała Nina, czując narastającą wściekłość.

– A bo proszę jaśnie pani hrabiny, ten nicpoń pocałował mnie siłą! – poskarżyła się dziewczyna, szlochając i palcem wskazując stojącego spokojnie żołnierza.

– Czy to prawda? – spytała, mierząc go groźnym wzrokiem.

– *Da.* – Sługa pokazał w szerokim uśmiechu wszystkie zęby.

Ulisia rozbeczała się jeszcze głośniej, wycierając oczy skrajem białego fartuszka. Nina, roztrzęsiona zajściem z kozakami i widokiem pokaleczonych stajennych, po raz drugi tego dnia straciła nad sobą panowanie. Bez słowa podeszła do szczerzącego zęby sługę i z całej siły wymierzyła mu siarczysty policzek.

– Nie próbuj brudnymi łapami dotykać moich dziewcząt! – wrzasnęła rozwścieczona.

Żołnierz nie zareagował na klapsa i skłoniwszy się jej po pas, odszedł, nie przestając się uśmiechać. Nina pochwyciła pokojówkę za rękę i pociągnęła ją do buduaru.

– Nie waż się nigdy więcej chodzić sama po domu! – krzyknęła. – Niech zawsze idzie z wami któryś z lokajów. Pamiętaj, w każdej chwili jakiś oficer czy sługa może którąś z was wciągnąć do pokoju i robi z nią, co zechce.

Ulisia otarła oczy i dygnęła, wpatrując się w swą panią z ogromnym podziwem.

– Nasza jaśnie pani hrabina to się nawet Moskala nie boi! Ale ten osioł miał głupią minę, jak dostał od jaśnie pani po pysku! – Zachichotała, zasłaniając usta ręką.

„Jezu, zaczynam się upodabniać do Rudzkoja” – jęknęła w duchu Nina. Była z siebie bardzo niezadowolona, bo dziś aż dwa razy straciła panowanie, robiąc z siebie widowisko. Zamiast tłuc sługę, należało poskarżyć się na niego pułkownikowi. Rękoczynny stanowczo pani hrabinie nie uchodziły.

Następnego dnia część wojska wyruszyła przeczesać pobliskie lasy, bo wywiadowcy donieśli, iż w pobliżu wsi Gorno zbierają się chłopcy pragnący przystąpić do powstania. Pozostali Rosjanie odbywali musztrę na dziedzińcu, a nawet w parku. Z okien swego buduaru Nina widziała żołnierzy ćwiczących paradny krok, słyszała głos trąbek, warkot werbli i wrzask komend. Ten hałas drażnił ją nieznośnie, ale dopiero po kilku godzinach zakończyli forsowne ćwiczenia i zebrali się przy kuchniach polowych, zajadając kaszę z mięsem. Potem rozsiedli się, paląc cuchnącą machorkę i odpoczywając.

Nina od samego rana czuła się niedobrze. Skończywszy czytać raporty rządcy i ekonomów, położyła się na miękkiej sofie, próbując zasnąć, lecz przeszkadzały jej w tym kroki ordynansów biegających tam i z powrotem po korytarzach i nad jej głową. Panowie oficerowie po powrocie z ćwiczeń myli się i przebierali do obiadu. Ordynansi czyścili im buty, golili i pomagali się przebrać. Kiedy coś im nie wychodziło, wtedy oficerska pięść spadała na ich twarze. Żołnierz wypluwał zęby i wycierał zakrwawiony nos, nie przerywając swego zajęcia. Co jakiś czas do uszu zdenerwowanej Niny dobiegały ich głosy, ryczące gorliwie jednym tchem: „*Słuszajus* wasza wielmożność”.

Nie mogąc już znieść tych wrzasków, Nina z pasją cisnęła książką i zasłoniła uszy poduszką. Niewiele to pomogło.

– Matko Najświętsza, kiedy oni już sobie pójdą? – stęknęła boleśnie.

Wszyscy domownicy mieli już obecności wojska zupełnie dosyć. Pani Salomea i Emilka siedziały w swoich pokojach, nie pokazując się nawet przy posiłkach. Mira narzekała, że nie może jechać do Porajów, mimo iż obiecała pannie Kazimierze pomoc przy przepisywaniu instrukcji i rozkazów dla walczących oddziałów. Obraziwszy się na skośnookiego majora, przestała także pokazywać się przy stole. W tej sytuacji Nina, chcąc nie chcąc, musiała sama stawiać czoło wszelkim przeciwnościom losu. Nie miała pretensji do nikogo, bo gdyby nie zmuszały jej do tego obowiązki pani domu, najchętniej nawet by nie wyjrzała ze swoich apartamentów. Leżąc na sofie, wpatrywała się we freski na suficie i jak zwykle, kiedy nie miała zajęcia, jej myśli powędrowały ku Aleksowi. Martwiła się, że nie dawał znaku życia i próbowała odgadnąć, gdzie może przebywać. Rano

przebiegł po ścianie pająk. „*Matin – chagrin, midi – souçi, soir – espoir*”²⁸
– pomyślała zatroskana. Wiadomo, pająk z rana to murowany pech...

Usłyszała dyskretne pukanie i do pokoju bezszelestnie wsunął się Walenty, przystając przy drzwiach. Zwróciła ku niemu bladą, zmęczoną twarz.

– Przyszedł ogrodnik Skowroński – zameldował kamerdyner półgłosem. – Powiada, że w kaplicy słyhać jakieś hałasy. Jakby ktoś próbował dostać się do podziemia.

Nina zerwała się na równe nogi, obciągając na sobie krynolinę.

– Proszę posłać Pawła po pana Bochniaka – rozkazała. – Niech przyprowadzi z sobą dwóch mocnych parobków.

Będąc dzieckiem, nasłuchiwała się opowiadań, jak to po upadku powstania listopadowego żołdaci wdzierali się do kaplic grobowych, szukając tam kosztowności. Otwierali trumny, wyrzucając z nich zwłoki i rabując je.

Rządca przyszedł niebawem, prowadząc dwóch rosłych chłopców. Nina narzuciła na ramiona futrzaną pelerynę i razem poszli do kaplicy. Obite blachą drzwi były zamknięte, lecz jeden z witraży został stłuczony, a do okna przystawiono drabinę, po której weszli rabusie. Na myśl, że czyjeś parszywe łapska dotykają szczątków hrabiów Klonowieckich, grzebią w trumnie ciotuni Tekli, zakłócając jej spokój, Nina poczuła, że krew zastyga jej w żyłach. Drżącymi rękami przekręciła klucz w zamku i weszli do wnętrza kaplicy. Przy kracie zamykającej wejście do podziemia stało dwóch drabów, usiłując podważyć ją łomem. Właśnie ten hałas zwrócił uwagę ogrodnika. Na odgłos kroków włamywacze odwrócili się zaskoczeni. Parobkowie stali w groźnym milczeniu, zasłaniając sobą wejście. Rabusie wymienili drwiące spojrzenia. Ich szare szynele i okrągłe czapki na ogolonych głowach nadawały im wygląd pni zastygłych w złowrogim bezruchu.

– Co wy tu robicie? – odezwał się pan Bochniak, chociaż nie było wątpliwości, co ich sprowadziło w to miejsce.

– *Ot, durak!* – Sołdaci tręcili się łokciami. – *Nu, poszli won, bo ubijem!* – warknął brodaty drab, wpatrując się w nich małymi, głęboko osadzonymi zwierzęcymi oczkami.

– Wynoście się stąd natychmiast! – zawołała Nina. – Nie wolno wam schodzić do krypty, bo zarazicie kolegów straszną chorobą. Zresztą nie będę

z wami dyskutować, idę do pułkownika. Panie Bochniak, proszę ich pilnować, zaraz wracam.

Pobiegła do domu, sapiąc i przeklinając swoją nieporadność, która utrudniała prędkie poruszanie się, czyniąc ją ociążałą i niezgrabną. Brzuch przeszkadzał jej w szybkim biegu. Wpadła spocona do sieni, ciężko dysząc. W drzwiach stał wartownik, rysując dla rozrywki ostrzem bagnetu marmurową posadzkę. Słyszac kroki, przybrał postawę na bacność, lecz ujrzawszy Ninę, powrócił do przerwanej zabawy.

– Gdzie pan lejtnant Rudzkoj? – wydyszała, gwałtownie łapiąc powietrze w płuca.

– *Ne znaju* – odburknął.

„Co za cham!” – pomyślała ze złością, pukając do drzwi malinowego salonu, który stał się pokojem adiutantów pułkownika. Nie usłyszawszy zaproszenia, weszła. Skośnooki major siedział rozparty przy palisandrowym stoliczku inkrustowanym pozłacanym brązem i kością słoniową. Dla wygody trzymał nogi w butach z ostrogami na kanapce obitej lyońskim jedwabiem.

– Panie majorze! – wykrzyknęła wzburzona. – Wasi żołnierze wdarli się do kaplicy grobowej i chcą obrabować trumny!

Oficer ściągnął czarne brwi i posłał jej spojrzenie spode łba.

– Ja tu pani nie prosiłem. Niech pani stąd wyjdzie!

– Ja panów także tu nie prosiłam! To jest mój dom! Mam nadzieję, że rozmawiam z człowiekiem kulturalnym. Proszę powstrzymać tych wandali.

– Potem, teraz jestem zajęty. A mówiąc między nami, to w tym kraju już nic nie jest wasze. Pozwalamy wam tu mieszkać z grzeczności, i tyle!

Nina oniemiała, a odzyskawszy mowę, krzyknęła, zapominając o ostrożności:

– Jeżeli w ten sposób zachowujecie się w domach lojalnych obywateli, to wyobrażam sobie, jak traktujecie rodziny powstańców!

– Buntownicy nie mają rodzin i domów! – przerwał jej brutalnie. – Niech pani lepiej stąd wyjdzie, bo i panią potraktujemy podobnie.

Nina trzęsa się cała, wyobrażając sobie, co się dzieje w kaplicy, gdzie pozostał pan Bochniak i dwaj uzbrojeni po zęby bandyci. W walce z nimi bezbronni chłopcy nie mieli żadnych szans.

– Dobrze! – powiedziała podniesionym tonem, blada z gniewu. – Będzie pan odpowiedzialny za to, co się stanie. Pan nie chce mi pomóc i to będzie

kara za wasze okrucieństwo!

– Co tu tak głośno? – Drzwi sąsiedniego pokoju otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Czengiery.

Major zerwał się i wyprostował służbiście.

– Panie pułkowniku, melduję, że ta kobieta wdarła się tu nieproszona i urządza mi awantury, mimo iż poleciłem jej wyjść.

– Czego pani sobie życzy? – zagadnął Czengiery, nie kryjąc zniecierpliwienia.

Krótko wyjaśniła, z czym przyszła. Pułkownik się zaniepokoił.

– Mówi pani, że tam leżą osoby zmarłe na ospę? Jaką, wietrzną?

– Czarną! Wszyscy jesteśmy zagrożeni epidemią. Czy pan pułkownik zdaje sobie sprawę, co by się mogło wydarzyć, jakbym złośliwie zataiła ten fakt i pozwoliła tym łotrom włamać się do krypty? A mogłabym tak postąpić po tym, jak pan major poinformował mnie uprzejmie, że w tym kraju już nic do nas nie należy i jeśli się nie wyniosę, potraktuje mnie jak buntownika!

Oficer spojrzał na nią z wściekłością.

– Przepraszam panią za zachowanie mego podwładnego. – Czengiery spiorunował majora wzrokiem. – Natychmiast wydam odpowiednie rozkazy. Naruszanie miejsc wiecznego spoczynku uważam za barbarzyństwo i to przestępstwo będzie surowo ukarane. Majorze, proszę zachowywać się tak, aby pani hrabina nie musiała żałować, że przyjęła nas pod swój dach – upomniał zdenerwowanego naganą oficera.

Na rozkaz pułkownika zameldował się młody kapitan, prowadząc z sobą czterech żołnierzy. Czengiery polecił im iść do kaplicy i zabezpieczyć ją przed grabieżą. Nina postanowiła im towarzyszyć, ale z piętra zbiegły Emilka i Mira, zaalarmowane przez Walentego, i próbowały ją zatrzymać.

– Nie, sama tam nie pójdziesz! – oświadczyła stanowczo panna Lutówna.
– Chcesz, to pójdziemy razem z tobą.

Żołnierze śpiesznie pomaszrowali do kaplicy, ale w połowie drogi usłyszeli huk wystrzału, a potem wybuchły wściekłe wrzaski. Nina poczuła, że ma serce w gardle i byłaby upadła, gdyby dziewczęta jej nie podtrzymały. Panna Maciejewska chwyciła garść śniegu i przetarła jej twarz. Nina odetchnęła i się wyprostowała.

– Już mi lepiej, chodźmy. Tam się coś stało – szepnęła.

– Jesteś chora, wracajmy do domu – sprzeciwiła się Mira.

– Ja muszę tam być! – Nina się uparła i wolno ruszyła, podpierana przez panny.

W kaplicy ich oczom ukazał się straszny widok. Na kamiennej posadzce leżało ciało zabitego parobka w jakiejś dziwnej, skręconej pozie. Nad nim pochylali się bladzi z wściekłości rządcą i drugi chłopak z drągiem w ręku. Przybyli żołnierze wykręcali ramiona wyrywającemu się im drabowi. Drugi rabuś siedział na posadzce i pocierał sobie głowę, wodząc dokoła ogłupiałym wzrokiem.

– Jezus, Bartuś zabity? – wyszeptała przerażona Nina, przyklękając obok leżącego we krwi parobka. Delikatnie zamknęła mu szeroko otwarte oczy, w których zastygła groza śmierci.

– Dostał prosto w serce – rzekł ponuro pan Bochniak.

– Proszę mi wyjaśnić, co tu się wydarzyło? – dopytywał się kapitan, chcąc się zorientować w sytuacji.

Rządcą opowiedział o włamaniu, pokazał rozbity witraż, drabinę i łom.

– Te łotry chciały uciec, ale moi chłopcy bronili wyjścia. Ten ryży strzelił do Bartusia i zabił go na miejscu. Wawrzek chwycił drązek do chorągwi i zdzielił go w łeb, aż drania ogłuszył.

Oficer podszedł do oszołomionego rabusia i z całej siły kopnął go w bok.

– *Smirno!* – ryknął. Sołdat z trudem dźwignął się na kolana, potem wstał i wyprostował się na baczność. – *Pomnisz ty, sobaka, jaki był rozkaz? Nie kraść i nie zaczepiać ludzi!*

– *Da, da, pomniu* – przytaknął sołdat, chwiejąc się na nogach.

– *Stupaj!* To co tutaj robisz, sukinsynu?

Ryży spuścił głowę i milczał. Kapitan sapnął z gniewu.

– Zabrać te bydlęta i zamknąć w loszku – rozkazał. Rozejrzał się, dotknął pogiętej kraty i trącił stopą porzucony łom. – *Madame...* – zwrócił się do Niny z ukłonem. – To się już nie powtórzy, bo jutro odchodzimy. Szkoda takiego młodego życia. – Wskazał na zabitego.

Wiadomość o zabójstwie rozeszła się błyskawicznie i do kaplicy zbiegali się zewsząd ludzie, między nimi matka zabitego chłopca.

– Bartuś! – wrzasnęła nieludzkiem głosem, rzucając się na ciało syna. Porwawszy go w ramiona, jęła tulić zabitego, zanosząc się od krzyku i płaczu. – Maryjo Święta! Zabili mi dziecko! Ludzie, patrzajta, Bartuś nie żyje! Jezus, mój Ty Jezus! – ryczała wniebogłosem, zanosząc się rozpaczliwym wyciem i targając sobie włosy.

Kaplicę wypełnił tłum. Przyszli nawet żołnierze rosyjscy, żegnając się pobożnie i współczująco kiwając głowami. Ninie, patrzącej na rozpacz nieszczęśliwej matki, nagle zaschło w ustach. Nie mogła przestać patrzeć na zabitego, wiedząc już, jak okrutna może być dla ludzkiego ciała nagła śmierć. Nie odrywała wzroku od Bartusia nawet wtedy, kiedy pociemniało jej w oczach. Rozchylonymi ustami chwytiała powietrze, obiema rękami trzymając się za brzuch.

– Pani hrabina musi stąd natychmiast wyjść – powiedział kapitan, obserwując z obawą jej ziemistą twarz i na wpół przymknięte powieki.

Pan Bochniak pochwycił ją na ręce i wyniósł z kaplicy, sadzając na pobliskiej ławce, a Mira natarła jej skronie śniegiem. Nina westchnęła, otworzyła oczy i spojrzała w górę, na bezchmurne niebo. W ustach czuła smak ołowiu i nieznośnie kręciło jej się w głowie. Na tle błękitu gałązki drzewa wyglądały jak czarna koronka poruszana lekkim wiatrem. Panna Maciejewska podsunęła jej pod nos flakonik z solami.

– Kochanie, czujesz się lepiej? – spytała, otulając ją troskliwie futrem.

– Lepiej – odpowiedziała samym ruchem białych jak opłatek warg. Przypomniała sobie, że niegdyś siedziała w tym samym miejscu, targana wymiotami, ujrawszy zmienione rozkładem zwłoki Pauli. – Chcę do domu – wyszeptwała, czując, że ponownie robi się jej słabo.

Kapitan, zauważywszy, że jej oczy zaczynają się przewracać, podbiegł i wcisnął jej głowę między kolana.

– Proszę oddychać głęboko. – Jego głos zdradzał napięcie, ale dotyk dłoni na jej głowie był delikatny.

Pan Bochniak pochylił się i wziął ją na ręce. Oficer podtrzymywał jej nogi, idąc obok z miną pełną współczucia i chęci przyjścia z pomocą. Obaj mężczyźni na zmianę nieśli ją do pałacu. Jaga, jakby wiedziona przeczuciem, wyszła do sieni i na widok Niny wydała okrzyk. Podbiegła i podniosła jej zwieszoną głowę.

– Boże, co się stało mojemu dziecku? – dopytywała się, pomagając wnieść ją do sypialni.

– At, nieszczęście – mruknął pan Bochniak. – W kaplicy żołdaci zastrzelili Bartusia, a pani hrabina tak się tym przejęła, że zasłabła.

– Co?! – Rozgniewana Jaga ujęła się pod boki. – Narażacie damę w jej stanie na takie okropne widoki? Przecież może stracić dziecko albo urodzi

martwe. Chryste! Miruniu, powiedz Kumosi, żeby zaparzyła zioła, a pani ochmistrzyni niech zaraz przyniesie kropli bobrowych z apteczki.

Z piętra zeszła pani Salomea i wszystkie zaczęły cucić i trzeźwić wespółprzytomną Ninę. Rozebrały ją i okryły kołdrą, bo drżała z zimna.

– Napij się tej herbatki ziołowej. – Niania podsunęła jej szklankę do ust i zmusiła, żeby przełknęła jeden łyk. – Chcę, żebyś poczuła się lepiej, kiedy będę na ciebie wrzeszczała.

– Będziesz musiała na to trochę poczekać – wyszeptała Nina.

Otworzyła oczy i zauważyła, że niania jest zła. Naprawdę zła.

– To tylko silny wstrząs. Ninka wkrótce przyjdzie do siebie – pocieszała pani Salomea, zbadawszy chorej tętno i posłuchawszy oddechu.

Jaga bezsilnie opadła na najbliższe krzesło.

– Tylko ją spuścić na moment z oka, a ona zaraz napyta sobie biedy – lamentowała. – Jak można tak się narażać? Gdyby coś jej się stało, pan hrabia rozdarłby nas na kawałki.

– Bo Ninka jest bardzo uparta – wtrąciła się panna Maciejewska. – Prosiłyśmy ją z Mirą, żeby wróciła do domu, ale chciała iść do kaplicy i wcale nas nie słuchała.

Jaga westchnęła i skinęła głową.

– W ojca się wdała. Jej matka, pani Helenka, to było takie słodkie ciche dziewczętko, zawsze posłuszne. Nigdy mi nie sprawiała kłopotów. Ale pan Alfred był człowiekiem upartym i to moje półdiabłą jest zupełnie do niego podobne z charakteru. Taka już była od urodzenia, jak sobie coś wbiła do łepetyny, to nikt jej tego nie mógł wyperswadować. Jak ta oślica! Przecież taki wstrząs mógł zabić słońca, cóż dopiero kobietę w błogosławionym stanie.

Stan zdrowia Niny przestał budzić obawy dopiero po południu. Ale Jaga cały czas czuwała nad nią, nie pozwalając się ruszyć. Leżała więc, otoczona zgromadzonymi przy jej łóżku paniami, podającymi jej coraz to nowe leki.

– Och, dajcie mi spokój – jęczała, odsuwając filiżankę z gorzkimi ziołami. – Niedobrze mi się robi od tych herbatek. Nic mi nie jest, całkiem wyzdrowiałam.

– To się dopiero okaże! – Jaga spojrzała na nią ponuro. – Jesteś zielona jak żaba! Czujesz ruchy dziecka?

– Jeszcze jak! Kopie mnie. – Nina się skrzywiła i pomacała po brzuchu. – O, żeby nie ta ciąża, nie byłabym takim zdechlakiem! Najwyższy czas,

żeby to dziecko przyszło na świat i przestało mnie dręczyć!

Jaga, stwierdziwszy że reszta pań przeszła do buduaru i tam się sprzeczały, każda wychwalając inne lekarstwo, powiedziała surowo:

– Rób tak dalej, to bardzo prędko urodzisz, ale to nie wyjdzie ci na zdrowie. Za moich czasów damy przy nadziei siedziały w swoich pokojach i nie ruszały się z domów, bo nie uchodziło pokazywać się ludziom w tym stanie. A ty w piątym miesiącu flirtujesz z oficerami, pokazując się im z brzuchem!

– No wie niania! – Nina poczuła się bardzo urażona. – Po pierwsze, z nikim nie flirtuję, a po drugie, pod krynoliną brzucha nie widać.

– Naturalnie, bo coraz wyżej podciągasz spódnicę. Niedługo majtki będzie ci widać! – oświadczyła bezlitośnie Jaga i wzruszywszy ramionami, z godnością wymaszerowała z pokoju.

Nina z właściwym sobie uporem po południu wstała, pragnąc udowodnić, że nic jej nie jest. Ubrana w piękny seledynowy peniuar, obszyty łabędzim puszkim, ułożyła się w buduaru na szezlongu, nie wiedząc, jak spędzić resztę dnia. Książki ją nudziły i denerwowała się, śledząc zmyślane losy bohaterów w malowniczej scenerii sielankowych dworów i zamków angielskiej szlachty, uroczyście celebrującej picie herbaty. Wydawali się jej mieszkańcami z innej planety. Wsparta na dłoni, myślała o Zosi, nie wiedząc, gdzie przebywała po stracie rodzinnego domu. Martwiła się o nią i niecierpliwie oczekiwała wymarszu Rosjan z Makowa, żeby natychmiast zasięgnąć informacji w Brzezińcu, u starego pana Siekielskiego. Uniosła głowę, bo do buduaru zapukał Walenty i szeptem oznajmił, że przyszedł rosyjski oficer i pragnie złożyć jej swoje uszanowanie.

– To ten pan, który przyniósł jaśnie panią z kaplicy – wyjaśnił staruszek.

– Ach tak... W takim razie wypada go przyjąć – zdecydowała bez entuzjazmu, przesiadając się z szezlonga na fotel i narzucając na ramiona obszerny szal.

Oficer był brunetem średniego wzrostu, o sympatycznej twarzy i szczerym spojrzeniu bystrych oczu. Z galanterią ucałował podaną sobie dłoń.

– Pani hrabina zapewne jeszcze niedysponowana, a ja ośmieliłem się zakłócić pani spokój... – powiedział, siadając na wskazanym sobie miejscu.

– Czuję się już lepiej i jestem bardzo wdzięczna za okazaną mi pomoc.

– To obowiązek mężczyzny wobec słabej kobiety i wdzięczność mi się nie należy. Przyszedłem raz jeszcze prosić o wybaczenie za ten obrzydliwy czyn, stawiający nasze wojsko w bardzo niekorzystnym świetle. Pragnę również podziękować za gościnę, choć zdaję sobie sprawę, że ciężko było pani hrabinie znosić intruzów pod własnym dachem.

„Wygląda zupełnie *comme il faut* – pomyślała Nina. – Zaraz, jak on się nazywa? Bestużew? Gdzie ja to nazwisko słyszałam? – skupiła się i znowu o mało głośno nie gwizdnęła. – Pestel, Rylejew, Kachowski, Obłoński i Bestużew!”. Momentalnie przypomniała sobie opowiadanie Aleksa o spisku dekabrystów przeciwko tyranii cara. Dziesiątki młodych i odważnych demokratów rosyjskich gotowych iść na śmierć za wolność Rosji.

– Przepraszam pana, zaintrygowało mnie pana nazwisko – odezwała się z wahaniem.

– Owszem, to był mój krewny. – Uśmiechnął się gorzko. – Może dlatego tak bardzo boli mnie to, co się w tym kraju dzieje. Wystawiamy sobie straszne świadectwo, a Polacy widzą w nas jedynie krwiożercze bestie. Ale proszę mi wierzyć, taki wizerunek Rosjan jest nieprawdziwy i krzywdzący.

– Zapewniam pana, że nigdy nie ośmieliłabym się osądzać narodu za winy jednostek. W każdym społeczeństwie są ludzie dobrzy i źli – zapewniła go uprzejmie, mając na myśli Wielenina.

– Dziękuję pani. Na szczęście dla was jutro już odchodzimy, pozostawiając po sobie, niestety, najgorszą pamięć.

– Pan nie jest odpowiedzialny za to, co się tutaj wydarzyło.

Zadzwoiła i kazała podać herbatę, wino i owoce. Przypatrując się kapitanowi, przypomniała sobie, że młody oficer nigdy nie brał udziału w wieczornych spotkaniach w salonie. Zapewne nie należał do ulubieńców dowódcy. Herbatę podano na sposób angielski – w dwóch srebrnych dzbankach. Nina nalewając ją do filiżanek, skupiona na tej czynności, odezwała się dopiero po chwili:

– O dekabrystach opowiadał mi mój mąż. Ale pan z pewnością wie o nich więcej.

Bestużew nie dał się prosić i pokrótce przedstawił jej historię tragedii rosyjskich demokratów. Do spisku przystąpiło stu dwudziestu ludzi. Młodych, lecz mających za sobą czyny rokujące najpiękniejsze nadzieje. Było pośród nich ośmiu książąt, sześciu hrabiów, trzech baronów, dwóch

generałów i dwudziestu trzech pułkowników. Pełnili funkcje sekretarzy stanu, kamerjunktów i wysokich urzędników państwowych. Marzyli o stworzeniu nowego, demokratycznego państwa, wolnego od ucisku, na wzór republiki Francji.

Spisek odkryto, gdy konspiracja ogarnęła swoim zasięgiem tysiące ludzi. Do spisku należały już całe pułki wraz ze swoimi dowódcami, gotując się do wystąpienia zbrojnego, aby nie dopuścić do koronacji znienawidzonego wielkiego księcia Mikołaja Pawłowicza, późniejszego cara Mikołaja I. Zamierzano powołać na tron wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza, naczelnego dowódcę wojska polskiego, ożenionego z Polką, hrabianką Joanną Grudzińską. Domagano się reform i konstytucji. Wołano: „Niech żyje cesarz Konstanty i jego żona Konstytucja!”. Po wykryciu spisku poddano przywódców okrutnym torturom, zaciskając im na głowach żelazne pierścienie, przypalając rozpalonym żelazem i szarpiąc kleszczami. Lecz oni byli nieustraszeni. Sergiusz Murawjow, zwany Apostołem, miał odwagę rzucić w twarz carowi Mikołajowi I obelgę: „Ty jesteś dla mnie tylko synem bękarta!”, mając na myśli cara Pawła, syna niewiadomego ojca. Carya Katarzyna II, zanim kazała zamordować swego męża – cara Piotra III – miała mnóstwo kochanków i tak naprawdę nikt nie wiedział, kto był prawdziwym ojcem jej dzieci. Usłyszawszy obelgę, car rzucił się z furją na niego i skopał udręczonego więźnia.

Komisja śledcza skazała winnych buntu na iście średniowieczne kary. Pięciu na ćwiartowanie, trzydziestu jeden na ścięcie toporem, siedemnastu na wieczystą katorgę, równającą się okrutnej śmierci. Wszystko, co Rosja miała najlepszego, rzuciła na szafot. Car okazał skazańcom „łaskę”, zamieniając przywódcom spisku ćwiartowanie na stryczek, a ścięcie na wieczystą katorgę. Egzekucja była wprost upiorna. Pod szubienicą stanęło pięciu spiskowców: Pestel, Murawjow, Bestużew, Kachowski i Rylejew. Bez drgnienia powiek oczekiwali na śmierć. Bestużew był niemal dzieckiem, zaledwie skończył osiemnaście lat. Rylejew głośno modlił się za Rosję. Pod ciężarem Pestela i Kachowskiego stryczki się urwały i ciała spadły pod szafot. Gubernator rozkazał założyć nowe powrozy. Pętla Pestela była za długa i końce jego stóp dotykały szafotu, co przedłużało jego męczarnie. Żył jeszcze, kiedy go odcięto, ale nikt się tym nie przejął. Ciała skazańców wpakowano do worków, umieszczono na barce i zatopiono w morzu. Potem już bez sądu utopiono w morzu kilkunastu

spiskowców. Zbuntowane pułki zebrano na placu przed Pałacem Zimowym. Wyszedł do nich car Mikołaj I i rozkazał: „Na kolana!”. Żołnierze, czując za sobą cień szubienicy, runęli na klęczki. Jednak car nie okazał im łaski i nie darował winy. Wszyscy zostali zesłani na Kaukaz lub na Sybir i straceni.

Ta okropna tragedia Rosji nie wzbudziła w Europie współczucia, a Polacy, obalamuceni obietnicami cara Mikołaja I, również zachowali się obojętnie. Fatalność sprawiła, że dwa bratnie słowiańskie narody nie potrafiły się z sobą porozumieć. Polacy nie okazali współczucia Rosji w 1825 roku, Rosjanie nie wzruszyli się dramatem Polski w 1831 roku.

– Obawiam się, że i tym razem nie zostaniemy przez Rosjan zrozumiani – rzekła Nina ze smutkiem. – A przecież Polska podjęła walkę nie tylko o swoją wolność, bo pragniemy jej także dla sąsiednich narodów, zniewolonych przez tyranie.

Kapitan zastanawiał się nad jej słowami i po chwili zauważył:

– Mam wrażenie, że na wspólną walkę jest jeszcze za wcześnie lub już za późno. Rosja nie jest gotowa na gruntowne reformy. Ale cieszę się, że raczyła mnie pani hrabina przyjąć i wysłuchać, i będę szczęśliwy, jeśli moja opowieść o dekabrystach choć odrobinę poprawi nasz wizerunek – powiedział, wzdychając ze smutkiem.

Nina nie chciała spotkać się przy kolacji z kniazem Rudzkojem. Na szczęście młody oficer nie powrócił jeszcze z rekonesansu. W duchu życzyła mu, aby nie wrócił nigdy. Nie zamierzała go więcej widywać, budził w niej strach i palącą nienawiść. Zaraz po kolacji chciała odejść do swoich pokoi, lecz pułkownik poprosił, żeby coś zagrała w salonie. Wyraziła zgodę, ponieważ pragnęła się upewnić, że wojsko naprawdę nazajutrz opuści Maków. Usiadła do fortepianu zadowolona, iż nie musi podtrzymywać rwącej się rozmowy. Czengiery był wyraźnie w złym humorze, a skośnooki major pozwalał sobie na niewybredne złośliwości pod adresem Polaków.

– Czy to prawda – odezwał się, kiedy na moment przerwała grę, aby przewrócić kartę z nutami – że jakiś durak nazwał muzykę Chopina armatami ukrytymi w kwiatach?

W oczach Niny przemknęła błyskawica gniewu.

– Owszem – odpowiedziała z niewzruszonym spokojem. – Tym durakiem był wielki kompozytor niemiecki Robert Schumann.

– Ach, ci artyści, wiecznie egzaltowani. – Major się zaśmiał, mrużąc ironicznie mongolskie oczy. – My, Rosjanie, wolimy jednak armaty, wam pozostawiając muzykę.

Nina bez wahania podjęła rzuconą sobie rękawicę.

– Dopóki w Polsce rozbrzmiewa ta muzyka, będziecie musieli trzymać armaty w pogotowiu – wypaliła bez namysłu, patrząc mu zuchwale w oczy.

Czengierey nie zrozumiał lub może nie chciał zrozumieć groźby pobrzmiwającej w tych słowach, bo roześmiał się serdecznie i zaklaskał.

– Ot i pani hrabina przycięła jak osa! No, majorze, trzeba kapitulować!

– Rosyjski oficer nie kapituluje nigdy, nawet przed tak uroczym przeciwnikiem – niby to żartem oświadczył oficer, ale jego spojrzenie wyrażało jawną wrogość. – Dziwny kraj, ta Polska. Owszem, kobiety piękne, lecz sam naród dziki. Jadąc tutaj, spodziewałem się trafić do cywilizowanego kraju. Tymczasem ciągle odnoszę wrażenie, jakby nigdy nie słyszano tu o kulturze europejskiej. Walące się miasteczka, nędzne wioski, a ludność – barbarzyńska!

Nina wysłuchiwała jego obraźliwych uwag, dygocząc z bezsilnej wściekłości.

– Pana majora dziwi, że nasz kraj wygląda ubogo? – odezwała się, spoglądając na niego zimnym, wyniosłym wzrokiem. – Niegdyś moja ojczyzna była bardzo bogatym i światłym narodem, ale od prawie stu lat rozdarta na trzy odrębne części, okrutnie niszczone i okradana z najcenniejszych skarbów, zubożała, ponieważ zaborcom nie zależy na tym, aby znowu wzrosła w siłę i zaczęła im zagrażać. Nie mamy szansy na nowoczesny rozwój. Czy widział pan może klasztor na Łysej Górze? Z pewnością pan go widział. Dawniej było to najświętniejsze sanktuarium, szczytujące się częścią Krzyża Świętego. Podobno świątynię zbudował na miejscu pogańskiego chramu sam król Bolesław Chrobry około roku tysięcznego, może nieco później. O ile dobrze pamiętam, pierwsze wzmianki o Moskwie pojawiły się dopiero w drugiej połowie dwunastego wieku. – Uśmiechnęła się szyderczo. – Ten „dziki kraj”, jak pan był uprzejmy nazwać Polskę, jako pierwszy w Europie miał ustrój parlamentarny, demokratyczne wybory, a Konstytucja 3 Maja była drugą taką ustawą w świecie. Mamy z czego być dumni. Królowie polscy z dynastii Jagiellonów zasiadali na tronach połowy Europy, a miecze rycerstwa polskiego rozbiły w puch niezwyciężone potęgi: krzyżacką,

kozacką, szwedzką i turecką. W piętnastym wieku polski rycerz Zawisza Czarny²⁹ postrzegany był w Europie jako wzór honoru rycerskiego. A polski uczyony Mikołaj Kopernik zrewolucjonizował naukę astronomii. Gromiliśmy Tatarów i Chmielnickiego, a w bitwie pod Wiedniem i pod Parkanami uderzenie husarii polskiej uratowało Europę przed inwazją turecką, przyczyniając się do upadku imperium otomańskiego. Nie wspominał tu o innych polskich zwycięstwach... – Powiodła dumnym spojrzeniem po twarzach oficerów, siedzących w milczeniu, z dziwnymi minami. – Mało kto z panów wie, że na tych ziemiach w drugim wieku przed naszą erą produkowano na wielką skalę żelazo. Był to największy okręg metalurgiczny poza granicami imperium rzymskiego. Produkowano tysiące ton żelaza, właśnie tu, w tym „dzikim kraju”, w czasach, kiedy większa część Europy była barbarzyńska. Jeszcze dziś można obejrzeć słynne piece hutnicze w Górach Świętokrzyskich, gdzie wytapiano żelazo, z którego Rzymianie wykuwali miecze dla swoich legii. W miejscu, gdzie dziś stoi ten pałac, niegdyś znajdował się potężny zamek rycerski, jedna z niezliczonych twierdz strzegących tej ziemi. Łamali sobie na nim zęby Krzyżacy i Szwedzi. Polska była wielkim, bogatym narodem w czasach, kiedy nie śniło się jeszcze nikomu o Piotrze I Wielkim, który zmusił Rosję do przyjęcia europejskiej kultury. Polska nie dlatego upadła, że zbyt słaba nie mogła się obronić, lecz dlatego, że zbyt pewna swojej potęgi zapomniała policzyć rosnących w siłę sąsiadów. Ten smutny fakt wart jest zapamiętania. Jeśli pan nie zna historii naszego kraju, proszę na ten temat nie zabierać głosu.

Oficer posłał jej groźne spojrzenie. Pozostali Rosjanie milczeli, wlepiając oczy w dywan.

– Pani jest szowinistką i wyraża tutaj bardzo podejrzane poglądy.

– Za to pan jest ignorantem! – zrewanżowała się błyskawicznie. – I proszę mnie nie straszyć, bo się pana nie boję. Aha, wspomniał pan coś o kulturze. Jestem przekonana, że męczyzna kulturalny nie będzie wygłaszał obraźliwych opinii o ojczyźnie osoby, pod której dachem przebywa. Zbyt często chełpi się pan swoją przynależnością do narodu rosyjskiego. Jednakże, sądząc po rysach, nie ma pan ze Słowianami nic wspólnego.

– Pani mnie obraża! – Zerwał się, blady z wściekłości, piorunując ją wzrokiem.

– Majorze! – Ton Czengierego był wystarczająco ostrzegawczy, żeby oficer opamiętał się i zrezygnował z awantury. Opadł na fotel, trzęsąc się z oburzenia.

Nina wstała od fortepianu, nie kończąc utworu.

– Pan pułkownik daruje, jestem zmęczona. Życzę panom dobrej nocy. – Skinęła im wyniośle głową i wyszła. – A bodaj cię, Mongole, pierwsza polska kula nie minęła – pomrukiwała mściwie, idąc do sypialni, bliska płaczu z niewyładowanej złości.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że wypowiedziane przez nią słowa mogły ją zaprowadzić bardzo daleko na wschód, ale nie cofnęłyby ani jednego zdania i nie żałowała niczego.

Nie wzywając Ulisi, sama się rozebrała i przemywszy twarz chłodną wodą, wskoczyła do łóżka. Była tak bardzo zdenerwowana, że nie mogła się nawet zdobyć na odmówienie wieczornych pacierzy. Uniosła głowę, gdy do pokoju weszła Jaga, niosąc szklankę ciepłego mleka. Postawiła ją na nocnym stoliku i zapaliła lampę naftową.

– Wypij to zaraz! – rozkazała. – Za dużo miałaś dziś wrażeń. Muszę ci coś powiedzieć... – Usiadła na skraju łoża i poprawiła nocny czepek na głowie wychowanki. – Ten młody książę... Wiesz, o kim mówię?

– Aha! – Policzki Niny zaróżowiły się leciutko. – Co książę?

– Wrócił z podjazdu i nie daje mi spokoju. Chodzi za mną i prosi, błaga, żebym ci powiedziała, że on chce się z tobą pożegnać. – Jaga popatrzyła na Ninę w sposób niepozostawiający wątpliwości o swojej opinii w tej sprawie. – Ty wstrętna flirtiaro! Musiałaś zawracać mu w głowie? Chłopak zgłupiał z tej miłości. Zapomniałaś, że masz męża powstańca?

– Nieprawda! Wcale nie flirtowałam, sam się zakochał – prychnęła Nina ze złością.

– Tak? Znam cię, zawsze lubiałaś oczkować do ładnych chłopców. On chce się z tobą koniecznie widzieć.

– Wykluczone! Nie wspominaj mi nawet o tym sadyście! – krzyknęła Nina. – Potwór, kazał wieszać powstańców. Powiedz mu, że ten Mongoł, major, tak ciężko mnie obraził, że rozchorowałam się ze zdenerwowania i nie mogę go przyjąć. Racz dać, sprawiedliwy Boże, żeby się obaj pozabijali. Amen! Nie wiesz, jak ukarano tych żołdatów, którzy włamali się do kaplicy?

– Podobno był sąd nad nimi, bo mogli całe wojsko zarazić ospą, ale nic więcej nie wiem. Dobrze, że nastraszyłaś ich tą epidemią, może prędzej się wyniosą. No, idę spać. Wpuszczę do sypialni Grotą, bo tęskni za tobą i wyje. – Jaga złożyła na czole wychowanki pocałunek i starannie zaciągnęła na oknach ciężkie kotary.

Otworzyła drzwi do buduaru i siedzący tam pies wpadł do sypialni. Wskoczył przednimi łapami na łóżko i polizał swą panią w policzek. Potem obiegł cały pokój, węsząc, i nareszcie uspokojony ułożył się na dywanie przed łóżkiem. Ukrywszy pysk pomiędzy przednimi łapami, zasnął.

Nina wsłuchiwała się w ciszę nocną, czując się nieswojo w domu pełnym obcych mężczyzn. Naraz złodowaciała, wyobraziwszy sobie, co by się stało, jakby teraz przybył do domu Aleks. „Ach, Boże, cóż za idiotyczne myśli mnie nachodzą! Alek najpierw sprawdziłby, czy w Makowie nie ma Moskali. Ciekawa jestem, dlaczego Czengiery wygląda tak blade? Może w nocy nawiedza go duch Pauli? Oj, mogłaby się razem z nim wynieść na zawsze. Dosyć mam własnych kłopotów”. Przewróciła się na bok, a obudzony tym ruchem Grot wstał, podszedł i spojrzał na nią pytająco. Pieszczotliwie go pogłaskała i pocałowała. Seter był jej powiernikiem, przy nim nie wstydziła się płakać i gorzko uzalać na swoją samotność. Była tak gorąco zakochana w mężu, że jego odejście uznała za życiową klęskę. Ciągły niepokój o jego życie i lęk przed niepewną przyszłością podkopywały jej zdrowie. Jeszcze nigdy nie czuła się tak źle psychicznie i fizycznie. Zbliżający się termin przyjścia dziecka na świat nie był dla niej żadną pociechą, gdyż przejmował ją przerażeniem przed mękami porodu.

Rozmyślając o kłopotach, dosyć późno zapadła w sen i obudziła się raptownie, słysząc obok siebie głucho warczenie psa. Siedział przy łóżku i patrzył w stronę drzwi na taras.

– Cicho, Grot! – zawołała rozespana i zła. – Obudziłeś mnie. Leżeć!

Lecz pies nie reagował na jej polecenie, tylko podbiegł do drzwi i wetknąwszy nos w szparę, węszył podejrzliwie, nie przestając warczeć i poszczekiwać. Zirytowana Nina wstała z łóżka, bosą przebiegła pokój i chwyciwszy psa za obroź, usiłowała odciągnąć go od drzwi.

– Grot, co się z tobą dzieje? Do nogi! Bądź cicho, bo dostaniesz ode mnie w skórę! – zagroziła, ciągnąc opierającą się zwierzę.

Lecz Grot ponownie wyrwał się jej z rąk i wrócił do drzwi. Teraz już nie szczekał, tylko warczał ze straszną wściekłością, szczerząc kły i drapiąc

drzwi pazurami. Ninę ogarnął strach. Podeszła i leciutko odchyliła kotarę, odskakując z głuchym okrzykiem przerażenia. Na tarasie ktoś stał! W ciemnościach nie mogła dostrzec wyraźnie, kto to był, lecz na białym tle śniegu dostrzegła wysoką ciemną sylwetkę mężczyzny. Widocznie intruz starał się zajrzeć do pokoju, bo nieco jaśniejsza twarz przyciśnięta była do szyby. Popędziła do łóżka i wyjęła spod poduszki pistolet, który zawsze miała pod ręką. „Jeżeli wejdzie tu siłą, zastrzelę go” – postanowiła i zaczęła głośno wołać nianię. Jaga spała, ale rozpaczliwe krzyki Niny obudziły ją. Przybiegła do sypialni, niosąc zapalony świecznik. Jasne światło rozjaśniło mroki pokoju.

– Nianiu, na tarasie ktoś stoi. Widziałam, jak zaglądał do sypialni – wyszeptała Nina, drżąc i splatając na piersiach ramiona, ogarnięta nagłym chłodem.

Jaga energicznie rozsunęła kotary i wyjrzała przez szybę.

– Nikogo nie widać. Coś ci się przewidziało, kotku – powiedziała, wzruszając ramionami.

– Psu także się przewidziało? Tak szalał, że o mało szyb nie powybił – rzekła Nina z urazą.

– To zadzwoń i każ Pawłowi przeszukać taras – poradziła rozsądnie Jaga.

– Och nie, za nic! – Nina wzdrygnęła się z lękiem. – Może ten ktoś czai się gdzieś w pobliżu? Lepiej poczekać do rana.

Niania narzuciła jej na ramiona ciepły szal i pogłaskała po głowie.

– Powinnaś mieć spokój w tym stanie. Żyjesz w ciągłym napięciu i twoje dziecko może bardzo ucierpieć. Zimno tutaj, idź do łóżka.

– Nianiu, nie zostawiaj mnie samej – poprosiła Nina cichutko.

Przytulona do ciepłego boku Jagi, powoli zaczęła drzemać. Niespodziewanie ciszę nocną rozdarł huk salwy karabinowej. Obie kobiety jednocześnie usiadły na łóżku. Tym razem Grot nie czekał, lecz zawył i podkuliwszy pod siebie ogon, wczołgał się pod kołdrę, trzęsąc się i tuląc do nóg pani.

Jaga zapaliła świecę w lichtarzyku i obie patrzyły na siebie w milczeniu.

– Jezu, co to znowu było? – wyszeptała Nina, chwytając ponownie za broń.

Jaga długo nasłuchiwała, a potem potrząsnęła głową.

– Nie wiem, dziecko. Mam nadzieję, że nikogo nie skrzywdzili.

Jeszcze przez chwilę nasłuchiwały, zastanawiając się, co znaczyła salwa i kto próbował wejść do sypialni, ale nic więcej nie zakłóciło ciszy nocnej. Umęczona Nina zasnęła i otworzyła oczy dopiero w południe. Przez moment leżała, zaskoczona, nie słysząc na korytarzach ciężkich żołnierskich kroków, wrzaskliwych komend i rżenia koni. W całym domu było tak cicho, aż dzwoniło w uszach. Pociągnęła taśmę dzwonka, wzywając pokojówkę. Niemal natychmiast do pokoju weszła Jaga, a za nią Ulisia, jakby obie oczekiwały pod drzwiami.

– Alleluja, wielka nowina! – tryumfalnie zawołała niania. – W Makowie nie ma już Moskali!

– To dlatego w domu taka cisza! – wykrzyknęła radośnie Nina, wyskakując z łóżka i śpiesznie wkładając peniuar podany przez Ulisję. – Nareszcie jesteśmy sami. Boże, jak się cieszę!

Rozległo się pukanie i do sypialni weszła pani Salomea i obie panny. Rzuciły się sobie w objęcia, winszując sobie długo oczekiwanej swobody. Były tak pełne entuzjazmu, jakby powstanie stało się odległą przeszłością, a kraj wolny był od zaborców. Nina pamiętała o nocnym intruzie i narzuciwszy na ramiona futro, otworzyła drzwi na taras. Pod samym progiem leżały przemarznięte róże, a na śniegu widoczne były ślady męskich stóp. Gorączkowo podniosła bukiet, z którego wypadł mały bilecik. Skreślono na nim tylko kilka słów: *Je t'aime. Adieu*³⁰. Długo wpatrywała się w liścik, a potem, zarumieniona, zagryzła usta. Wolno zmięła go w dłoni i wrzuciła do kominka. Zamyślona obserwowała, jak płomienie chciwie pochwyciły skrawek papieru i pochłonęły go w mgnieniu oka, zamieniając w popiół.

Książ Rudzkój! To on z pewnością napisał te słowa i złożył pod drzwiami jej pokoju bukiet róż. Nie wiedziała, czy młody oficer naprawdę chciał przemocą wtargnąć do sypialni i odszedł spłoszony szczekaniem psa, czy może przyszedł tu tylko po to, aby złożyć na jej progu kwiaty w niemym hołdzie. Wolą wyobrazić sobie, że zapragnął na pożegnanie ofiarować jej róże.



[21](#) fr. w końcu, wreszcie

[22](#) fr. Oto właściwe słowo!

[23](#) List Tatiany z poematu Aleksandra Puszkina *Eugeniusz Oniegin*.

[24](#) ros. Wasza Wysokość

[25](#) fr. imbecyl

[26](#) ros. pies

[27](#) ros. Bydlę! Baczość!

[28](#) fr. Rano – smutek, po południu – zmartwienie, wieczorem – nadzieja.

[29](#) Zawisza Czarny z Garbowa (?–1428) – najslawniejszy rycerz polski, nie miał sobie równego w całej chrześcijańskiej Europie. Był również zdolnym dyplomata. Walczył pod Grunwaldem. Poległ śmiercią rycerza w walce z Turkami pod zamkiem Golubac w Serbii.

[30](#) fr. Kocham cię. Żegnaj.

Rozdział 3

Po okresie niepowodzeń generał Langiewicz zaczął odnosić spektakularne sukcesy. Stoczywszy potyczkę pod Staszowem, zawrócił w kierunku zachodnim i przemykając pomiędzy kolumnami nieprzyjaciela, uparcie go szukającego, minął Kielce i 22 lutego połączył się z pułkownikiem Jeziorańskim w miasteczku Małogoszcz.

Był już ogólnie znany. Interesowały się nim państwa zachodniej Europy, obserwując z napięciem zmagania wojenne powstańców. Śmiałość i zręczność, z jaką generał wymykał się nieprzyjacielowi, zaimponowała nawet Rosjanom. Wielki książę Konstanty w liście do cara wyraził się o nim pochlebnie. Wiadomości o sukcesach Langiewicza, roznoszone przez wszędobylskich handlarzy żydowskich i księży, wzbudziły w całym kraju powszechną radość i nadzieję. Z dnia na dzień stał się bohaterem, wodzem na miarę Napoleona I. Jego podobizny damy nosiły w medalionach na sercu, a portrety generała zdobiły wystawy sklepów w całej Galicji.

Ogólny entuzjazm zmroziła wiadomość o klęsce poniesionej przez pułkownika Kurowskiego pod Miechowem. Był to ten sam dowódca, który w dniu powstania bez żadnego powodu rozpuścił swój oddział. Jego działalność pozbawiona była energii, a ambicje przerastały mierne zdolności militarne. Niewielki oddział, który początkowo zebrał, społeczeństwo Krakowa szybko zasiliło ludźmi i bronią. Dołączyli do niego żuawi śmierci³¹, elitarny oddział wybranej młodzieży małopolskiej, dowodzony przez Francuza, pułkownika Rochebrune'a³². Przybyli studenci Uniwersytetu Jagiellońskiego, górnicy z Olkusza, mieszczenie, a nawet chłopci. Jednakże Rosjanie, uprzedzeni o mającym nastąpić szturmie, zamienili zabytkowe miasteczko Miechów w istną twierdzę, barykadując się w domach. Atak powstańców nastąpił 17 lutego. Lecz na próżno polscy żołnierze składali wielką daninę krwi, a żuawi w szaleńczych i bezprzykładowych atakach próbowali zdobywać domy. Niewidoczni niemal strzelcy rosyjscy skutecznie razili ogniem szturmujących powstańców. Bitwa, od początku nieudolnie dowodzona, zakończyła się klęską.

Przegrana uszła Kurowskiemu na sucho, chociaż liczba zabitych i wziętych do niewoli była porażająca. Cała Małopolska okryła się żałobą. W oddziałach Kurowskiego służyli synowie arystokracji, karmazynowej szlachty i inteligencji krakowskiej, a ich nazwiska wiązały się nierozzerwalnie z historią narodu. W bezsensownych atakach zmarnowano wspaniałych młodych żołnierzy, posyłając ich na pewną śmierć.

Tymczasem w Makowie liczone straty poniesione w czasie pobytu kolumny Czengierego. Sam pałac był w opłakanym stanie. Oglądając pokoje zajmowane przez oficerów, Nina zaciskała pięści i wielkim głosem wzywała pomsty Bożej na wandalów. Wprawdzie najkosztowniejsze przedmioty ukryto w lochach, ale z domu poginęło wiele cennych rzeczy. Prawie w każdym pokoju czegoś brakowało. Pokradziono obrazy, świeczniki, wschodnie dywany, kosztowne bibeloty ze srebra, złota i saskiej porcelany. Z kwatery Czengierego zniknął komplet pięknych szachów rzeźbionych z kości słoniowej i opalu. Chińska waza, będąca podarunkiem carycy Katarzyny II, rozbita została na drobne kawałki. Nina zdobyła się na ironiczną uwagę, że prezent carycy Rosji zniszczyły ręce Rosjan. Delikatne meble w salonach często były połamane, jedwabne obicia podarte i poplamione. Wspaniałe posadzki z różanego drewna celowo dziurawiono, a złożone sztukaterie na ścianach poodbijano, zaś same ściany pokryto nieprzyzwoitymi napisami. Perskie dywany nosiły ślady ostróg i błota. Patrząc na zniszczenia ukochanego domu, Nina trzęsła się z szewskiej pasji.

– Nie do wiary! – krzyczała ogarnięta dzikim gniewem. – Przecież kwaterowali tu ludzie podobno kulturalni, posiadający własne piękne domy. Dlaczego wszystko niszczyli? Jezu, mój dom to istna stajnia Augiasza! Tacy ludzie powinni mieszkać w chlewie! – pomstowała i płakała, zarządzając w całym domu generalne porządki.

Z miasteczka sprowadziła rzemieślników do naprawy poważniejszych szkód. Jednakże zniszczenia w samym domu były niczym w porównaniu ze stratami poniesionymi w gospodarstwie. Rządca z pisarzami prowentowymi poświęcili cały dzień na spisywanie strat. Nazajutrz pan Bochniak z ponurą miną wręczył Ninie ich listę. Nadeszły ciężkie chwile, bo wojsko rozkradło niemal cały zapas paszy. Połowa zboża uległa zniszczeniu, gdyż żołdaci, załadowawszy dwadzieścia worków zboża na wozy taborowe, resztę rozsypali po całym dziedzińcu, karmiąc nim przylatujące wróble i wrony i strzelając do głodnych ptaków. Wyrżnięto niemal cały chlew. Pod nóż

poszło dziesięć mlecznych krów. Sołdaci pożarli też prawie cały drób. Ofiarami żołdackiej zabawy padły daniela i sarny. Strzelano do wiewiórek, które z ufnością przybiegały do ludzi. Ze spichrzów wyniesiono wory mąki, kaszy, sery i wędliny. Skradziono ziemniaki przeznaczone na sadzenie.

Na dziesięciu wozach wywieziono z Makowa zrabowane zapasy. Służba dworska pozbawiona została dobytku gromadzonego przez całe życie, a wieś miała się jeszcze gorzej. Mogło się wydawać, że przez Maków przeszła trąba powietrzna. Nina w niemym osłupieniu przeczytała fatalną listę i usiadła na krześle, nie mogąc utrzymać się na nogach, porażona ogromem nieszczęścia.

– I co my poczniemy, panie Bochniak? – Spojrzała bezradnie na rządcę stojącego z posępną miną. Miała ochotę płakać, krzyczeć, kląć i walić pięścią w stół. Jej zaradna natura nie mogła pogodzić się z ruiną majątku. – Jeszcze jedna taka „wizyta” i wszyscy powędrujemy na żebry pod kościół – mruknęła, mnąc papier i ciskając go na sekretarzyk.

– Słusznie. Niedługo wiosna... czekają nas siewy, sadzenie – przypomniał rządcą, szarpiąc długi wąs. – Wieś wygląda od nas pomocy, a po cichu narzeka, że ponieśli szkody przez „pańską wojnę”. Tym bezrolnym także trzeba coś dać za ciężką pracę, bo inaczej zaczną się kumać z Moskalami. – Pan Bochniak pochylił siwiejącą głowę, wyrzucając sobie, że nie potrafił ustrzec majątku przed rabunkiem. – Chyba się już do niczego nie nadaję – rzekł z rezygnacją. – Zawiodłem panią hrabinę i patrzyłem, jak na moich oczach rozkradają cały Maków. Co ze mnie za administrator? Oj, ciężko mi patrzeć w oczy pani hrabinie.

Nina pochwyciła jego rękę i mocno ją uścisnęła.

– Przecież ja nie mam do pana pretensji, kochany panie Bochniak. Podobnie nie potrafiłby pan powstrzymać powodzi czy zarazy. – Odruchowo poprawiła stojący na sekretarzyku posążek nimfy, a jej umęczona twarz nieco się rozjaśniła. – Ale mogło być gorzej. Mimo wszystko żyjemy i mamy dach nad głową. Ocalały nasze araby i stado opasów w Borku. Zameczek, na szczęście, nie został okradziony i jakoś sobie poradzimy. Z tych stu pięćdziesięciu krów, które są w folwarku, trzeba będzie część rozdać pomiędzy gospodarzy, na dogodne spłaty.

– Oczywiście! – podchwycił pan Bochniak. – Stamtąd również ściągniemy paszę i drób, bo Grabiszyna hoduje znakomite indyki, kaczki i gęsi.

– Otóż to! – Nina nareszcie się uśmiechnęła. – Na szczęście żołdaci nie wywęszyli skrytek z żywnością. Do wiosny możemy się tym ratować i wspomóc innych.

Ostatnią pamiątką, którą Rosjanie pozostawili po sobie, były dwa trupy włamywaczy rozstrzelanych z wyroku sądu wojennego. Salwa, która tak przeraziła mieszkańców pałacu, oddana została przy ich egzekucji. Zwłoki leżące pod murem, w pobliżu miejsca, gdzie niegdyś Wielenin całował Ninę, bez ceremonii wrzucono do wykopanego dołu i przysypano ziemią. W pogrzebie zabitego Bartusia uczestniczyła cała wieś. Koszty pokryła dziedziczka, kazawszy wystawić chłopcu pomnik.

Nazajutrz przybył z Lipieńca konny posłaniec z listem od pani wojewodziny. Stara dama pisała, że w jej domu przebywają Zosia z synkiem, i prosiła o odwiedziny. Nina, uszczęśliwiona, że przyjaciółka się odnalazła, postanowiła jeszcze tego samego dnia odwiedzić Lipieniec. Natrafiła jednak na bardzo stanowczy opór Jagi.

– Nigdzie nie pojedziesz! – oświadczyła stanowczo niania. – Szukasz przygód? Moskale mogą być jeszcze gdzieś w okolicy, więc nie ciesz się za bardzo, że już odeszli. Koniecznie chcesz poronić?

„Boże, znowu to dziecko i poronienie” – Nina wzniosła oczy ku niebu i rozdzierająco westchnęła.

– Ależ nianiu, ja muszę jechać – powiedziała łagodnie, aby nie wywoływać burzliwej awantury. – Pani wojewodzina słabuje i odnalazła się Zosia. Bardzo chcę ją zobaczyć. Alek miałby do mnie pretensje, że nie odwiedziłam jego matki chrzestnej.

Zamiast odpowiedzi Jaga omdlewającym ruchem opadła na krzesło i zaczęła głośno płakać.

– O mój Boże! – szlochała, zasłoniwszy twarz dłońmi. – Co pan hrabia mi powie, jak ty stracisz to dziecko? Przecież cała wina spadnie na mnie, bo ty się zawsze wykręcisz.

Nina przestąpiła z nogi na nogę, patrząc na nią bezradnie.

– Nianiu, kochanie, przestań lamentować – prosiła pokornie.

– Nie pojedziesz? – Jaga zerknęła na nią przez palce, nie przestając pochlipywać.

– Pojedziemy razem. Spójrz, spadł świeży śnieg. Maciek założy wałachy do sań i za godzinę będziemy w Lipieńcu. No, nareszcie się uśmiechnęłaś!

Wyruszyły tylko we dwie, bo pani Salomea cierpiała na migrenę i odpoczywała, pielęgnowana przez Emilkę, a Mira nie miała ochoty jechać, gdyż wojewodzina, nie wiadomo dlaczego, bywała dla niej cierpka. Poranek był mroźny, a pola pokryła gruba warstwa białego puchu. W mglistym powietrzu mijane wsie wydawały się ciche, jak wymarłe. Po przejściu wojska chłopom groziła nędza i głód. Nina łamała sobie głowę, zastanawiając się, jak pomóc gospodarzom przetrwać do przyszłych zbiorów. „Boże, skąd ja na to wszystko wezmę pieniądze?” – utyskiwała. Manifest władz powstańczych zwalniał wieśniaków z wszelkich powinności wobec dworu i należnych dziedzicom opłat. Od stycznia przestały wpływać do dworskiej kasy pieniądze za czynsze i dzierżawy. Nina dumiała o tym przez całą drogę i nic mądrego nie wymyśliła.

Dwór w Lipieńcu sprawiał wrażenie twierdzy. Przy bramie wjazdowej stał stróż, uzbrojony w przedpotopową skałkówkę. Towarzyszyły mu trzy potężne psy. Długo się namyślał, czy otworzyć bramę, podejrzliwie przypatrując się gościom.

– Jaśnie pani dziedziczka zdrowa? – spytała Nina, odchylając niedźwiedzie futra, którymi była przykryta.

– A bo ja wiem? Ja nie z pokojów! – odburknął stróż, wolno zdejmując łańcuchy i otwierając kłódki.

– Ot, dureń! – warknął Maciek z oburzeniem. – Jak śmiesz tak odpowiadać jaśnie oświeconej pani hrabinie z Makowa?

– Wjeżdżajcie albo spuszczę psy! – zagroził stary, patrząc na nich spode łba.

Psy warczały groźnie, mając widocznie chętkę dobrać się gościom do skóry.

– Jedź, Maciuś! – ponagliła Jaga, obawiając się awantury z upartym staruchem.

Dom z zabitymi na głucho oknami i zamkniętymi drzwiami sprawiał wrażenie opuszczonego, lecz z kominów unosił się dym, a na odgłos strzelania z bata w zamczystych drzwiach uchyliło się okienko, ktoś wyjrzał i stary lokaj wpuścił ich do sieni. Jagą zaopiekowała się wiekowa ochmistrzyni, Maciek poszedł do czeladnej, a Nina, zdejmując przy

pomocy służącego futro i rozwiązując wstążki futrzanego kaptura, ze zdumieniem rozglądała się po sieni.

– Dlaczego tak się barykadujecie? – zagadnęła lokaja.

– Nasza jaśnie pani Ruska się boi – wyszeptał, oglądając się ze strachem, czy ktoś nie słyszy.

W salonie w kominku buzował ogień, a brokatowe kotary ukrywały zabite deskami okna. W świetle świec i w blasku płomieni pokój wyglądał barwnie i wesoło, bo ściany obite były wschodnimi kilimami, a złoczone mebelki podnosiły jeszcze jego wytworność. Ninę zaskoczył widok Jadwigi Wąsockiej siedzącej w pobliżu wojewodziny. Zosia wpółleżała na sofie, tuląc w ramionach synka. Wojewodzina zdjęła okulary i posłała Ninie obrażone spojrzenie.

– Nareszcie raczyłaś sobie przypomnieć o mnie – powiedziała uszczypliwie, podając jej rękę do pocałunku. – Pewnie, komu chce się pamiętać o starej chorej kobiecie?

Nina nie zdążyła odpowiedzieć na ten niesprawiedliwy zarzut, bo Zosia z płaczem rzuciła się jej na szyję. Dopiero przywitawszy się z damami, Nina siadła w głębokim fotelu i odparła:

– Nie zapomniałam o cioci, ale przez ostatnie dni mój Maków był w obłęzieniu. Najpierw odwiedził mnie pan generał Langiewicz, naturalnie nie sam, i przewietrzył gospodarzom spizarnie. Następnie pan pułkownik Czengiery uznał za stosowne wybrać się do mnie z wizytą w asyście dragonów, piechoty oraz sotni kozaków i baterii armat. Zanosiło się na to, że nikt z nas nie ujdzie z życiem, ale zginął tylko jeden parobek. Przez kilka dni byliśmy pod kuratelą Moskali, niepewni dnia i godziny. Odchodzące wojsko zrabowało wszystko, co tylko mogło z sobą zabrać. Zniszczyli mi dom, a majątek i wieś są kompletnie ograbione. Nie mam pojęcia, jak dociągnę do wiosny i czym wspomogę gospodarzy. Przed najazdem Czengierego kozacy spalili Borek, okradli chłopów i znęcali się nad dziewczętami. Chłopi, choć nie płacą mi nawet złamanej złotówki, właśnie ode mnie wyglądają pomocy. Przeżyliśmy ciężkie chwile, więc proszę nie posądzać mnie o nieczułość i brak pamięci. Nie wracam przecież, do diabła, z balu ani z kurortu! – zakończyła podniesionym tonem.

– Nino... – upomniała ją szeptem Jadwiga. – Nie wypada przeklinać w obecności pani wojewodziny.

– Jadwiniu, proszę cię, zamknij dzióbek! – wysyczała Nina z jadowitą słodyczą. – Kiedy pani wojewodzina wpadnie w złość, to jej klątwy słyszeć na drugim końcu wsi!

Stara dama obserwowała ją w milczeniu. Niespodziewanie roześmiała się tak dźwięcznie, jak śmieje się młoda dziewczyna, wypłatawszy komuś figla.

– No, no! – Pogroziła palcem. – Nie równaj się ze mną, moje dziecko. Ja mam swoje lata i wiem, co mi wolno. Rozumiem, że nie masz powodów do radości, będąc w tym trudnym czasie przy nadziei. Lecz dla dobra ojczyzny warto ponieść nawet straty. Niech to będzie dla ciebie pociechą. O, spójrz, Sophie także utraciła dom rodzinny, ale przeżyła i uratowała dziecko.

Nina przesiadła się na sofę i objęła przyjaciółkę.

– Byłam w Ciężynach jeszcze tej samej nocy, zaraz po pożarze, bo umierałam z niepokoju o ciebie. Jakaś staruszka powiedziała mi, że udało ci się uciec przed kozakami.

Zosia wzdrygnęła się na wspomnienie przeżytych dramatycznych chwil.

– To było jak koszmar, Ninetko – powiedziała spokojnie pomimo niemilego ucisku w żołądku. – Ktoś zadenuncjował papcia, nie wiem kto. Siedziałam ze Stefankiem w bawialni, aż tu wpada Kasia i krzyczy, że kozacy jadą do dworu. Czasami lepiej kierować się instynktem. Coś mnie tknęło, że to po mnie. Miałam tylko tyle czasu, aby zawinąć dziecko w zerwaną z okna kotarę i tak jak stałam, w samej sukni, wyskoczyłam przez okno do ogrodu i pod drzewami pobiegłam do stajni. Nawet nie siodłałam konia, ale dosiadłam go na oklep i popędziłam przed siebie. Na rozstajach, przy krzyżu, obejrzałam się, a mój dom już cały stał w płomieniach. – Umilkła i drobne jak perełki łezki potoczyły się po jej policzkach. – Już nie mam rodzinnego domu... Gdy się nieco uspokoi, zamieszkam w Brzezińcu, u teścia.

Nina w jednej chwili wyobraziła sobie płonący pałac i zrobiło się jej niedobrze ze strachu.

– Moje słodkie biedactwo... – Czule ucałowała Zosię. – Najmocniej ci współczuję, bo dobrze wiem, czym jest utrata domu rodzinnego. Jesteś naprawdę bardzo dzielna. Pan Syrwin i Tadeusz będą z ciebie dumni.

Pani wojewodzina kiwała głową, przytakując i przysłuchując się uważnie ich rozmowie.

– Oleś nie pisał do ciebie? – spytała, wzdychając i mimo woli przesuając w palcach paciorki różańca.

– Niestety nie. – Nina spochmurniała. – Pan pułkownik Czachowski powiedział mi, że oddział Alka osłaniał uciekającą ludność Wąchocka. Potem poszli na Brody, nic więcej nie wiem.

– Przecież Brody nie za morzami, do tego czasu Oleś powinien się odezwać. – Staruszka spojrzała na obraz przedstawiający Chrystusa w Ogrójcu i przeżegnała się nieznacznie. – *Attendre*³³, wkrótce da znać o sobie.

– Nino, jak wygląda pan generał Langiewicz? – odezwała się Jadwiga, pragnąc zmienić temat. – Młody, przystojny?

– Ot, sroka! – skarciła ją wojewodzina, stukając laską o podłogę i piorunując pannę wzrokiem. – Co cię to obchodzi, czy on jest przystojny? Najważniejsze, że bije Moskali!

Aby zapobiec ponownemu atakowi złego humoru starej damy, Nina zaczęła opowiadać o przybyciu powstańców i najeździe Rosjan, skrupulatnie wyliczając poniesione straty. Miała cichą nadzieję, że wojewodzina, wzruszona jej niedolą, zadeklaruje się z pomocą. Ale spotkał ją zawód, bo wprawdzie staruszka wysłuchiwała jej skarg, ale poprzestała na współczującej minie.

– Dziś wszystkim jest ciężko, moje dziecko – wyraziła przekonanie. – W Suchedniowie Moskale zrabowali domy, a pewną panią zranili tak mocno, że trzeba było amputować rękę. Spalili również piękny dom pana Reklewskiego, naczelnika okręgu górniczego.

– Mam nadzieję, że w moich Ciężynach nikt nie zginął – dorzuciła Zosia. – Martwię się, bo podejrzewam, że mój rządca jest nieuczciwy, a teść, będąc kaleką, ma trudności z gospodarzeniem w dwóch majątkach.

– Obiecuję, że pan Bochniak postara ci się o dobrego rządcę – pocieszyła ją Nina. – Kochanie, jedź ze mną do Makowa.

– Nie! – sprzeciwiła się wojewodzina. – Sophie pozostanie u mnie. Ona i dziecko mają tu bezpieczny dach nad głową, a ja miłe towarzystwo. Nie zamierzam siedzieć tu sama jak sowa. Zresztą w Lipieńcu spokojnie.

– Ciocia uważa, że okna zabite deskami i drzwi zamknięte na klucz mogą odstraszyć Moskali? – Nina uśmiechnęła się z ironią. – Jakby, co nie daj Boże, przyszli tutaj, to w ciągu minuty nie będzie ani okien, ani drzwi, ani

stróża! Oni są jak Hunowie! A jakie mają uzbrojenie... Ciociu, co się z nami stanie, jeśli powstanie upadnie? – zapytała szeptem.

– Co ci przyszło do głowy? – Jadwiga lekceważąco wzruszyła ramionami.

– Pan generał Langiewicz odnosi sukcesy. Z pewnością powstanie wygramy.

– Wygramy... na trąbce! – odcięła się Nina złośliwie. – Nie widziałaś z bliska ich armat. Czy któraś z naszych partii ma choć jedną nowoczesną armatę?

– Tak mówisz, jakbyś wątpiła w zwycięstwo naszej sprawy. – Wojewodzina zacisnęła wąskie wargi i zmierzyła ją nieprzychylnym spojrzeniem. – Czy tak mówi żona naczelnika partii powstańczej?

– Jakby to zależało ode mnie, mój mąż nie brałby udziału w tej awanturze – oznajmiła Nina odważnie. – Bylibyśmy teraz za granicą!

– Nawet nie chcę tego słuchać. – Stara dama obrzuciła ją zimnym, pełnym potępienia wzrokiem. – Boję się myśleć, że mój kochany syn chrzestny wziął za żonę kobietę obojętną wobec naszej wielkiej sprawy.

Nina zbladła, lecz nawet nie próbowała się bronić. Nie potrzebowała, bo natychmiast otrzymała wsparcie.

– Nie tylko Ninetka obawia się przyszłości. – Zosia kurczowo splótła palce drżących rąk. – Codziennie się modłę, aby to powstanie nareszcie się skończyło. Pragnę, żeby mój syn miał żywego ojca, a nie wspomnienie o jego bohaterskiej śmierci.

Nina posłała jej wdzięczne spojrzenie.

– Powiedział mi pułkownik Czengiery, że spodziewają się na dniach przybycia niemal stu tysięcy nowych żołnierzy i dostawy broni z głębi imperium. A nasi chłopcy walczą o głódzie i chłódzie, mając starą i nieskuteczną broń i ani jednej armaty. – Nie zamierzała kapitulować.

Wojewodzina z nadąsaną miną poprawiła się na poduszkach fotela.

– My także nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa – oświadczyła wojowniczym tonem. – Dobrą broń otrzymamy z zagranicy, a wtedy inaczej pomówimy z carem. Może i Garibaldi, i cesarz Napoleon III pośpieszą nam z pomocą?

Nina zaniemówiła z irytacji.

– I ciocia w to wierzy? – prychnęła.

– Przecież muszę w coś wierzyć. A choćby nawet powstanie upadło, to i tak moralnie my będziemy zwycięzcami. Przypomnijcie sobie pierwszych

chrześcijan, rozszarpywanych przez dzikie bestie na arenach cyrków. Rzymianie byli przekonani, że to ofiary, ale chrześcijanie już wtedy czuli się tryumfatorami.

– A co będzie, jeżeli nasi mężowie polegną?! – histerycznie krzyknęła Zosia. – Obojętnie, czy powstanie upadnie, czy zwycięży, dla nas to będzie koniec świata. Prawda, Nino?

Nina tylko skinęła głową, bo słowa nie mogły przejść jej przez ściśnięte kurczem gardło. Z Zosią zawsze rozumiały się bez słów.

Obudzone głośną rozmową dziecko zaczęło płakać. Matka rozwinęła je z powijaków i wzięwszy na ręce, huśtała, cmokając i przyśpiewując łzawym głosem:

*Jedzie sobie pan, pan...
Na koniku sam, sam.
A za panem Żydóweczki,
Pogubiły pantyleczki.*

Wojewodzina zadzwoniła i kazała podać herbatę. Do salonu weszli lokaje, niosąc serwisy i dymiący samowar. Jadwiga skorzystała z zamieszania i skinąwszy na Ninę, zaciągnęła ją w drugi koniec salonu.

– Powiem ci nowinę – szepnęła jej do ucha. – Pisał do mnie pan Artur...

– Co za pan Artur? – zdziwiona Nina wysoko uniosła brwi.

– Nie pamiętasz? – Jadwiga zarumieniła się z emocji. – Ten student, którego poznałam na balu sylwestrowym. Píše, że służy w partii pana generała Padlewskiego na Kurpiach i pyta, czy może liczyć na moją sympatię!

– Poczciwy chłopiec. – Nina uścisnęła Jadwigę, patrząc w jej jaśniejące radością oczy. – A co ty na to, Jadziu?

Panna Wąsocka spoważniała.

– Ależ Nino, on się przecież ze mną nie ożeni. Zdaję sobie z tego sprawę.

– To nie był twój grzech i tylko jakieś zimnokrwiste istoty mogą tego nie rozumieć. Pan Artur wydaje mi się uczciwym mężczyzną. A jeżeli prosi cię o pamięć, to znaczy, że zależy mu na tobie. Starewicza wymaż z pamięci. Nie zasługiwał na twoją miłość. Nawet pani wojewodzina nie wspomina go wcale.

Jadwiga pochyliła się w jej stronę i szepnęła:

– Bo ty nic nie wiesz! On obiecał babce, że zbierze partię i przyłączy się do powstania. Tymczasem pojechał do Kielc i zażądał od Moskali ochrony swego majątku. Teraz cała sotnia kozaków pilnuje dworu i jego chłopów.

– Miał rozum – mruknęła do siebie Nina. – A pani wojewodzina gniewa się o to na niego?

– Ona go przeklęła! Zapowiedziała, że nawet grosza nie zobaczy w spadku, i zmieniła testament, a moich rodziców prosiła, żeby pozwolili mi przyjechać do Lipieńca. Jest dla mnie bardzo miła.

Stara dama, zajęta przygotowaniem do poczęstunku, nagle odwróciła głowę i nadstawiła ucho.

– Co wy tam tak szepczecie? – odezwała się zrzędliwym tonem. – To nie wypada. Jadziu, siadaj przy mnie i bierz się do szycia koszul. Nina, nie czaj się po kątach! Też mi konfidencja panny z mężatką... Co to ja chciałam powiedzieć? Aha, już wiem! Była tu kiedyś pani Salomea z panną Maciejewską. Piękna panna, inteligentna, ocytana i entuzjastka naszej sprawy. O, Jaś będzie miał wartościową żonę. No, panna Lutówna także dzielna dziewczyna. Kazia Lasewiczówna bardzo ją sobie chwali... – Urwała i posłała Ninie wiele mówiące spojrzenie. – Ty, oczywiście, nie popierasz powstania i nie wierzysz w zwycięstwo?

– Nie popieram i nie wierzę! A nawet gdyby jakimś cudem udało się nam pokonać cara, to i tak zniweczylibyśmy to zwycięstwo. Jesteśmy w Europie bodaj jedynym narodem, który każdy sukces potrafił zamienić w klęskę. Wygraliśmy bitwę pod Grunwaldem, a potem pozwoliliśmy, by Prusy stały się suwerennym królestwem. Zniweczyliśmy swą głupotą jedyną szansę utworzenia wraz z Rosją najpotężniejszego państwa na świecie. Pobiliśmy Turków pod Wiedniem, nie bacząc, że Austria rośnie w potęgę i wkrótce stanie się jednym z trzech zaborców. Mogłabym tak wyliczać w nieskończoność. Nie mam czasu myśleć o sprawie, bo nie jestem zwolenniczką zbiorowego samobójstwa – mówiła dobitnie, patrząc wojewodzinie w oczy. – Muszę się zastanawiać, skąd mam wziąć środki, żeby wspomóc biedujące wsie i ratować upadający majątek. Nie mogę pozwolić, żeby moi ludzie głodowali! Jestem dziedziczką i to jest mój pierwszy obowiązek. Potrzebuję ziemniaków na sadzenie i zboża na siewy oraz wielu innych rzeczy. Nic poza tym nie ma znaczenia.

– To ci się chwali. – Twarz starej damy na moment złagodniała, ale zaraz ironicznie zmrużyła oczy. – A czy Oleś wie o twoich poglądach odnośnie

do naszej sprawy? O, *pardon*, to już jego rzecz. Byłaś ostatnio u Borutyńskich? Ksawery słabuje. Obawiam się, że tego starego dusigrosza nagła krew zaleje na widok chłopą kradnącego mu kurę! Ach, wybacź, wprawdzie to twój wujek, ale sama najlepiej wiesz, co o nim myśleć. – Pani wojewodzina zaczynała przypominać pokrzywę i Nina uznała, że najwyższy czas zbierać się do domu.

Starsza pani miała bardzo zmienny charakter. Czasami bywała dla niej czuła, lecz jeszcze częściej dawała jej do zrozumienia, że nie pochwała wyboru chrzestnego syna. Prawdopodobnie wizyta pani Salomei i Emilki wpłynęła na pogorszenie jej humoru. Z pewnością życzyła sobie dla Aleksa innej żony, entuzjastki walki zbrojnej, konspiratorki, jaką była panna Maciejewska. Ninie zrobiło się bardzo przykro. Pragnęła jedynie chronić życie męża i swój dom, nie dbając nawet o własne zdrowie. Ponieważ nie wypadało odjeżdżać zaraz po poczęstunku, usiadła skromnie, słodko uśmiechnięta, złożwszy obie rączki w małą rączkę na czarnej krynolinie, jak wypadało dobrze wychowanej młodej damie. Ale w jej wielkich oczach tliły się płomyki buntu i nie potrafiła się powstrzymać, by nie posyłać wojewodzinie wyzywających spojrzeń. Dopła resztę herbaty i opowiedziała o zajściu w kaplicy grobowej, przyznając, że chwilami odczuwa wyrzuty sumienia, ponieważ to na podstawie jej oskarżeń Czengiery rozkazał rozstrzelać dwóch żołnierzy.

Tym razem stara dama spojrzała na nią z aprobatą.

– Ci łajdacy nie zasługiwali na łaskę. Nie przejmuj się. Uważam, że postąpiłaś właściwie.

– Och, to tylko chwilowe obiekcje, bo tam, w kaplicy, najchętniej sama bym ich zastrzeliła – rzekła twardo Nina.

– Tak, to mi się u ciebie podoba! – Staruszka posłała jej łaskawy uśmiech, a przy pożegnaniu ucałowała ją w czoło. – A daj mi, proszę, znać, gdy tylko dowiesz się czegoś o Olesiu! – zawołała jeszcze za nią.

Kiedy sanie minęły bramę Lipieńca, Nina odetchnęła. Konie, smagnięte batem, pomknęły przez ośnieżone pola.

– U pani wojewodziny rygor jak w wojsku – odezwała się Jaga. – Pani chora, ale w domu i gospodarstwie porządek. Dobra z niej gospodyni, ale surowa dla ludzi.

– Mimo to służba ją kocha – zauważyła Nina. – Jest bardzo zaradna, bo próbowała mi wcisnąć cukier po wyższej cenie, niż sprzedają na jarmarku.

Naturalnie odmówiłam. Ja także jestem dobrą gospodynią i nie trafiła na głupią gęś! – parsknęła gniewnie. – Potrafię dbać o moje interesy równie dobrze jak ona. Wyobraź sobie, nianiu, w mieście kilogram cukru kosztuje czterdzieści kopiejek, a ciotunia zamierzała mi go sprzedać za czterdzieści osiem kopiejek! Pomyśl tylko, matka chrzestna mego męża!

– No, panu hrabiemu oddałaby z pewnością za darmo – westchnęła Jaga, otulając się futrem.

Powozący końmi Maciek obejrzał się i nie mogąc się powstrzymać, dorzucił swoje trzy grosze:

– Jak drugim razem pojedzie jaśnie paniulka do Lipieńca, to wezmę se na drogę pajdę chleba ze słoniną, bom zgłodniał w tej gościnie. Stara pani dziedziczka skąpa aż strach! Nie ma to jak w naszym Makowie. Człowiek tłusto zje, to i do roboty chętny.

– Cicho bądź! – ofuknęła go Nina. – Nie wypada krytykować gościny.

– Tak? A wypada, żeby mi po tej gościnie kiszki marsza grały? – odezwał się z pretensją. – Niechby do Lipieńca pan koniuszy Stach jeździł. Stary, to mu się bardzo jeść nie chce.

[31](#) Polski oddział wojskowy z okresu powstania styczniowego, sformowany z ochotników w lutym 1863 roku w Ojcowie na wzór żuawów francuskich. Nazwa miała związek ze składaną przysięgą, że nigdy się nie cofną ani nie poddadzą. Mogli tylko zwyciężyć albo zginąć. Pod twardą ręką Rochebrune'a żuawi stali się jedną z doborowych formacji powstania, w której szczególnie widoczny był *esprit de corps* – „duch oddziału”, wyrażający się m.in. w odmiennym, jednolitym umundurowaniu, dyscyplinie i ceremoniale przyjęcia do żuawów.

[32](#) François de Rochebrune, pol. Franciszek Maksymilian de Rochebrune (1830–1870) – Francuz, od 1855 roku był gubernierem w arystokratycznej rodzinie. Po wybuchu powstania zgłosił się do szeregów i zorganizował oddziały żuawów śmierci. Walczył w stopniu pułkownika, potem generała. Po upadku Langiewicza przebywał w Krakowie, gdzie przygotowywał zamach stanu w celu objęcia władzy wojskowej. Opuścił Polskę w lipcu 1863 roku, lecz powrócił, ale poróżniony z generałem Heydenreichem wyjechał na stałe do Francji. Zginął w wojnie francusko-pruskiej.

[33](#) fr. poczekaj

Przez kilka następnych dni do Makowa nie dotarła żadna wiadomość od Aleksa. Nina nocami wypłakiwała się w poduszkę, nie chcąc w dzień obnosić się ze swoim cierpieniem. Nie tylko ona wyczekiwała wiadomości, bo wiele kobiet w pałacu i na wsi przeżywało obawę o najdroższą głowę. Pani Salomea i Emilka znosiły swój ból w milczeniu, rzadko wspominając o Jasiu, mimo iż nieustannie o nim myślały. Proboszcz, wypuszczony z aresztu, jak zawsze w niedzielę odprawił mszę w intencji ojczyzny, modląc się za generała Langiewicza i jego małą armię, za zwycięstwo powstania i za poległych w walce. Ludzie głośno śpiewali *Boże, coś Polskę*, a wielu niezdecydowanych mężczyzn pod wpływem wspaniałego kazania zdecydowało się przystąpić do powstańczych oddziałów.

Sytuacja w tym czasie była tak złożona, że sam car w liście do brata skarżył się gorzko: „Strach pomyśleć, że cała nasza władza w Królestwie trzyma się tylko na naszym wiernym wojsku. Poza nim nie możemy liczyć na nikogo”.

Pod koniec lutego dni stały się dłuższe, a doświadczeni gospodarze przepowiadali rychłą wiosnę. Jakby na przekór tej zapowiedzi, zima nagle powróciła z całą srogością, a wieczorem rozpętała się zamieć śnieżna. Wicher wył w kominach, świstał w alejach, miotając w szyby twarde krupy śniegu. Nina w nocnej koszuli siedziała przy toalecie, z grymasem obrzydzenia wpatrując się w swoje odbicie.

– Widzisz, nianiu, jak ja wyglądam? – odezwała się do Jagi, szcztokującej jej włosy przed snem. – Talia jak u słonia, a cera... Boże, jeszcze nigdy tak ohydnie nie wyglądałam! Wszystkie toalety zrobiły się za ciasne. Muszę poprosić Kumosię, żeby dziewczęta poszyły mi na wiosnę jakieś luźne płaszczki.

Ponownie rzuciła okiem w taflę lustra i westchnęła. Teraz wolałaby nie mieć tak okazałych zwierciadeł i chętnie zadowoliliby się starym ślepym lusterkiem z facjatki w Sarnikach.

– Nie grzesz! – Niania pociągnęła ją za kosmyk włosów. – Niejedna panna pozazdrościłaby ci urody. Ślicznie wyglądasz i wcale nie masz grubej talii, bo cała się zaokrągliłaś. Po porodzie wszystko powróci do normy. – Jaga posłała jej do lustra uśmiech i splotła warkocze, nakładając jej na głowę koronkowy czepeczek nocny. – Nie czytaj w łóżku długo, bo sobie oczy popsujesz – przestrzegła, całując ją w czoło.

Ale Nina nie miała ochoty na lekturę. Była senna, a gorąca kąpiel ziołowa, codziennie przygotowywana przez Kumosię, nieco ją osłabiła. Uwielbiała pluskać się w swojej wspaniałej łazience, będącej obiektem zazdrości wszystkich znajomych pań. Wystarczyło jednak, aby się położyła, a senność natychmiast minęła. Opadły ją ciężkie myśli o kulejącej gospodarce i nieszczęściach spadających na nią jak grad. Po spalonym Borku i rozgrabionym Makowie przyszła kolej na duży folwark koło Krasocina. Błyskawiczny napad kozaków kompletnie zaskoczył dzierżawcę. Dworek spalono, zabito trzech parobków i rozkradziono cały inwentarz. Spodziewane pieniądze z dzierżawy przepadły.

Na wiadomość o zniszczeniu folwarku Nina zacisnęła zęby i uśmiechnęła się blado, pocieszając rozpaczającego dzierżawcę. Nie mogła pozostawić go bez dachu nad głową, bowiem hrabiowie Klonowieccy zawsze otaczali swych pracowników opieką. Trzeba było pomyśleć, gdzie umieścić bezdomnego dzierżawcę i jego rodzinę. Stwierdziła, że wkrótce Maków stanie się przytułkiem dla wojennych rozbitków, aż w końcu wszyscy wylądują pod kościołem. Starła się dodać otuchy płaczącej żonie dzierżawcy, której spódnicy trzymało się troje małych dzieci. Postanowiła na razie umieścić ich w oficynie, lecz pan Bochniak w samą porę przypomniał jej, że młodej pani Siekielskiej pilnie potrzebny uczciwy rządca. Ucieszona, wspomogła pogorzalców groszem i wysłała ich do Brzezińca.

Z finansami majątku było naprawdę krucho. Rozchody były szalone, a dochodu niemal żadnego. Należało wspomóc zubożałych gospodarzy, wiele rzeczy dokupić, mając do dyspozycji jedynie te pieniądze, które Aleks pozostawił w kasie. Z folwarków nad Bugiem nie docierały żadne wiadomości. Toczyły się tam ciężkie walki, płonęły miasta i wsie. Nina pełna była najgorszych przeczuc. Uznała, że najwyższy czas, by trzeźwo i obiektywnie ocenić sytuację, nie kierując się emocjami. Podejmowane przez nią kroki w zarządzaniu majątkiem zawsze były starannie przemyślane, bo powodując się rozsądkiem, trudniej popełnić błąd. Na szczęście otaczali ją kochający i życzliwi ludzie, pomagając przetrwać koszmar samotności i wojny.

Ta noc była jakaś niespokojna, pełna dziwnych odgłosów. Wsłuchując się w zawodzenie wichury, wydawało się jej, że słyszy jakieś tajemnicze szmery, a pokój nagle stał się zimny i obcy. Z głębin zimowej nocy wołały

na nią czyjeś rozplakane głosy i rozplływały się w huku burzy śnieżnej. Wichura deła wprost w okna sypialni, aż z kominka wylatywały iskry. Pełgające w nim płomienie raz przygasały, to znowu rozpały się od nowa, rzucając na ściany blaski i cienie, w których zwykle przedmioty nabierały innych kształtów.

„To tylko urojenia – pomyślała Nina, opuszczając stopy na dywan. – Mam w dzień dostatecznie wiele zmartwień, żeby jeszcze w nocy przejmować się głupstwami”. Ostatnio miała sen tak lekki, że nie mogła zasnąć nawet przy słabej lampce nocnej. Na wszelki wypadek przebiegła boso pokój i otworzyła drzwi do buduaru, gdzie spał Grot. Od nocy, kiedy Rudzkój przeraził ją śmiertelnie, pies zwykle nocował w sypialni, często nawet śpiąc na łóżku, gdy Nina czegoś się bała i nie chciała być sama.

– Piesuniu... – odezwała się półgłosem, by nie zbudzić licha. – Chodź do mnie.

Grot otworzył jedno oko, podniósł głowę i posłał jej spojrzenie pełne wyrzutu, ale wstał posłusznie i wszedł za nią do sypialni. Chciała go pogłaskać, przytulić się do niego, lecz pies ją wyminął i podszedł do drzwi na taras, węsząc gorliwie i wydając jakiś dziwny pisk. „Jezu, co on znowu wyczuł?” – pomyślała, obserwując z niepokojem zachowanie setera. Urojone strachy zniknęły, bo oto pojawiło się realne zagrożenie. Mógł to być oddział poszukujących noclegu Moskali lub banda włóczęgów, których strażnik na wieżycze nie spostrzegł w zamieci śnieżnej. A może Grot wyczuł dym? Koniecznie należało sprawdzić, czy gdzieś w okolicy się nie pali, ale przy takiej śnieżycy widoczność była niewielka.

Cały czas zwracała pilną uwagę na zachowanie psa, wierząc w jego niezawodny instykt. Prędko podeszła do kominka i wrzuciła do niego naręcze suchych polan. Płomienie objęły drewno i buchnął wielki ogień, rozświetlając całą sypialnię purpurowym blaskiem. Spojrzała na Grota, bo pies zaczął nagle zachowywać się bardzo dziwnie. Oglądnał się na nią, zaskomlał, szczeknął, a potem pochwycił w zęby jej peniuar i pociągnął ją w stronę drzwi na taras. Sprawiał takie wrażenie, jakby koniecznie chciał wydostać się na zewnątrz. Próbowwała się opierać, lecz seter spojrzał na nią i ostro zaszczekał, jakby ją ponaglał.

– Cicho, piesku – szepnęła, obawiając się, że szczekanie może przywabić kogoś na taras.

Chcąc sprawdzić, czy gdzieś nie widać łuny, odchyliła kotarę i wyjrzała. Natychmiast poczuła, że dłonie i stopy jej lodowacieją, a serce podchodzi do gardła. Na tarasie dostrzegła wysoką ciemną sylwetkę mężczyzny. „Jezus Maria, Rudzkoj?” – przebiegło jej przez myśl i skuliła się ze strachu. „Nie, to przecież niemożliwe. Skąd tu kniaź? Armia Czengierego jest już daleko od Makowa, pewnie gdzieś koło Kielc. Bramy zamknięte i spuszczone psy. Dobrze, to w takim razie kto stoi pod moimi drzwiami?” – zadała sobie logiczne pytanie.

Z szufladki nocnego stolika wyjęła pistolet, z którym ostatnio się nie rozstawała, i uzbrojona podeszła do drzwi. Odzyskując zimną krew, jak zawsze w momencie zagrożenia, postanowiła przy najmniejszej oznace agresji intruza strzelić i podnieść wrzask, stawiając domowników na równe nogi. Na szczęście to był żywy człowiek, a nie urojona zjawka.

Nocny przybysz zapukał bardzo energicznie, a Grot wprost oszalał, tańcząc na tylnych łapach i merdając. Czując obecność Rudzkoja, pies zachowywał się zupełnie inaczej, więc to musiał być ktoś, kogo Grot znał i lubił. Podniosła kotarę i pokazała się na tle purpurowego blasku ognia, mierząc z pistoletu intruzowi prosto w serce. Ujrzawszy ją, mężczyzna zapukał mocniej.

– Promyczku, otwórz, to ja! – Usłyszała cichy głos i naraz niebo otworzyło się nad nią.

Zalała ją fala oszalamiającego szczęścia i niedającego się opisać uniesienia. Otworzyła drzwi na oścież. Wraz z kłębamii śnieżycy, wszedł do sypialni Aleks, cały pokryty białym puchem. Uniosła ramiona i z okrzykiem radości rzuciła się mu w objęcia.

– O słodki Jezu, Alek, wróciłeś! Mój najdroższy, ukochany! Aleczku, nareszcie jesteś w domu! – szlochała głośno, nieprzytomna z rozsadzającej ją radości.

Objął ją tak mocno, że traciła oddech. Nie mogli mówić, tylko gorączkowo poszukiwali swoich ust, odnajdując się w znajomym geście i smaku warg, związani namiętym uściskiem, porwani miłosnym szałem. Przez szeroko otwarte drzwi wpadały do pokoju tumany śniegu. Uczyniło się zimno, lecz Nina nie czuła chłodu w ramionach męża. Pistolet wypadł jej z dłoni, gdy nieprzytomna ze szczęścia, odrzuciwszy w tył głowę, oddawała mu pocałunki, prężąc się i płonąc pod dotknięciem jego rąk, pieszczących jej ciało.

– Nina... – wyszeptał, jakby jeszcze nie wierzył swoim oczom, tuląc usta do jej piersi, zaledwie okrytych cienkim batystem. Koronkowy czepek spadł jej z głowy, grube warkocze rozplotły się, miękką falą spływając do bioder. – Miłości moja! – Wpatrywał się w nią, odkrywając na nowo jej prześliczną uniesioną ku niemu twarz, wielkie promienne oczy wilgotne od łez i gorące usta. – Ależ ty się zaziębisz! – zawołał, przytomniejąc.

Zamknął drzwi i szczelnie zaciągnął kotary. Trzęsącymi się rękami zapaliła lampy i świece w kandelabrach. W sypialni znowu zrobiło się jasno i ciepło. Grot skakał dokoła swojego pana, liżąc mu ręce, i wspinał się przednimi łapami na jego piersi, na wszelkie sposoby okazując obłąkaną radość. Z zachwytem przymykał ślepią, kiedy ręka pana pieściła jego lśniący brązowy łeb i targała czule za uszy. Nina jeszcze nie mogła złapać tchu, przyciskając obie dłonie do bijącego szaleńczo serca. Stłukła jedną lampę i przewróciła wazon z kwiatami. Machnąwszy na wszystko ręką, przypadła znowu do męża.

– Jesteś! Jak to dobrze, że z radości się nie umiera, bo chyba padłabym trupem, zobaczywszy ciebie – mówiła, obejmując go mocno, jakby w obawie, że on zniknie i rozwieje się w śnieżnej zamieci. – Och, wiedziałam, że żyjesz, bo gdyby stała ci się krzywda, ja bym to przeczuła.

Musnął pocałunkiem jej czoło i delikatnie odsunął ją od siebie.

– Słonko, nie przytulaj się tak do mnie, bo jestem brudny i mam wszy.

– Wszy?! – Otworzyła szeroko oczy, wpatrując się w niego z niedowierzaniem. – To niemożliwe, skąd u ciebie wszy?

– Każdy żołnierz ma wszy, kochanie. – Obserwował z uśmiechem jej zdumioną minę.

– Ale ty przecież jesteś pedantycznie czysty... – bąknęła niepewnie.

– Owszem, byłem kiedyś, teraz lepiej na mnie nie patrz. Całymi dniami byliśmy w marszu, bez mycia i bez możliwości kąpieli. Spaliśmy w stodołach, czasem w oborach razem z bydłem. Brud, pot, błoto... Och, marzę o gorącej kąpieli, ogoleniu się porządną brzytwą i zapachu lawendy w czystej bieliźnie.

Dopiero teraz, ochłonąwszy z uniesienia, mogła mu się dokładnie przypatrzeć. Z przerażeniem spoglądała na jego wynędzniałą, dawno niegoloną twarz. Brudne, niestrzyżone włosy opadały kosmykami na kołnierz podartej burki. Wypieszczona jej rękami konfederatka teraz przypominała brudną ścierkę.

– Aleczku! – wykrzyknęła z bólem. – Połowę cię ubyło.

Ten nędzarz w cuchnących łachmanach nie przypominał wcale dziarskiego powstańca wyruszającego do walki z Gliszczysk. Drżał z zimna, zacierając skostniałe ręce, a topniejący śnieg wielkimi kroplami kapał mu z włosów i odzieży. Nie mogła wprost uwierzyć, że stał przed nią hrabia Klonowiecki, wytworny esteta sprowadzający bieliznę i garnitury z Paryża, który nigdy przez dwa dni z rzędu nie nosił tej samej koszuli. O mało nie rozpląkała się z żalu nad jego nędzą. Z najgłębszą miłością ucałowała jego zniszczone ręce, sine z zimna, pełne ranek i blizn.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam, że teraz trudno mi się od ciebie oderwać. Zaraz będziesz miał gorącą kąpiel i czystą bieliznę.

Ściągnął z siebie wilgotne, cuchnące zgnilizną łachmany i ze wstrętem wrzucił je do ognia.

– Te rzeczy są zawszone i nie nadają się do noszenia – powiedział. Podszedł do lustra i przetarł dłonią ściągniętą ze zmęczenia wilgotną twarz. – Nino... – szepnął. – Daj mi coś do zjedzenia, bo umieram z głodu. – Przełknął ślinę i oblizał suche wargi.

Miała na ustach dziesiątki pytań, lecz bez namysłu ruszyła ku drzwiom.

– Nie mieliście jedzenia? Przecież wzięliście z sobą mnóstwo prowiantu – zauważyła, wychodząc.

– Potem ci wszystko opowiem. No, idź już, mój skarbie – ponaglił ją, szcękając zębami jak w ataku febry. Dorzucił do ognia wielkie smolne szczapy i przykucnął tak blisko kominka, że płomień niemal parzyły mu nagą skórę.

Wypadła z sypialni i popędziła ciemnymi korytarzami do kuchni. Obudzona głośną rozmową Jaga, już się ubierała, a w sieni Nina spotkała Walentego. Zaalarmowało go szczekanie Grota i ciche rzenie pozostawionego w ogrodzie konia. Spojrzawszy na nią, staruszek rozpromienił się cały.

– Wrócił! – powiedział, składając dłonie jak do modlitwy.

– Walenty sam zobaczy, w jakim jest stanie – chlipnęła, pociągając nosem. – Skóra i kości. Powiada, że ma wszy i jest strasznie głodny.

– Wszystko będzie dobrze, proszę jaśnie paniuleczki. Najważniejsze, że pan wrócił. No, proszę nie płakać. – Staruszek, zapominając o strzykaniu w kolanach, rażno pośpieszył do sypialni.

Nina, biegnąc ciemnymi korytarzami, już nie czuła strachu. Miała ochotę głośno śpiewać i tańczyć. Nie budząc nikogo, sama rozpałała ogień w piecu kuchennym. Po chwili płyta była czerwona i wrzała woda na kawę. Wsypała zmieloną mokrą do dzbanka i zalała ją wrzątkiem, otulając dzbanek watowaną kołderką. Na patelni podsmażyła wędzony boczek, cebulkę i wbiła osiem jaj, uważając, aby się zanadto nie ścięły, bo Aleks tego nie lubił. Ze spizarni przyniosła szynkę, pasztet z dzika i kiełbasę, dokładając jeszcze zimną pieczeń cielęcą. Wzięła kilka kawałków kruchego placka z owocami i dodała słoik konfitur z truskawek. Śpiesząc się, prędko kroїła chleb. Wtem nóż się osunął, przecinając jej palec. „Oho, krew na chlebie to zły znak” – jak mawiała ciotka Maria. Sycząc z bólu, owinęła palec szmatką i dokończyła smarowanie kromek masłem.

Do kuchni wszedł Paweł, taszcząc przed sobą baniak z wodą na kąpiel. Upewniwszy się, że woda się grzeje, ułożyła talerze i sztucce na tacy. Z pomocą lokaja zaniósł jedzenie do buduaru, gdzie już nakryto stół białą serwetą. Aleks był przebrany i miał na sobie piękny szlafrok z brązowego grubego, mięsistego jedwabiu. Ale jego włosy, wiszące w mokrych strąkach, i dzika broda kontrastowały z tym wytwornym strojem. Nina postawiła na stolyczku przed nim tacę i przysunąwszy sobie krzesło, usiadła, wpatrując się w niego rozkochanym wzrokiem. Pociągnął nosem i uśmiechnął się błogo.

– Jak cudownie pachnie ta jajecznicą! Co za wspaniały aromat kawy! Nie mogę wprost uwierzyć, że jestem w domu i będę jadł, gdy przez tydzień gryzło się spleśniałe suchary, popijając wodą ze strumienia. A potem nawet sucharów zabrakło, tylko wody było pod dostatkiem, bo lała się z nieba. Brnęliśmy w niej po kostki. Och, jaki ja jestem głodny! – Przysunął sobie półmiski i bez ceregieli zabrał się do jedzenia.

Patrzyła przez łyżę, jak Aleks łapczywie przełykał duże kęsy, prawie nie gryząc. Dławił się, kaszlał, lecz nie przestawał jeść. Żuł i połykał, jakby obawiał się, że ktoś mu odbierze jedzenie. Nie patrzył na Ninę, bo jej spojrzenie krępowało go bardzo i wstydził się, lecz nie umiał się powstrzymać ani ukryć okropnego głodu. Żarłocznie pochłonał jajecznicę, starannie wyskrobując łyżką patelnię. Potem z równą łapczywością zjadł pieczeń, szynkę, pasztet i kiełbasę. Kilkoma ruchami szczęk uporał się z ciastem i łyżką oblepioną jajecznicą nabrał ze słoika konfiturę. Kiedy już zjadł wszystko do ostatniej kruszyny chleba, poklepał się po zapadłym

brzuchu i westchnął ze zwierzęcym zadowoleniem. Nina o mało nie wybuchła płaczem.

– Mój ukochany biedaku... – jęknęła, patrząc na niego z miłością. – Ryzykowałeś życie, wędrując w tej okropnej zamieci. Zmarłeś, bo te łąchmany wcale cię nie grzały. Jezu, taka jestem szczęśliwa, że znowu jesteś przy mnie i słyszę twój głos.

Uśmiechnął się do niej, delektując się zapachem kawy. Dolał do niej śmietanki i posłodził, wsypując kilka łyżeczek cukru.

– No, teraz przynajmniej wiem, że żyję! – odezwał się, a Nina oparła głowę o jego ramię i płakała z żalu nad jego poniewierką i ze szczęścia, że znowu byli razem.

Czekając na kąpiel, usiedli przed kominkiem na tygrysiej skórze.

– Wiesz... – Zaśmiał się, jednocześnie szczękając zębami. – Najchętniej wszedłbym w sam środek paleniska. Myślałem, że zamarznę w tej zamieci i nie dojadę do domu, a tak bardzo chciałem cię zobaczyć i ucałować.

– Dobrze, że Rex zna drogę.

– Nie mam już Rexa, przyjechałem na wiejskiej szkapie.

– Boże, odważyłeś się jechać na nędznej szkapie w takiej burzy? Jedyńy, dlaczego nie pomyślałeś o mnie? – jęknęła, tuląc się do niego.

– Myślałem tylko o tobie i dlatego udało mi się dotrzeć do domu.

Spojrzała mu w oczy i wzięwszy jego ręce, zaczęła się im z uwagą przyglądać. Zawsze były delikatne i wypielęgnowane, chociaż silne, ale teraz skóra spierzchła od mrozu i była szorstka, pełna czerwonych blizn. Kolejno przycisnęła je do ust i oplotła go ramionami, kładąc mu głowę na piersi.

– Błagam cię, Alku, niczego przede mną nie ukrywaj. Powiedz mi, czy Jaś i Tadek żyją. Gdzie twoja partia? Przecież miałeś ciepły kożuszek i rękawice.

– Ręczę ci słowem honoru, że obaj chłopcy żyją – zapewnił, widząc w jej oczach lęk. – A kożuszek i rękawice? No wiesz, takie luksusy w lesie? – Roześmiał się, ale nie był to śmiech wesoły i zaraz spoważniał. – Więc tak... Dopadli nas na kwaterze, w takiej małej osadzie w pobliżu Jadźwiny. Tak jak stałem, a raczej leżałem, zaledwie zdążyłem wskoczyć na konia. Dobrze, że nie zdjąłem butów, bo byłbym teraz boso...

W sąsiednim pokoju krzątała się uradowana Jaga, przygotowując ręczniki i prześcieradła. Potem zapukał Walenty i oznajmił, że kąpiel gotowa. Nina

czekała na męża, siedząc przy kominku i wpatrując się w płomienie. W duchu przeklinała głupie przesady, niepozwalające jej wejść do łazienki. Sama pragnęła umyć jego ciało, obawiając się, że może być ranny. Słuchała, jak rozmawiał z kamerdynerem, śmiał się i pokaszliwał. Do jej uszu dolatywały uwagi Walentego przy goleniu. Poczła dobrze znany zapach wody kolońskiej. Nareszcie pojawił się, wykąpany, ogolony, ostrzyżony, zaróżowiony i pachnący.

– Wybacz, kochanie, że to tak długo trwało, ale byłem taki brudny, że Walenty musiał mnie skrobać.

Usiadł przy niej i przygarnął ją do siebie, całując usta, oczy i delikatną szyję. Po raz pierwszy od chwili rozłąki poczuła się bezpieczna.

– Mój słodki skarbie... – mruknął, wtulając twarz w jej włosy. – Przez cały ten czas gryzłem się myślą, czy jesteś zdrowa i jak sobie radzisz.

– Dobrze się czuję – odparła, mijając się z prawdą, lecz nie zamierzała go martwić. – Na szczęście nie jestem sama, bo przyjechała ciocia Salusia z Emilką Maciejewską, narzeczoną Jasia. To wspaniała dziewczyna i natychmiast zawojowała wujostwo Borutyńskich. Była łączniczką rządu. Ale mam i złe wiadomości. Folwark w Borku i Milusin zostały spalone, lecz stado w Borku ocalało, wieś również, tylko chłopci zostali ograbieni. W Milusinie zabito trzech parobków, a sam folwark uległ całkowitemu zniszczeniu. Pan Tuliszkiewicz stracił dom i dzierżawę, a my pieniądze. Maków także został ograbiony, a chłopci wyglądają od nas wsparcia. Ciężyny spłonęły, a Zosia z synkiem przebywa u pani wojewodziny. To by było na tyle. Powiedz mi, dlaczego nie dałeś znaku życia?

– Potem, Nino. Nie widzieliśmy się tak długo, a ja nie zdążyłem nawet przypatrzeć ci się dokładniej. Niech лихо porwie straty, później o nich pomyślimy. No, pokaż się, moje słodkie stworzenie. – Badawczym wzrokiem wodził po jej twarzy, ogarniał całą jej sylwetkę, jeszcze harmonijną i smukłą.

Zarumieniła się i spuściła oczy.

– Zbrzydłam, Aleczku, z pewnością nie spodobam ci się teraz – powiedziała zawstydzona.

– Zbrzydłaś? Nino, jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem! Istna Madonna oczekująca Dzieciątka z obrazu Giorgione. Mój najdroższy, podwójny skarb! – Pochylił się i ucałował jej lekko wypukły brzuch.

Odchyliła głowę w geście poddania, który rozpałił jego pożądanie. Wziął pełną garść jej włosów i przesuwając je pieszczotliwie między palcami. Nie pragnęła niczego więcej, prócz jego bliskości. Wsparty na łokciu, wpatrywał się w nią z góry. Westchnęła, kiedy dotknął ustami jej rozchylonych warg. Przeciągnął pocałunek tak długo, aż zaczęło się jej kręcić w głowie. W całym ciele czuła dzikie bicie serca. Dotknął jej powiek, policzków i krągłych, białych jak alabaster piersi, pieszcząc je i całując.

– Nino! – tchnął jej imię wprost w ucho, jak pieszczotę, przesuwając delikatnie dłonie w górę i w dół jej ciała.

– Aleczku... – jęknęła, czując, że rozkosz odbiera jej przytomność i mąci myśli.

Pochwyił ją na ręce i przeszedł do sypialni. Położył ją na łóżku, zrzucił z siebie szlafrok i nakrył ją swym ciałem. Była dokładnie taka, jaką ją zapamiętał – spragniona i gorąca.

– Nino! – powtórzył z narastającym podnieceniem i wreszcie z okrzykiem najwyższego uniesienia.

Jednak im więcej brał, tym bardziej jej pragnął. Trzymając go w ramionach, czuła, że jego ciało przebiegają dreszcze, a bursztynowe źrenice zachodzą mgłą rozkoszy. Dotknęła jego wilgotnego od potu policzka. Na sercu czuła bicie jego serca i marzyła, by pozostać przy nim na zawsze, bez ruchu, tylko po to, by oddychać tym samym powietrzem i trwać przy nim jako jedna dusza w dwóch ciałach.

Przytuleni do siebie, leżeli, nie śpiąc i słuchając, jak w nocnej ciszy biły zegary. Objęta ciasno ramionami męża, Nina westchnęła. Była taka szczęśliwa i spokojna, bo on znów był przy niej. Dla niego wojna już się skończyła. Aleks poruszył się i ucałował jej rozsypane na poduszce włosy.

– O, to już druga – zauważył, nad słuchując uderzeń zegara.

– Kochany, na szczęście nigdzie się nie wybierasz – powiedziała, rozkoszując się jego ciepłem i znajomym zapachem. Pachniał mydłem, wodą kolońską i męskim potem, zapachem, którego jej tak długo brakowało. – A teraz czas na szczerość. Co się z wami działo? Myślałam, że oszaleję ze zmartwienia. Chcę wiedzieć wszystko!

W słabym świetle lampki nocnej czytała na jego twarzy gorycz porażki i przygnębienie. Domyślała się, że miał za sobą dramatyczne przeżycia, o których trudno mu mówić i chciałby je wymazać z pamięci. Teraz, kiedy

już była spokojna o jego życie, mogła sobie pozwolić na luksus martwienia się o innych.

– Twoja partia została rozbita, prawda?

– Część ocalała – westchnął i mocniej przytulił ją do siebie. – Pozostali w Porajach, a ja, nie wstępując do dworu, wziąłem z pierwszej chałupy szkapę i pojechałem do Makowa.

– Wspomniałeś, że napadli was w czasie noclegu. Nie wystawiłeś wart?

– Zaraz poznać córkę i żonę żołnierzy – rzekł swoim dawnym, lekko drwiącym tonem. – Oczywiście, że wystawiłem, ale chłopci zaskoczyli nas, sprowadzając potajemnie Moskali. Żołnierz stojący na warcie zasnął i zapłacił za to życiem. Nie tylko zresztą on... Ale jak to mówią: *La guerre comme à la guerre*³⁴. Raz ja ich biję, potem oni nas i tak się zabawiamy.

– O mój Boże – wyszeptała drżąco, lecz z uspokajającą świadomością bliskości męża.

– A dlaczego spytałaś, czy wystawiłem warty? – zainteresował się nagle.

– Bo Langiewicz o tym zapomniał. Nad bezpieczeństwem jego oddziału czuwał na wieży kaplicy nasz chłopak.

– To Langiewicz był w Makowie?

– Spytaj, kogo tu nie było! Langiewicz, a po nim Czengiery z całą kolumną wojska i armatami. Doprowadzili majątek do ruiny.

– Moje ty biedactwo! Musiałaś przeżyć piekło, a ja byłem daleko i nie mogłem przyjść ci z pomocą.

– Ciekawa jestem, co mógłbyś w tej sytuacji zrobić. – Wzruszyła ramionami. – No, nie było mi lekko, ale przede wszystkim zamartwiałam się o ciebie. Pan pułkownik Czachowski mówił, że miałaś zatarg z Langiewiczem, a potem osłaniałaś ucieczkę mieszkańców Wąchocka i poszedłeś w kierunku Brodów.

Leżał na wznak, wsparty wygodnie o poduszki, i wpatrywał się w ogień huczący w kominku. Wicher dalej wył i zawodził, bijąc w okna śniegiem.

– Moja współpraca z Langiewiczem od początku nie układała się pomyślnie – powiedział półgłosem. – To zdolny oficer i porządny człowiek, ale bywa zawzięty i niesprawiedliwy. Posądzal mnie, że celowo nie dołączyłem do jego oddziału, żeby nie walczyć pod jego komendą. Jaś tłumaczył mu jak dziecku, że osobiście przywiózł mi rozkazy, ale generałowi trudno coś wytłumaczyć, gdy poweźmie jakieś podejrzenie. Staralem się namówić go do wymarszu z miasta. Ocaliłby tym Wąchock i

zakłady metalurgiczne, produkujące na potrzeby powstania. Ale on się nie zgodził... Potem generał Mark zemścił się na bezbronnej patriotycznej ludności. W czasie walki udało mi się przebić przez rosyjską piechotę i poszedłem ku Brodom, pociągając za sobą dragonów. Moi chłopcy bili się z niesłychaną odwagą i męstwem. To najlepsi żołnierze, jakich miałem pod swoją komendą. Nie mam wprost słów, by wyrazić uznanie dla ich poświęcenia. To wielki zaszczyt dla oficera być dowódcą takiego oddziału... Przekroczyliśmy Kamienną, a za nami pozostały łuny pożarów, bo Moskale palili każdą większą osadę. Nie mogłem iść w nasze strony, bo nieprzyjaciel czepił się nas jak rzep psiego ogona. Musieliśmy kluczyć niczym ścigany zając. Na szczęście weszliśmy w puszcę, a tam już dragoni nie śmieli nas gonić. Posłali za nami tylko pół sotni kozaków. Moi chłopcy zaczęli się na nich i powitali ich kulami. Kilkunastu kozaków padło, reszta uciekła. Na tej zabawie w chowanego zeszło nam do ubiegłego tygodnia. Moskale odczepili się od nas i mogliśmy już powrócić w swoje strony. – Zamilkł i odetchnął zmęczony.

– Kocham cię, mój jedyny! Tak bym chciała być przy tobie zawsze.

– Na szczęście tam cię nie było – rzekł, biorąc głęboki oddech. – Wszystko diabli wzięli na tym przeklętym noclegu. Ludzie byli tak zmęczeni forsownymi marszami, że walili się z nóg, gdzie kto stał. W leśnej osadzie chłopci przyjęli nas bardzo gościnnie, tym bardziej że za wszystko płaciliśmy. Pozwolili chłopcom przespać się w stodołach, nas ugościli w chatach, zajęli się rannymi i końmi. Dokoła wsi stali rozstawieni wartownicy, więc byliśmy pewni, że możemy spać spokojnie, bo jesteśmy wśród przyjaciół. – Przerwał i uniósł się na łokciu. – Słonko, czy pozwolisz mi zapalić papierosa?

– Naturalnie, zapal – zgodziła się, chociaż dym powodował, że miała nudności.

Wstał z łóżka i przyniósł ze swego pokoju kasetę pełną papierosów. Poszukał zapalek i chciwie zaciągnął się dymem. Przewróciła się na bok i gdy nagi stał na środku pokoju, obserwowała go, zachwycając się jego szerokimi ramionami i wąskimi biodrami. Nawet teraz, gdy odpoczywał, mięśnie jego ud były napięte.

– Dawno nie paliłem, bo skończyły mi się papierosy, a po drodze nie było ich gdzie kupić. – Ponownie ułożył się przy niej, obejmując ją jednym ramieniem. – Spaliśmy jak susły. Nikt z nas nie wiedział, że chłopci byli na

usługach Rosjan. W Miłkowskiej Karczynie stacjonował duży oddział wojska, dragoni i kozacy. Wieczorem wymknął się do nich konny pastuch i powiadomił, że we wsi są powstańcy. Spaliśmy, kiedy nieprzyjaciel podszedł do osady i czekał na sygnał. Chłopi podparli drągami wrota stodół i drzwi chat. Potem podpalili bróg, wzywając wojsko.

– Jezu! – Na moment jej serce przestało bić, cała krew odpłynęła z twarzy, białej jak kreda. – Wartownicy tego nie widzieli?

– Chcesz znać prawdę? Otóż wartownik, który zdrzemnął się na posterunku, przyszedł do nas właśnie od Langiewicza. Moi chłopcy bali się zasnąć, bo wiedzieli, że wyrzuciłbym takiego śpiocha z oddziału albo kazałbym rozstrzelać. Śpiącemu chłopcu chłopci poderżnęli kosą gardło i spokojnie wprowadzili wojsko do osady.

Nina wtuliła twarz w zagłębienie pomiędzy jego szyją a ramieniem i pomyślała z przerażeniem, że dla wielu żon i matek jutro będzie dzień żałoby. Aleks milczał przez chwilę, potem opowiadał dalej cichym, opanowanym głosem:

– Uratowali się tylko ci, którzy zdążyli wyskoczyć z chałupy przez okna. Część rozbiegła się po lesie, reszta przebiła się przez dragonów i uciekła. Ale chłopcy śpiący w stodołach poginęli wszyscy. Drogo kosztował nas ten nocleg i drzemka wartownika, bardzo drogo. Utraciliśmy wszystko... tabory, broń, żywność i amunicję.

– Pozostawili broń, która cię kosztowała majątek? – oburzyła się Nina. – Karabiny, dla których ryzykowałeś życie, przewożąc je do kraju? To karygodne!

– Nie masz racji, kochanie. Wyobraź sobie, jak trudno jest wyskoczyć przez malutkie okienko, taszcząc długi i ciężki karabin. Cały dramat rozegrał się dosłownie w ciągu kilku minut. Każdy ratował życie i w panice nie myślał o niczym więcej. Zrozum, spaliśmy kamiennym snem! Kto nie został zastrzelony, padł pod ciosami chłopskich siekier i wideł.

– Chryste! Byłeś o krok od śmierci, a ja o niczym nie wiedziałam! Cudem uszedłeś z życiem... O, dzięki Ci, Matko Miłosierdzia – szepnęła, opasując jego szyję ramionami, każdym uderzeniem serca dziękując Bogu za tę przeogromną łaskę.

Podniósł głowę, a przez jego usta przemknął cień gorzkiego uśmiechu.

– Ocaliła mnie wiejska dziewczyna – powrócił do przerwane go opowiadania, coraz zachłanniej zaciągając się dymem. – Odwaliała kłodę

zapierającą drzwi i krzyknęła: „Uciekajta, panoczki, bo Moskale idą!”. Zaraz potem rozpętało się prawdziwe piekło. Spałem w izbie z Jaśkiem, Siekielskim, panem Syrwinem i moim Kacprem. Momentalnie wyskoczyliśmy z chałupy. Kacper podał mi Rexa. Siekielski przebił sztychem dragona i wskoczył na jego konia, mając za sobą Janka. Ja byłem bez broni, bo mój rewolwer i szabla pozostały w izbie na stole. Jakiś chłop zamierzył się na mnie siekierą. Nie zdążyłem się cofnąć... Cios przeznaczony dla mnie przyjął na siebie Kacper, osłaniając mnie własnym ciałem. Ostrze siekiery rozplątało mu czaszkę.

Nina przeżegnała się i otarła łzy.

– On nie tylko tobie ocalił życie, ale też mnie i naszemu dziecku. Nie przeżyłabym twojej śmierci – powiedziała cicho. – Wieczne odpoczywanie i światłość wiekuistą racz mu dać Panie Jezu Chryste.

Zajrzał jej w oczy, odgarniając z jej czoła pasmo włosów.

– Nie powinienem ci opowiadać tak drastycznych szczegółów. Wzruszenie może ci zaszkodzić. – Przygryzł dolną wargę, jakby żałując tego, co powiedział.

– Niczego przede mną nie ukrywaj, ja jestem silna, Alku. Proszę, mów dalej.

Energicznym ruchem zgasił niedopałek papierosa.

– Mam smutną wiadomość... Pan Syrwin nie żyje. Zginął zarąbany chłopskimi siekierami, zanim zdążył wybiec z izby.

– Ojciec Zosi? – jęknęła. – Boże, nie mogę wprost w to uwierzyć! To okropny cios dla Trusieńki.

– Niestety, to prawda. Tadeusz także jest ranny. Dostał postrzał w lewą rękę, na szczęście kula przeszła gładko przez mięśnie. Jaś twierdzi, że rana wkrótce się zagoi.

– Biedny, kochany pan Syrwin. Ale najbiedniejsza Zosia. Niedawno straciła dom rodzinny, a teraz ojca. Szczęściem, że Tadek przeżył. – Załkała i upadła twarzą na poduszkę.

– Nie płacz, mój promyczku. Nie zmienimy tego, co się wydarzyło. – Pogłaskał ją po głowie.

– Ja nie płaczę. – Uniosła się, ukazując suche oczy. – Prędko nie starczyłoby mi łez – powiedziała drżącym i ochrypłym głosem.

Nie chciała już nic wiedzieć. Czuła się jak oszalałe ze strachu dziecko, pragnące ze wszystkich sił pociechy. Pragnęła zasnąć w ramionach męża,

wysłuchując się w miarowe bicie jego serca i spokojny, głęboki oddech. Uciec, ach, uciec od tego świata, pełnego przemocy i nieludzkiego okrucieństwa, krwi i śmierci. Po krótkiej chwili radości uznała, że Maków nie zapewni mężowi bezpieczeństwa. Ktoś mógł donieść Rosjanom o jego pobycie w domu. Jedynym sposobem jego ocalenia była natychmiastowa ucieczka z kraju. Za granicą przeczekają wojnę i może kiedyś uda się im powrócić do Makowa. Odbudują spalone folwarki za pieniądze ulokowane w bankach francuskich i w czasie pokoju majątek znowu zacznie przynosić ogromne zyski.

Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie szczęśliwe życie we troje. „Przynajmniej dla nas, to już koniec tego koszmaru – rozważała w zamyśleniu. – Alek ocalał! Jaka szkoda, że nie można przywrócić do życia tych wspaniałych chłopców pomordowanych w stodołach. Nie zasłużyli na tak bezsensowną śmierć. Do końca życia będę się modlić za Kacpra, za jego ofiarę życia. Biedna Trusieńka została sierotą”.

– A Wacio Barycz przeżył? – odezwała się, przypominając sobie o cichym adoratorze.

– Nie odniósł żadnej rany. To dobry żołnierz.

– A czy Tadek nie wybierał się do Ciążyn?

– Mówiłem ci, kochanie, że dziś reszta oddziału kwateruje w Porajach.

– A tak, prawda. To panna Kazimiera powie mu o pożarze w Ciążynach i o tym, że Zosia znalazła przytułek u pani wojewodziny. Biedna Trusia, tak bardzo kochali się z ojcem, byli dla siebie wszystkim.

Nie odpowiedział i leżał wpatrzony w sufit. Jego bezruch i milczenie obudziły w niej strach. „Co mu jest, na Boga? – zadała sobie pytanie. – Czy jeszcze coś przede mną ukrywa? Dlaczego ja się czegoś tak boję?”. Nie słyszała nawet jego oddechu. Wyciągnęła rękę i opuszkami palców dotknęła jego policzka. Po goleniu był chłodny i gładki jak atlas.

– Aleczku... – Znała go, jego twarz, barwę głosu, subtelny język ciała, lecz teraz stanowił dla niej zagadkę.

Nie odpowiedział, tylko ujął jej rękę i ucałował palce. Błękitnawa poświata nocnej lampki rozjaśniała jedynie skrawek łoża.

– Nino, proszę, zgaś tę lampkę, razi mnie w oczy.

Uniosła się i spojrzała na niego z góry. Twarz miał surową i mocno zaciśnięte usta. Nie zdając sobie z tego sprawy, nerwowo miał kołdrę,

szarpiąc koronki zdobiące kopertę. Zdmuchnęła lampkę, drżąc z dręczącego ją niepokoju.

– Nie zgadniesz, o czym myślałam – odezwała się z nienaturalnym ożywieniem. – Byłeś taki przezorny, lokując pieniądze w zagranicznych bankach. Tutaj nie możesz pozostać. Jutro wyjedziemy do Galicji. W Krakowie sprzedamy resztę sreber i jakoś dostaniemy się do Francji. Nareszcie będziemy wolni! Aleczku, nasze dziecko urodzi się jako obywatel wolnego kraju i nigdy się nie dowie, co to znaczy lęk przed Sybirem i niewola. Kupimy sobie dom nad Morzem Śródziemnym. W ogrodzie będą rosły róże, drzewka pomarańczowe, oliwki, mimoza i palmy. Z naszego tarasu roztaczać się będzie wspaniały widok na szafirowe morze i statki płynące gdzieś na drugi koniec świata. Razem będziemy codziennie biegać po słonym piasku i kąpać się w ciepłych morskich falach. To brzmi jak bajka, prawda? – Urwała i głośno wciągnęła powietrze, czując, że się dusi. – Alek, dlaczego nie odzywasz się do mnie? Ja się boję twojego milczenia. Pewnie myślisz, że jestem głupia, bo i czego mogę się obawiać, gdy ty jesteś przy mnie? Jezus Maria, Alek, co ty przede mną ukrywasz?

Rzuciła się na poduszki i przejęta okropnym przerażeniem, leżała skulona jak pies lękający się uderzenia. Coś czało się w głębi nocy i wolno nadchodziło, aby spaść na nią nagłym ciosem.

– Jedyne moja, ukochana... – Usłyszała jego szept. Podniósł ją i z całej siły przycisnął do piersi. Oplotła go ramionami, marząc, żeby teraz natychmiast umarli i na zawsze pozostali złączeni uściskiem. – Nie mogę patrzeć na twoją mękę, a nie potrafię ci pomóc, choć oddałbym za ciebie całą krew i życie. Nie wolno mi zdezerterować, bo jestem żołnierzem i złożyłem przysięgę. Nie zostawię moich chłopców na łasce losu. Nie po tym, co się wydarzyło. Oni mi ufają! Nino, przecież to jeszcze nie koniec świata. Widzisz, przeżyłem i mam nadzieję, że będzie mi dane wychować nasze dziecko.

Wpatrywała się w niego jak w szaleńca.

– Alek, czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że powstanie upadnie? Rozpuść tych ludzi, a ocalisz im życie! – krzyknęła z rozpaczą. – Nie widzicie, że ogromna większość narodu jest przeciwko wam?

– Nie zostawię moich żołnierzów! Oni przyszli walczyć o wolność Polski i raczej polegną, lecz do domów nie wrócą. Dowódcy nie wolno opuścić swojego oddziału. Moi żołnierze pragną dalej walczyć pod moją komendą.

– Bo nikt im nie wytłumaczył, że ich danina krwi nie przywróci Polsce wolności, tylko zwiększy terror. Mnie także przysięgałeś i porzuciłeś mnie w czasie, gdy najbardziej cię potrzebuję! Idziecie od klęski do klęski, więc na co chcesz czekać? Aż postawią cię przed plutonem egzekucyjnym? Pragniesz mojej śmierci i śmierci dziecka?

Pochwycił ją za ramiona i potrząsnął tak mocno, że syknęła z bólu i z gniewnym pomrukiem uderzyła go po rękę.

– Nino, ja nie jestem szaleńcem, tylko już nie mam wyboru. Nie mogę się cofnąć. Zrozum, jestem buntownikiem, banitą, a Rosjanie wcześniej czy później dowiedzą się, kto dowodzi partią. Muszę iść tą drogą do końca.

Wydało się jej, że w jego głosie dosłyszała nutkę żalu.

– Nieprawda, masz wybór! – zawołała. – Dałeś z siebie wszystko i nikt nie może wymagać od ciebie większej ofiary. Rozpuść oddział i jedźmy za granicę. Och, błagam, ustąp mi chociaż raz! Zrób to dla mnie i naszego dziecka.

– Nino, ja jestem oficerem, dowódcą. Nie mogę zrobić z siebie szmaty! Straciłbym honor i szacunek do siebie.

Poczuła, jakby zatrzasnęło się nad nią wieko trumny i żywcem ją pogrzebało.

– Musimy mieć broń... – Odezwał się po jakimś czasie, unikając jej oskarżycielskiego wzroku. Czuł go nawet w ciemnościach.

Nastąpiła długa chwila milczenia, bo Nina walczyła z sobą, by nie okazać, jaki okropny spotkał ją zawód. Ze ściśniętym gardłem wpatrywała się w mrok pokoju, rozjaśniony błyskami płomieni w kominku. W żołądku zaległa jej kula lodu. Opanowawszy się, usiadła i zapaliła nocną lampkę.

– W krypcie kaplicy pozostało jeszcze kilkanaście karabinów i trochę szabel... – Urwała, by przełknąć ślinę. – Są dwie beczułki prochu i amunicja do nowszych strzelb.

– To za mało. Trzeba będzie kupić w Galicji więcej broni krótkiej i naboje do niej, a jak się uda, to i z pięćdziesiąt karabinów.

– A za co? Przecież nie mamy pieniędzy – zauważyła gniewnie.

– Ale coś musiało ci zostać z tych pieniędzy pozostawionych przeze mnie.

Poderwała się, czując, że wzbiera w niej straszny gniew. To, czego od niej żądał, było samobójstwem – śmiercią Makowa.

– Czy do twojej świadomości nie dotarło, że nasz majątek jest w ruinie? – przemówiła zduszonym z wściekłości głosem. – Folwarki nad Bugiem już

chyba nie istnieją. Borek spalony, Milusin również. Wszystkie zapasy rozkradzione. Wieś popadła w nędzę i rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Nie mam już prawie pieniędzy, bo żaden bank nie wypłaci mi gotówki bez twego poręczenia, a ty walczysz w powstaniu! Idzie wiosna, za co kupię zboże na siew, czym opłacę ludzi? Cegielnia stoi. Trwa powstanie i nikt nie kupuje cegieł. Maków już nie przynosi dochodów, lecz straty. Zejdź wreszcie na ziemię i zastanów się, czego ty ode mnie żądasz! – Już nie mówiła, ale krzyczała, bijąc pięścią o kołdrę i wpadając w coraz większą furję.

– W takim razie weź pożyczkę hipoteczną pod zastaw Makowa – rzekł twardym tonem. W jednej chwili przepaść pomiędzy nimi otworzyła nieprzeniknioną gardziel. – W skarbcu masz moje pełnomocnictwo.

Skamieniała ze zgrozy, nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Alek, ty naprawdę straciłeś rozum! – wykrzyknęła, odzyskawszy zdolność artykulacji. Ale jego oczy były ciemne i puste, przerażające przez swój brak uczuć. – Teraz dług na hipotece? A jeżeli Moskale zażądają natychmiastowej spłaty? Przecież to oni ustanawiają prawa, nie my. Wtedy odbiorą nam majątek! Alek, zastanów się, błagam. Dla tej ruchawki, z góry skazanej na klęskę, chcesz zaryzykować utratę reszty majątku? Bój się Boga! Co przekazemy w spadku naszemu dziecku? Czy ma się potem tułać po obcych domach, tak jak ja? Nigdy, słyszysz?! Nigdy! Ani grosza długu na Makowie! Wolę raczej umrzeć, niż utracić dom. Kocham każdą cegłę, z których został zbudowany ten pałac. Raczej dam się zabić, a stąd nie ustąpię! Nie masz prawa żądać ode mnie takiej ofiary! Nie! A twoje pełnomocnictwo nic nie jest warte, bo teraz obowiązują prawa stanu wojennego!

Była tak zdenerwowana, że zaczęła szczerkać zębami i trząść się. Krew na chlebie... Ciotka Maria miała rację, to bardzo zły znak. Aleks leżał, mocno zacisnąwszy powieki. Kiedy je otworzył, wydało się Ninie, że dostrzegła w jego oczach łzy. Ale nie, to musiało być tylko przywidzenie.

– Nino... – Spojrzał na nią bardzo poważnie i serdecznie. – Kiedy patrzę na ciebie, serce mi krwawi. Ale nasze dziecko nigdy nie będzie biedne. Posiadamy kapitały za granicą, w podziemiach ukryliśmy wiele cennych rzeczy. No dobrze, już nie wspomnę o pożyczce. Może udałoby ci się sprzedać któryś z naszych folwarków? W miastach ludzie mają pieniądze, bo doskonale zarabiają na dostawach broni. Bankierzy czy fabrykanci

chętnie kupią majątek ziemski. Kochana, ja muszę mieć broń! Poślemy do Krakowa pana Bochniaka.

Nina znowu podskoczyła ze złości, cała zjeżona i gotowa do kłótni.

– Chcesz zabrać mi rządcę? Mam sama radzić sobie z tym całym bałaganem, który powstał z waszej winy? – Złapała się za brzuch, bliska załamania nerwowego. Aleks wcale nie zdawał sobie sprawy z zaistniałej sytuacji i w ogóle nie rozumiał, jakie straszne brzemię spadło na jej wątłe barki. – Pan Bochniak nie pojedzie! – wycedziła przez zęby.

– Nino, zrozum, bez broni jesteśmy zgubieni w razie ataku nieprzyjaciela. Rozniosą nas w trzy pacierze.

– W takim razie racz mnie poinformować o swoich zamiarach, żebyśmy mogli podjąć rozsądną decyzję – rzekła oziębło.

Przez chwilę milczał. Nie czuł gniewu. W trakcie jej monologu opuściła go wściekłość i ucichła, ustępując pod naporem determinacji Niny.

– Założymy obóz leśny na Łysej Polanie. Zbudujemy tam porządne szałaszy i jakoś doczekamy wiosny. Pan Syrwin nie żyje, Tadeusz jest ranny, nie mam zastępcy i nie mogę sam jechać do Krakowa, pozostawiwszy ludzi na łasce losu. Jaś rusza jutro do Warszawy, bo utraciliśmy kontakt z rządem. Oczekujemy rozkazów i pomocy, bo na tym przeklętym noclegu wszystko przepadło. Mamy tylko to, co na sobie. Potrzebujemy ubrań, bielizny, żywności i broni. Moi żołnierze marzną, niektórzy chłopcy są bosi. Nogi owijają szmatami lub słomą. Przyda się nam każda rzecz. Kociołki, menażki, garnki... Masz może jakieś niepotrzebne pledy, derki, mogą być nawet końskie.

– Panna Lasewiczówna z pewnością wam pomoże. Poraje nie były zrabowane – oświadczyła zimno.

– Ja nie wracam do Porajów, bo zbiórkę wyznaczyłem w puszczy.

Miała cudownie wyrazistą twarz i mózg z niej wyczytać dokładnie każdą emocję. Gdy opuściła głowę, poczuł w sercu ból.

– To kiedy zamierzasz znowu mnie opuścić? – odezwała się zduszonym głosem, kurczowo zaciskając dłonie.

– Powinienem wyjść przed świtem, żeby mnie nikt we wsi nie widział – wyszeptał.

– Dzisiaj? – Miała ochotę chwycić się za głowę i walić nią o ścianę. Nadzieja, że mąż pozostanie choć kilka dni w domu, nagle się rozwiała.

Dzielnie przełknęła dławiące ją łzy i pociągnęła taśmę dzwonka. Do sypialni wkroczył Walenty, promieniejąc z radości.

– Słucham jaśnie panią – odezwał się mocnym, wesołym głosem.

– Niech Paweł obudzi Maćka, tylko dyskretnie, po cichu. Musimy otworzyć skrytki z żywnością, bo powstańcy głodują. Trzeba, żeby Kumosia sprawdziła, czy nie zostało nam trochę odzieży i ciepłej bielizny. Potrzebne są koce, derki, buty i naczynia kuchenne, żeby mieli sobie w czym gotować.

Uśmiech wolno gasnął na twarzy kamerdynera.

– Jaśnie pan hrabia powraca do oddziału? – ośmielił się zadać Aleksowi pytanie.

– Tak – odparł, unikając spojrzenia staruszka.

– Proszę się pośpieszyć! – ponagliła Nina ostro.

Gdy Walenty wyszedł, przygarbiony i powłócząc nogami, zerwała się i zaczęła ubierać, byle jak narzucając na siebie koszulę, halki, spódnicę i bluzkę, szarpiąc na sobie odzież i urywając guziki.

– Idę obudzić ciocię Salomeę, Mirę i Emilkę. Muszą mi pomóc – powiedziała i nie spojrzawszy więcej na męża, z pośpiechem opuściła pokój.

Na korytarzu przystanąła i chwyciwszy się za włosy, szarpnęła tak mocno, że w dłoni pozostał jej wyrwany kosmyk. Ból przywrócił jej przytomność. Wolno weszła na piętro i obudziła panię. Zobaczywszy ją w drzwiach, bladą, z wykrzywioną cierpieniem twarzą, pani Salomea szeroko otworzyła oczy i unosząc dłoń do ust, odezwała się nieswoim głosem:

– Janek...?

– Proszę się uspokoić, żyje i pojechał do Warszawy – rzekła szybko Nina, odgadując myśl starszej pani. – Oddział rozbity, ludzie potrzebują pomocy – wyjaśniła z ponurą miną.

Kumosia i pani ochmistrzyni były już na nogach i razem z Jagą i pokojówkami krążyły po domu, zbierając chodniczki, koce, pledy i derki, a nawet dywaniki na posłanie dla żołnierzy. Kobiety, nic do siebie nie mówiąc, szykowały żywność i odzież, pakując wszystko do wiklinowych koszy. Znalazło się trochę szarych kurtek i ciepłych burek oraz dużo zimowej bielizny, poszytej jeszcze jesienią dla potrzeb powstania.

Nina sama przygotowała ubranie dla męża. Wyjęła z szafy grubą ciepłą kurtkę myśliwską podbitą futrem, łosiowe spodnie do konnej jazdy i ciężkie

wysokie buty. Pedantycznie ułożyła w sakwojażu czystą bieliznę i sama wyprała brudną konfederatkę, wieszając ją przy kominku, aby pręcej wyschła. Pomyślała również o Jasiu, Siekielskim, a nawet Waciu Baryczu. Pamiętała o wszystkim, pracując szybko i sprawnie, rzucając służbie krótkie, zdecydowane rozkazy. Całym wysiłkiem woli odpędzała od siebie złe myśli. Na rozpacz i łzy będzie miała potem wiele czasu.

Aleks, leżąc jeszcze w łóżku, obserwował ją w milczeniu. Nie odzywając się, wstał, ubrał się i poszedł do buduaru, by przywitać się z paniami. Musiał odpowiedzieć na lawinę pytań. Obiecał pani Salomei, że przyśle do Makowa Jasia, gdy tylko wróci z Warszawy. Pokpiwał sobie z żołnierskiej biedy, tłumacząc niedostatki koniecznością pozbycia się taborów w czasie ucieczki przed wrogiem. Rozmawiał zupełnie swobodnie, a nawet śmiał się, opowiadając jakąś zabawną przygodę. Ani jednym słowem nie wspomniał o tragedii na fatalnym noclegu.

Nina nie wtrącała się do rozmowy, zastanawiając się z przerażeniem, co się będzie działo, kiedy kobiety dworskie dowiedzą się o śmierci swoich najbliższych. Serdecznie współczuła wdowom i sierotom po poległych, ale nie mogła pozwolić na przestoje w robocie. Mężczyzn na folwarku pałacowym było niewiele i większość prac wykonywały kobiety. Po namyśle podjęła stanowczą decyzję, że nikogo nie powiadomi o pogromie partii, darując nieszczęsny kobietom kilka tygodni, a może miesięcy nadziei i oczekiwania na wiadomości.

Nadszedł wezwany pan Bochniak i jakiś czas rozmawiał z Alekssem w gabinecie. Wyszedł stamtąd blady i załamany.

Na widok pana Maciek rozplakał się z radości.

– Pan Jezus łaskawy, że pozwolił jaśnie panu powrócić do domu w zdrowiu. A kiedy ja pójdę do partii?

– Jeszcze czego! – warknęła Nina, posyłając mu wrogie spojrzenie. – Tylko ciebie tam brakuje. Za długo żyłeś?

– Żeby wszyscy chłopcy myśleli tak jak ty! – westchnął Aleks, klepiąc chłopca po ramieniu i mocno ściskając mu rękę. – Jesteś zaprzysiężony i walczysz, choć nie w oddziale. Żona opowiadała mi o tobie i Tomku. Zachowaliście się po bohatersku. O waszym czynie wspomnę w raporcie do Warszawy. Awans cię nie minie. A teraz ucz się u pana Bochniaka, bo kiedyś weźmiesz Zameczek w dzierżawę. Do partii cię nie wezmę, bo tu jesteś mi bardziej potrzebny.

Oczy Maćka zaokrągliły się ze zdumienia i radości. Jak stał, tak padł panu plackiem do nóg.

– Zameczek? Jezusie, to przecie pańska fortuna! Dziękuję jaśnie panu.

– Jestem ci winien życie mojej żony i dziecka. Nie nazywaj mnie jaśnie panem, tylko naczelnikiem i pamiętaj, że żołnierz polski klęka jedynie przed ołtarzem i sztandarem z orłem. Przed nikim więcej. No dobrze, a teraz osiodłaj mi Farysa i załóż konie do mocnego wozu.

– Tak jest jaś... panie naczelniku – wybełkotał Maciek, ogromnie wzruszony. – Ale Farysa żołdacy ukradły. Jak patrzę na jego pusty żłób, to mnie cosik w dołku gniecie. A gdzie Rex?

– Zabity – odrzekł krótko Aleks i spuścił oczy.

Maćkowi wyrwał się z piersi okrzyk żalu. Rex był wspaniałym koniem. Miał żelazną wytrzymałość, był łagodny i przywiązany do swojego pana jak pies. Chłopakowi zadrżały usta, przygryzł je i wytarł pięścią łzę.

– Taki koń... – szepnął. – Jak samo złoto.

Aleks nie chciał wspominać o ostatnich chwilach ogiera. Kula strzaskała mu przednią nogę w goleniu. Leżał na ziemi i rżał cicho, patrząc z nadzieją i ufnością na podchodzącego do niego pana. Aleks uniósł jego głowę, przytulił ją do piersi, pocałował i strzałem z rewolweru w ucho skrócił jego mękę.

– Nie ma Farysa, to trudno. Maciek, muszę mieć dobrego konia – powiedział stanowczo.

– Osiodłam panu naczelnikowi Kreta, sam go ujeździłem. To dobry koń i ostrzelany, nie boi się huku – ożywił się Maciek.

– Weź do niego to nowe angielskie siodło, a pod spód włóż ciepłą derkę, żeby koń nie przemarzł. Jak załadujecie wóz, czekaj na mnie koło bocznej furty.

– Tak jest! – Maciek wyprostował się po żołniersku i wymaszerował miarowym krokiem, uśmiechając się na myśl o przyszłych zaszczytach.

Przed świtem toboły z odzieżą, lekarstwami i kosze z żywnością były gotowe do transportu. Jednak wielu rzeczy brakowało. Nie było butów ani kożuszków. Tomek dosiadł konia i pogalopował do Brzezińca, zawiadomić starego pana Siekielskiego o pobycie syna w Porajach i poprosić o żywność, koce i słomę na legowiska dla powstańców. Panie, widząc, że Aleks zbiera się do odjazdu, wręczyły mu listy do Jasia i pożegnawszy go,

usunęły się z buduaru, pozostawiając małżonków samych. Zmęczona Nina ciężko usiadła na fotelu i otarła pot z czoła.

– Zaraz zgłoś policji narodowej o tym, co wydarzyło się w czasie noclegu. Ci zbrodniarze muszą być najsurowiej ukarani, a osada spalona – odezwała się do męża ostrym tonem.

– Nino, przecież to są Polacy – powiedział cicho.

– Alek, nie bądź sentymentalny! Ci ludzie obrażają się, kiedy ktoś nazwie ich Polakami. Za męczeńską śmierć pana Syrwin, Kacpra i tylu wspaniałych chłopców należy się im krwawa nauczka. Ja nawet sekundy nie wahałabym się, żeby spalić tę osadę. Wiesz, czasami zupełnie cię nie rozumiem.

– To nie oni są winni, że brak im świadomości narodowej i patriotyzmu – zauważył łagodnie. – W mojej partii również służą chłopci i są bez reszty oddani sprawie. Pomyśl o Kacprze, to także był chłop! A Maciek i Tomek, którzy ocalili ci życie? Na początku powstania chłopci masowo zgłaszali się do oddziałów, ale odprawiono ich, tłumacząc, że brakuje broni.

Nina wstała i z zaciętą miną patrzyła na męża.

– Zapewne myślisz, że jestem twarda i nieczuła. No, jestem! Życie mnie tego nauczyło. Szanuję porządnych rolników, ale uważam, że zdrajców należy surowo karać. O mój Boże! – wykrzyknęła nagle z rozpaczliwą skargą. – Dlaczego ja muszę o wszystko walczyć sama i nawet nie jestem rozumiana przez własnego męża?

Podszedł do niej, nachylił się nad nią i nie zamykając oczu, rozchylił jej wargi w długim pocałunku. Jego dotknięcie było powolne i druzgocząco świadome. Odprężyła się, wydając drżące westchnienie.

– Wybacz – szepnął. – To moja wina. To ja wciągnąłem cię w takie piekło. Nie jesteś twarda i nieczuła. Masz złote serce i niewyparzony język! Ja cię najlepiej znam. Sprawilem ci bolesny zawód i dlatego jesteś na mnie bardzo zła.

– Nie jestem zła, tylko zrozpaczona. Ale nie potrafię wpłynąć na zmianę twojej decyzji i muszę ją akceptować. Rano pojedę do wojewodziny i poproszę ją o pomoc.

– Matka chrzestna zdrowa?

– Wstąpiła na ścieżkę wojenną i jest w bojowym nastroju. Przeklęła Starewicza, bo nie postąpił według jej woli. Zmieniła również testament na twoją korzyść.

– Podobno skumał się z Moskalami – rzekł Aleks.

– Owszem. Tym sposobem uratuje majątek od ruiny. On rozumie, że należy zawsze być po stronie silniejszego. Nasi chłopci także o tym wiedzą – wyraziła swoją opinię i poniewczasie ugryzła się w język.

Aleks popatrzył na nią jakimś dziwnym, przeciągłym wzrokiem i wypuścił ją z objęć.

– W takim razie szkoda, że odrzuciłaś oświadczyzny pana Starewicza. Byłabyś teraz z silniejszym – powiedział lodowatym tonem.

Poczerwieniała ze wstydu i objęła go w pasie, tuląc się do niego.

– Głupio powiedziałam, a ty zaraz wziąłeś to sobie do serca. Przepraszam. Sam zauważyłeś, że mam niewyparzony język. A może masz do mnie żal, że nie zgodziłam się wziąć pożyczki na hipotekę? Kochany, nikt by mi takiej pożyczki nie udzielił – tłumaczyła się, patrząc mu w oczy.

– O nic nie mam do ciebie żalu. Marzyłem o tobie na biwakach i często wydawało się mi, że słyszę twój głos i czuję zapach twoich włosów. Szalenie tęskniłem do twego uśmiechu, pocałunku, pieszczot. Marzyłem, że się kochamy. Moja jedyna miłości...

Uniosła ku niemu twarz. W półmroku jej źrenice załśniły, mieniając się jak wody leśnego jeziora. Kiedy zamknął jej ręce w dłoniach, poczuła, jakie są mocne, delikatne i dobre.

– Ja także codziennie myślałam o tobie i ogromnie tęskniłam. Boże, jak mi ciebie brakowało, we dnie i w nocy. Wołałam cię, dlatego słyszałeś mój głos.

– Jakie to szczęście, że jesteś – wyszeptał, wtulając twarz w jej rozpuszczone włosy. – Tak się cieszę, że mogłem do ciebie wrócić choć na kilka godzin.

Wskazówki zegara dochodziły już do godziny szóstej. Za oknami była jeszcze głęboka noc, lecz w kuchni i na korytarzach zaczynał się ruch. Służba wstała, zapalono w piecu kuchennym i szykowano śniadanie na drugi stół dla służby, a potem dla państwa.

– Promyczku, gdy tylko się rozwidni, powinienem już być w lesie – powiedział, patrząc z troską na jej bladą twarz i głębokie cienie pod oczami.

– Już musisz iść? – Ze ściśniętym sercem podała mu kurtkę. Wyprana konfederatka była jak nowa.

– Spakowałaś mi przybory do golenia? Nie chcę po raz drugi straszyć cię dziką brodą, bo wiem, że nie lubisz zarostu u panów – zażartował, a ona

odpowiedziała imitacją uśmiechu.

Poszedł do swego pokoju i zdjął zawieszoną nad łóżkiem ciężką szablę kawaleryjską, przypinając ją do pasa. Był już gotowy do wyjścia. Nina także prędko narzuciła na siebie futro i owinęła głowę ciepłym szalem.

– Zmarzniesz, kochanie. Może pożegnamy się tutaj?

– Nie, ja z tobą, Aleczku. Odprowadzę cię do furty i proszę, nie sprzeczasz się ze mną, bo i tak pójdę.

– Zaraz, jeszcze tylko pożegnani się z domownikami – powiedział i poszedł do pokoju kredensowego, a żona podreptała za nim.

Niania płakała, stary kamerdyner trząsał się cały z żalu, nie mogąc oderwać od pana oczu.

– Przygotowałem jaśnie panu ciepłą wilczurę i barani kozuch – powiedział, starając się ukryć drżenie rąk. – Zapakowaliśmy, co tylko było w domu najlepszego. A na wóz kazałem włożyć skrzynkę tego wina węgierskiego, co je jaśnie pan hrabia lubi. My tutaj ciągle myślimy i modlimy się za naszego pana i całą partię.

– Dziękuję Walentemu. Ja także was wszystkich wspominam. Do zobaczenia.

Cicho jak duchy zbiegli z Niną po zasypanych śniegiem schodach tarasu. Trzymając się za ręce, poszli przez oszroniony park. Towarzyszył im Grot, idący przy nodze swego pana. Na wschodzie niebo pojaśniało. Śnieg przestał padać, lecz wiatr nadal był porywisty, a niskie chmury wróżyły dalsze opady.

– Dobrze, że wiatr wieje, bo zasypie ślady kół – zauważył Aleks półgłosem.

– Dlaczego zdecydowałeś się założyć obóz na Łysej Polanie? – odezwała się Nina, przewyciężając bezwład myślowy spowodowany zmartwieniem.

– Nie lubię tego miejsca.

– Gdzieś musimy przezimować. Nie możemy bezbronni tułać się od wsi do wsi, ryzykując spotkanie z wrogiem. Nie poślę moich żołnierzy z gołymi rękami do walki. Od stycznia bez przerwy jesteśmy w marszu. Ludzie muszą wypocząć i trochę się odżywić po długiej głodówce.

Przysłoniła twarz dłonią, bo wiatr miotał jej w oczy ostre krupy śniegu.

– Alku, błagam, daj mi znać o sobie. Przysięgam ci, że już nie mogę dłużej żyć w niepewności i codziennie martwić się o twoje życie.

– Dobrze, słonko. Teraz będziemy niedaleko od Makowa.

Przed sobą posłyszeli parsknięcie konia i głos Maćka:

– Późno już, panie naczelniku. Kozunie mogą się włóczyć po drogach.

Obok furty stał długi wóz zaprzęzony w dwa mocne konie, czubato wyładowany najrozmaitszym sprzętem, odzieżą i kocami.

– Naszykowaliśmy słoninę, krupy, groch, mięso, wędlinę i chleby. Pan rządca dał dla naszych chłopców beczułkę gorzałki – wyliczał Maciek, poprawiając sznury podtrzymujące ładunek.

– Dobrze. Przywiąż Kreta za wozem – polecił Aleks, gładząc pieszczotliwie Grota.

– Po co? – zdziwił się Maciek. – Przecie pan naczelnik na nim pojedzie, ja będę powoził.

– Zostaniesz. Musiałbyś wracać piechotą, bo wóz i konie zatrzymam w obozie.

– Laboga!

– Nie lamentuj, bo będziesz mi przywoził na Łysą Polanę listy od pani. No, mój skarbie, czas na mnie – szepnął, tłumiąc westchnienie.

Nie panując nad gwałtownym wzruszeniem, Nina podbiegła do niego i zarzuciwszy mu ramiona na szyję, przywarła ustami do jego warg. Przytulił ją z całej siły i tak trwali spleceni namiętym uściskiem. Ona pierwsza oderwała się od niego. Oczy miała pełne łez i chciwie chwytła mroźne powietrze. Aleks ucałował obie jej ręce, tuląc ją z duszą pełną udręki, na którą składały się żal, ból i dojmujący smutek.

– No, trzymajcie się, kochani. Maciek, pamiętaj, że nie jesteś już stajennym, ale powstańcem i żołnierzem polskiego wojska. Dopóki nie powrócę, opiekuj się panią.

– Tak jest, panie naczelniku! – Maciek stanął na bacność i zasalutował, przykładając dłoń do baraniej czapki.

Aleks się zaśmiał i wszedł na wóz. Cmoknął na konie i wolno ruszył, zmierzając ku bocznej furcie. Nina i Maciek szli przy wozie. Chłopak otworzył obie połowy wrót, a gdy wóz z trudem przecisnął się przez nie, Aleks zaciął mocno konie batem. Grot szczeknął i już zamierzał popędzić za panem, ale Nina chwyciła smycz. Maciek pomógł jej trzymać wyrywającego się psa.

– Do zobaczenia! – Aleks odwrócił się raz jeszcze i przesłał im dłonią pozdrowienie.

– Z Bogiem! – zawołali oboje niemal jednocześnie.

Wyszli za bramę, odprowadzając go wzrokiem.

– Może lepiej byłoby wziąć sanie? – odezwała się Nina. – Wóz może gdzieś ugrzęznąć w śniegu.

– Ale na sanie nie dałoby się aż tyle władować. Zresztą pewnie niedługo będzie odwilż – rozsądnie stwierdził Maciek i spojrzawszy na hrabinę, dodał: – Trza nam wracać. Rano zawsze najzimniej.

Wziął od niej smycz z miotającym się dziko psem i poszli, nie odzywając się do siebie. Nina nawet nie spostrzegła, że wciąż wpadała w głębokie zasy, z których Maciek cierpliwie ją wyławiał.

W domu przebrała się i usiadła przy kominku. Nie płakała, choć gardło miała ściśnięte i wielki ciężar na sercu. Trudno jej było uwierzyć, że jeszcze przed kilkoma godzinami szalała ze szczęścia, witając męża, i pełna była nadziei na przyszłe wspólne życie. Teraz już wiedziała z całą pewnością, że Aleks nie wyrzeknie się walki. Mogła co najwyżej być wdzięczna losowi, że nie zginął okropną śmiercią w chłopskiej chacie. Poczula przejmujący chłód w całym ciele i szczerzej otuliła się szalem.

Wtulona w poduszki fotela rozmyślała, skąd wziąć pieniądze na zakup broni. Ocaleni z pogromu powstańcy mieli zaledwie kilkanaście karabinów zabranych przez Aleksa z kaplicy, trochę kos i szabel. To jedno wielkie nic! Cała jej wspaniała biżuteria i drogocenne srebra stołowe zdeponowane zostały we francuskim banku. W kasie pozostała reszta pieniędzy, które musiały jej wystarczyć na niezliczone wydatki. Jeżeli do Rosjan dotrze informacja, że niedobitki powstańczego oddziału kryją się w tych stronach, natychmiast rozpocznie się bezlitosne polowanie. Bezbronni chłopcy nie mieliby w tym przypadku żadnej szansy na przeżycie.

Nina była wyczerpana bezsenną nocą i zmartwieniem, lecz postanowiła, że kiedy tylko całkiem się rozwidni, pojedzie do Lipieńca. Westchnęła boleśnie na myśl o spotkaniu z Zosią. Biedna Trusia! Przesłała Tadeuszowi przez męża kilka serdecznych słów, prosząc go, aby nie powiadamiał żony o śmierci pana Syrwinia, przynajmniej przez jakiś czas.

Przy śniadaniu opowiedziała paniom o rozbiciu partii, zobowiązując je do zachowania tej wiadomości w tajemnicy. Unikała drastycznych szczegółów, ale i tak słuchaczki były wstrząśnięte.

– Jaś pojechał do Warszawy prosić o pomoc, ale wątpię, czy cokolwiek zyska, bo broni po prostu nie ma. Należy liczyć wyłącznie na siebie – zakończyła relację sceptycznym akcentem.

– To ja pojedę do Warszawy! – wyrwała się panna Maciejewska. – Mam znajomości w „piątkach” i znam pana Bobrowskiego, mogę pomóc Januszowi. – Podniecona nadzieją zobaczenia narzeczonego, zarumieniła się i tak gwałtownie poruszyła, że przewróciła filiżankę z kawą.

Pani Salomea posłała jej karcące spojrzenie.

– Najwięcej pomożesz walczącym chłopcom, szyjąc dla nich ciepłą odzież! Przynajmniej zaoszczędzisz im przeziębienia. Janek również zna pana Bobrowskiego. – Pani Salomea przywołała lokaja i poleciła mu zmienić obrus. – Pan hrabia obiecał przysłać Janka do Makowa, wtedy się zobaczycie. Pomyśl, moje dziecko, o tych nieszczęśliwych kobietach, które już nigdy nie ujrzą swoich bliskich. Nawet się nie dowiedzą, gdzie zostali pogrzebani.

– Przepraszam – bąknęła speszona Emilka. – Oczywiście, mamusia ma rację. – Usiadła na swoim miejscu, bardzo bliska łez.

Po śniadaniu Nina musiała wydawać dyspozycje służbie, pilnowała wydawania produktów na cały dzień dla pracowników, była w wędzarni i kuchni, wpadła do młyna i tartaku, zebrała raporty od ekonomów i pisarzy, wędrując po całym gospodarstwie z grubą księgą pełną rachunków, notatek i karteluszków z uwagami. Uporawszy się z porannymi zajęciami, pojechała saniami do Lipieńca. Na jej widok wojewodzina zbladła i załamała ręce.

– Chryste Panie, pewnie Olesiowi przytrafiło się nieszczęście! – wrzasnęła i zapomniawszy o podgrze, zerwała się z fotela na równe nogi.

– Niech ciocia się uspokoi. Alek był dziś w nocy w domu – powiedziała pośpiesznie Nina.

– O, chwała Bogu, bo już wyobraziłam sobie najgorsze. – Staruszka odetchnęła i odmówiła krótką modlitwę do świętego Józefa Opiekuna. Potem skinęła na Ninę. – Usiądź, moje dziecko. Zaraz zawołam Sophie.

Ale Zosi nie trzeba było wołać. Usłyszawszy od pokojówki, że przyjechała jaśnie pani hrabina z Makowa, wpadła do pokoju z przerażeniem w oczach i niewypowiedzianym pytaniem na ustach. Nina mrugnęła do niej figlarnie.

– Trusieńko, zrób się na bóstwo! Wieczorem będziesz miała gościa!

Zosia stała przez moment z rozchylonymi ustami, a potem z głośnym płaczem rzuciła się przyjaciółce na szyję, śmiejąc się i szlochając jednocześnie.

– Nareszcie! A ja się tak modliłam i czekałam. Wraca! – wołała, obsypując Ninę pocałunkami i ściskając wojewodzinę. Wybiegła z pokoju i zaraz wróciła, niosąc na ręku synka. – Stefcu, tatuś wraca do ciebie i do mamusi! Tatuś wraca! – podśpiewywała, huśtając dziecko. – A mój papcio nie przyjedzie?

Nina bez drgnienia powiek wytrzymała jej ufne spojrzenie.

– Nie, kochanie. Pan Syrwin wyjechał do Galicji starać się o broń.

Krótko i w oględny sposób opowiedziała o złej przygodzie, która spotkała powstańców w czasie noclegu. Wspomniała o utracie taborów, głodzie i braku uzbrojenia. Obie panie wydawały przy tym okrzyki żalu i oburzenia, choć Nina pominęła straszliwe szczegóły. Stara dama energicznie wytarła nos, zadzwoniła i rozkazawszy wezwać rządcę, pana Marcinkiewicza, wydała mu zwięzłe rozkazy:

– Są jeszcze w magazynie buty i ciepłe okrycia. Jabłoccy i Wąsoccy także muszą się złożyć i poratować naszych bohaterskich chłopców. Maków nie może sam utrzymywać partii. Proszę też nie zapominać o żywności i paszy dla koni. Trzeba wziąć z naszego stada z dziesięć dobrych koni i posłać je do Porajów, gdzie przebywa oddział.

– Alek będzie ciotuni ogromnie wdzięczny za pomoc. Jednak najważniejszą sprawą jest zakup broni. – Nina odetchnęła z głębi serca i tak mocno potrząsnęła głową, że upięte w węzeł włosy rozplotły się i opadły jej na ramiona lśniąca falą. – Ciociu, oni są niemal bezbronni. Każde spotkanie z Moskalami zakończy się masakrą... – Umilkła i spojrzała na słuchającą uważnie wojewodzinę. – Czy nie orientuje się ciocia, kto chciałby kupić

Milusin? Dwór wprawdzie spalony, ale ziemia żyzna i zbiory w jesieni mogą być obfite.

Stara dama zmierzyła ją wzrokiem pełnym oburzenia.

– Zawiodłaś mnie, Nino. Myślałam, że kochasz Maków. Zamierzasz handlować ziemią? Komu chcesz ją sprzedać? Bo w tych czasach majątek ziemski może kupić jedynie Moskał, spekulant lub wzbogacony Żyd, podstawiając fikcyjnego kupca. Chyba rozum straciłaś!

– Nie straciłam rozumu i najlepiej wiem, co znaczy utrata własnej ziemi!

– Zdenerwowana Nina podniosła głos. – Takie było życzenie Alka, ponieważ musimy mieć pieniądze na zakup broni. Wolałabym przeciąć sobie żyły niż sprzedać choćby garść ziemi, ale nie mam wyboru.

Opanowała się, zdawszy sobie sprawę, że była nieuprzejma, pokrzykując na staruszkę. Zmieszana, uniosła ramiona, zwijając włosy w węzeł i umacniając je srebrnymi szpilami.

– Przepraszam. Jestem już tylko jednym kłębkim nerwów. – Uśmiechnęła się krzywo.

Zosia, wystraszona gniewem starej damy, przytuliła do piersi synka i siedziała cichutko jak myszka. Przez długą chwilę wojewodzina sapała ze złości, dopiero ochłonawszy, spojrzała na obie przestraszone młode kobiety łaskawszym okiem.

– No dobrze – rzuciła szorstko. – Mów, Nino, czego potrzebujesz.

– Pieniądze to jeszcze nie wszystko. – Nina przybrała układną minę. – Nie ma komu jechać w sprawie tej broni do Krakowa. Tadeusz jest ranny w rękę i musi pozostać w domu. Trusiu, to lekka rana i Jaś zapewnił, że szybko się zagoi – uprzedziła Zosię, która już otwierała usta, by zadać pytanie. – Alkowi potrzeba osoby, która zorientowałaby się w szansach prędkiego zakupu broni i zorganizowała transport przez granicę.

– Nie rozumiem, Ninetko – wtrąciła się Zosia, unosząc brwi. – Przecież mówiłaś, że papcio jest w Galicji.

Nina na moment zapomniała języka w buzi i przeklęła swoje roztargnienie. Na szczęście nie straciła przytomności umysłu.

– Oczywiście – przyznała. – Ale weź pod uwagę, że chętnych do zakupu broni jest więcej niż samej broni. Austriacy nie są ślepi i głupi. Na miejscu trudno kupić większą ilość karabinów i amunicji. Aleks wspomniął, że trzeba się dowiadywać we wszystkich miastach, gdzie stacjonują garnizony wojskowe. Podobno najłatwiej o broń aż na granicy z Mołdawią. Pan

Syrwin uda się również do Lwowa, a ktoś inny musi starać się o broń w Krakowie i sąsiednich miastach.

– Rozumiem. – Uspokojona Zosia z uśmiechem skinęła głową.

Ale wojewodzina nie była taka łatwowierna i popatrzyła na Zosię z matczyną czułością. Dziecko zaczęło płakać, więc Zosia wstała i poszła do swego pokoju, aby je przewinąć. Stara dama przenikliwie popatrzyła na siedzącą w milczeniu Ninę, z nisko opuszczoną głową.

– A teraz przestań mnie czarować i mów, co się wydarzyło. Pan Syrwin nie żyje, prawda?

Nina uznała, że wojewodzinie może powiedzieć wszystko. Stara kobieta miała twardego charakter.

– Ciociu, to była prawdziwa rzeź! Mordowano ich na tym noclegu siekierami i widłami. Alek o włos uniknął śmierci! Ocalił mu życie koniuszy, ale sam poległ. – Urywaniem ze wzburzenia głosem powtórzyła wszystko, co usłyszała od męża.

Staruszka wysłuchiwała jej w ponurym milczeniu, potakując tylko skinieniem głowy.

– Rząd Narodowy zniósł pańszczyznę, darował chłopom ziemię. I masz ich wdzięczność!

Pod wpływem wściekłości i chęci zemsty Nina zarumieniła się, a jej oczy rozblęskły nienawiścią.

– Alek postanowił zataić tę okropną sprawę przed policją narodową, ale ja uważam, że zbrodniarze muszą ponieść surową karę – powiedziała stanowczo. – Proszę ciocię o powiadomienie panny Lasewiczówny o całej tragedii. Policja narodowa musi wymierzyć sprawiedliwość.

Słowa jej dokładnie odpowiadały myślom wojewodziny. Uśmiechnęła się mściwie.

– Zrobię to z wielką przyjemnością i cieszę się, że nasze odczucia są identyczne. Osobiście dopilnuję, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Nie mogę spokojnie myśleć o tym, że ci biedni chłopcy wędrowali na wprost nadzy w śniegu i mrozie!

Powróciła Zosia, więc wojewodzina umilkła, zastanawiając się nad czymś głęboko.

– Wspomniałaś, że do Krakowa nie ma kto jechać. – Zwróciła na Ninę swoje przeszywające spojrzenie.

– Niestety nie. To musi być człowiek zaufany, bo powiezie pieniądze przeznaczone na zakup broni.

– Phi! – prychnęła wojewodzina. – A ty, moja droga, nie możesz tego zrobić dla męża? Podobno go kochasz.

– Ja?! – Nina wydała okrzyk i odruchowo położyła obie dłonie na brzuchu.

– A cóż to takiego wielkiego? – Stara dama roześmiała się rozbawiona. – W czasie rewolucji listopadowej ja również przewoziłam broń. Bądź pewna, że dziś wiele kobiet zajmuje się tym procederem.

– Ale Nina oczekuje dziecka – zauważyła Zosia, biorąc przyjaciółkę za rękę.

– Wiem. Mimo to zaręczam, że Nina znakomicie da sobie radę. Zawsze lubiła awanturnicze przygody – cierpko stwierdziła staruszka.

Nina zacisnęła usta. Pomyślała, że tak naprawdę nikt nie liczył się z jej stanem, zwalając na jej głowę coraz to cięższe obowiązki. Inne kobiety przy nadziei były chronione i otaczane troskliwą opieką. Z tłumioną pasją uznała, że rozmowa ze starą damą przypominała zabawę ze zgniłym jajkiem!

– Nie znam się na tym – mruknęła. – Zresztą wydaje mi się, że za dużo się ode mnie wymaga. Muszę chronić dziecko.

– Tak? Ciągłe słyszę, że bardzo kochasz męża, więc zrób coś dla niego, zamiast biadolić i wyczekiwać Boskiego zmiłowania. Jesteś giętka jak sprężyna i doskonale wytrzymasz trudy podróży – oświadczyła wojewodzina z beztroską miną.

– Ależ pani wojewodzino, ona... – Zosia zdecydowała się stanąć w obronie Niny, lecz zaraz umilkła, zgromiona władcym spojrzeniem starej damy.

– Cicho! Nina nie jest niemową, niech sama mówi.

– Nie mogę jechać do Krakowa z prostej przyczyny: nie posiadam pieniędzy. Zresztą Alek nigdy mnie tam nie puści. – Ściągnęła brwi, postanawiając wybić upartej starej babie ten idiotyczny pomysł z głowy.

– Naturalnie. – Staruszka skrzywiła się ironicznie. – Poczekasz, jak przyjdą Moskale i problem sam się rozwiąże! Nie będziesz się musiała fatygować.

Nina podziękowała w duchu Panu Bogu, że siedziała w fotelu, bo z oburzenia spadłaby z krzesła.

– Jak ciocia może tak do mnie mówić?! – krzyknęła uniesiona gniewem.

– Nie próbuj robić z siebie bezbronego kobieciątka – powiedziała chytrze wojewodzina. – Oleś nie pozwoli ci jechać do lekarza? O, byłby człowiekiem bez serca, zabraniając żonie zasięgnąć porady specjalisty w bezpiecznej Galicji. – Zachichotała tak złośliwie, że obie młode kobiety aż podskoczyły nerwowo.

Oczy Zosi zaokrągliły się jak spodki, lecz stara dama budziła w niej taki strach i respekt, że nie ośmieliła się pisnąć nawet słówka, posyłając tylko Ninie rozpaczliwe spojrzenia.

– Załóżmy! – Nina niegrzecznie wzruszyła ramionami. – Ale jak to sobie ciocia wyobraża? Pojadę do Galicji bez pieniędzy, potem wezmę karabiny na kredyt, wsadzę je pod pachę, amunicję do torby i cały ten kram przeniosę przez granicę, robiąc z celników durniów?

– Nie bądź uszczypliwa, moje dziecko – skarciła ją wojewodzina. – Przewieziesz broń w karecie i dużej bryce z podwójnym dnem.

Nina powstrzymała się w ostatniej chwili, żeby nie popukać się palcem w czoło.

– W karecie i w bryczce ukryję z pięćdziesiąt karabinów i kilkaset tysięcy sztuk amunicji?

– No to weźmiesz dwie duże bryki. Zakupisz mniej karabinów, a więcej broni krótkiej. – Pani wojewodzina nie zamierzała rezygnować z raz powziętego pomysłu.

– Mam okłamywać męża?

– Oleś *post factum* będzie ci całował ręce i nogi z wdzięczności. Zapamiętaj sobie: kiedy mężczyźni wojują, kobiety schodzą na drugi plan. Liczy się wyłącznie walka! – Starsza pani byстрыm wzrokiem dostrzegła w oczach Niny nagły błysk i już wiedziała, że zwyciężyła.

– Hm... ale do porodu pozostało mi jeszcze dużo czasu – zauważyła Nina z wahaniem. Śmiała impreza wzbudziła jej zainteresowanie.

– Tym lepiej. Weź ze sobą pannę Mirę i Jagę lub pannę Maciejewską. Jeżeli nie chcesz jechać, to któraś z dziewcząt z pewnością podejmie się tego zadania. Odwagi im nie brakuje. – Stara dama powiedziała to ot tak sobie, od niechcenia, udając, że nie patrzy na siedzącą z obrażoną miną Ninę. – Ja wiem, że Oleś byłby spokojniejszy, wiedząc, że w Galicji jesteś pod opieką dobrego specjalisty. No więc zdecyduj się, bo czasu jest

niewiele. Moskale nie będą czekać, aż nabierzesz chęci. A o pieniądze się nie troszcz. Znajdą się natychmiast, kiedy zdecydujesz się pojechać.

Wracając z Lipieńca, Nina całą drogę rozważała niebezpieczny plan wojewodziny. Im więcej oswajała się z tą myślą, tym bardziej pomysł wydawał się jej zachęcający. Po powrocie do domu, zaczęła od nowa rozmyślać, na zimno rozpatrując piętrzące się przed nią przeszkody. Nie posiadała paszportu ani przepustki, a bez tych dokumentów nie mogła legalnie przekroczyć granicy. Wybierając się do Galicji z dużym taborem, musiała występować jawnie, podróżując jako wielka dama udająca się na kurację zdrowotną. Jej pozycja społeczna wymagała odpowiedniej oprawy. Podróżować musiała wytworną kareta, z osobami towarzyszącymi. Za powozem jechałyby dwie duże bryczki, wiozące kufry ze strojami pani hrabiny oraz przedmiotami niezbędnymi w drodze. Damy z wyższych sfer, podróżując, zabierały z sobą prowiant, całą zastawę stołową, dywany, wanny, ulubione meble, nie wspominając już o ptaszkach w klatkach, pieskach i kotkach. Nie mogło obyć się bez pokojówek, lokajów i stangretów. Taka karawana poruszała się w ślimaczym tempie przez całe tygodnie, zanim dotarła do celu podróży.

Tajne schowki można było porobić już w Krakowie. Wprawdzie Nina nie знаła tam nikogo, ale Aleks miał w mieście zaufanych ludzi. Pozostawała sprawa lewych dokumentów i najważniejsze zadanie: przekonanie męża o konieczności wyjazdu do Galicji. W Krakowie Nina zorientuje się, jakie są szanse na zakup broni, amunicji i transport przez granicę. Przypomniała sobie, że mąż kilkakrotnie proponował jej wyjazd do Galicji, a nawet bardzo na to nalegał. Myśl o przygodzie zaczęła ją podniecać. Od dziecka marzyła o zwiedzeniu zabytków Krakowa. Nie zamierzała zawracać sobie głowy lekarzami, pragnąc jak najszybciej powrócić do Makowa.

Ku jej zdumieniu następnego dnia przyjechały do Makowa wojewodzina z Zosią. Stara dama, owinięta w pledy i kołdry, unosiła się niemal na rękach swojej służby. Zaniesiona do buduaru, zajęła wygodną kanapę i oznajmiła, że chce się upewnić, iż młoda hrabina akceptuje jej plan. Rozdrażniona taką natarczywością, Nina już miała na języku ostrą odprawę, ale na jej zgodę decydująco wpłynął list od męża, doręczony jej przez Zosię. Aleks pisał, że z nastaniem suchej pogody z pobliskich garnizonów ruszy potężna

ofensywa wojsk rosyjskich, w pogoni za powstańcami z Gór Świętokrzyskich. Dowódcy kolumn wojskowych oczekiwali z niecierpliwością wiosny i osuszenia błotnistych dróg, aby mogły po nich przejechać ciężkie baterie armat i wozy taborowe. Niepokojące informacje skłoniły Aleksa do ponaglenia jej, aby za wszelką cenę postarała się o pieniądze na zakup broni. To przesądziło sprawę. Nina przestała się wahać i omówiła z wojewodziną szczegóły, przedstawiając rzeczowo wszystkie trudności. Stara dama zapewniła ją, że w ciągu dwóch tygodni dostarczy jej komplet potrzebnych dokumentów.

Do buduaru weszła pani Salomea i wojewodzina zaczęła ją wypytywać o znajomych z Warszawy. Obie damy zajęły się rozmową, a Nina pociągnęła przyjaciółkę do okna. Tego dnia Zosia wyglądała ślicznie, promieniejąc cichą radością.

– Zaraz widać, Trusieńko, że miałaś spokojną noc. – Nina uśmiechnęła się domyślnie.

Zosia przytuliła się do niej, wydając cichy pomruk, jak rozpieszczona kotka.

– Tadzio jest doprawdy zdumiewający – szepnęła mocno zarumieniona.

– O, nigdy w to nie wątpiłam. – Nina się roześmiała, przymrużyła oko i pocałowała przyjaciółkę w gładki różowy policzek. – Przynajmniej ty przez najbliższe tygodnie będziesz spokojna o męża.

– Nic podobnego, Ninetko. Tadek pozostanie w Lipieńcu tylko do jutra. Wyrzywa się do oddziału, chociaż zagroziłam, że się na niego pogniewam. Ale dobrze wiem, że nie utrzymam go w domu, i już nie nalegam. Na Łysej Polanie chłopcy budują szałas przy Diabelskim Bagienku. Moskale nigdy tam nie dojdą, bo nawet kłusownicy nie zapuszczają się w tamte strony, obawiając się złych mocy.

– Trusiu, zaręczam ci, że za kilka srebrnych rubli chłopci zapomną o strachu i przeprowadzą wojsko nawet przez moczary – westchnęła Nina. – Nie podoba mi się to miejsce. Szkoda, że nie wybrali sobie obozu za Wykusem. Moskale nie lubią iść w puszcę, a nasi mężowie byliby niedaleko domów.

– Tadek tłumaczył mi, że pan hrabia wybrał tę Polanę celowo, bo przez Łysogóry i Góry Jeleniowskie prowadzą drogi na Bodzentyn, Suchedniów oraz Kielce. Pan hrabia chce mieć te drogi pod kontrolą. Zresztą tam będą

bezpieczni, bo nie uwierzę, żeby polski chłop wydał za pieniądze walczących rodaków.

Niebieskie oczy Zosi patrzyły tak ufnie i pogodnie, że Nina poczuła dziką chęć, aby coś zniszczyć lub kogoś zabić. W milczeniu przytuliła ją do siebie, z trudem powstrzymując wybuch wściekłości.

Tego dnia rozbiła się bania z gośćmi. Wkrótce po wojewodzinie przyjechała z Sarnik ciotka Maria. Spłakana z radości, pokazywała depeszę ze Świerszczyn. Edward donosił, że Binia urodziła dużego i zdrowego chłopca, tym razem lekko i bez komplikacji. Na chrzcie świętym malec otrzymał imiona Aleksander Mieczysław.

– Boże, moja dziewczynka jest już matką dwóch synów! – wołała ciotka, potrząsając depeszą. – Drugi raz zostałam babką! Tak bym chciała zobaczyć tych zuchów, ale władze nie zezwalają na wyjazd do Księstwa Poznańskiego. Żebyście widziały panie mego Ksawerego! Ubyło mu lat! Jakby wcale nie chorował! Dziś wyprawił się konno w pole i już planuje, co gdzie wiosną posieje. – Ciotka umilkła na moment i westchnęła. – Szkoda, że Paula nie żyje. Poprzednim razem wystarała się nam o paszporty. Nie była taka najgorsza.

Nina dumnie uniosła głowę, a jej oczy zwęziły się złowrogo.

– Przypisuje jej ciocia zbyt wiele cech pozytywnych – wycedziła, co w połączeniu z lodowatym spojrzeniem wystarczyło, aby pohamować potok słów ciotki. – Nie zrobiła tego z dobroci serca, mając na celu naciągnięcie wuja na pożyczkę.

– Niemniej była to z jej strony uprzejmość – upierała się ciotka, bo nie lubiła, kiedy ktoś krytykował jej wypowiedzi, nawet tak nietaktowne.

– O, jeżeli uprzejmością z jej strony było nazywanie wuja starym pantoflarzem, a cioci jędzą, to przyznam, że rzeczywiście starała się być uprzejma!

Wojewodzina zakrztusiła się herbatą, a pani Salomea wyciągnęła chusteczkę i starannie zaczęła siąkać nos. Ciotka Maria zrobiła się purpurowa.

– Nigdy nie uwierzę, żeby dama w tak wulgarny sposób mogła wyrażać się o krewnych! – oświadczyła nadąsana.

– Bo też ona nie była damą, a wujostwo nie byli jej krewnymi! – W podniesionym głosie Niny nie było nawet śladu potulności. – Kiedy zabrakło jej narkotyków, wyrażała się o wiele gorzej.

Zosia siedziała ze spuszczoneymi oczami, ale Nina zdążyła dostrzec drgnięcie jej ust, gdy powstrzymywała śmiech. Natomiast wojewodzina skrzywiła się jak po occie i popatrzyła na ciotkę z lekceważącym politowaniem.

– Jesteś zbyt łatwowierna, Maryniu. Lepiej zmieńmy temat. W taki szczęśliwy dla ciebie dzień nie warto przypominać upiora.

Nina zupełnie straciła humor i zaledwie zmuszała się do podtrzymywania rozmowy.

Wieczorem usiadła przy sekretarzyku i zaczęła pisać długi list do Bini. Naraz ogarnęła ją straszna tęsknota za jej srebrzystym śmiechem, wysokim głosikiem i błękitem oczu, zupełnie podobnych do oczu Jasia i zawsze patrzących na nią z czułością.

– Mój Boże, tak dawno się nie widziałyśmy – szepnęła do siebie.

Skreśliła jeszcze kilka zdań i niespodziewanie doznała olśnienia. Przecież mogą spotkać się na zupełnie neutralnym terenie, w Galicji! Zachwycona swoim pomysłem, klasnęła. Przepisała list od nowa, szyfrując jego część. Powiadomiła Binię o projektowanej podróży, zapytując, czy istnieje możliwość spotkania się w Krakowie.

Działania wojenne przeniosły się w stronę Chęcín i w okolicy Makowa było spokojnie. Powstanie jakby oddaliło się na pewien czas, pozwalając ludziom odetchnąć. Zosia zamieszkała w Brzezińcu, u teścia, a Dorota Biecka założyła mały lazaret. Nie kierowały nią bynajmniej pobudki patriotyczne, tylko zamierzała ulokować w nim ранego męża. Kazio, kurujący się w odległej leśniczówce, był stanowczo za daleko, żeby mogła mieć go na oku.

Pewnego dnia Dorota pojechała powozem po swego ранego bohatera. Nie wiadomo, co na miejscu zastała, bo nawet osoba tak gadatliwa, jak pani Teosia Jabłocka, tym razem nabrała wody w usta i milczała jak zakłeta. Ale opowiadano, że w leśniczówce Dorota zupełnie zapomniała o manierach damy i z dzikim piskiem wczepiła się we włosy córki leśniczego, leżącej w łóżku obok Kazia, okładając ją pięściami i wodząc się z nią po całej izbie. Sponiewierawszy dziewczynę, rzuciła się z kolei na zbolanego małżonka z taką furią, że sam leśniczy z pomocą parobka musiał wydzierać ofiarę z jej pazurków. Kazio, zapomniawszy o ranie, prysnął do leśnego obozu, mając

nadzieję, że tam go nie dosięgnie rozwścieczona połowica. Zanosiło się na towarzyski skandal, bo Dorota, doprowadzona do pasji, zdecydowała się wystąpić o rozwód.

Ciotka Maria aż oblizywała się na myśl o lawinie plotek. Wojewodzina, niedarząca sympatią Doroty ani jej matki, a także Bieckiego, uśmiechała się ze złośliwą satysfakcją. Jedynie Zosia, mająca dobre serce, współczuła Dorocie i spotkawszy Ninę w kościele, ubolewała nad jej losem.

– Odradzałam Dorze ten mariaż, ale nie dała sobie nic powiedzieć. Kazio bywa bardzo sympatyczny, lecz nie nadaje się na męża. Biedna Dora nie zrobiła dobrego wyboru.

Nina tak nienawidziła pani Bieckiej, że nie umiała się zdobyć na obiektywny osąd.

– Och, byłabym bardzo zawiedziona, gdyby los okazał się dla niej łaskawy – powiedziała mściwie. – Przypomnij sobie, ile razy w dzieciństwie przez nią płakałam. Pewnego dnia tak mi dokuczyła, że w rewanzu pocięłam nożyczkami jej płaszczyk.

– To było na kinderbalu z okazji imienin Bini. – Zosia zachichotała. – Pamiętam.

– Właśnie. Ciotka Maria sprawiła mi lanie i zamknęła za karę na stryszku. A ty po kryjomu przysłaś do mnie i przyniosłaś mi kawałek tortu. Potem przybiegła Binia i wtedy przysięgłyśmy sobie przyjaźń do grobowej deski.

– Boże, jak to dawno... – Wzruszona Zosia westchnęła. – A ile zmian! Jaka szkoda, że karmię jeszcze Stefana, bo pojechałabym z tobą do Krakowa. Może spotkałabym papcia? Tak za nim tęsknię.

Nina zbladła i prędko odwróciła głowę, udając, że poprawia coś przy kołnierzu futra.

Pod koniec lutego zrobiło się cieplej. Słońce, stojąc coraz wyżej, świeciło po wiosennemu. Piękna pogoda skłoniła panie do spaceru po parku. W alejach po śniegu pozostały tylko kałuże, a od nagich jeszcze pół południowy wiatr niósł zapach ziemi gotowej do siewów. Nina myślała z troską, że w marcu trzeba sadzić wczesne ziemniaki. Nadchodził czas siewów zbóż jarych i wysiewania pierwszych warzyw do gruntu. Wsparta na ramieniu Miry, szła wolno, wdychając z rozkoszą rześkie powietrze. Lubiała bardzo spacerować aleją ogromnych drzew pozbawionych jeszcze liści, pod nieskończonym obszarem błękitnego nieba.

– Teraz rozumiem, dlaczego tak bardzo kochasz Maków – odezwała się panna Maciejewska, rozglądając się dokoła. – To jest wprost magiczne, cudowne miejsce, a jego uroda niemal zapiera dech w piersiach.

Nina obdarzyła ją wdzięcznym spojrzeniem, bo Emilce udało się w kilku słowach wyrazić to, co ona czuła do swojej ziemi. Zbliżała się wiosna, na trawnikach kiełkowała młoda trawa, a na słonecznych polanach kwitły już nieśmiało pierwsze kwiaty – śnieżyczki i krokusy.

– O, spójrzcie tylko! – zawołała, pochylając się nad krzewem forsycji. – Są już pączki! – Końcami palców pieścizotliwie dotykała gałązki.

Idący przy jej nodze Grot nagle szczenił krótko i przyjął postawę psa wystawiającego zwierzybę. Stał nieruchomo jak posąg, z uniesioną przednią łapą i wyprostowanym puszystym ogonem. Musiał coś zwęszyć, bo posłał swej pani pytające spojrzenie. Istotnie, zaraz na końcu długiej alei pokazał się jeździec pędzący karierem³⁵.

– O Boże, czy to nie jakiś kozak lub dragon? – zaniepokoiła się pani Salomea, podnosząc do oczu srebrne lorgnon.

Emilka, mająca lepszy wzrok, przysłoniła oczy dłonią, bacznie przypatrując się jeźdźcowi.

– Janusz! – Wydała przeraźliwy okrzyk i otworzywszy ramiona, pobiegła mu naprzeciw.

Jaś podjechał do niej galopem i zeskoczywszy z konia w pełnym biegu jak cyrkowiec, pochwycił ją na ręce, pokrywając jej twarz, usta i oczy płomiennymi pocałunkami. Całowali się zapamiętale, wcale nie zważając na podchodzące panie. Pani Salomea uznała za stosowne dyskretnie chrząknąć.

– *Jean, ce n'est pas convenable*³⁶ – półgłosem skarciła syna. – Może i z nami zechcesz się przywitać?

Jaś oderwał się od narzeczonej i rozejrzał nieprzytomnym wzrokiem.

– Mamusia... Matuś! – wykrzyknął z taką radością, jakby dopiero teraz ją zauważył.

Postawił Emilkę na ziemi i uniósł starszą panią wysoko w ramionach. Miał jeszcze niezupełnie przytomną minę i ciągle zerkał na zarumienioną i zawstydzoną narzeczoną. Zachowanie panny Maciejewskiej uległo nagle zupełnej zmianie. Zazwyczaj chłodna i bardzo opanowana, teraz oczy miała błyszczące jak gwiazdy, śmiejące się usta i cała promieniała pod wpływem wielkiej miłości. Całkowicie przeistoczona, nie przypominała spokojnej

panny, której Nina zazdrościła zimnej krwi i odwagi. Teraz jej chłodne jasnoniebieskie oczy przepełnione były radością. Drżącą dłonią dotykała ramienia Jasia, jakby chcąc się upewnić, że to naprawdę on. Otrząsnąwszy się z miłosnego szału, Jaś przywitał się czule z Niną i ucałował rękę Miry, ponownie wskoczył na konia, przytrzymując mocno spory pakunek przy siodle, który co chwilę się poruszał, wydając dziwne odgłosy.

– Jasiu, dlaczego tak przyklepiłeś się do tego konia? – Zaintrygowana Nina przechyliła głowę, przyglądając się mu z ciekawością. – Krótki spacer z nami dobrze ci zrobi. Co jest w tym pakunku? Znalazłeś worek ze złotymi imperiałami?

– Mylisz się, kotku. To nie są imperiały, lecz wielce apetyczne prosię, które przypadkowo spotkałem na drodze.

– Jak to, spotkałeś? – naiwnie zdziwiła się pani Salomea. – Po co je brałeś? Należało zwrócić je właścicielowi.

– Ani mi się śni! – Jaś uśmiechnął się szeroko. – Cały czas głodowaliśmy, bo nasz wódz nie pozwolił skubać wieśniaków. Teraz chłopcy spragnieni są dobrej wyzerki, aby nabrać sił do trzepania skóry burkom. Takie młode różowe prosię upieczone na rożnie to prawdziwy rarytas! – Jaś się oblizwał i poklepał po zapadłym brzuchu. – Mniam!

– Mam rozumieć, że ukradłeś komuś tego prosiaka? – Pani Salomea była wyraźnie zgorzozona postępkami syna.

Jaś zachichotał, bagatelizując biadanie matki nad jego moralnym upadkiem.

– Wcale się tego nie wstydzę – oświadczył bezczelnie. – A prosiaka nie ukradłem, tylko podzieliłem się nim z wujem Ksawerym. Zwierzak maszerował sobie środkiem drogi od dworu, więc zabrałem go z sobą. Wujowi nie ubędzie, za to my posmakujemy pysznej pieczeni.

Nina zatoczyła się ze śmiechu, wspierając się na Mirze, żeby nie upaść.

– Misiu! – zapiszczała. – Braciszku, oj, dobrze, że wuj tego nie widział. Musiałbyś mu zaraz krew puszczać, żeby go szlag nie trafił ze złości. Na drugi raz kradnij u proboszcza. Staruszek spokojny, niekonfliktowy, apopleksja mu nie grozi. Od ręki dostaniesz rozgrzeszenie.

Panny zaśmiewały się głośno, a pani Salomea patrzyła na syna i Ninę w osłupieniu.

– Dzieci, o czym wy mówicie? Nie, ja nie nadaję się do tych czasów.

– A wolałaby mamusia, żebym głodował? – Jaś pieszczotliwie poklepał przeraźliwie kwiczące prosię.

– Emilko, uważaj! – zawołała wesoło Nina. – On ma minę ludożercy!

– Och, och! – Panna Maciejewska udała, że kuli się ze strachu.

– Nie da się ukryć – zaśmiał się Jaś, spoglądając z góry na narzeczoną. – Mam ochotę schrupać do ostatniej kosteczki pewną śliczną pannę.

W pałacu przywitano owacyjnie niespodziewanego gościa. Kobiety zawirowały dokoła niego jak pszczoły wokół kielicha kwiatu. Jaś, usadowiony na najmiększej kanapce, żartami odpowiadał na pytania stawiane mu przez domowników. Emilka przytасzczyła mu stos jedwabnych poduszek, Nina podsunęła pod nogi miękki podnózek, zaś pani Salomea usiadła przy nim i trzymając rękę syna, wpatrywała się w niego wzrokiem, w którym mieścił się cały ocean matczynej miłości. Przy drugim boku Jasia usiadła Emilka i tuliła jego lewą dłoń do swego policzka.

– Byłeś w Warszawie – odezwała się Nina. – Co tam słychać? Kiedy rząd zdecyduje się nareszcie zakończyć tę krwawą masakrę?

Jaś nie odpowiedział, lecz posłał jej spojrzenie pełne potępienia.

– Zmieniłaś się, młoda damo – mruknął z urazą. – Na niekorzyść. Niegdyś istniał w tym domu zwyczaj częstowania gości frykasami. Doprawdy, czy zgłodniały mężczyzna nie może tu podjąć sobie co nieco?

– Mój ty mężczyzno! – Rozczulona Nina potargała mu pieszczotliwie jasną czuprynę. – Już nakrywają do stołu. Pan Szymon uwija się jak w ukropie i popędza kuchcików. Miej odrobinę cierpliwości. Nie dopuszczę, żeby w moim domu doszło do tragicznego aktu kanibalizmu. Walenty, czy możemy już przejść do jadalni? – spytała kamerdynera wchodzącego do buduaru.

– Jedną chwileczkę, już nakrywają. A jaśnie panicz do nas na dłużej? – Zatroskany przypatrywał się wychudzonej twarzy swego ulubieńca. – Oj, zmizerniał nam paniczyk. Czy nie chory, broń Boże?

– Jestem zdrowy i głodny jak wilk! Chłopstwo trzymało nas na ścisłej diecie. Wiadomo, wojna nie tuczy. A niech no pan Szymon przygotuje większe porcje, bo ja mało jeść nie mogę! – Mrugnął i roześmiał się.

Stary kamerdyner o mało nie płakał. Zatrzepotał rękami, wybiegł z pokoju i odbył z kuchmistrem piorunującą naradę. Po krótkim czasie wrócił i oznajmił, że podano do stołu. W małej jadalni stały wiklinowe koszyczki, a w nich świeży chrupiący wiejski chleb, rogaliki z francuskiego ciasta i

świeżutkie masło w maselnicy. Duże półmiski pełne były pokrojonej smakowicie pachnącej wędliny. Spod srebrnej pokrywy unosił się wspaniały zapach szynki na gorąco, obok stał pasztet z dziczyzny, różne gatunki serów, ryby smażone, wędzone i w oliwie oraz inne smakołyki. Kumosia przyniosła swoje słynne rosolisy³⁷, a za nią wpłynęła pani ochmistrzyni w obfitej krynolinie, niby okręt flagowy w pełnej gali. Do gorącej szynki był chrzan ze śmietaną, gruszki w occie, rydze i prawdziwki w marynacie. Walenty przyniósł z piwnicy xeres³⁸.

– Mam nadzieję, że do obiadu jakoś wytrzymasz. – Nina przysiadła koło Jasia i podsunęła mu pasztet z dziczyzny, arcydzieło pana Szymona.

– Złotko, jesteś aniołem! – powiedział uroczyście i owinąwszy szyję serwetą, zabrał się do jedzenia.

W krótkim czasie uporał się ze wszystkim, opróżniając półmiski. Panie co jakiś czas zrywały się i biegły do spizarni, przypomniawszy sobie, że Jaś jeszcze nie kosztował cielęcych kotlecików, wędzonego półgęska czy kruchych ciasteczek maślanych. Wszystkie dary Borutyński przyjmował z wdzięcznością i pochłaniał kilkoma ruchami szczęk. Zaspokoivszy głód, odsapnął.

– Dobrze jest żyć, żeby tak jeść – zauważył z zadowoleniem. – Ślicznej gosposi paluszki całuję, a wszystkim obecnym damom składam serdeczne dzięki za wyrozumiałość. Nino, masz skarb w osobie pana Szymona.

– Francuzi powiadają, że dobry kucharz i piękna żona to najcenniejsze dary w życiu mężczyzny – napomknęła żartobliwie.

– Te żabojady mają przewrócone w głowie – prychnął Jaś. – Bez żony mężczyzna od biedy może się obejść, ale bez jedzenia niepodobna.

– Mądrała! – Nina pokazała mu czubek języka, krzywiąc się z niesmakiem. – Zostaniesz starym kawalerem, ty żarłoku, bo utyjesz i żadna panna cię nie zechce. A żebyś nie narzekał, że w moim domu zapomniano o dobrych obyczajach, to na obiad będą barszczyk z uszkami i pieczona gęś z nadzieniem, a na podwieczorek twoje ulubione ciastka z kremem i konfitury naszej nieocenionej Kumosi. Nie dopuszczę, żeby doszło do ludożerstwa z powodu wygłodzenia.

– Jesteś słodka jak malinka! – zawołał, nie kryjąc entuzjazmu. – Podjąłem decyzję, że zrezygnuję z ludożerstwa, pod warunkiem że dasz mi teraz dobrej mocnej kawy. – Włożył serwetę w srebrne kółko i powrócił na swoje miejsce w buduarze.

Z błogą miną rozparł się na kanapce, wyciągając przed siebie nogi w butach z ostrogami. Matka i Emilka obsiadły go, wpatrując się w niego jak w tęczę.

– No nie! – wykrzyknęła Nina, ujmując się pod boki. – Ten bęcwał zachowuje się jak sułtan w haremie. Mów, widziałeś się z Alkiem po powrocie z Warszawy?

– Jak będziesz na mnie tak wrzeszczeć, to nie odpowiem na żadne pytanie – oświadczył z zarzucił miną, podkładając sobie pod plecy jeszcze jedną poduszkę. – Tak, widziałem wodza. W Warszawie, w naszym mieszkaniu, zastałem Rózię pocieszającą się z jakimś strażakiem. A w Komitecie przyjął mnie Awejde z krzywą gębą i zapowiedział na wstępie, że pieniędzy nie ma i raczej nie będzie, więc lepiej, żebyśmy nauczyli się radzić sobie sami. Z Suchedniowa pożyczonym koniem wróciłem do obozu. Wódz dał mi dzień urlopu, więc oczekuję, że będziecie mnie panie rozpieszczać. Aha, Nina dostanie ode mnie w prezencie list i buziaka, bo Aleks polecił mi żonkę ucałować. Wszystkim paniom pan hrabia przesyła ucałowanie rączek, a domownikom pozdrowienia.

Przyciągnął Ninę do siebie i z powagą złożył na jej czole pocałunek. Potem skłonił się paniom nisko, z przesadną elegancją.

– No, to jesteście kwita! Tu masz, kotku, list od stęsknionego małżonka. Idź sobie do sypialni i wypłacz się w poduszkę, bo wiem, że masz na to ochotę.

– Jasieńku, jesteś nieocenionym posłem. Tylko proszę, nie opowiadaj najciekawszych nowin, dopóki nie wrócę.

Najwidoczniej Aleks się śpieszył, bo list był krótki. Prócz troskliwych pytań o jej zdrowie donosił, że już nie głodują i nie marzną, bo sąsiedzi pośpieszyli z pomocą, przysyłając wozy z żywnością i ciepłą odzieżą, a na Łysej Polanie stanęły szałas. List kończył się namiętnymi zapewnieniami o miłości i pozdrowieniami dla domowników.

„Boże, czy już do końca życia będziemy spotykać się ukradkiem i rozmawiać z sobą listownie? Co to za życie? Kilka kradzionych godzin razem i długie miesiące rozłąki – myślała, podnosząc list do ust. – Boję się tego porodu i chcę, żeby Aleks wtedy był przy mnie, trzymał mnie za rękę i pocieszał, kiedy będę krzyczała z bólu. Pragnę słyszeć w nocy koło siebie jego spokojny oddech. Och, dlaczego on jest taki piekielnie uparty?“. Siedziała na łóżku, wpatrując się bezmyślnie w okno. Wcale nie miała

ochoty do płaczu, chciała raczej brzydtko zakląć i rzucić czymś ciężkim w lustro.

Zdegustowana wstała, poprawiła włosy i pomiętą suknię i wróciła do buduaru. Jaś zrobił do niej perskie oko i rzekł scenicznym szeptem:

– Powiem wodzowi, że oblałaś jego list rzewnymi łzami. Będzie rozczulony.

– Nic mu nie mów, bo się zmartwi. A dlaczego dał ci tylko jeden dzień urlopu? Napiszę mu, co o tym myślę!

– Kotku, nie wymyślaj ślubnemu mężowi. Muszę wrócić, bo mam w obozie rannych.

– Opowiedz wreszcie, co nowego dzieje się na świecie, bo tu, na prowincji, o wszystkim dowiadujemy się ostatni – ponagliła go panna Lutówna.

Jaś wysoko uniósł brwi i potrząsnął głową.

– Nie bądźcie takie skromne. Wódz wspominał, że Nina konferowała z Langiewiczem i z Czengierym. Powinniście być dobrze poinformowane. Co nowego? Niestety, na razie sukcesy nas omijają.

– Ot, kraczesz jak ta wrona! – oburzyła się Mira. – A Święty Krzyż, Staszów, Skała i tyle innych bitew?

– To tylko potyczki, nie rozstrzygające bitwy. – Uśmiechnął się i przeczesał czuprynę palcami. – Aha, zapomniałem wam powiedzieć, że mieliśmy dyktatora!

– Jak to mieliśmy?! Kogo?! – zawołały panie jednym głosem.

– Mierosławskiego! Mieliśmy, ale już nie mamy. Na początku cały rząd aż podskakiwał z uciechy, że taki wielki generał jest z nami. Jeden Bobrowski widział sprawę jasno, ale został zakrzyczany. Radość była krótka, bo pan Mierosławski przegrał wszystkie potyczki i nareszcie zwiął z kraju.

– Jezu! – jęknęła Nina. – Ten pomylenieć? Pewnie na pożegnanie wydukał jakiś wzruszający banał.

– Nie zdążył, bo Rosjanie siedzieli mu na karku. Doprowadził ludzi do takiej desperacji, że po kolejnej przegranej potyczce jakiś zrozpaczony oficer strzelił do niego, lecz chybił. Dyktator, spędziwszy tydzień w kraju na intrygach, wyniósł się do Francji lub do Prus, tego nie wiem.

– Och, jaka szkoda, że ten oficer chybił – powiedziała Nina z zawziętością. – Przez tego bufona wiele matek i żon w Kujawskim

opłakuje swoich najbliższych, tak jak niegdyś moja matka opłakiwała ojca. Nienawidzę tego typu. Sama bym go z ochotą zastrzeliła!

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, rozmyślając nad losami powstania.

– Mam nadzieję, że już nie powróci – ponownie przemówiła Nina. – Mierosławski jest mistrzem w posługiwaniu się frazesami. Uwodzi nimi naiwnych mężczyzn i egzaltowane kobiety. Dałabym głowę, że w jego obozie nie brakowało jego wielbicieli.

Jaś pominął jej uwagę milczeniem. Nie wiadomo, dlaczego był zirytowany.

– Jestem przeciwnikiem obecności kobiet w wojskowych obozach – powiedział, marszcząc brwi. – To mi się nie podoba, zarówno jako mężczyźnie, jak i lekarzowi.

– Mówisz jak zdeklarowany antysufrażysta! – prychnęła Nina i spojrzała na niego spod przymrużonych powiek. – Przecież adiutantem generała Langiewicza jest panna Pustowójtówna.

– Nie masz pojęcia, co sobie o niej opowiadają żołnierze na biwakach – odparł z gniewnym błyskiem w oczach. – Owszem, panie są niezbędne, pełniąc funkcje pomocnicze: kurierek, łączniczek i wywiadowczyń. Tym oddają sprawie nieocenione usługi. Ale w żadnym wypadku nie powinny brać udziału w walce. W naszej partii nie ma kobiet, bo naczelnik nigdy nie wyraziłby na to zgody.

– Gdybym była zdrowa, musiałyby się zgodzić – mruknęła Nina ze złością. – Posłuchaj tylko, Emilko, jakiego będziesz miała męża. Świątoszek!

Panna Maciejewska i Mira z oburzeniem zaczęły jednym tchem wymieniać narodowe bohaterki, wypominając Jasiowi męski szowinizm. Wysłuchał ich z taką miną, jakby walczył z chęcią sprawienia pannom solidnego lania. Kiedy zadyszane nareszcie umilkły, zareagował natychmiast:

– Żebyście, moje krzykliwe kwoczki, nie oskarżały mnie o męski szowinizm, opowiem wam historię pani Piotrowiczowej. To wydarzyło się przed kilkoma dniami, posłuchajcie... Pani Piotrowiczowa była córką zamożnych rodziców z okolic Łodzi. Entuzjastka powstania, uważała, że bez niej walka odbyć się nie może. Zdołała namówić męża, aby przystąpili do partii doktora Dworzaczka. Oddział składał się głównie z młodzieży i robotników z fabryk łódzkich. Doktor był bardzo zacnym człowiekiem, ale na wojowaniu nie znał się wcale. Na biwaku koło Dobrej w czasie

śniadania dopadli ich kozacy prowadzeni przez niemieckich kolonistów. Powstańcy bili się jak lwy, lecz słabo uzbrojeni, od początku nie mieli żadnych szans. Pani Piotrowiczowa nie chciała się poddać i broniła się zaciekle. Kiedy padła ranna, nadbiegający żołdaci z piechoty zadali jej tyle ciosów bagnetami, że trudno było rozpoznać jej zmasakrowane zwłoki. Razem z nią poległy trzy inne kobiety. Pijani żołdaci rozpoczęli rzeź! Nagich, poranionych powstańców, jeszcze żywych, wrzucali w ogień, na stos złożony ze sprzętu obozowego i gałęzi. Oficerowie próbowali im w tym przeszkodzić, jednak żołdaci odmówili wykonania rozkazu, oskarżając przełożonych o zdradę i sprzyjanie powstaniu. Doktora Dworzaczka niemieccy koloniści oddali w ręce Rosjan, a pan Piotrowicz, ciężko ranny, także pewnie został zamordowany. – Jaś zamilkł i powiódł wzrokiem po wzruszonych twarzach kobiet. Potem dokończył ponurym głosem: – A teraz powiem wam coś, co będzie okrutne... Po walce żołdaci rozpruli brzuch pani Piotrowiczowej, wtedy okazało się, że spodziewała się dziecka!

– Ach! – Ninie nagle zrobiło się niedobrze i musiała napić się herbaty, aby nie wymiotować.

Jaś zerwał się, przyklęknął przy niej i przygarnął ją do siebie.

– Wybacz mi, siostrzyczko. Ja musiałem to powiedzieć, bo wiem, że ty również miałaś ochotę towarzyszyć mężowi. Kotku, jak się czujesz? – Z niepokojem zajrzał jej w oczy i zbadał tętno. – No, puls w normie, będzie dobrze. – Poglądził ją po policzku.

Panie były wstrząśnięte i zaszokowane potwornością tego, co usłyszały. Pani Salomea nie mogła się uspokoić.

– Nie potrafię zrozumieć, jak ta biedna kobieta mogła ryzykować życie nienarodzonego dziecka. To przecież była zbrodnia!

– Jestem tego samego zdania – rzekł Jaś z gorzkim uśmiechem. – Opowiedziałem wam tę okropną historię dla przestrogi. A teraz zmienimy temat, bo Nina zrobiła się zielona jak królewna zamieniona w żabę! Po obiedzie cię zbadam i porozmawiamy sobie o twoim zdrowiu. No, a na razie wypij to, kotku.

Posłusznie wypijała ciężkie i mocne wino. Poczowała się znacznie lepiej i podsunęła Jaśkowi kieliszek, wskazując, aby napełnił go ponownie. Spojrzał na nią z wahaniem i pokręcił głową.

– Ninko, nie powinnaś...

– Wiem, co mi chcesz powiedzieć! – przerwała mu w pół słowa. – Nie powinnam pić alkoholu, bo może mi zaszkodzić. Nie powinnam martwić się o losy moich najbliższych, oglądać trupów, odbywać męczących podróży, jeździć konno i wysłuchiwać takich strasznych opowieści, jaką nas przed chwilą uraczyłeś. A ponieważ nie da się teraz tego uniknąć, pozwól mi spokojnie się ululać, dobrze?

– Dobrze, złotko – zgodził się potulnie.

Wstała z fotela, stwierdzając, że alkohol przywrócił jej dobry humor i energię.

– *À propos*, kawalerze, mam z tobą do pomówienia. Pozwól na słówko.

– O, macie przed nami sekrety? – spytała pani Salomea z uśmiechem.

W drzwiach Nina odwróciła się do niej i mrugnęła znacząco. Pani Borutyńska i Mira wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, a Emilka spuściła oczy i siedziała, skubiąc falbankę.

– Dowiecie się wszystkiego w swoim czasie. No, chodźże, ty cudaku! – Pochwyciła Jasia za rękę i pociągnęła za sobą do biblioteki.

– O co chodzi? – Zaskoczony rozejrzał się niepewnie. – Masz do mnie jakieś pretensje?

– Z ust mi to wyjąłeś! – Nina popchnęła go na fotel i przysiadła na poręczy. – Chcesz się wytłumaczyć czy mam cię od razu sprać na kwaśne jabłko, aby zaoszczędzić czasu nam obojgu?

Wytrzeszczył na nią oczy, niebieskie jak bławatki, nie rozumiejąc, o co się wściekała.

– Nie wolno bić kogoś, nie przedstawivszy mu zarzutów – zaprotestował słabo. – To byłoby nieludzkie.

– Aha, nie rozumiesz! – Nina ujęła się pod boki, niby kłótniwa kumoszka. – Rozkochałeś w sobie dziewczynę, obiecałeś jej małżeństwo, a przed samym ślubem prysnąłeś do lasu i tyle cię widziała! Pytam więc, co zamierzasz.

Jaś nerwowo przełknął ślinę.

– Przecież mamy powstanie... – przypomniał cicho.

– Tylko nie wykręcaj się powstaniem! W czasie wojen ludzie się żenią, a nawet miewają potomstwo. Sama jestem tego najlepszym przykładem. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś i ty się ożenił, mój bohaterze.

– Koteczku, dobrze się czujesz? – Jaś przyjrzał się jej z uwagą, tłumiąc ogarniającą go wesołość. – Mam się ożenić i zaraz zostawić żonę, wracając

do partii?

– Nie będziesz wyjątkiem. Boże... – westchnęła rozdzierająco. – Twoja męska logika jest nieznośnie prymitywna.

– A twoje pomysły niedorzeczne! – zrewanżował się. – Nie czas na wesele, kiedy toczą się walki i giną ludzie.

– Nic mi o tym nie wiadomo – zakpiła. – Misiu, to mi podejrzenie wygląda. Czy przypadkiem jakaś wiejska piękność nie zawróciła ci w głowie? One lubią przystojnych paniczów. – Powiedziała to z rozmysłem, wiedząc doskonale, jaki będzie efekt tych słów.

Jaś porwał się, jakby go użądliła pszczoła, i zmierzył Ninę groźnym wzrokiem.

– Oszalałaś?! Myślisz, że zdolny byłbym sprzeniewierzyć się mojej narzeczonej?! – wybuchnął.

– Kto wie? – Ze smutną miną potrząsnęła głową. – Cóż, nie chcesz się żenić, nikt cię nie zmusi. A zresztą Emilka może zrobić nawet lepszą partię.

– Przecież ja się chcę z nią ożenić, ale po powstaniu! – krzyknął ze złością.

– Tere-ferre! Czekaj tatka latka. Wkrótce będziesz bez szans. Nie zdziwię się, jakby Emilka, znudzona czekaniem, poślubiła jakiegoś zamożnego dziedzica.

W oczach mężczyzny zapaliła się nagle niebezpieczna iskra, a Nina złękła się, czy czasem nie przedobrzyła. W pewnych sprawach z Jasiem nie było żartów. Żeby go udobruchać, objęła go i ucałowała.

– Kochany, nie psuj nam przyjemności! – zaszczebotała przymilnie. – Twoja mama i ciotka Maria już obmyśliły cały ceremoniał. Ślub odbędzie się nocą, przy pochodniach, a od ołtarza pójdziecie pod szpalerem szabel. Potem przyjęcie dla całego oddziału. Sam powiedz, czy nie pięknie? Zgadzasz się?

– Po co wam moja zgoda? – Jaś odtajał i zaśmiał się. – Przecież już ułożyłyście cały program.

– Niestety, twoja obecność na ślubie jest niezbędna. – Nina odgarnęła z czoła włosy niecierpliwym gestem. – Więc jak? Albo się żenisz, albo nie dostaniesz obiadu, a będzie pyszny!

– Wobec takiej alternatywy zmuszony jestem skapitulować – stwierdził z powagą.

– Jesteś kochany! – Uściskała go. – Co wcale nie znaczy, że cię potem nie przetrzępię, jakbyś chciał się wycofać. Ale na razie dam ci spokój.

– Nie podlizuj się. – Pociągnął ją za warkocz. – Jesteś słodziutka jak cukierek maczany w truciznie.

Nina przez chwilę siedziała cicho, ważąc coś w myślach.

– Braciszku... – Rzuciła mu błagalne spojrzenie. – Mam do ciebie wielką prośbę.

– Nie! Nie! Nie zgadzam się na żadne szaleństwo! – bronił się ze śmiechem.

– Ale posłuchaj tylko. Jutro Alek ma imieniny. Jasieńku, zabierz mnie z sobą do obozu. Tak bardzo chcę osobiście złożyć mu życzenia.

– Wykluczone! – Jaś zeszywniał i przybrał srogą minę. – Na Łysą Polanę nie można dojechać kareta. Nie wolno mi narażać cię na wstrząsy.

– Ale ja nie mam zamiaru podróżować kareta. Pojadę na mojej Mignon.

– Co ty wygadujesz?! – wrzasnął, nie zważając na jej nieszczęśliwą minę. – Chcesz się narazić na upadek z konia? O nie! Wtedy Aleks by mnie uśmiercił, a ja zamierzam żywy doczekać dnia ślubu. Napisz do niego czuły liścik, sam mu go doręczę z odpowiednim komentarzem.

– No wiesz? – Nina wzruszyła ramionami. – Od czasu, gdy nauczyłam się odróżniać konia od capa, spadłam z siodła tylko dwa razy. – Spojrzała na niego i z bezradną miną zatrzepotała rękami. – Jasiu, bądź przyjacielem.

– Jak już ty się uprzesz! No, nie potrafię gadać z babami! – zawołał, rozkładając dramatycznym ruchem ramiona.

– Gdy się ożenisz, to nabierzesz doświadczenia – rzekła mentorskim tonem.

Spojrzeli sobie w oczy i wybuchli śmiechem.



[35](#) fr. *en carrière* – szybki galop, tak zwany wyścigowy

[36](#) fr. Janie, to nie przystoi.

[37](#) Nalewki ze specjalnego gatunku róż.

[38](#) Mocne wino hiszpańskie, odpowiednik angielskiego sherry.

Rozdział 4

Wyjechali z Makowa przed świtem, zaledwie białe opary mgieł zaróżowiły się w promieniach wstającego słońca. Omijając ludzkie osiedla, kierowali się ku Łysogórom. Za koniem Jasia szły dwa potężne perszerony, obładowane pakunkami. W lasach znać jeszcze było ślady zimy, lecz na południowych stokach, gdzie słońce dogrzewało mocniej, nieśmiało puszczała się młoda trawa, a na wierzbach widać było włochate „kotki”. Jechali bardzo ostrożnie, bo droga była kamienista i śliska. Do leśnego obozu prowadziły dwie ścieżki. Jedna od strony Świętej Katarzyny, którą od biedy mógł dojechać wóz do pewnej wysokości, bowiem wyżej droga stawała się tak stroma, iż większe ciężary należało przewozić na końskich grzbietach. Druga była to wąska ścieżyna, ukryta w gąszczu drzew i krzewów, i prowadziła pomiędzy skałami w stronę Łysicy. Tą drogą mógł się przedostać jeździec na dobrym koniu lub człowiek idący piechotą.

Jaś wybrał tę trudniejszą drogę, gdyż pragnął uniknąć niemiłego spotkania z patrolem. Tu i ówdzie zaczynało się już gołoborze – skalne rumowisko niezwykle trudne do przebycia. Minawszy je bokiem, wjechali w dziką, pierwotną puszcę, pełną ogromnych jodeł, lip i buków. Potężne pnie strzelały ku niebu niby gigantyczne kolumny chramu bożego. Tu przyroda była jeszcze nieskalana. Omijali zwalone przez wiatry pnie pełne próchnicy, niektóre leśne olbrzymy malowniczo porośnięte były bluszczem. Latem rosły w puszczy ogromne paprocie i rzadkie gatunki leśnych kwiatów. Pomiedzy gałęziami drzew można było dostrzec czasem zaczajonego rysia poszukującego pożywienia.

Niegdyś czczono tutaj bóstwa Pośwista i Pogody. Potem na miejscu pogańskiej kontyny na Łysej Górze wzniesiono klasztor i tu, gdzie według legend odbywały się sabaty czarownic, od setek lat rozlegał się dźwięk kościelnych dzwonów. Była to cudowna kraina, pełna śladów pradawnej historii. Na pokrytych lasem wzgórzach wznosiły się ruiny potężnych zamków rycerskich, stały pałace magnatów i dwory szlacheckie. W jesienne i zimowe wieczory opowiadano sobie w domach o strasznych

najazdach tatarskich pustoszących cały kraj. Niedaleko, bo w Chmielniku, w 1241 roku, miała miejsce wielka i krwawa bitwa z Tatarami, w której poległ kwiat rycerstwa polskiego. Zresztą cała ta ziemia usiana była grobami nieznanymi poległych wojowników. Według innej legendy w puszczy miał się ukazywać tajemniczy jelen, niosący między rogami szczątek Krzyża Świętego. Spotkanie z nim nie wróżyło nic dobrego. Na tej pięknej ziemi mieli swoje gniazda rodzinne najwięksi i najsławniejsi rycerze polscy, tak zwani przedchorągiewni, biorący udział w bitwie pod Grunwaldem.

Nina, wygodnie usadowiona w szerokim damskim siodle, prowadziła ostrożnie klaczkę, uważając, aby nie wpała nogą w jakiś otwór pozostały po odwiecznej kopalni, skąd wydobywano bogactwa tych ziem: żelazo, miedź, marmur, piaskowiec i margiel. Nad głowami jeźdźców piętrzyły się porośnięte mchem nawisy skalne, a w wąwozach błękitniały jeziora i szumiały bystre górskie potoki. Nina przypomniała sobie, że ubiegłej jesieni była z Alekssem na Łysej Polanie, lecz wówczas jechali wygodniejszą drogą, tą od strony Świętej Katarzyny.

Minęło kilka godzin męczącej jazdy, lecz nic nie wskazywało na bliskość obozu.

– Jasiu, kiedy będziemy na miejscu? – spytała, czując już zmęczenie.

Wstrzymał wierzchowca i posłał jej przekorne spojrzenie.

– Przypominam, że odradzałem ci tę wycieczkę. Teraz nie narzekaj – mruknął zrzędlawie, ale zaraz pochylił się ku niej z troską. – Może zrobimy postój? Oj, czuję, że wódz zmyje mi głowę, i słusznie. Nic cię nie boli?

– Ależ nic mi nie jest, tylko jestem głodna – zapewniła go.

– To dobry znak. Ja też jestem głodny.

– A czy kiedykolwiek nie jesteś? – spytała uprzejmie i jednocześnie się roześmiali.

– Widzę, że humor ci dopisuje – skwitował jej złośliwą uwagę. – W obozie zaraz się napijesz gorącej herbaty i coś zjesz. Widzisz przed sobą tę skalną iglicę? – Podniósł ramię i wskazał wysoką, wąską skałę. – Jeszcze pół wiorsty i będziemy w obozie. Aleks dobrze wybrał to miejsce. Jest prawie niedostępne i jeszcze nigdy nie widziałem tak wspaniałych terenów łowieckich. Codziennie mamy możliwość upolowania sarny, dzika czy jelenia. Dzięki temu chłopcy mają stale świeże mięso.

Jechali jednak jeszcze dosyć długo, bo droga była kręta i często wznosiła się stromo pomiędzy głazami. Ninę rozboleły ramiona od powstrzymywania klaczy. Mignon, wypoczęta po kilkudniowym postoju, była psotna i nieposłuszna. Udając przestach, robiła nagły skok i rzucała głową, sprawdzając czujność swej pani, lecz kierowana pewnymi rękami lub upomniana lekkim klapssem, pokorniała i poddawała się woli amazonki. Jaś doświadczonym okiem myśliwego dostrzegał ślady drobnej zwierzyny: kun, popielic, lisów i orzesznic. W gąszczu gałęzi drzew świergotały już po wiosennemu ptaki, płosząc się, gdy po niebie przemknął cień drapieżnika.

Przejechali świerkowy zagajnik i małą polankę. Nagle zupełnie niespodziewanie rozległ się ostry głos niewidzialnego wartownika:

– Stój! Kto idzie?

Jaś się roześmiał i uniósł dłoń w geście pozdrowienia.

– Cóż to, Franuś, oślepieś? Już zapomniałeś, kto ci czyraki na zadku wycinał?

– O laboga! To przecie pan dochtór! A ta pani to kto?

Spoza potężnego pnia lipy wyszedł młody chłopak w niebieskiej konfederatce na długich jasnych włosach. Trzymał przedpotopową flintę myśliwską. Przystanąwszy, ciekawie przypatrywał się Ninie.

– Ta dama jest żoną naczelnika – wyjaśnił Jaś, ruszając z miejsca.

Zauważywszy wpatrzone w nią oczy chłopaka, Nina prędko poprawiła się na siodle, przybierając swobodną postawę. Miała na sobie elegancką czarną amazonkę, przybraną futrem srebrnego lista. Szeroka spódnica z trenem i luźny zakieciak doskonale maskowały jej stan. Futrzany toczek, z fantazją nasunięty na oko, podkreślał jej nieskazitelną cerę i bogactwo włosów. Nina świetnie zdawała sobie sprawę, że ona i klacz wyglądały zachwycająco.

Ruszyła wolno za Jasiem, rozglądając się z zainteresowaniem. Obóz był prawie gotowy. Na środku polany stały obszerne drewniane szałas, a dokoła pełno było ścinków drewna i wiórów. Za obozem rosły czarne olsze, wyznaczając granice twardego gruntu. Dalej już ciągnęły się bezdenne bagna, a spod kozucha roślin przeświecała czarna woda. Nocami świeciły tutaj gazy, wzbudzając strach przesądnej ludności. Szalas dowódcy stał przy końcu polany, pod skałą chroniącą go od wiatrów.

Nina klepnęła zagapioną Mignon i zrównawszy się z Jasiem, jechała środkiem polany, a za nią podążały zdumione oczy powstańców. Wielu jej nie znało i teraz przypatrywali się olśnieni smukłej wytwornej damie,

dosiadającej z gracją karej klaczy arabskiej. Mignon również lubiła się pokazać i szła w lansadach, prezentując się w całej okazałości. Tętent koni wywabił z pobliskiego szałasu rozczochranego mężczyznę. Stał w drzwiach i przyglądając czuprynę, patrzył na jeźdźców.

– Oho, Tadeusz – mruknęła pod nosem Nina. – Założę się, że zaraz narobi wrzasku.

Siekielski postąpił kilka kroków i obserwował ją z osłupieniem.

– Jasiek! – ryknął, ściągając brwi z widoczną złością. – Do jasnej cholery, rozum ci odjęło? Jak mogłeś zabrać ją z sobą? Mam ochotę wybić ci dwa przednie zęby!

Nina przyjrzała mu się z niesmakiem.

– Okropnie schamiałeś, Tadziu. Zamiast grozić Jasiowi pobiciem i brzydko kląć, bądź tak miły i pomóż mi zejść z konia, a potem przywitaj się ze mną.

Tadeusz, głośno zrzędząc, ujął ją pod boki i delikatnie postawił na ziemi. Pocałował ją w policzek i w rękę, następnie obejrzał troskliwie, czy jest cała i zdrowa.

– Nie rozumiem, jak można było tę biedną dziewczynę wlec taki kawał drogi. Konował, nie lekarz! – gderał. – A ty, Nino, nie powinnaś w tym stanie jeździć konno.

– Po pierwsze, nie wypada panom tego stanu zauważać! – stwierdziła z irytacją. – A po drugie, przyjechałam, żeby złożyć mężowi życzenia imieninowe. Złociutki, błagam, przestań trzeszczeć, bo chcę mu zrobić niespodziankę.

– To wódz ma dzisiaj święto? – zdziwił się Tadeusz. – O, do diabła! W takim razie wypada urządzić mu małą uroczystość.

– Nie teraz! – ucięła. – Chcę osobiście złożyć mu życzenia, bez asysty. Jest sam?

– Jasne! – Siekielski domyślnie zmrużył jedno oko. – Daję ci godzinę, nie dłużej. Wiesz, Jasiek, ona jeszcze bardziej wyładniała – mruknął, oglądając ją uważnie i ze zdumieniem potrząsając głową.

Wziął cugle Mignon i pociągnął klaczkę za sobą. Jaś poszedł za nim, by rozładować pakunki i napoić spragnione konie.

Nina uchyliła drzwi szałasu i na palcach weszła do środka. Było tam ciemnawo, gdyż szałas nie miał okien. W powietrzu unosił się zapach świeżo heblowanego drewna i gałązek świerkowych rozrzuconych na

ziemi. Całe umeblowanie składało się ze stołu i ławy, zbitych z desek. Pod ścianą stało prowizoryczne posłanie. Przyklejona do deski stołu świeczka skwierczała mocno, rzucając wąski, migotliwy krąg światła. Aleks siedział odwrócony do drzwi plecami. Pochylny pisał coś, co chwilę przerywając i niecierpliwym ruchem strzepując ze stalówki atrament. Blask świecy padał na jego schyloną głowę i złocący się rozdział włosów. Szerokie ramiona miał okryte płaszczem, bo w szalasi zimno było jak w lodowni. Nina stała bez ruchu, wpatrując się w niego przez zasłonę z łoż. Pióro znowu zgrzytnęło przeraźliwie po papierze, Aleks zaklął i strzepnął je ponownie.

– Aleczku... – wyszeptała drżącymi ustami.

Wolno odwrócił głowę i wstał z ławy.

– Kto tam? – spytał, usiłując dostrzec coś w półmroku.

– Kochany! – powtórzyła śmiejąc. – Nie gniewaj się, że przyjechałam...

– Nina? – odezwał się z niewiarą. – Nina! – Skoczył ku niej i porwał ją na rękę. – Jesteś... – wyszeptał, jakby jeszcze nie dowierzał swemu szczęściu.

Zjawiła się tak niespodzianie, jak spełnienie jego tęsknoty. Kiedy jej ramiona objęły go mocno, zapomniał o całym świecie. Walka, głód, niewygody stały się czymś mało ważnym, bo jej obecność zmieniała ponurą rzeczywistość w czarowną baśń. W uniesieniu całował jej usta i białą szyję wyłaniającą się z futrzanego kołnierza. Pokrywał pocałunkami jej suknię i przypadał ustami do delikatnych dłoni. Półprzytomna ze szczęścia oddawała mu pocałunki, gładząc szorstkie od zarostu policzki i jedwabiste włosy męża.

– Przyszłaś... przyszłaś do mnie! – powtarzał, ogarniając ją całą miłosnym spojrzeniem. – Kochanie moje, mój słodki promyczku!

Kiedy zdecydował się wypuścić ją z ramion i postawić na ziemi, sięgnęła po pakunek położony na ławie i szczelnie zawinięty w wilgotne płótno. Odwinęła je i podała mu bukiet purpurowych róż z zimowego ogrodu. Ciemny szalasi wypełnił się upajającą wonią kwiatów.

– Pewnie zapomniałeś, że dzisiaj są twoje imieniny – powiedziała z uśmiechem. – Przyjechałam, by złożyć ci życzenia. O mój ukochany, niechaj Bóg miłosierny i Przeczysta Maryja zachowają cię w zdrowiu, dla mnie i naszego dziecka. Modlę się, żeby Pan Jezus powrócił mi ciebie i chronił od kul i szabel. Niczego więcej nie pragnę.

Wziął od niej kwiaty i wachał je, przymykając powieki.

– Pamiętałaś o mnie? Jak te róże cudownie pachną! Jeszcze nigdy nie spotkała mnie tak miła niespodzianka! Pokaż się. Ślicznie wyglądasz w tej amazonce.

Zaczął ją znowu całować, a potem popatrzył na nią z wyrzutem, kłócącym się z zachwytem na jego twarzy.

– Rozumuję jak egoista. Nie powinnaś była dla mnie narażać zdrowia – rzekł, tuląc ją do siebie. – Przecież to już szósty miesiąc! Jeszcze tylko kilkanaście tygodni i zostanę ojcem. Aż trudno mi w to uwierzyć.

– Mnie również. Przywiozłam ci trochę żywności, koce i co tam w domu było dobrego. A gdzie twoja wilczura? Płaszczem się okrywasz? Przecież musi być ci zimno.

– Wilczura? – Odruchowo poprawił spadający mu z ramion płaszcz. – Wiesz, przyszedł do nas taki młody chłopak, miał na sobie łachmany, bo uciekł od gospodarza. Dałem mu wilczurę, ja mam przecież płaszcz.

Wzruszona pogładziła jego policzek. Zawsze był hojny i bezinteresowny. Posadził ją na posłaniu i przykrył kocem nogi.

– Dobrze się czujesz? Musisz być bardzo zmęczona. Obawiam się, żeby ta droga ci nie zaszkodziła. – Pochylił się nad nią, a jego zarost złocił się w świetle świecy.

– Nie jestem zmęczona, lecz głodna i chce mi się pić. Prosiłabym o gorącą herbatę. Albo nie, nie odchodź jeszcze. – Pochwyciła go za rękę i przyciągnęła do siebie.

Zdjął jej z głowy futrzany toczek i gładził włosy, zwinięte w ogromny węzeł. Lśniły jak świeże kasztany zerwane jesienią z drzewa. Pod wpływem pieśczoły mrużyła oczy, wydając cichy pomruk. Dotknęła dłonią jego chłodnej twarzy. Obrysowała palcem kształt jego ust. Pochylił się nad nią w porywie namiętności.

– Aleczku... – szepnęła między jednym pocałunkiem a drugim. – Pozwól mi dziś zostać z tobą.

– Oczywiście. Ja bym się nawet nie zgodził, żebyś dzisiaj ponownie odbyła tak długą podróż. Tylko obawiam się, że może ci być tutaj niewygodnie. Jutro rano odprowadzę cię kawałek.

Uszczęśliwiona, zaczęła mu opowiadać o wszystkim, co się wydarzyło w domu. Nie wspomniała tylko o swojej tęsknocie i niepokoju. Ale on intuicyjnie odgadywał jej myśli z kurczowego uścisku ręki w momentach

milczenia. Kiedy powiedziała mu o planowanym ślubie Jasia, Aleks nie był tym zachwycony.

– Nie wiem, czy to mądrze żenić się w tych czasach – powiedział, okrywając żonę ciągle spadającym kocem. – My jesteśmy jak te ptaki przelotne. Dziś tu, jutro tam. Po co zakładać rodzinę i obarczać kochaną kobietę męką oczekiwania w niepewności?

– A przecież ty także spodziewałeś się powstania, lecz mimo to postanowiłeś się ożenić.

– Nino, nikt z nas nie mógł przewidzieć, czy i kiedy dojdzie do wybuchu zbrojnego. Ja niczego nie żałuję, bo gdybym zwlekał, nie zostałbym ojcem. Widzisz... – Urwał i zagryzł wargę. – Jakbym... to zawsze pozostanie ci to dziecko.

Przeszył ją potworny lęk. Pochwyciła go za kłapy kołnierza płaszcza i potrząsnęła z siłą zdumiewającą u tak kruchej, delikatnej kobiety.

– Zabraniam ci! – krzyknęła rozzwierającym głosem. – Nigdy tak do mnie nie mów, słyszysz? Nigdy!

Wstrząśnięty straszonym wyrazem malującym się na jej pobladłej twarzy, zaczął ją przeproszać, przeklinając swoją głupotę.

– Co za dureń ze mnie! Jedyne moje, nie płacz. Błagam, uspokój się. Ja wcale tak nie myślałem i zrobiłem z siebie sentymentalnego idiotę. Nino, przepraszam. Słonko, ja nie mogę patrzeć na twoje łzy! Będę żył sto lat i doczekam prawnuków! Obiecuję!

Leżała na jego płaszczu, zanosząc się płaczem. Aleks miał ochotę rozedrzeć się na drobne kawałeczki. Uniósł jej głowę i wycierał mokre od łez policzki własną przybrudzoną chusteczką. Zauważywszy, że Nina powoli się uspokaja, podszedł do drzwi i otworzył je szeroko. Złota smuga promieni słonecznych rozjaśniła mroczne wnętrza szalasu.

– Zaraz będzie gorąca herbata, a wieczorem porozmawiamy o Jasiu. Hej, jest tam który?! – zawołał donośnie. – Jasiu, gdzie się podziewasz?

Jakby oczekując na ten znak, z sąsiedniego szalasu wyszła istna procesja z Jasiem na czele – Siekielski, Barycz, Biecki i kilku innych, nieznanym Ninie oficerów.

– Wodzu! – przemówił Jaś z uśmiechem. – Nina przywiozła z domu pyszności i zamierzamy wyprawić ci ucztę imieninową. Mam nadzieję, że nie dostanę po uszach za to, że zabrałem ją z sobą. Ona się uparła, a jest nieustępliwa jak młoda oślica!

– Dostaniesz ode mnie medal, że ją przywiozłeś – uspokoił go Aleks. – Nino, pozwól, moi panowie oficerowie!

Nina, przywoławszy uśmiech na usta, witała powstańców, przekazując znajomym pozdrowienia od rodzin. Całowali jej dłonie i prawili komplementy, podziwiając urodę młodej hrabiny. Dwóch żołnierzy przytaszczyło kosze z jedzeniem. W domu całą noc przygotowywano różne gatunki mięs, wędliny i bigos myśliwski. Był nawet tort z inicjałami solenizanta. Oficerowie rozpromienili się na widok skrzynki węgierskiego tokaju. Pełniąc z wdziękiem honory pani domu, Nina postawiła przywieziony z Makowa sześcioramienny świecznik, zapaliła białe świece i ustroiła skromne nakrycie bukietem róż. W blasku świec nawet ten ponury szalas wyglądał nieco przytulniej.

Aleks rozlał wino do kubków. Wzniesiono toast na cześć solenizanta, życząc mu generalskiej rangi, a sobie zwycięstwa i szczęśliwego powrotu do domów. Cały szalas trząsł się w posadach przy hucznym *Sto lat*. Drzwi otwierały się bez przerwy i wchodzili nowi goście, pragnąc złożyć dowódcy życzenia i zobaczyć jego młodą żonę. Nina była nieco zażenowana tym wyłącznie męskim towarzystwem, a powstańcom wydawała się ona jakimś cudownym zjawiskiem, darem losu w twardym, brutalnym żołnierskim bytowaniu. Co chwilę wstawali z ław i ryczeli na jej cześć, jeszcze głośniejsze niż Aleksowi.

Przy ogniskach świętowali żołnierze. W kociołkach bulgotała grochówka na wędzonce, na roznach smażyły się kiełbasy, których woń przywabiła wszystkie obozowe psy. Było wesoło, lecz nie hałaśliwie, bo dowódca oprócz szacunku i uwielbienia potrafił budzić lęk. Miał ciężką rękę i chłopcy bali się go jak ognia, wiedząc, że nie pobłazał najmniejszemu przewinieniu. Zawsze powtarzał, że błędy dowódcy zemszczą się na jego żołnierzach. Wszyscy jednak bawili się beztrudnie, jakby nie ciążył nad nimi cień szubienicy. Któryś z młodszych oficerów przyniósł gitarę i zaraz popłynęły powstańcze piosenki: *Dalej, bracia, do bułata* czy *Jak wspaniała nasza postać, kiedy w słońcu błyszczą stal* i te tkliwe, melancholijne: *Bywaj, dziewczę, zdrowe, ojczyzna mnie woła* oraz inne, mniej znane. Aleks ruchem ręki przerwał śpiewy i powiadomił kolegów o bliskim ślubie Jasia. Oficerowie rzucili się, by uściskać przyszłego pana młodego i wznieść toast na cześć młodej pary. Dopiero koło północy goście rozeszli się do swoich szalasów.

Nina, stojąc na progu u boku męża, przypatrywała się, wzruszona, powstańczemu obozowi. Noc była pogodna, choć jeszcze mroźna. Na ciemne niebo wyroiły się migoczące gwiazdy. Krwawe łuny palących się ognisk rzucały purpurowe odblaski na bloki skalne, a dymy, zdmuchnięte przez lekki powiew wiatru, wznosiły się i rozpląwały w powietrzu. Nie sklecono jeszcze wszystkich szałasów i część powstańców spoczywała przy ogniskach, na grubych derkach i wiązkach słomy. Byli to ludzie w różnym wieku: od pucułowatego wyrostka do starych, żyłastych, zahartowanych w bojach żołnierzy. Jedni przyszedli od Langiewicza, inni od Kurowskiego spod Kielc, a byli i tacy, co dowiedziawszy się o wybuchu powstania, porzucili urzędy, szkoły, warsztaty rzemieślnicze lub zdezerterowali z armii carskiej. Niektórzy już spali, inni kręcili się, majstrując coś przy przyodziewku, paląc fajki albo pożywiając się chlebem ze smalcem i z kiełbasą.

W pobliżu szałasu dowódca siedział młody chłop i wsparłszy się plecami o skałę, szeptem odmawiał różaniec, bijąc się w piersi spracowaną dłonią. Pośrodku polany stało kilka wozów taborowych i pały się sianem konie przywiązane do długich palików. Zewsząd rozlegały się głębokie męskie śmiechy lub soczyste przekleństwa. Na czarnym tle bagien ukazywały się czasem błękitnawe ogniki i zaraz gasły. Jakiś młody chłopak przysiadł na pniu zwalonego drzewa i przygrywając na ustnej harmonijce, wyśpiewywał wesołą piosenkę:

*Kto powiedział, że Moskale są dziś braćmi nas, Lechitów
Temu pierwszy w łeb wypalę przy kościele Karmelitów.*

Kątem oka śpiewak dostrzegł stojącego na progu szałasu dowódcę i momentalnie zamilkł. Zapadła grobowa cisza, a żołnierze błyskawicznie ułożyli się do snu. Tylko duży czarny kundel przeciągał się w ciepłe ogniska i szeroko ziewał. Zaszumiał wiatr i czuby drzew zakołysały się sennie. Od strony bagien przelatywały nad ogniskami nocne ptaki, krzycząc przeraźliwie. Przytulona do boku męża Nina całą duszą chłoneła ten malowniczy i zarazem groźny obraz. Światła ognisk migotały na stalowych ostrzach kos ustawionych w snopy lub złociły świeże wióry leżące na zdeptanej murawie.

Było jej w tym momencie ogromnie dobrze, ale zarazem dziwnie smutno.
– Mój Boże... – westchnęła. – Tak bym chciała zostać tu z tobą.

– Nie byłbym ciebie godzien, zgadzając się na to – odpowiedział równie cicho. – Nie zawsze jest tak sielankowo. W zwykły dzień o tej porze chłopcy już śpią po capstrzyku. Tylko dziś zrobiłem wyjątek. To, na co patrzysz, wydaje ci się bardzo romantyczne, lecz to tylko złudzenie. Życie obozowe ma swoje ciemne strony. Często bywa brutalne i trudne do zniesienia. Zżera nas tęsknota za domem i rodziną, prymitywne warunki życia wielu zniechęcają. Zdarza się, że niektórzy porzucają obóz i wracają do domów. Nawet zdrowych i silnych mężczyzn często opanowuje agresja, a wtedy dochodzi do bójek, nawet zabójstw.

– Ja bym od ciebie nigdy nie uciekła – szepnęła, podnosząc na niego oczy przepełnione miłością.

Poczuła na policzku jego gorące usta.

– Ty zawsze jesteś przy mnie. Chodźmy, promyczku, bo się przeziębisz. Nie zdejmuj na noc sukni, bo w szalasie wieje z każdego kąta. Dobrze, że wiosna nadchodzi, bo zimą trudno byłoby tu wytrzymać. Połóż się, bo ja idę na obchód.

– Nie mogę ci towarzyszyć?

– Nie. Życie obozowe nie nadaje się dla oczu dam. Żołnierze czuliby się skrępowani, a tobie byłoby wstyd.

– To pošlij kogoś innego.

– Kochanie, to ja odpowiadam za moich żołnierzy i osobiście muszę wszystko sprawdzić. – Narzucił na ramiona płaszcz i posławszy jej dłonią całusa, wyszedł.

Nina rozejrzała się po ubogim gospodarstwie męża. Z pakunków wyjęła ciepłe koce oraz skórę niedźwiedzia, leżącą poprzecznie przed jego łóżkiem. Szukała kożucha baraniego, ale nie mogła go znaleźć. Z ciężkim westchnieniem zabrała się do ścielenia pościeli, kładąc na spód futro. Była bardzo wyczerpana uciążliwą drogą i ostrym górskim powietrzem. Położyła się, naciągając na siebie pledy. Cofnęła się pod samą ścianę, robiąc miejsce dla męża. Prawie natychmiast zapadła w sen.

Z początku nie mogła się zorientować, co ją obudziło. Świece przygasły, a воск spłynął na stół. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Zamiast barwnych fresków i jedwabnych zasłon widziała nad sobą deski poutykane mchem. Zapach wilgoci i potu końskiego, którym przesiąknięte były derki na

posłaniu, drażnił jej nozdrza. Po szalasię krzątał się Aleks, chodząc na palcach, żeby jej nie zbudzić. Zdmuchnął świece, pozostawiając tylko jedną, i zmyłony jej bezruchem, usiadł na ławie, wsparł się o ścianę i naciągnawszy na siebie szczelną płaszcz, zabierał się do spania. Nina kichnęła, pociągnęła noskiem i usiadła na twardym, niewygodnym posłaniu, wyciągając do niego rękę.

– Alku!

Otworzył oczy, wstał i podszedł do niej.

– Przepraszam. Chyba cię obudziłem. Tak smacznie spałaś – szepnął, pochylając się nad nią.

– Bo zasnęłam, ale już nie jestem śpiąca. Połóż się przy mnie.

Odpiął ciężką kawaleryjską szablę i położył ją na stole, czule głaszcząc rękojeść.

– Tęsknisz? – spytała.

Nie odpowiedział ani nie zapytał, co miała na myśli. Nina wiedziała, że połowa jego serca krwawiła, kiedy był zmuszony podnieść rękę i walczyć przeciwko braciom Rosjanom, synom jego pierwszej ojczyzny. Kiedy położył się przy żonie, troskliwie otuliła go pledami.

– Mój Jezu, tak tu marzniecie, a w domu jeszcze tyle dywanów i futer. Gdy tylko wrócę, zaraz przyślę ci łóżko polowe z pościelą, meble i dywany. Każ sobie obić ściany, żeby ci nie wiało. Dlaczego się śmiejesz? – spytała z urazą, zauważywszy w półmroku błysk jego białych zębów.

– Skarbie, prędzej czy później Rosjanie dowiedzą się o naszej kryjówce i trzeba będzie się stąd wynosić. Nie zamierzam obdarowywać ich moimi dywanami. Jeszcze czego! Poza tym, widzisz, moi chłopcy nie śpią na łóżkach polowych z pościelą. Promyczku, sam dobrowolnie wybrałem taki los. No, nie myśl już o tym.

Trzymał ją mocno w ramionach. Na policzku czuła ciepło jego oddechu.

– Ach, mam ci tyle do powiedzenia – ożywiła się. – Binia urodziła drugiego syna i dali mu na imię Aleksander Mieczysław. Żeby to u mnie było już po wszystkim – stęknęła.

– Już niedługo, skarbie – pocieszył ją, pomimo że sama myśl o zbliżającym się porodzie budziła w nim paniczny strach. Bał się tego jak samej śmierci.

Uspokojona jego niefrasobliwym tonem Nina poweselała. W ramionach męża było jej ciepło i bezpiecznie. Pocałowała go w nieogolony policzek.

– Ale najważniejszą nowinę pozostawiłam na koniec – rzekła tajemniczo.
– Pani wojewodzina da ci pieniądze na zakup broni!

– Naprawdę? – Ucieszony, podniósł się na łóżku. – Kochana starowinka, muszę jej osobiście podziękować.

– A kto pojedzie po tę broń? – spytała niby od niechcienia, zamierzając przejść do meritum sprawy, czyli swojego wyjazdu do Krakowa.

– Chyba pošlę Jasia, bo Tadeusz ciągle gorączkuje, a rana kiepsko się goi – odrzekł po chwili namysłu.

– Przecież Janek się żeni – przypomniała.

– To ożeni się po powrocie z Galicji – zdecydował.

Stłumiła ziewnięcie. Było już bardzo późno, może trzecia nad ranem. Księżyc wisiał nisko, a jego promienie nieśmiało zaglądały do szalasu przez nieszczelne poszycie dachu.

– Jest inne rozwiązanie – rzekła powoli. – Kiedyś życzyłeś sobie, żebym jeszcze przed porodem wybrała się do Warszawy.

Na jego szyi wyczuła przyspieszony puls. Wolno zwrócił ku niej głowę i jakby skurczył się cały.

– Nino, ty się źle czujesz? – wyszeptał.

Twarz miał trupio bladą, przeżywając gwałtowny przyпіływ lęku i miłości. Wydało się mu, że jakaś lodowata ręka zacisnęła się na jego sercu.

– Nie w tym rzecz! – Zaśmiała się swobodnie, ujmując jego głowę w obie dłonie i całując go w koniec nosa. – Nic mi nie dolega. Ale jak dobrze wiesz, trochę boję się porodu. Jaś wspominał, że w Krakowie jest znakomity specjalista chorób kobiecych, więc pomyślałam sobie, że może byłoby warto zasięgnąć jego porady. Jednocześnie mogłabym rozpytać się o zakup broni i ewentualny transport przez granicę. To mi przecież niczym nie grozi.

Aleks był tak zdumiony jej propozycją, że zaniemówił. Nina zląkła się, że mąż jej zabroni i postara się wybić jej ten pomysł z głowy.

– Chciałabyś to dla mnie zrobić? – szepnęła ogromnie wzruszony.

– Oczywiście. Musisz tylko polecić mi osoby, do których będę mogła zwrócić się w tej sprawie.

– Kochanie, jesteś taka dobra! – Zaledwie zdołał zapanować nad sobą, żeby nie upaść na kolana i nie całować jej stóp. – Ale jak ty, moje biedactwo, zniesiesz taką długą podróż? – Wpatrywał się w nią z troską.

– Och, nie martw się. Pojadę z paradą, całym dworem, jako wielka dama. Wezmę karetę, a do towarzystwa nianię i Mirunię. Prócz Stacha pojedzie Maciek i Tomek. Ale jest problem... Nie posiadamy dokumentów!

– Tym się nie kłopotuj. – Machnął ręką. – Wkrótce otrzymasz wszystkie potrzebne paszporty i przepustki. – Mocno zacisnął rozdygotane dłonie, chowając je pod plec. – Moja cudowna słodka dziewczyno, a ja nie mogę ci towarzyszyć! – wybuchnął z rozpaczą. – Mam wyrzuty sumienia, bo ty narażasz się dla mnie, a ja opuściłem cię wtedy, kiedy najbardziej mnie potrzebowałaś.

– Już się z tym pogodziłam – skłamała gładko. – Przecież wiem, że mnie kochasz.

– Zawsze cię kochałem i pragnąłem bardziej niż samego życia. Lecz ciągle mam świadomość, że cię krzywdzę.

– Więc zgadzasz się na mój wyjazd? – odgarnęła mu włosy z czoła i ucałowała.

– Tak, przynajmniej o ciebie będę już spokojny.

Miał cichą nadzieję, że zdoła ją namówić, aby pozostała w Galicji aż do czasu zakończenia walki. Działania wojenne przeniosły się dalej w kierunku zachodnim, więc może lepiej, żeby Nina odbyła tę podróż w tym czasie. Wiosną, gdy ruszy ofensywa, wojaż do Krakowa mógłby się okazać niemożliwy. Nie miał złudzeń i jasno zdawał sobie sprawę, że powstanie upadnie, a wtedy zaczną się dziać rzeczy straszliwe. Za wszelką cenę pragnął zaoszczędzić żonie tych okropności. W Krakowie znajdzie tak potrzebny jej spokój i fachową opiekę lekarską. Jeżeli uda się jej szczęśliwie urodzić dziecko, namówi ją, by wyjechała do Francji. Zmusi ją do tego! Na myśl o czekającym ją porodzie poczuł paraliżujący strach. Wyobraził sobie jej cierpienia, kiedy będzie daleko od niego, i ogarnęła go rozpacz tak okropna, iż gotów był odebrać sobie życie, gdyby Ninie przytrafiło się coś złego. Ale nie mógł okazać jej swojego niepokoju. Ona nie powinna się domyślić, że zagraża jej niebezpieczeństwo, bo ta świadomość mogłaby ją zabić.

– Cieszę się, że pozwoliłeś mi jechać, ale ja nie znam Krakowa i nie wiem, gdzie powinnam się zatrzymać.

– To bagatela. Zamieszkaż u państwa Piotrowskich. To pewni ludzie i mają własny dom za Wawelem, na przedmieściu. Będzie ci u nich dobrze.

– A dlaczego nie mogę zamieszkać w hotelu?

– To niebezpieczne. W hotelach mieszczą się agentury obcych wywiadów. Pan Piotrowski załatwiał mi zawsze dostawy broni. Jemu oddasz pieniądze, a on już zajmie się resztą. Piotrowski jest doświadczonym konspiratorem i obmyśli jakiś sposób przerzucenia broni przez granicę. Można tego dokonać przy pomocy żydowskich handlarzy bronią, podejmujących się tego zadania za duże pieniądze.

Odetchnął na myśl, że niedługo jego oddział będzie uzbrojony i gotowy do walki. Świtała mu myśl, żeby połączyć się z pułkownikiem Czachowskim i skrzyknąwszy kilka innych partii, stworzyć siłę zdolną do podjęcia zadań zaczepnych wobec nieprzyjaciela. Miał już dosyć ciągłej defensywy. Czachowski nie cieszył się sympatią Langiewicza, zaś starego wiarusa drażniła okazywana przez generała zawiść i opieszałość przy podejmowaniu decyzji. Czachowski miał odwagę wytknąć generałowi jego błędy i tego Langiewicz nie mógł mu wybaczyć. Stary pułkownik miał charakter czysty jak kryształ, do powstania przystąpił z pobudek wyłącznie patriotycznych. Swoich żołnierzy trzymał żelazną ręką, bez litości rozstrzeliwując dezertorów i wieszając zdrajców. Chłopów winnych kumania się z wrogiem karał stryczkiem, a nieposłusznych własnoręcznie batożył. Twardy i bezkompromisowy, cieszył się u podwładnych szacunkiem i czcią. Czachowski nie bez podstaw podejrzewał Langiewicza o karierowiczostwo. Generał, długo przebywając za granicą, nie znał politycznych układów w kraju i łatwo mógł paść ofiarą spisku Białych, pragnących przechwycić ster rządów.

Aleks zamyślił się tak głęboko, że oprzytomniał dopiero, gdy Nina pociągnęła go za ucho.

– O, przepraszam, ale zastanawiałem się nad twoim wyjazdem. Odkryłaś się! – zawołał, otulając ją pledami. – Właściwie nie mam wyboru, bo znając twój charakter, wiem, że i tak postawiłabyś na swoim. Ale mimo to bardzo cię kocham.

– Chcesz dać mi do zrozumienia, że jestem uparta jak oślica? Pięknie! A myślisz, że miłość do ciebie to rajska sielanka?

Roześmiał się głośno i serdecznie.

– Chyba nie. Ale ty mnie kochasz takiego, jaki jestem, prawda? – powiedział, wodząc palcem po haftkach stanika jej sukni.

– Aha – mruknęła i opowiedziała mu o przygotowaniach do ślubu Jasia.

Widząc jej śmiejące się oczy, było mu przykro, że musi odmówić jej przyjemności.

– Słonko, nie będziesz zadowolona, ale ślub powinien być zupełnie cichy. Ktoś zadenuncjował, że pan Syrwin jest powstańcem i Ciężyny spłonęły. Potem był donos na księdza proboszcza, więc nie można wykluczyć, że w pobliżu znajduje się delator. Niechże więc ktoś się wygada o ślubie powstańca, a Moskale zgotują nam krwawe wesele.

Nina, cała pochłonięta planami podróży, łatwo zrezygnowała z hucznych zaślubin.

– Słusznie, nie pomyślałam o tym. To kiedy mam się umówić z księdzem proboszczem i wujostwem Borutyńskimi?

– Po co zwlekać? Chcą się pobrać, więc nie należy odkładać tego w nieskończoność. Bądźcie w Sarnikach w piątek, o czwartej nad ranem. A teraz już śpij, moje małeństwo, bo musisz wyjechać z obozu o świcie.

Przyciągnął ją mocniej do siebie, ogrzewając własnym ciałem. Wsunął rękę w jej włosy. Były chłodne i sypkie, a pod jego dotykiem spłynęły miękką falą z pośłania aż na ziemię.

Decyzja Aleksa sprawiła wszystkim paniom zawód. Były rozczarowane, że nie będzie uroczystego ślubu i hucznego wesela. Ciotka Maria narzekała, że zgromadzone na ten cel zapasy żywności ulegną zepsuciu. Nina zaproponowała, żeby Maciek całą żywność zawiózł do leśnego obozu, bo tam nic się nie zmarnuje. Jedna Emilka zachowała pogodę ducha.

– Niechże mamusia nie płacze – pocieszała przyszłą teściową. – Wesele to tylko forma, bez której możemy się obejść. Jestem szczęśliwa, że Pan Bóg pozwoli mi połączyć się z Januszem. Myślę o tych tysiącach polskich dziewcząt, które utraciły swoich ukochanych i nawet nie wiedzą, gdzie spoczywają ich zwłoki.

Emilka miała rację. Mnóstwo kobiet do końca życia zachowało żałobę, oplakując poległych...

Druga połowa lutego okazała się dla powstańców feralnym okresem. W bitwach poległo wielu żołnierzy. Poszły w rozsypkę partie dowodzone przez Neczaja i Bogdanowicza w Lubelskiem. Zaledwie ludzie zdolali otrząsnąć się z przygnębienia, jak grom z jasnego nieba spadła na nich spóźniona wiadomość o bitwie pod Małogoszczą. Tę straszną nowinę przywiózł do Makowa Jaś, przyjechawszy po ubranie ślubne, które matka przezornie zabrała z Warszawy. Był dobrze poinformowany i przedstawił ze szczegółami bitwę, jedną z najbardziej krwawych w dziejach powstania.

Langiewicz tak sprytnie wymykał się z zastawionych na niego pułapek, że idący jego śladem Czengiery po prostu go zgubił. Tymczasem generał wykonał śmiały manewr, omijając Kielce, i podążył ku Małogoszczy, łącząc się po drodze z dużą partią pułkownika Jeziorańskiego. Razem stanowili już małą armię, liczącą około dwóch tysięcy pięciuset powstańców: piechoty i kawalerii oraz kosynierów. Niestety, powstańcom zabrakło artylerii rozstrzygającej o losach bitew. Takiej ilości wojska nie dało się ukryć i na spotkanie Polaków wyruszyły trzy kolumny rosyjskie w sile dwóch tysięcy żołnierzy: dragonów, kozaków i piechoty, a także baterii armat. Siły przeciwników były więc mniej więcej równe. Poszczególnymi kolumnami rosyjskimi dowodzili pułkownicy Czengiery, Gołubow i Dobrowolski, Polak w służbie cara. Langiewicz był zbyt pewny siebie i jak zwykle zaniedbał obowiązku czujności. Rosjanie zaskoczyli powstańców w niesprzyjających warunkach. Rozgorzała bitwa trwająca pięć godzin. W zaciętych walkach obie strony ponosiły ciężkie straty w zabitych i rannych.

Jednakże Rosjanie posiadali lepsze uzbrojenie i potrafili tę przewagę wykorzystać.

Kawaleria polska w szaleńczych atakach szarżowała na nieprzyjaciela, osłaniając wycofujące się oddziały powstańcze. Była to szarża godna szwoleżerów spod Somosierry. Jazda polska okryła się pod Małogoszczą nieśmiertelną chwałą. Połowa jeźdźców i koni padła. Młody dowódca, rotmistrz Jaszowski, poległ śmiercią bohatera, osierocając młodziutką żonę. Ale ofiara ich krwi nie była daremna. Zdołali powstrzymać natarcie i ocalić wycofujących się powstańców. Po bohatersku walczyli także kosynierzy, atakujący nieprzyjaciela z furją. Pod morderczym ogniem dział i piechoty zaścielili pola poległymi i rannymi. Wielu dostało się do niewoli i użyźniło ziemię Sybiru swoimi ciałami.

Na drodze wycofujących się żołnierzy stanęła rzeczka Łośna, rwąca i głęboka. Armaty i salwy piechoty próbowały zamknąć tę drogę Polakom, zasypując rzeczkę huraganowym ogniem. Pułkownik Czachowski z największym trudem powstrzymywał nacierającą piechotę rosyjską. Nad głowami powstańców rwały się pociski, raniąc i zabijając. Oddziały zatrzymały się na brzegu rzeczki, patrząc z przerażeniem w jej spienione fale. Jeszcze chwila i ogień zaporowy zamknie tę ostatnią drogę ucieczki. Z tłumu ogarniętych paniką żołnierzy wysunęła się drobna postać. Młody powstaniec podniósł leżący na ziemi porzucony karabin i odważnie wszedł do rzeki. Macając karabinem głębokość wody, ostrożnie posuwał się naprzód, brnąc po szyję w lodowatych nurtach. Jego śladem rzucili się powstańcy i w ostatniej chwili przeszli Łośnę. Zaraz potem ogień armatni i karabinowy zamknął przejście, zasypując rzekę żelazem. W powstałym zamieszaniu mało kto zauważył, że tym odważnym żołnierzykiem była dziewczyna, panna Pustowójtówna.

Słuchającej z zapartym tchem Ninie przypomniały się jej czarne ogniste oczy i dziewczęcy uśmiech. Na jednym z wozów taborowych znaleziono straszliwie zmasakrowane ciało kobiety z kosą zaciśniętą w dłoni. Były to zwłoki panny Zofii Dobronoki, Rosjanki, córki komisarza policji z Warszawy. W partii Langiewicza pielęgnowała rannych i poległa śmiercią żołnierza, broniąc się do ostatniej chwili.

– Wyobrażam sobie, jakie konsekwencje poniesie jej ojciec – westchnęła Nina. – A co z Małogoszczą?

– Niemal całkowicie zniszczona – odrzekł Jaś. – Została zbombardowana z armat i spłonęła. Rosjanie, rozwścieczeni dużymi stratami i oporem powstańców, rzucili się na bezbronnych mieszkańców, mordując każdego, kto wpadł im w ręce. Kozacy gonili uciekające kobiety i w galopie przebijali je pikami. Cholerne dranie! – warknął, zapominając o dobrym wychowaniu.

– Boże, bądź miłościw duszom poległych bohaterów – szepnęła pani Salomea, splatając drżące dłonie.

– To wasza wina! – wybuchła Nina i z ogniem w oczach zwróciła się ku Jasiowi. – Przez wasz bezmyślny pomysł wzniesienia powstania giną niewinni ludzie, płoną miasta. Niech wasz rząd diabli porwą! – dokończyła z pasją.

– Nino! – Panna Lutówna popatrzyła na nią ze zgorzaniem.

– Twój mąż również jest powstańcem – stwierdziła z naciskiem Emilka.

Przez krótką chwilę Nina stała wyprostowana, z zaciśniętymi pięściami, mierząc ich wściekłym wzrokiem. Miała dziką ochotę wykrzyknąć im w twarz swój bezsilny gniew i równie bezsilną rozpacz. Jednak w porę zdołała się opanować i usiadła.

– Przepraszam, uniosłam się niepotrzebnie. Jasiu, opowiadaj. A jaki był los rannych?

Borutyński z ponurą miną potrząsnął głową. Myszkujący po bitwie kozacy dobijali rannych powstańców, obdzierając ich z odzieży i pozostawiając krukom na żer. Ci niezauważeni przez kozaków, konali długie godziny bez wody i nadziei na ratunek. Byli przecież tylko buntownikami wyjętymi spod prawa.

– Cóż, spełnili swój żołnierski obowiązek i ich los się rozstrzygnął. – Nina uśmiechnęła się z goryczą, tłumiąc chęć do płaczu. – Umierający nie byli już nikomu potrzebni. Mówi się, że słodko i zaszczytnie jest umierać za ojczyznę. Ale śmierć tych biedaków nie była ani słodka, ani zaszczytna. Była potworna! I niepotrzebna... – Głos się jej załamał i prędko zasłoniła dłonią usta, żeby nie wybuchnąć głośnym płaczem.

Emilka ujęła rękę Jasia i ścisnęła ją z całej siły. Pani Salomea i Mira siedziały w milczeniu, ze spuszczonej nisko głowami.

Bitwa pod Małogoszczą miała miejsce 23 lutego, ale wiadomość o niej dotarła w Świętokrzyskie z kilkudniowym opóźnieniem z powodu złego przepływu informacji. Ludzie zareagowali różnie – jedni przeklinali

Langiewiczza i życzyli mu kuli, inni wstępowali do tworzących się nowych oddziałów powstańczych, aby pomścić śmierć krewnych. U jednych i drugich determinacja była jednakowo silna. W kościołach odbywały się nocami żałobne nabożeństwa, a czarno ubrane kobiety leżały krzyżem przed ołtarzami, modląc się za poległych i żebrząc u Boga o zmiłowanie dla wziętych do niewoli.

Proboszcz w Sarnikach był zaziębiony i panie przez kilka dni jeździły na mszę do kościoła w Tarczku, pięknej romańskiej świątyni z XI wieku. Nina lubiła ten kościół i miejscowość. Podania mówiły, że odbyła się tu bitwa z Tatarami w 1241 roku. To wydarzenie upamiętniała mała kapliczka.

W niedzielę po mszy pani Salomea pokazała jej pewną starszą damę, której trzech synowie polegli pod Małogoszczą. Matka i synowa, będąca w zaawansowanej ciąży, co kilka godzin otrzymywały wiadomość o śmierci kolejnego syna. Ostatnią żałobną wieść przyjęła już tylko matka, bo żona najstarszego syna, dowiedziawszy się o śmierci męża, umarła przy porodzie, wydając na świat martwe dziecko. Nina z przerażeniem przypatrywała się tej polskiej Niobe, siedzącej w ławce z kamienną twarzą, podobną do oblicza umarłej. Tylko sine wargi kobiety poruszały się w bezgłośnej modlitwie. Po nabożeństwie wszystkie obecne w kościele panie składały nieszczęśliwej matce kondolencje. Ale Nina do niej nie podeszła. Nie mogła, bo czuła, że żadne słowa pociechy nie przejdą jej przez usta. Dla tej kobiety nie było już pociechy. Można było tylko modlić się o jej rychłą śmierć.

„Nie rozumiem, jak ona może jeszcze żyć po tym, co ją spotkało? – myślała. – Na jej miejscu inna kobieta straciłaby rozum lub odebrała sobie życie. A ona się modli! W jaki sposób zdołała zachować wiarę po tym, co ją spotkało? Matka Spartanka! O, nie daj Panie Boże zasłużyć sobie na tę nazwę”.

Emilka była tak przejęta strasznymi wydarzeniami, że postanowiła iść do ślubu w czarnej sukni. Zaledwie pani Salomea i Nina zdołały wyperswadować jej ten niemądry pomysł. Aleks udzielił przyszłemu nowożeńcowi kilkudniowego urlopu, a Nina, mając jeszcze w pamięci cudowne dni spędzone w leśniczówce, przygotowała gniazdko dla młodej pary na folwarku w Zameczku. Był tam wygodny dworek, stojący na skraju lasu. W przeddzień ślubu przewieziono z pałacu trochę mebli, dywany, a pokoje udekorowano kwiatami.

Obudzona w środku nocy Nina najchętniej skuliłaby się pod ciepłą kołdrą, ale stała nad nią Jaga, wzywając nieustępliwie do podniesienia się z łóżka. Zaraz jednak przypomniała sobie, że to dzień ślubu Jasia i na plebanii oczekuje ją mąż. Na tę okazję przygotowała piękną suknię z zielonego aksamitu, lamowaną sobolami. Toaletę uszyto na zamówienie w Paryżu, jeszcze jesienią. Kiedy Nina ją włożyła, okazało się, że suknia jest za ciasna. Ulisia pośpiesznie wypruwała zaszewki i zakładki, przesuwając haftki. Mimo to stanik był bardzo obcisły i nie można go było dopiąć. Nie było rady, należało włożyć gorset.

– Ja ci mówię, że ty się doigrasz z tą elegancją! – Jaga bez większego powodzenia próbowała przemówić jej do rozsądku. – Mężatka nie potrzebuje być modna. Złapałaś męża, to wystarczy.

– Nie sztuka złapać męża, trzeba go jeszcze przy sobie utrzymać. – Nina stęknęła boleśnie, bo ściągnięty gorsetem brzuch podszedł do góry i uciskał serce. Było jej duszno, a sama myśl o śniadaniu powodowała napływ śliny do ust.

– Powinnaś myśleć o dziecku – gderała niania półgłosem.

– Nic mu nie będzie! – odburknęła Nina ze złością i odwróciwszy się, szybko podniosła flakonik i powąchała sole.

W buduaru czekały już na nią panna młoda, pani Salomea i Mira, odświętnie wystrojone. Emilka wyglądała pięknie w białej sukni z grubej satyny i w koronkowym welonie. W ramionach trzymała bukiet białych róż. Była bardzo blada i miała przymknięte powieki, lecz wydawała się zupełnie spokojna. Za to pani Salomea nie odejmowała chusteczki od oczu. Całą noc spędziła, modląc się i prosząc Boga, ażeby jej dzieciom przyświecała jutrzienka swobody, a nie łuny pożarów.

– Późno już, musimy zaraz jechać. – Nina narzuciła futro na ramiona panny młodej. – O czwartej powinnyśmy już być w kościele. Emilko, masz pod spodem ciepłą bieliznę? Jest bardzo zimno.

– Tak. – Uśmiechnęła się z trudem. – Zaledwie mogę się poruszać.

– Już czas! – Nina niecierpliwie spojrzała na zegar. – Ciociu, Miruniu, jesteście gotowe? Jedziemy!

Pani Salomea rozejrzała się nieprzytomnie i zaczęła biegać po pokoju, szukając czegoś na stoliczkach i na dywanie.

– Czekać, dzieci! – zawołała, schylając się i zaglądając pod meble. – Boże, zapomniałam Emilce włożyć pod welon złoty dukat z Matką Boską

na szczęście. Ten dukat otrzymałam od swojej matki w dniu ślubu. Przekazujemy go sobie z pokolenia na pokolenie. Jezus, gdzie ja go położyłam? Kumosiu kochana, proszę przynieść szczyptę cukru i soli. No, gdzie ten dukat? Przecież go tutaj położyłam i nie ma! Co za roztargnienie. Biedna moja głowa! – Roztrzęsiona i spłakana miotała się po pokoju, przewracając drobne przedmioty i wpadając w panikę.

– Na miłość boską, niech już ciocia nie szuka! – fuknęła Nina. – Spóźnimy się do kościoła, a oni tam na nas czekają! W Sarnikach chłopcy wstają z kurami, zobaczą naszych i nieszczęście gotowe.

Nina o mało nie wyskoczyła ze skóry ze zdenerwowania. Znała punktualność Aleksa i już wyobrażała sobie, jakim przywita ją spojrzeniem.

– Mamusiu, proszę nie przywiązywać wagi do tego drobiazgu – powiedziała Emilka, naciągając kaptur na głowę. – I bez dukata będziemy z Januszem szczęśliwi, bo się kochamy i długo czekaliśmy na siebie. No, jedźmy już.

– Zaraz, córeńko! Jezus Maria, daruj mi, Emilciu, ale ja naprawdę nie wiem, gdzie się ten przeklęty dukat zapodział – lamentowała zrozpaczona pani Salomea, tracąc resztę opanowania.

Mira podała starszej pani kieliszek wina i pomogła jej się ubrać.

Przed pałacem czekała już karetka i zaledwie damy wsiadły, konie ruszyły. Noc była bardzo pogodna, lecz mroźna. Drzewa, całe w szadzi, wyglądały jak ilustracja z baśni. Śniegu było już mało, lecz na ziemi leżał szron. Z pysków pędzących koni buchały kłęby pary, a szczelnie zamknięte czarne pudło karety, mknącej przez zamarłe pola, miało wygląd złowieszczy i tajemniczy. W mijanych wsiach obudzone z nagłą psą zrywały się i ujadły. Pogrążone w myślach damy nie odzywały się do siebie. Nina była roztrzęsiona, bo nie tak wyobrażała sobie ślub Jasia. Rzuciła okiem na złoty zegareczek przypięty do paska sukni i zapukała w przednie okienko.

– Stachu, prędzej! Proszę popędzić konie – rozkazała.

Stangret trzasnął długim batem nad grzbietami koni i mruknął półgłosem do siedzącego obok Maćka:

– Ech, te baby! Najpierw grzebią się pół nocy, a potem każą mi pędzić konie. A juści, niech se koniska nogi połamią na śliskiej drodze. Baba to zawdy baba, nawet jaśnie pani hrabina.

Maciek ściągnął gęste jasne brwi i posłał mu złe spojrzenie.

– Niech jegomość tak nie gada! – warknął ostrzegawczym tonem. – Nasza paniulka nigdy się nie spóźnia! To ino te miejskie panie cosik szukały i bez to przyjedziemy ździebko później. Oj, pan naczelnik będzie zły, bo przykazywał przyjechać nocą, a tu niedługo świtać zacznie.

W Sarnikach kościół zdawał się ciemny i pusty, tylko okno plebanii rzucało prostokąt światła na pobieloną szronem trawę. Na szczęście wieś jeszcze spała. Kiedy karetę zatrzymała się przed gankiem, w drzwiach pojawił się proboszcz.

– No, nareszcie! – zawołał zrzędliwie. – Tylko patrzeć, jak chłopci się pobudzą! Nikt was nie powinien tu widzieć.

– Mój mąż przyjechał? – spytała Nina, wyskakując z karety i śpiesznie wchodząc do sieni.

– A pewnie! Siedzi tu od dawna i zgrzyta zębami. Spóźniłyście się o półtorej godziny!

– To tylko moja wina – powiedziała pani Salomea. – Zgubiłam gdzieś złoty dukat na szczęście i nie mogłam go odnaleźć.

– Nie wolno wierzyć w takie głupie zabobony! – rozgniewał się proboszcz. – Przez ten dukat, nie daj Panie Jezu, tutejsi chłopci mogą zobaczyć pana hrabiego, rzekomo przebywającego za granicą. Przykro mi to wyznać, ale stwierdzam, że w Sarnikach mieszkają źli ludzie.

Nie słuchając narzekań staruszka, Nina prędko weszła do saloniku. Aleks stał na środku pokoju w narzuconym na ramiona kożusku i rozmawiał z Tadeuszem. Ogolony i zaróżowiony, wydał się jej tak piękny, jak księżę z bajki. Pisnęła głośno i podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami. Chwycił ją pod pachy i podniósł jak kociaka.

– Witaj, promyczku – powiedział czule i pocałował ją mocno. Jego usta były twarde i gorące. Ostrożnie postawił ją na podłodze i pogłaskał jej gładki zimny policzek. – Za to spóźnienie powinnaś dostać klapsa. A teraz szybko do kościoła, bo nie mamy wiele czasu. Jasiek czeka w zakrystii. Kiedy się rozjaśni, nas już tu nie będzie.

Pochwycił ją za rękę i wyszli z plebanii. Jak zjawy przemknęli przez cmentarz. W kościele było prawie ciemno, tylko na głównym ołtarzu paliły się dwie świece. W przednich ławkach siedzieli najbliżsi sąsiedzi powiadomieni przez Ninę. Świadkami pana młodego byli Aleks i wuj Ksawery. Nina, ryzykując skręcenie nogi w kostce, wdrapała się po ciemku krzywymi schodkami na chór. Za nią szła Jadwiga Wąsocka i stanąwszy

przy organach, oświetliła klawiaturę świecą trzymaną w drżącej z emocji dłoni. Ciemne wnętrze świątyni wypełniła cicha muzyka. Stary organista kalikował energicznie, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

W drzwiach zakrystii ukazała się panna młoda prowadzona przez Aleksa, bo państwo Maciejewscy nie mogli przybyć na ślub córki. Pan młody szedł do ołtarza z matką. Tego dnia Jaś wyglądał wspaniale, w krótkim kolistym dolman³⁹ z białego aksamitu, podbitym futrem, i białej aksamitowej czamarze⁴⁰ ze szkarłatnymi pętlcami. Na głowie miał futrzany kołpak z brylantowym trzęsieniem⁴¹ i zatkniętym sokolim piórem. U boku zwisała na jedwabnych rapciach krzywa szabla w pochwie usianej drogimi kamieniami. Jego piękna młodzieńcza twarz jaśniała radością.

Ciche mruczenie organów towarzyszyło słowom księdza. Migotliwe światło świec wydobywało z mroku głowy młodej pary, klęczącej na stopniach ołtarza. W tych tajemniczych światłocieniach szczególnie uroczyście brzmiały słowa składanej przysięgi: „...i że cię nie opuszczę aż do śmierci”. A śmierć była tak blisko! Wystarczyłby oddział dragonów lub patrol kozacki, aby cały orszak weselny zawisnął na kozackich arkanach, na najbliższych drzewach, a w najlepszym razie poległ w rozpaczliwej walce. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę i proboszcz wyraźnie się śpieszył.

Ceremonia dobiegła końca. Z chóru rozległo się ciche *Veni creator*, potem Jadwiga jeszcze zaśpiewała: „Boże nasz, oto serc dwoje zdaje się na łaskę Twoją” i goście przeszli na plebanię, gdzie czekała gorąca przekąska. Do Niny podszedł Tadeusz i ucałował ją, wypytując o zdrowie. Jak zawsze zachowywał się wobec niej opiekuńczo i po przyjacielsku.

– Podobno wybierasz się do Krakowa. Czy to aby rozsądnie w twoim stanie? – Spojrzał na nią badawczo.

– Niewiele ryzykuję, a wam mogę się przydać. Cieszę się, Tadziu, że twoja rana już się goi, bo Trusia zamartwia się o ciebie. Widzę, że życie obozowe ci służy, bo wyglądasz bojowo.

– A ty, kotku, jesteś coraz to ładniejsza. Ach, gdzie ja miałem oczy! – Westchnął komicznie i znowu ją pocałował, tym razem w usta.

Za jego plecami stanął Jaś i z poważną miną poklepał go po ramieniu.

– No, no, kolego! Co to, zmiana warty? Nie przymilaj się do Niny i radzę ci, pilnuj Zosi – rzekł pół żartem, pół serio.

Tadeusz spojrział na niego i popukał się w czoło.

– Ożenił się i zaraz zgłupiał! Jasiek, zachowujesz się jak pies ogrodnika, co sam nie zje i drugiemu nie da. Nie wolno mi pocałować Niny po starej znajomości? Co w tym złego?

– Radzę ci, całuj Zosię, bo w przeciwnym razie możesz mieć niemiłą rozmowę z samym wodzem. Dobrze, że nie patrzył w tę stronę – ostrzegł Jaś i przytulił Ninę. – Do zobaczenia, złotko.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i mocno ucałowała.

– Misiuniu, braciszku najmilszy, z całego serca życzę wam obojgu szczęścia – powiedziała wzruszona.

Równie serdecznie pogratulowała Emilce i zaraz młoda para, nie czekając na poczęstunek, odjechała kareta wujostwa Borutyńskich do Zameczku.

Nina i Zosia usiadły przy swoich mężach, zagarniając ich tylko dla siebie. Proboszcz częstował gości dereniową nalewką i zapraszał do jedzenia. Pan Wąsocki opowiadał zabawne przygody, wuj Ksawery śmiał się, a raczej tylko przymuszał się do śmiechu, bo nie było mu wesoło. Wojewodzina, siedząc przy drugim boku Aleksa, wpatrywała się w niego z matczyną miłością. Jedyne Dorota Biecka przycupnęła na uboczu, z zaciśniętymi ustami i spuszczonej oczami. Aleks, mający dobre serce, spostrzegł jej zmienioną twarz i uwolniwszy się z rąk Niny, podszedł do niej.

– Mam wyrzuty sumienia, bo zawiniłem względem pani – odezwał się z ujmującą uprzejmością. – Małżonek pani pozostał w obozie, obejmując dowództwo w czasie mojej nieobecności – skłamał. – Ale prosił mnie, żebym przekazał pani pozdrowienia i ucałował rączki, co niniejszym czynię. – Ujął jej bezwładnie zwieszoną rękę i złożył na niej lekki pocałunek.

Podniosła na niego małe oczy bez wyrazu, jakby szklane.

– Dziękuję – szepnęła. – To było bardzo miłe z pana strony. Ale ja wiem, że on po prostu nie chciał się ze mną widzieć. Mnie zresztą także wcale na tym nie zależy... – Usta jej wykrzywiły się kurczem powstrzymanego płaczu, więc wstała i skinąwszy wszystkim głową, wyszła i odjechała.

– Szubrawiec! – mruknął przez zęby Aleks, ale nie miał czasu zastanawiać się nad Bieckim, bo zawołała go wojewodzina.

Kiedy usiadł, Nina prędko umieściła się przy nim. Stare i młode oczy patrzyły na niego z jednakową miłością, szukając na jego twarzy oznak choroby lub zmęczenia. Lecz on wyglądał czerstwo. Słońce pozłociło jego szczupłe policzki lekką opalenizną. Zmieniło się również jego zachowanie,

tracąc salonową miękkość. Jeszcze nigdy mąż nie wydawał się Ninie tak męski i przystojny. Tuliła się do niego, nie puszczając jego dłoni. Co chwilę podnosiła ją do ust, całując i głaszcząc.

Po krótkim poczęstunku goście rozjechali się do domów. Wujostwo Borutyńscy zabrali z sobą płaczącą panią Salomeę. Nina widziała, że wuj Ksawery czuł się nieswojo w gronie powstańców, ale siedział do końca przyjęcia i żegnając się z Alekssem, obiecał mu parę mocnych koni i wóz. Jaś otrzymał od wuja w prezencie ślubnym sobolowy kołpak z drogocenną brylantową agrafą i we dworze ubierał się do ślubu. Podczas ceremonii ciotka Maria rzewnie płakała, a żegnając się z Alekssem, uściskała go i pobłogosławiła, prosząc, aby dał o sobie znać. Najwidoczniej w ostatnim czasie wujostwo bardzo się zmienili.

– Olesiu, czy zastanowiłeś się, ile potrzeba ci pieniędzy? – odezwała się wojewodzina. – Proszę, nie krępuj się i mów, ile chcesz. To dla sprawy!

– Dziękuję matce chrzestnej z całego serca. Jutro wieczorem przyjadę do Lipieńca i razem wszystko dokładnie omówimy – odrzekł, całując jej wyschlę rękę.

– Proszę ciotuni, może ciocia mu powie... – wtrąciła Nina i zamilkła, zgromiona ostrym spojrzeniem starej damy.

– Sama wiem, o czym mam mówić! – Staruszka głośno stuknęła laską o podłogę. – Ach, smarkule. Według nich osoba w moim wieku jest już kompletną sklerotyczką. Jeszcze nie zramolałam, moje dziecko, i nie trzeba mi o niczym przypominać. O czym to ja mówiłam? – Straciła wątek i zmiażdżyła Ninę wzrokiem pełnym potępienia. – Aha, już wiem! Więc tak: Nina pojedzie do Krakowa i odda pieniądze osobie, którą ty, Olesiu, jej wskażesz. W drodze nie będzie miała większych kłopotów, bo Langiewicz daleko, a Moskale uganiają się za nim. Austriacy to ludzie kulturalni. Młoda dama w błogosławionym stanie może ich tylko wzruszyć. – Rzuciła Ninie krytyczne spojrzenie, zatrzymując wzrok na jej talii. – O ile potrafią ten stan u niej dostrzec. Osobiście dopilnuję, synku, żeby jej stan był widoczny. Dziś twoja żona zasznurowała się gorsetem, jak na bal!

Nina poczerwieniała i zagryzła usta, udając, że nie widzi pytającego wzroku męża.

– Promyczku, czy nic ci nie dolega? – zagadnął ją dyplomatycznie, wędrując spojrzeniem po jej smukłej figurze.

Wojewodzina parsknęła szyderczo, bo nie lubiła bawić się w uprzejmości.

– Nie mówiłam tego w trosce o jej zdrowie, lecz miałam na myśli dobro waszego dziecka! – rąbnęła prosto z mostu. – Nina koniecznie pragnie być piękna, nawet kosztem zdrowia potomka.

– Przecież ja się nie sznuruję – oświadczyła Nina ze złością. – Przysłano mi za ciasną suknię, więc...

– Mojaś ty! – Staruszka z niedowierzaniem potrząsnęła głową. – Masz tylko jedną suknię w szafie? Olesiu, nie zadbałeś o swoją żonę! Biedaczka, nie ma się w co ubrać. Na drugi raz przyjedź, moje dziecko, w koszuli nocnej. No, mniejsza z tym... – Zmieniła temat, widząc, że Aleks siedział jak na szpilkach, a Nina miała w oczach łzy wściekłości. – Mój faktor, poczciwy Aaron, podjął się przemycić kilka beczulek prochu. Ci Żydzi wszędzie mają swoich dostawców. Aaron może nawet w Krakowie nadzorować kupno broni.

– Nie zgadzam się na to – stanowczo przerwał jej Aleks. – Za drogie pieniądze kupi mi szmelc!

– To komu to zlecisz? – Wojewodzina spojrzała na niego pytająco.

Niecierpliwie poruszył się na krześle i przeciągnął dłonią po włosach. Nina знаła ten jego gest. Czynił tak zawsze, kiedy był z czegoś niezadowolony.

– Od godziny usiłuję dojść do głosu – zauważył zirytowany. – Ale jak dotąd nie udało mi się wyrazić swojej opinii.

– Ależ synku! – Wojewodzina uniosła wysoko brwi. – Przecież ja się prawie wcale nie odzywam. Chciałam tylko powiedzieć... – Spojrzała mu w oczy i raptownie zamilkła. – Proszę, mów, Olesiu – szepnęła pokornie.

– Dziękuję. W Krakowie mieszka mój dobry znajomy, pan kapitan Piotrowski. To dawny oficer, doświadczony i uczciwy. Jest żonaty z Czeszką i życzę sobie, żeby Nina u nich zamieszkała. Pani Piotrowska zaopiekuje się nią serdecznie, a on zorganizuje przerzut broni przez granicę.

– Jak to, przecież Nina... – zagalopowała się stara dama i oniemiała, w ostatniej chwili zauważywszy z przerażeniem jej rozpaczliwe znaki.

– Co Nina? O czym matka chrzestna mówi? – zdziwił się Aleks. – Przecież żona nie przetransportuje broni do kraju. Musi zostać w Krakowie aż do rozwiązania. Tymczasem ja już potrzebuję broni, bo z patykami nie poślę chłopców do walki.

Wojewodzina długo nie mogła ochłonąć ze strachu po popełnionej gafie.

– Zamierzałam powiedzieć, synku, że Nina przedstawi panu Piotrowskiemu twoją rozpaczliwą sytuację. Oprócz gotówki dostanie ode mnie listy zastawne i klejnoty. Och, żeby nie te moje niedołążne nogi, wybrałabym się razem z nią. – Stęknęła z bólu, spoglądając na spuchnięte stopy. – Byłbyś spokojniejszy o żonę, bo pod moją opieką żaden niemądry pomysł nie wpadłby jej do głowy. Trudno, jest jeszcze młoda i niedoświadczona.

Nina przypatrywała się staruszce z milczącą pasją. „Stare pudło! – pomyślała bez odrobiny szacunku. – Sama w młodości nie była wcale świętą, a do mnie ma zawsze jakieś pretensje, nie wiadomo o co. Pan Bóg łaskaw, że nie może jechać ze mną, bo dostałabym chyba wścieklizny. O, niech się tylko stąd wyrwę, to i tak zrobię, co zechcę”.

– A co z naszymi dokumentami? – spytała pospiesznie, widząc, że stara dama już otwiera usta.

– To kwestia najwyżej dwóch tygodni – rzekł Aleks. – Dostaniecie paszporty i przepustki, ty i panna Mira, bo Jaga i chłopcy będą na twoim paszporcie jako służba. Mamy znakomitych fachowców, umiejących idealnie podrobić każdy urzędowy dokument. Pragnę mieć więcej broni krótkiej niż karabinów.

– Dlaczego? Przecież karabin niesie dalej niż rewolwer – zauważyła Nina rzeczowo.

– Zgadzam się z tobą, ale moi kosynierzy są na dalszy dystans bezbronni i najczęściej giną. Kosynier prócz kosi nie zdoła dźwigać jeszcze karabinu, a rewolwer to dobra broń na bliższą odległość.

Rozmowę przerwał im proboszcz, wchodząc do saloniku z kancelarii.

– A ja mam niespodziankę dla pana naczelnika – rzekł z tajemniczą miną, trzaskając wieczkiem tabakierki z portretem naczelnika Kościuszki. – Jak dotąd wasza partia nie ma własnego kapelana. Zgłosił się do mnie młody braciszek od bernardynów z Radomia. Chce do oddziału, więc poradziłem mu, aby przyłączył się do was.

– Jestem księdzu bardzo zobowiązany – mruknął Aleks, mający uprzedzenie do młodych i pełnych zapału księży.

Proboszcz uśmiechnął się, rozumiejąc jego obiekcje.

– Za tego zakonnika ja osobiście ręczę swoim honorem – powiedział, poważniejąc. – To wnuk mego krewnego. Dobra, stara krew. Będzie pan

miał z niego pociechę, obiecuję. – Energicznie zapukał w drzwi sypialni. – Frater⁴², wyspałeś się już? Pójdź tu do nas.

W otwartych drzwiach stanął bardzo wysoki młody braciszek zakonny. Na jego widok Aleks odetchnął uspokojony. Protegowany proboszcza niczym nie przypominał Rafała Żabca. Mógł mieć ze dwadzieścia parę lat i był przeraźliwie brzydki. Miał płaską mongolską twarz o lekko skośnych czarnych oczach. Krótko przycięte włosy okalały ciemnym wianuszkiem jego wydłużoną czaszkę. Nina zrobiła w duchu uwagę, że bernardyn mógł w czasie upałów używać własnych uszu zamiast wachlarza, tak były wielkie i odstające. Był bardzo chudy i niezgrabny, przypominając wyrośniętego szczeniaka, skorego do figłów. Kiedy się uśmiechnął, pomiędzy mięsistymi wargami zalśniły białe jak kość słoniowa zęby i wtedy już wcale nie dostrzegało się jego brzydoty.

– *Laudetur Iesus Christus*⁴³ – odezwał się swobodnie i podszedł do Aleksa, podając mu mocną, spracowaną rękę. – Na świecie Krzysztof Bieliński, w zgromadzeniu brat Benon – przedstawił się krótko. – Mam nadzieję, że przydam się panu naczelnikowi. Jestem zdrowy i mam niewielkie wymagania.

– Służba w partii jest uciążliwa – zauważył Aleks z odcieniem nieufności. – Frater w konspiracji? Po przysiędze?

– Ma się rozumieć. Przepisywaliśmy rozkazy rządu, ale ja nie lubię papierkowej roboty i uprosiłem przeora, żeby pozwolono mi iść do oddziału. Przepraszam, przypadkiem usłyszałem, że pani hrabina wybiera się do Krakowa.

Aleks posłał proboszczowi przeciągłe i wymowne spojrzenie. Był zły, że ksiądz nie uprzedził go, iż w sąsiednim pokoju znajduje się obcy człowiek. Staruszek próbował się usprawiedliwić:

– Kiedy on spał, biedaczysko, nie chciałem go budzić. Ale braciszek może wiele pomóc panu naczelnikowi. Przewoził już broń dla oddziału pułkownika Jeziorańskiego.

– Doprawdy? – Bursztynowe oczy Aleksa wpatrywały się badawczo w zakonnika. – Frater dobrze zna Kraków?

– Jak kieszeń w habicie! Mam w mieście wielu znajomych, także w garnizonie na Wawelu, gdzie podli zaborcy urządzili sobie koszary i stajnie. Zamek Królewski zamieniono w twierdzę, którą Austriacy ciągle umacniają. Przy tych robotach zatrudnionych jest wielu Polaków. Ci znają

się dobrze z żołnierzami i oficerami. Potrafią pomóc przy zakupie broni dla powstańców.

Aleks długo wpatrywał się w oczy zakonnika. Były szczere i wyrażały zdecydowanie. Na koniec uściśnął mu rękę i poklepał po ramieniu. Braciszek sprawił dobre wrażenie. Był śmiały, bystry i mógł oddać w przyszłości nieocenione usługi jako informator, będąc pomocą przy negocjacjach i targach o cenę broni. Zakonnika nikt nie pyta, gdzie idzie i po co.

– Mówiłem, że się panu naczelnikowi spodoba – sapnął proboszcz z zadowoleniem. Rzucił okiem na zegar i dodał: – Nie chcę być niegościnnie, ale już świta. Chłopi wcześniej wstają. Jedźcie z Bogiem, modlę się za was i za ojczyznę. Panie naczelniku, tu są dwie buteleczki tej nalewki, którą pan tak lubi. A tu balsam kapucyński, pomocny na wszelkie bóle.

Nina postanowiła odwiedzić męża i Tadeusza pod sam las. Następne spotkanie wyznaczyli sobie w Zameczku, dokąd Aleks miał przywieźć dokumenty dla niej. Pożegnawszy się z proboszczem, wsiedli do karety. Braciszek Benon nie przyjął zaproszenia do powozu, tylko wskoczył na kozioł obok Maćka. Ruszyli, zanurzając się w białych oparach mgielnych, podnoszących się z ziemi przed wschodem słońca.

Tym razem Nina nie miała czasu, by przeżywać kolejne rozstanie z mężem, bo biedna Zosia dostała spazmów i mdlała, objąwszy Tadeusza za szyję. Błady i zdenerwowany, delikatnie zdjął jej ręce oplatające go kurczowym uściskiem, posadził żonę na kanapce i prosił, żeby się uspokoiła. Nina zaczęła ją trzeźwić solami. Widziała przez okno, jak Aleks lekko i z gracją wskoczył na wierzchowca. Siekielski wziął na swego konia braciszka i jeźdźcy zniknęli, kryjąc się w bezpiecznym gąszczu boru. W zapadłej ciszy słyhać było tylko spazmatyczny szloch Zosi.

Nowożeńcy zjawili się w Makowie dopiero po kilku dniach. Przybyli wieczorem, tak widocznie zakochani, szczęśliwi i zapatrzeni w siebie, że Nina przez moment doznała uczucia zazdrości. Emilka zupełnie straciła swoją chłodną rezerwę. Obserwująca ją Mira wyraziła zdanie, że młoda mężatka wodzi oczami za Jasiem jak kot za śmietanką. Pani Salomea wprost nie mogła nacieszyć się ich szczęściem, obiecując sobie prędko zostać babcią. Z Sarnik przyjechali wujostwo Borutyńscy, zaproszeni przez

Ninę. Wprawdzie wuj Ksawery nie zmienił swojej opinii o celowości powstania, lecz mimo to uściskał Jasia z prawdziwym wzruszeniem.

– No, chłopcze, a postarajcie się, żebym nie czekał długo na małego Borutyńskiego – rzekł mu na powitanie. – Ty jesteś ostatni z tej wyższej gałęzi rodu i w tobie cała nadzieja. Po mojej śmierci ty będziesz głową rodziny. Marzyliśmy z Marychną wyprawić ci huczne wesele, ale nierozwaga zawiodła cię do powstania i bawicie się z Moskalami jak mysz z tygrysem. Nie daj Boże, żeby moje oczy patrzyły na to, co tu się będzie działo, kiedy ta ruchawka upadnie.

Jaś skrzywił się, a wuj Ksawery, zauważywszy jego minę, uściskał go ponownie.

– Wybacz staremu uparciuchowi. – Pochylił się i szepnął mu do ucha: – A jakby wam czegoś w obozie zabrakło, to mi powiedz.

– Dziękuję wujowi. – Jaś z szacunkiem ucałował go w ramię.

Emilka dostała od ciotki Marii w prezencie ślubnym sznur ślicznych różowych pereł, a od wuja – błam soboli na futrzaną pelerynkę. Borutyńscy bardzo ją lubili i jeszcze przed ślubem obsypali podarkami. Te rodzinne serdeczności napełniły serce Niny goryczą i smutkiem. Nie mogła zrozumieć, dlaczego w domu wujostwa spotykały ją same przykrości, chociaż była gotowa odplacić im miłością za miłość. Doznany w dzieciństwie zawód złamał jej serce, kładąc się cieniem na całe życie. Co prawda, ostatnio wujostwo okazywali jej życzliwość, interesując się jej przyszłym macierzyństwem, ale podejrzewała, że byli zawiedzeni, dowiedziawszy się, iż Aleks nareszcie doczeka się potomka. W razie jego bezdzietności połowę majątności dziedziczyłaby po nim Binia.

Siedziała taka zamyślona, że podskoczyła, kiedy Jaś pochylił się nad nią.

– Kotku, jak ty się czujesz? – Ujął ją za rękę i odruchowo sprawdził tętno.

– Dobrze. A dlaczego pytasz? – Zamrugła zdumiona.

– Bo wyglądałaś jakoś dziwnie.

– Zamyśliłam się tylko. Misiu, poproszę Alka, żeby pozwolił ci jeszcze jakiś czas pozostać z żoną.

– Nie będziesz miała okazji, bo jutro jadę do leśnego obozu. Małżeństwo to moja prywatna sprawa. Moje miejsce jest na Łysej Polanie. Jestem żołnierzem i lekarzem, a w obozie czekają na mnie chorzy.

– Jesteś święty, Jasiu. – Objęła go za szyję i ucałowała. – Bardzo cię kocham, braciszku.

– Nie! Jestem tylko szczęśliwym człowiekiem i tobie to zawdzięczam. – Błysnął w uśmiechu zębami. – Pamiętaj, masz w podróży bardzo na siebie uważać. Twoje zdrowie to bezcenny skarb dla męża i wszystkich, którzy cię kochają. Jakie to musi być cudowne uczucie oczekiwać dziecka.

– O, zachwycające! – oznajmiła to tak dwuznacznym tonem, że Jaś spojrział na nią i ze śmiechem potargał ją za ucho.

Następnego dnia otrzymała list ze Świerszczyn. Na kilku stronicach zapisanych drobnym maczkiem Binia donosiła, że po urodzeniu syna czuje się znakomicie i z największą radością przyjedzie na spotkanie do Krakowa. Edward, mający dobre układy z pruskimi urzędnikami, już postarał się dla niej o paszport, a nawet znalazł we wsi dobrą mamkę dla maleńkiego Olesia, żeby żona mogła podróżować, spokojna o zdrowie niemowlęcia. Pod koniec listu Binia pisała:

Błagam Cię, Siostrzyczko, nie wygadaj się przypadkiem przed Mamcią o naszym spotkaniu, bo z pewnością uparłaby się towarzyszyć Ci w podróży. Bardzo tęsknię za Rodzicami i w czerwcu wybieram się do Sarnik, ale w Krakowie pragnę być tylko z Tobą! Mamy sobie tak wiele do powiedzenia, prawda? Przy Mamci nie mogłybyśmy rozmawiać swobodnie.

Dzieciaki – na psa urok – chowają się zdrowo, a ja nie mogę się doczekać chwili, kiedy będę mogła Cię zobaczyć i ucałować. Ninko, miałaś z tym Krakowem wspaniały pomysł. Na jakiś czas oderwę się od Edwarda i jego małżeńskich karesów. Boże, co to za ulga, nie widzieć jego figury podążającej krok w krok za mną, jak cień uparty i natrętny!

Zamów dla nas wygodne pokoje w jakimś porządnym hotelu. Edward z właściwą mu nieznośną pedanterią obliczył, że powinnam być w Krakowie około 20 marca. Nie biorę karety i odbędę podróż koleją żelazną! Podobno szybciej będę na miejscu.

Nina zatańczyła z radości po pokoju i jeszcze tego samego dnia konny posłaniec pojechał z depeszą do Suchedniowa. Zarezerwowała telegraficznie w hotelu Pod Różą dwa apartamenty, pokoje dla służby i stajnię dla koni, od 19 marca na czas nieokreślony. O tym krakowskim hotelu usłyszała od pani wojewodziny, zatrzymującej się w nim za każdym pobytem w Galicji. Miała nadzieję, że kupno broni oraz amunicji zajmie jej

najwyżej dwa, trzy tygodnie i jeszcze przed porodem zdąży powrócić do domu.

Pani wojewodzina swoim zwyczajem wtrącała się do wszystkiego, radząc wybrać najwykwintniejsze stroje i wielkie kufry, jakie zwykły mieć z sobą damy udające się do kurortów. W powrotnej drodze miały służyć jako schowki na amunicję.

– Tylko nie zapomnij o wyprawce dla dziecka! – pouczała ją stara dama. – Ubranka dziecięce powinny leżeć na samym wierzchu. Austriaccy celnicy to ludzie dobrze wychowani i widok maciupieńkich koszulek oraz kaftaniczków z pewnością zrobi na nich odpowiednie wrażenie.

– Ciekawe, czy celnicy rosyjscy będą równie wzruszeni – wtrąciła z powątpiewaniem Nina. – Tylko proszę, niechże ciotunia nie wygada się przypadkiem przed Alkiem, po co jadę do Krakowa, bo popędzi za mną i zawróci mnie z drogi.

Wojewodzina z obrażoną miną spojrzała na nią.

– Już ty mnie nie pouczaj! – oświadczyła wyniośle. – Oczywiście, że zachowam sekret. Ostatecznie to był mój pomysł, którego teraz zaczynam żałować. Może jednak nie powinnaś jechać? Sytuacja się wyklarowała, bo braciszek Benon również jedzie do Krakowa i może sam wszystko załatwić. Jakby, nie daj Boże, przydarzyła ci się jakaś zła przygoda, Oleś nigdy by mi tego nie wybaczył.

– Nie musiałby o tym wiedzieć! – Nina ze złością przygryzła usta. – Owszem, braciszek może załatwić kupno broni, lecz w habicie jej nie przewiezie – stwierdziła z irytacją. Pomyślała, że tylko tego brakuje, żeby stara dama pozbawiła ją cudownej okazji spotkania Bini.

Wojewodzina spod oka przypatrywała się jej bladej, wychudłej w ostatnich czasach twarzy oraz podkrążonym oczom i coraz dotkliwiej czuła wyrzuty sumienia, potęgujące się w miarę zbliżania się czasu wyjazdu.

– No cóż, jedź, jak tak bardzo chcesz. Na szczęście bitwy toczą się teraz aż w Olkuskiem. Mój poczciwy Aaron mówił mi, że spłonął zamek na Pieskowej Skale. Na kiedy umówiłaś się z Olesiem?

– Zobaczymy się w Zameczku, kiedy tylko załatwi mi dokumenty.

– Ja także przyjadę do Zameczku. Przywiozę ci pieniądze, listy zastawne i klejnoty, na wypadek gdyby zabrakło ci gotówki. – Wojewodzina zamilkła zamyślona i dopiero po jakimś czasie zapytała: – To kiedy zamierzasz wyjechać?

– Jeszcze tej samej nocy po spotkaniu w Zameczku. Nie warto zwlekać. Boję się, żeby kolumny rosyjskie nie odcięły mnie od granicy.

Najwyraźniej powiedziała to w złą godzinę, bo niespodziewane wydarzenia przyniosły radykalne zmiany w układzie sił obu walczących stron i wstrząsnęły strukturami Tymczasowego Rządu Narodowego. Ale o tym nikt jeszcze nie wiedział.

Codziennie, niezależnie od tego, ile zajęć na nią czekało, Nina zawsze znajdowała czas, by odwiedzić swoją Mignon. Tego dnia po powrocie do domu zaaferowany Paweł zawiadomił ją, że jakiś ksiądz koniecznie chce rozmawiać z jaśnie panią hrabiną. Nawet nie zdejmując kaptura i peleryny, weszła do salonu i z radością zobaczyła braciszka Benona, swobodnie siedzącego na fotelu. Przywitawszy się, zakonnik oznajmił, że przywiózł oczekiwane dokumenty – paszporty i przepustki. Nie były nawet podrabiane, bo agenci rządu powstańczego wykradali oryginalne druki *in blanco* z carskich urzędów. Wystarczyło jedynie druki wypełnić i opieczętować. Same pieczęcie powstańcy podrabiali po mistrzowsku.

Wręczywszy jej dokumenty, braciszek powiedział, że pan naczelnik nazajutrz o zmroku przybędzie do Zameczku. Zakonnik jechał jeszcze do Lipieńca, powiadomić wojewodzinę, i śpieszył się bardzo. Zaledwie Nina uprosiła go, by poczekał, aż napisze list do męża i w tym czasie coś przekąsił. Biedaczysko był taki chudy, że każda szanująca się pani domu uważała za punkt honoru nakarmić go i uratować od śmierci głodowej.

Po jego odjeździe Nina poleciła Ulisi wyciągnąć największe kufry podróżne i osobiście przeglądnęła swoją garderobę, wybierając najelegantsze stroje i piękną bieliznę. Jaga zajęta była w kredensie rozmową z panią ochmistrzynią o metodzie tuczenia drobiu. Przypomniawszy sobie, że miała spytać Ninę, ile osób przyjedzie na niedzielny obiad, weszła do sypialni i zaniemówiła na widok stosów sukien i okryć rozrzuconych na krzesłach, fotelach i kanapkach. Przez uchylone drzwi do garderoby dostrzegła kilka wielkich kufrów.

– Nino, wybierasz się gdzieś? – zadała pytanie zdławionym głosem.

– Owszem, jadę do Krakowa – odpowiedziała spokojnie, oglądając suknię podaną jej przez pokojówkę. – Nie, Ulisiu, ta się nie nadaje, bo jest za skromna – rzekła, odkładając toaletę na bok.

– Nino, pozwól na momencik. – Jaga pierwsza weszła do buduaru i starannie zamknęła drzwi, nie chcąc awanturować się przy służbie. Była bardzo blada, drżały jej ręce, a po policzku spłynęła duża łza. – Wyjeżdżasz, tymczasem ja nic o tym nie wiem?! – zawołała. – Uznałaś widocznie, że jako pani hrabina nie potrzebujesz już liczyć się z moim zdaniem. Kim ja właściwie dla ciebie jestem? Służącą?

Kłótnia była ostatnim, czego Nina sobie życzyła. Wcześniej nie wtajemniczała niani w swoje sekrety, obawiając się, że Jaga sprzeciwi się i nie pozwoli jej jechać. Takie trochę despotyczne zachowanie było typowe dla niani, wobec tego Nina postanowiła postawić ją przed faktem.

– Wiesz o tym, że jesteś dla mnie jak rodzona matka. Kocham cię i szanuję. Ale mój czas się zbliża. W ostatnim okresie nie czułam się zbyt dobrze i Jaś polecił mi znakomitego specjalistę chorób kobiecych w Krakowie.

Jaga ujęła się pod boki i przyglądała się wychowance z podejrzliwą miną.

– Źle się czujesz? I w takim stanie zamierzasz podróżować do Galicji? Wyglądasz jak trzy ćwierci do śmierci, więc postanowiłaś przejechać się na drugą stronę Wisły? Nigdy na to nie pozwolę! Osobiście powiadomię pana hrabiego i panią wojewodzinę, że masz zamiar się zamordować. Nie pojedziesz!

Nina energicznie zrzuciła z krzesła stos odzieży na posadzkę, usiadła i spokojnie wysłuchiwała histerycznie wypowiedzianych słów Jagi.

– Nianiu, Alek i pani wojewodzina wiedzą o mojej podróży – tłumaczyła z anielską cierpliwością.

– Jak to? Jesteś prawie w siódmym miesiącu ciąży i pan zgodził się, żebyś odbyła tak daleką podróż? W takim razie chyba oszalał!

– Nianiu, mówisz o moim mężu! – upomniała ją Nina, ściągając brwi.

– A cóż to za mąż, który posyła żonę na zgubę? To ja cię wychowałam i nie dopuszczę, żebyś straciła dziecko i życie.

Jaga opadła na najbliższe krzesło i zasłoniwszy twarz dłońmi, zalała się łzami. Ale Nina znała ją doskonale i wiedziała, że niania przez palce obserwuje, czy jej płacz zrobił na wychowance odpowiednie wrażenie.

– Okłamujesz mnie! – szlochała Jaga żałośnie. – Przecież wiem, że nawet końmi nikt nie zdoła wyciągnąć cię do lekarza. Co ty przede mną ukrywasz? Jesteś chuda jak patyk i nie dojedziesz do tego Krakowa żywa. Nina, ja się nie zgadzam. O Jezu, boję się, że już nigdy cię nie zobaczę!

Nina przysiadła przy niej, oderwała jej dłonie od twarzy i obie ucałowała.

– Nie płacz, mateczko. Nie stanie mi się krzywda, bo ty będziesz czuwać nade mną. Nie pozwoliłaś mi dokończyć zdania. Chciałam ci powiedzieć, że nie jadę sama. Zabieram ciebie i Mirunię. No, masz jeszcze powód do rozpaczyny?

– To dlaczego wcześniej mi tego nie powiedziałaś? Nie musiałabym się denerwować – rzekła Jaga zupełnie normalnym głosem i otarła wilgotne policzki.

– Bałam się, że będziesz na mnie krzyczeć – szepnęła Nina, przybierając pokorną minę. – Wiesz, że się ciebie boję...

– Aha, jak kot myszy – mruknęła Jaga ironicznie i raz jeszcze się jej przyjrzała. Sprawa wydała się niani od początku podejrzana i nie wierzyła, żeby Ninie chodziło jedynie o poradę lekarską. – Dziecko, lepiej powiedz mi całą prawdę. Po co wybierasz się do Krakowa?

Nina spojrzała na nią z uznaniem. Niani nie można było ocyganić, bo nieomylnie poznawała się na kłamstwie.

– Musimy coś przewieźć przez granicę – wyznała.

– A co? – Oczka Jagi zabłysły ciekawością. Była już wyraźnie zaintrygowana.

– Powiem ci, ale błagam, nie rób mi awantury. Ja tylko Alkowi powiedziałam, że muszę jechać do lekarza, ale tak naprawdę jedziemy zakupić w Galicji broń i amunicję i musimy przewieźć to przez granicę. Jego oddział jest niemal bezbronny, a wiosną z pewnością ruszy rosyjska ofensywa. Pani wojewodzina dała mi na ten cel pieniądze. No, teraz już wiesz, że ja po prostu muszę jechać! – zawołała i zacisnęła palce na poręczach krzesła, żeby Jaga nie zauważyła. Jak bardzo trzęsły się jej ręce.

„Moja słodka odważna dziewczynka” – pomyślała Jaga z dumą i położyła dłoń na jej głowie.

– Niepotrzebnie kryłaś się przede mną z tym zamiarem – powiedziała łagodnie. – Niegdyś też jeździłam z twoją mamusią po broń dla twego ojca.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś. – Nina patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Może nie było okazji? Twoja matka sprzedała wtedy swoje posagowe brylanty, żeby kupić karabiny, proch, ołów i szable. Byłyśmy aż w Toruniu, przemykając nocami pomiędzy pruskimi posterunkami. Jak widzisz, czasy niewiele się zmieniły.

– Moja ty najukochańsza, jesteś prawdziwym skarbem! – wykrzyknęła Nina, obejmując ją i pokrywając twarz niani pocałunkami.

– No, no, tylko nie wyobrażaj sobie, że mnie ugłaszczesz. Mogę być nawet aniołem, ale potrafię zamienić ci życie w piekło, bo już mam powyżej uszu twoich kłamstw. Proszę mnie nie całować! Jestem zbyt zła na ciebie, żeby znosić twoje karesy. Dosyć! Chodź, pomogę ci się spakować.

Generał Langiewicz wyrastał na bohatera narodowego, kreowany przez prasę podziemną w czasie, kiedy nie było można pochwalić się jakimś znaczniejszym sukcesem militarnym. Generał był dobrym partyzantem i jednym z nielicznych dowódców, którym udało się utrzymać duży oddział i walczyć, ze zmiennym szczęściem. Jednakże brakowało mu w decydujących momentach talentu wodza. Jednak potrafił zwrócić na siebie uwagę i nawet prasa zagraniczna wyrażała się o nim pochlebnie. Potyczki i stoczone walki Langiewicz przedstawiał w raportach jako jedno pasmo zwycięstw. Stał się modny. Jego podobizny zdobiły wystawy sklepowe w Galicji. Panie nosiły jego portrety w medalionach, jak relikwie. Hołdy społeczeństwa zawróciły Langiewiczowi w głowie.

Jego popularność zwróciła również uwagę Dyrekcji Białych. Obawiano się tam powrotu Mierosławskiego, gdyż okazało się, że niefortunny dyktator wcale nie wyjechał do Francji, lecz przebywał w Krakowie i knuł intrygi, nie zamierzając rezygnować z władzy. W tej sytuacji Biali postanowili wziąć sprawę w swoje ręce. Intryga została uknuta w Krakowie w hotelu Saskim. Uczestniczyli w niej przedstawiciele Białych z Krakowa, Lwowa, Poznania i Warszawy. Do odegrania głównej roli wyznaczono hrabiego Adama Grabowskiego – nędzną kreaturę, karciarza i utracjusza. Miał przedstawić się generałowi jako delegat Rządu Tymczasowego Narodowego. W tym czasie Langiewicz przebywał w Goszczy, odpoczywając po trudach stoczonych bitew pod Pieskową Skałą i pod Skałą, gdzie poległ lejtnant Andrij Potiebnia, sprawca zamachu na Lüdersa.

Generał przyjął Grabowskiego uprzejmie. Wprawdzie zażądał od rzekomego przedstawiciela rządu pełnomocnictw, lecz łatwo zadowolił się wymówką Grabowskiego, jakoby ten przez roztargnienie pozostawił dokumenty w Krakowie. Spisek szyty był grubymi nićmi, ale Langiewicz uwierzył, bo chciał uwierzyć, podchodząc bezkrytycznie do komeraży [44](#)

Białych. W imieniu „rządu” hrabia Grabowski ofiarował mu urząd dyktatora! Langiewicz po krótkim wahaniu nominację przyjął, ponieważ takie stanowisko i władza bardzo dogadzały jego wygórowanym ambicjom.

12 marca nowo mianowany dyktator oznajmił, że został powołany rząd koalicyjny, przyjmując odtąd oficjalną nazwę „Rząd Narodowy”! Langiewicz był przekonany, że jego dyktaturę popierał Hotel Lambert, będący siedzibą książąt Czartoryskich, sprawujących na emigracji rząd dusz i zajadłe zwalczający Mierosławskiego. W nowych władzach powstańczych Biali posiadali miążdzącą przewagę, a o rewolucyjnym kierunku powstania nikt już nie wspominał. Dla prawowitego rządu powstańczego w Warszawie wiadomość o utworzeniu samozwańczych władz i powołaniu nowego dyktatora była jak grom z jasnego nieba. Zanosilo się na straszliwy skandal. Aby nie dopuścić do konfrontacji sił i zachować twarz, należało przełknąć gorzką pigułkę i oficjalnie ogłosić Langiewicza dyktatorem, oddając w jego ręce władzę i wzywając naród do posłuszeństwa nowemu rządowi.

Stefan Bobrowski dowiedział się o zмовie dopiero po kilku dniach i pojął, że władza bezprawnie przeszła w ręce Białych, od początku niechętnych idei powstania. Wstrząśnięty, miotał się w misternej sieci intryg, pomówień i zniewag. Jego czysta, szlachetna natura brzydziła się podobnymi metodami. Oburzony, napisał do Langiewicza ostry list, domagając się natychmiastowego odsunięcia intrygantów i wyjaśnienia, jaką rolę odegrał hrabia Grabowski. Z listem tym Bobrowski osobiście udał się do Krakowa, by z bliska przyjrzeć się sytuacji. Stał tam 20 marca, ale chociaż bardzo się spieszył, przybył jednak za późno...

Dyktatura Langiewicza upadła! Pospieszne wyniesienie generała wywołało w społeczeństwie mieszane uczucia. W Górach Świętokrzyskich generał nie cieszył się najlepszą opinią. Ziemiaństwo poczuło się urażone jego brutalną w formie odezwą, a chłopci mu nie ufali. Żołnierze z oddziałów Langiewicza, niekarni i zdemoralizowani brakiem ostrej dyscypliny, rabowali dwory i wsie, zachowując się niewiele lepiej niż wzbudzający powszechną nienawiść kozacy. Krążyły plotki, że generał porozumiewał się z wielkim księciem Konstantym, proponując mu koronę polską w zamian za uznanie przez Rosję niepodległości. Były to oczywiste brednie. W tym czasie Rosjanie gromadzili wielkie siły, żeby za jednym zamachem rozbić małą armię powstańczą i dostać dyktatora w swoje ręce.

Czengiery, próbujący zastąpić drogę powstańcom, został zmuszony do odwrotu. Czekał więc na posiłki, depcząc Polakom po piętach. Pod Chrobrem żołnierze Langiewicza zniszczyli piękny pałac margrabiego Wielopolskiego, po barbarzyńsku unicestwiając znajdujące się tam wspaniałe zbiory sztuki. Dyktator nie powstrzymał swoich podkomendnych. Nie pierwszy i nie ostatni raz...

16 marca sytuacja zmieniła się na korzyść Rosjan. Nadeszły posiłki i carska armia liczyła teraz około trzech tysięcy wojska oraz sześć armat. Pod Grochowiskami oba wojska stanęły oko w oko...

KONIEC TOMU V

[39](#) Krótka kurtka zawieszona na sznurach na jednym ramieniu.

[40](#) Dawne męskie okrycie wierzchnie.

[41](#) Kosztowna ozdoba męskiej czapki.

[42](#) daw. brat zakonny

[43](#) łac. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

[44](#) daw. złośliwe plotki, machinacje, knowania